



# WILCZE DZIEDZICTWO

CIEŃ PRZESZŁOŚCI



MAGDA PARUS

**MAGDA PARUS**

**WILCZE  
DZIEDZICTWO:  
CIENIE  
PRZESZŁOŚCI**



Agencja Wydawnicza  
**RUNA**

# Spis treści

- Karta tytułowa
- Karta redakcyjna
- WTOREK-ŚRODA
- CZWARTEK
- PIĄTEK
- SOBOTA
- NIEDZIELA
- PONIEDZIAŁEK
- Przypisy

WILCZE DZIEDZICTWO: CIENIE PRZESZŁOŚCI

Copyright © by the Author, Warszawa 2007

Copyright © for the cover illustration by Jakub Jabłoński

Copyright © 2007 by Agencja Wydawnicza RUNA,  
Warszawa 2007

Wszelkie prawa zastrzeżone All rights reserved  
Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentu książki  
możliwe tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki: Fabryka Wyobraźni

Opracowanie graficzne okładki: Studio Libro

Redakcja: Urszula Okrzeja

Korekta: Jadwiga Piller

Skład: Studio Libro

Druk: Drukarnia GS Sp. z o.o.

ul. Zabłocie 43, 30-701 Kraków

Wydanie I

Warszawa 2007

ISBN: 978-83-89595-33-1

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i  
wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA

00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 408

tel./fax: (0-22) 45 70 385

e-mail: [runa@runa.pl](mailto:runa@runa.pl)

Zapraszamy na naszą stronę internetową:

[www.runa.pl](http://www.runa.pl)

# WTOREK-ŚRODA

- Przypuszczalnie atak niedźwiedzia - wymruczał Colin.

Winę zawsze ponosi niedźwiedź, puma, wilk, zdziczały pies bądź zbiegły z cyrku czy zoo egzotyczny okaz, byleby wyjaśnienie mieściło się w granicach prawdopodobieństwa.

Colin ponuro wpatrywał się w ekran komputera. Miałyby przed oczami standardową notkę, nie pierwszą, jaką wyłowił z sieci, gdyby nie jeden mały, ale diabelnie istotny szczegół: nazwa miasteczka. Emily i Mat, jasna cholera.

Nie powinien może z góry negować zasugerowanego w artykule rozwiązania zagadki. W dziewięciu przypadkach na dziesięć odpowiedzialność rzeczywiście ponosi zwierzę, w dodatku chodziło o Góry Skaliste. Atak niedźwiedzia akurat w miejscu zamieszkania Mata i Emily zakrawałby jednak na szczególny zbieg okoliczności, a Colin nawet do zwykłych zbiegów okoliczności dawno stracił zaufanie.

Kliknął polecenie drukowania, poirytowany, że komuś właśnie w tej sprawie musiało się zebrać na delikatność. Gdyby obok opisu obrażeń znalazły się zdjęcia, Colin zyskałby solidniejsze podstawy do wyrobienia sobie wstępnej opinii. Ach, i tak nie wierzył w winę grizzly. Byle jak złożył wyplute przez drukarkę kartki i wsunął do tylnej kieszeni wytartych dżinsów. Zamknął system, po czym stanowczo zbyt gwałtownie opuścił ekran laptopa.

Skontrolował zawartość sakw, z satysfakcją stwierdzając,

że ziół i amuletów wystarczy mu aż nadto. Wolał uniknąć tłumaczenia się Fishowi, dlatego musi uzupełnić zapasy. Na beżowy (w jego lepszych czasach) sweter narzucił podniszczoną skórzaną kurtkę.

Colin zważył w dłoni komórkę. Nie mógł tego dłużej odkładać. Wybrał numer stryja i z pulsowaniem w żołądku oczekiwał na połączenie. Czym się tak, cholera, przejmował? I tak tam pojedzie, bez względu na wynik rozmowy. Wbrew swej butnej postawie, z ulgą powitał informację o czasowej niedostępności abonenta. Poczł się usprawiedliwiony: zrobił co w jego mocy, nie będzie przecież beczynnje czekał, aż Gordon włączy telefon. Zadzwońi do stryja po dotarciu na miejsce. Postawi go przed faktem dokonanyń i lider nie będzie już mógł się sprzeciwić wyprawie. W tej chwili uczyniłby to z pewnością – wyznaczyłby do zadania Fisha i paru innych, a Colina oddelegował z ważną misją na biegun.

Wszedł przed chatę, wspólne lokum jego i stryja, prostą, pozbawioną jakichkolwiek upiększeń konstrukcję z drewna i otoczków, która zapewniała im przestrzeń życiową dostatecznie dużą, by nie wpadali na siebie na każdym kroku.

Colin szanował Gordona, wiele mu zawdzięczał, to jednak nie oznaczało, że marzył o częstych spotkaniach z mentorem. Od razu miałby wrażenie, że jest nadzorowany. Na szczęście obowiązki lidera zmuszały stryja do licznych wyjazdów, a i Colin nie narzekał na brak zajęć w terenie. Kiedy zaś obaj przyjeżdżali do osady w tym samym czasie,

udawało im się nawet przez tydzień mijać na tyle skutecznie, że poza krótkim „dzień dobry” nie znajdowali okazji do rozmowy.

Colin oddychał chłodnym żywicznym powietrzem, napawał się szumem drzew i świergotem ptaków, ładując baterie na długie godziny, które miał spędzić w ogłuszającym ryku silnika thunderbirda. Nie znosił ciasnych zamkniętych przestrzeni, wolał więc narazić się na nieprzyjemny hałas, czując w zamian pęd powietrza na twarzy, niż się dusić w komfortowym wnętrzu wyciszonej limuzyny. Wyprowadził z szopy lśniący srebrzyście motor i przymocował do niego sakwy.

Z irytacją zagryzł wargi, ujrzawszy Rose. Czego ona znowu chciała?

- Colin! - Pomachała mu z daleka. - Wyjeżdżasz? A ja się do ciebie wybrałam z propozycją wypadu na imprezę...

Colin przywołał na twarz uśmiech. Rose miała do niego sprawę, a to nowość.

- To pomysł Dustina - wyjaśniła. - W piątek. Zdążysz wrócić?

- Raczej nie.

Na pewno nie, sama podróż w jedną stronę zajmie mu ponad dwa dni.

- Wybierasz się gdzieś konkretnie? - indagowała zdziwiona.

Przed towarzyszami ze straży Colin nie powinien mieć tajemnic, zatem Rose w zasadzie musiałaby wiedzieć o planowanej przez niego wyprawie. Niekiedy Colin wyruszał

powłóczyć się bez celu, gdyby jednak chodziło o taki wyjazd, nic nie stałoby na przeszkodzie, żeby wrócił na czas.

Zamiast odpowiedzieć, cmoknął ją po koleżeńsku w policzek.

- Nie jestem w nastroju na imprezy.

Powiedział prawdę, przecież nie był w nastroju. Cholera, kogo zamierzał przekonać? I ten niepotrzebny całus - tu już wykazał się wyjątkowym wyrachowaniem.

Rose zarumieniła się i rozpromieniła, jakby wręczył jej bukiet róż, wyznając przy tym miłość. Że też się uparła właśnie na niego! Dustin ślinił się na jej widok, Sean jej nadskakiwał, a Grieve wodził za nią ponurym spojrzeniem, z góry przeświadczony o niepowodzeniu. Każdy z nich byłby wniebowzięty, znalazłszy się na miejscu Colina.

- Spadam - oznajmił, dosiadając thunderbirda.

Rose jednak nie zamierzała łatwo ustąpić. Z trudem kryjąc zawód, nęciła Colina perspektywą szampańskiej zabawy i zarazem delikatnie zarzucała mu nudziarstwo.

- Człowieku, masz dwadzieścia pięć lat! Czasem trzeba się wyrwać z tej zapomnianej przez Boga i ludzi wiochy! I nie mówię o zaszywaniu się w jeszcze większej głuszy.

Niebrzydka suczka, bez dwóch zdań. Czemu więc Colin tak się wzbraniał przed tym związkiem? Wątpliwe, by znalazł lepszą partnerkę. Pasowali do siebie, ich charaktery doskonale się uzupełniały - czego chcieć więcej? W osadzie przykłaśnięto by takiej decyzji. Ba, Colin wręcz odczuwał delikatną presję otoczenia.



Mimo to coś odpychało go od Rose, jakieś wewnętrzne przekonanie, że jeszcze nie trafił na właściwą kobietę, a zatem nie powinien się angażować. Nikomu o tym przeświadczeniu nie wspomniał, zarzucono by mu bowiem, że wydziwiał, i zaczęto przestrzegać przed kuszeniem losu: taka piękna dziewczyna nie będzie czekać wiecznie, ktoś sprzątnie mu ją sprzed nosa, on zaś dopiero wtedy pojmie, co stracił. Cóż począć, kiedy Colin wolał zaufać przeczuciu niż opiniom innych.

Poza tym, choć Colin nie zachował w pamięci żadnego obrazu Ianthe, Rose przypominała mu matkę; niezręcznie by się czuł, wiążąc się z ikoną. Miał niewiele ponad trzy latka, kiedy matka zginęła. Czasem wydawało mu się, że potrafi odtworzyć jej śmiech, spojrzenie jasnych oczu, że pamięta dotyk miękkich włosów na twarzy, jednak nie był pewien, czy nie pada ofiarą figli własnego umysłu.

Zdaniem Gordona nie należało wracać do przeszłości. Zatem kierowane do stryja pytania Colina o Ianthe pozostawały bez odpowiedzi. Kiedy zaś lider życzył sobie, by unikano jakiegoś tematu, członkowie społeczności kornie się do tych zaleceń stosowali. W pierwszych latach pobytu w osadzie Colin zdołał zgromadzić ledwie parę skąpych informacji; potem, zrezygnowany, przestał pytać.

Jego dzielna i piękna matka należała do straży, tyle wiedział. Raczej niewiele, może więc dlatego, ilekroć patrzył na Rose, czuł się tak, jakby widział Ianthe. Po prostu potrzebował wzorca, a Rose, z jej długimi ciemnymi włosami, smukłą sylwetką i charakterystycznym wyrazem

oczu - w czasie służby twardym, poza nią zaś rozmarzonym i niekiedy smutnym - idealnie się w tej roli sprawdzała.

Potrząsnął głową. Do diabła, zachowywał się jak ostatni mięczak. Rose to Rose, przeciętna, wypłoszona suczka. Całe to porównywanie jej z Ianthe było jedną wielką bzdurą, szukaniem dla siebie usprawiedliwienia. Jak inaczej Colin zdołałby racjonalnie uzasadnić, czemu odtrąca dziewczynę wprost dla niego stworzoną?

Na chwilę ogarnęła go chęć, by powiedzieć Rose coś miłego, zaraz jednak odrzucił tę myśl. Cholera, też sobie znalazł moment na damsko-męskie gierki! Gniewnie odpalił thunderbirda.

Dobrze, że w porę się opamiętał. Nie w pełni kontrolował sytuację, bo myślami błędził zupełnie gdzie indziej. Minęło siedem lat i niepokoił się, jak przebiegnie spotkanie z rodzeństwem. Z Matem nie pójdzie mu łatwo - nigdy się nie dogadywali, a cholera wie, co dodatkowo Nigel nakładł chłopakowi do głowy. Emily była wtedy taka maleńka, że może nie poznać brata...

Oby go nie poznała.

Mijał rozrzucone po lesie domki, wszystkie z drewna i otoczków, zbliżone do siebie stylem. Na osadę składało się ich jedenaście, a każdy z osobna przypominał samotną chatkę zagubioną w dziczy. Zamieszkiwały tam przeważnie rodziny lub grupy znajomych, niekiedy, i na krótko, szukające odosobnienia pary, czy wreszcie samotnicy w rodzaju Colina i Gordona - jak komu odpowiadało, przy czym konfiguracje zmieniały się co pewien czas. Gdy

członek społeczności odczuwał potrzebę założenia rodziny bądź własnej niewielkiej komuny, zajmował jeden z wolnych domków, względnie, jeśli wszystkie były akurat zajęte, budował nowy. W tej chwili trzy chatki w osadzie stały puste.

Na grupowe zamieszkiwanie decydują się zwykle starsi członkowie społeczności oraz osoby młode, które jeszcze nie myślą o własnej rodzinie. Często wybór wiąże się z pełnioną w organizacji funkcją - rodzaj komuny tworzyli na przykład członkowie straży pod wodzą Fisha. Colin, jako jedyny, się wyłamał. Lubił wprowadzić wszystkich w zespole, niemniej wystarczało mu ich towarzystwo w trakcie wspólnych akcji. W czasie wolnym nie musiał oglądać ich od rana do nocy. Poza tym starłby się z Fishem, bo choć Colin nie kwestionował predyspozycji kolegi do stanowiska przywódcy straży, z natury nerwowo reagował na rozkazy osób niewiele starszych od siebie.

Osada ulokowała się na terenach Przedsiębiorstwa Drzewnego Trzech Potoków, do którego należały tysiące akrów gęstego lasu. Z tym jednym wyjątkiem olbrzymi obszar pozostawał niezamieszany. Oficjalnie założono to niewielkie osiedle na potrzeby pracowników firmy i ich rodzin, a zresztą wszelkie wyjaśnienia i tak nikogo specjalnie nie interesowały, dopóki tartak funkcjonował sprawnie i regularnie płacił podatki. Od czasu do czasu przeprowadzano co najwyżej standardowe inspekcje, kontrolujące warunki pracy czy przestrzeganie zasad ochrony środowiska. Niezmiennie owocowały one

pochlebnymi raportami.

Colin zatrzymał motor przed domem Kenta. Czyste szyby, franki w oknach i zadbane ogródki nosiły znamiona ręki Sue, drugiej żony zastępcy lidera. W porównaniu z kawalerskim gospodarstwem Colina i Gordona różnica raczej rzucała się w oczy, lecz komu zależałoby na frankach? Colin bardziej sobie cenił święty spokój, cieszył go więc fakt, że stryja nie ciągnie do ożenku. I chyba zresztą nigdy nie ciągnęło. Oficjalnie całą jego rodzinę stanowił Colin. Byłoby jednak dziwne, a nawet źle widziane, gdyby lider nie przysporzył społeczności paru silnych, zdrowych członków. Dlatego Gordon zapewne spłodził jakieś dzieci, ale najwyraźniej nie przejawiał chęci do sprawowania nad nimi ojcowskiej opieki.

W chacie mieszkali też dwaj bracia pani domu, kawalerowie, oraz dorosły syn Kenta z pierwszego małżeństwa wraz z żoną i półrocznym berbeciem. Typowa grupa rodzinna, która za parę lat się rozpadnie, czy może raczej zmieni skład. Dzieci w wieku przedszkolnym i szkolnym odsyła się, by dorastały bliżej cywilizacji, rodzice zaś bardzo rzadko decydują się na rozstanie z potomstwem; tym sposobem wielu członków społeczności latami mieszka poza osadą. Syn i synowa Kenta pewnie też wyjadą, ich miejsce zajmą jednak żony i dzieci braci Sue.

Colin zastał gospodarza w gabinecie.

- Wyjeżdżam na parę dni - rzucił od progu.

Musiał poinformować zastępcę lidera o swojej wyprawie, ponieważ osady nie opuszczano bez uprzedzenia. Powinien

był jednak podać także cel podróży. Zatajając go, łamał jedną z podstawowych zasad. Problem w tym, że w Colinie nieodmiennie gotowało się na myśl, iż miałby się podporządkować komukolwiek poza Gordonem. Prędzej posłuchałby Fisha niż Kenta, bo przywódcę straży darzył zdecydowanie większym szacunkiem.

Zatopiony w papierach Kent jedynie pokiwał głową, na znak, że przyjął do wiadomości wyjazd Colina. Założył niewątpliwie, że chodzi o kolejną włóczęgę, z których bratanek lidera wręcz słynął. Zatem w pewnym sensie Colin skłamał. Po co? Miał pieprzone prawo tam jechać, srał pies Gordona i zasady. Rodzina stoi ponad zasadami. A już Kent na sto procent by Colinowi nie podskoczył.

Spod domu zastępcy lidera Colin ruszył powoli, utrzymując pracę silnika na niskich obrotach. Mieszkańcy osady nie lubili cywilizacyjnych hałasów, usiłowali zapomnieć, że tuż obok funkcjonuje jazgotliwy zmechanizowany świat. Telewizory i radioodbiorniki mieli jedynie nieliczni. Komputery, jako narzędzia pracy, gościły w chatkach częściej, ale uruchamiano je tylko z konieczności. W osadzie życie upływało spokojnie, w zgodzie z naturą. Nikt nie interesował się polityką, wojnami czy zamachami. Głowa przywódcy w tym, żeby żaden z jego podwładnych nie ucierpiał wskutek zmiany uwarunkowań zewnętrznych.

Kiedy ktoś opuszczał osadę na dłuższy czas, osnuwała go mgła zapomnienia. Rodzinne kontakty urywały się na całe lata, dopóki maluchy nie podrosły na tyle, by mogły spędzać

tu wakacje. Przybywające w odwiedziny dorosłe dzieci i ich potomstwo przyjmowano z otwartymi ramionami, ale już parę dni po wyjeździe były wymazywane z rozmów i wspomnień. Aż do kolejnej wizyty. Colin powątpiewał, czy małżonkowie rzeczywiście całkowicie omijają temat swych synów, córek i wnuków. W ciszy domowego ogniska zapewne pojawiał się on nie raz, tyle że nie nadawał się na pogawędkę z sąsiadem.

Nawet żądni wrażeń młodzi traktowali miasto jako ciekawostkę, ale, broń Boże, nie sposób na życie. Wyprawa na imprezę raz na parę tygodni w zupełności zaspokajała wszelkie ich cywilizacyjne ciągoty. Wracali zmęczeni i ogłuszeni muzyką, by z ulgą powitać kojący szum lasu. Wiedzieli dobrze, że miejskiego życia posmakują aż nadto, wychowując własne potomstwo.

Za zakrętem Colin natknął się na niespodziewaną przeszkodę. Na środku gruntowej leśnej drogi leżał rozciągnięty leniwie na boku Caramel, który zawdzięczał imię swej nieopanowanej namiętności do słodczy, zwłaszcza czekoladowych batoników z karmelem. Jego brunatna sierść połyskiwała w przesączaających się przez korony drzew promieniach jesiennego słońca.

Kiedy Colin wyhamował tuż przed nim, Caramel uniósł łeb, jakby dopiero co zauważył motor. Puszysty ogon trzykrotnie uderzył ociężale o ziemię, podczas gdy bursztynowe oczy wpatrywały się przenikliwie w Colina.

- Zjeżdżaj, nie mam nastroju - rzucił Colin, na poły żartobliwie.

Podkręcił lekko gaz i silnik thunderbirda ryknął ponagląjąco.

Caramel wydał gardłowy pomruk, wolno przewrócił się na brzuch, obnażył zęby, jakby w kpiącym uśmiechu, usiadł, ziewnął szeroko i podrapał się za uchem. Wreszcie, powłócząc łapami, usunął się z drogi. Przysiadłszy na poboczu, obrzucił Colina zde gustowanym spojrzeniem.

- Nie bądź taki cwany - warknął Colin, po czym gwałtownie ruszył z miejsca.

Cholera wie, co draniowi strzeli do głowy. Szczeniak niekiedy zachowywał się nieprzewidywalnie.

Ryk motoru wypełniał uszy Colina, który nie oglądał się, ale był pewien, że Caramel za nim biegnie. Cwaniak, bez dwóch zdań. Od razu wyczuł, że Colin coś ukrywa. A niech sobie biegnie, w końcu się zmęczy i przestanie.

Colin zwolnił, żeby nie wyglądało, że przed skurczybykiem ucieka.

Po diabła się tak konspirował? Gdyby dodzwonił się do Gordona... Ale się nie dodzwonił i to zmieniało postać rzeczy. Los wyraźnie chciał, żeby Colin pojechał wyjaśnić sprawę ukradkiem. Odbił już niejedną samodzielną akcję, czemu więc także i tym razem nie miałby poradzić sobie sam? A jeśli na miejscu się okaże, że jednak potrzebuje pomocy Fisha i pozostałych, wezwie ich i tyle.

\*\*\*

Na asfalcie przyspieszył, rozkoszując się wiatrem, który szarpał jego długie włosy. Za nic nie włożyłby kasku, pęd powietrza dawał mu bowiem cudowne poczucie wolności.

Nawet ryk silnika zszedł na dalszy plan.

Siedem lat. Colin widział po sobie, jak kolosalne zmiany mogą nastąpić w tak długim czasie. Przed siedmiu laty był kipiącym gniewem gówniarzem. Nadal pamiętał zdumione spojrzenia gliniarzy, kiedy połamał masywne metalowe łóżko w celi aresztu. Uważał, że spotkała go ogromna niesprawiedliwość, roznosiła go wściekłość na cały świat i co chwila robiło mu się czerwono przed oczami na wspomnienie któregoś z uwag Nigela. Całe szczęście, że zamknęli go samego. Inaczej niechybnie wyrzadziłby komuś krzywdę.

Krążył po celi jak wściekły lew, głuchy na zaczepki i docinki innych zatrzymanych. Jeszcze trochę i wyłamałby kraty (czy jego sąsiadom nadal byłoby wówczas do śmiechu?). Usłyszał zgrzyt klucza w drzwiach na korytarzu i znane mu już kroki gliniarza oraz towarzyszące im obce, zdecydowane. Chwilę później przed celą Colina zatrzymał się potężny mężczyzna w cywilu, o surowej, nieco smętnej twarzy.

- Colin - powiedział przybysz, taksując go chłodnym spojrzeniem, które jakby przenikało każdą komórkę jego ciała. - Nazywam się Gordon, jestem bratem twojego ojca. Domyślam się, że nieczęsto o mnie opowiadał. Doszedłem do porozumienia z panem Stewartem. Nie wniesie przeciwko tobie oskarżenia. Zabieram cię stąd i będziesz się zachowywał przyzwoicie.

Colina zbił z tropu ów zimny przekaz informacji, którego ostatnie zdanie przybrało wręcz formę rozkazu.



Błyskawicznie pokrył zmieszanie kpiącym uśmiechem – żaden palant nie będzie nim komenderował!

- Bardzo ciekawe – prychnął. – Będę się zachowywał, jak mi się...

- Wystarczy. – Głos Gordona zgrzytnął autorytarnie. – Nie mam czasu ani ochoty użerać się z krnąbrnym smarkaczem. Wyjdiesz stąd ze mną posłusznie albo poinformuję pana Stewarta, że zmieniłem zdanie. Twoje życie i twoja przyszłość. Zastanów się – dodał groźnie, widząc, że Colin otwiera usta do kolejnej gniewnej odzywki – bez względu na to, jak trudny wydaje ci się proces myślenia.

W Colinie zawrzało. Co za skurwiel! Gdyby nie krata, skoczyłby draniowi do oczu. Dałby mu radę, glinie także. Zamierzał odszczeknąć Gordonowi, żeby się odpierdolił i że to jego życie, jego sprawa, ale doszedł do wniosku, że nie zaszkodziłoby najpierw wydostać się z pierdła. Zbluzgać kolesia zawsze zdąży. Dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, co może oznaczać fakt, że facio jest bratem Godfrey'a. Gniew ustąpił miejsca ciekawości.

Postanowił, że skorzysta na tej znajomości, ile będzie mógł, a później da nogę. Opierając się o doświadczenia z pierwszego kontaktu, nie oczekiwał rewelacji. Kiedy opuścili areszt, gość ani słowem nie zająknął się na temat celu podróży albo losów Mata i Emily. Po prostu kazał Colinowi wsiąść do samochodu – jedna krótka komenda – i ruszyli.

Colinowi wystarczyło cierpliwości może na pięć minut jazdy w milczeniu. Potem zażądał spotkania z rodzeństwem.

Żeby się chociaż pożegnać, do czego miał w końcu, kurwa, pierdolone prawo! Stryj uciął te pretensje równie autorytarnie, jak uczynił to wcześniej w areszcie. Dzieciaki były w drodze do ich nowego domu u wujostwa, Gordon zaś przyrzekł Nigelowi, że bratanek nigdy nie będzie szukał z nimi kontaktu.

- Odtąd nic ci do nich - oznajmił sucho Gordon.

- Nic mi do nich?! Kurwa mać, zatrzymaj ten...!!!

- Zachowujesz się jak wściekły pies - powiedział spokojnie stryj. - Opanuj się, dla własnego dobra.

Wydawałoby się, że trudno o bardziej niewinną groźbę, niemniej coś w głosie Gordona usadziło Colina. Zamilkł, kładąc uszy po sobie. Wściekał się na siebie za uległość, choć w duchu przyznawał, że mimowolnie podziwia tego faceta. Godfrey zawsze tylko skamlał albo wrzeszczał, podczas gdy Gordonowi wystarczyło kilka cicho wypowiedzianych słów, żeby uzyskać posłuch. Colin zdecydował więc, że da mu szansę.

Wbrew postanowieniu zapewne szybko by stryja skreślił, gdyby Gordon odnosił się do niego identycznie jak pierwszego dnia ich znajomości. Lider był jednak w porządku - pod warunkiem, że bratanek przestrzegał reguł.

Colin uśmiechnął się gorzko do wspomnień. Psiakrew, ale był z niego wtedy agresywny gnojek. Gdyby dziś spotkał tamtego chłopaka, nieźle by mu dokopał. Cierpliwość i wytrwałość stryja zasługiwały na najwyższy podziw, zwłaszcza w zestawieniu z faktem, iż większość mieszkańców osady uznała Colina za przypadek

beznadziejny - właśnie za wściekłego psa, którego pozostaje już tylko uśpić. Gordon zaiste wykazał wiele poświęcenia, żeby go wyprowadzić na ludzi. Colin nieraz się zastanawiał, co legło u podstaw ogromnego zaangażowania stryja. Brak własnych dzieci? A może poczucie winy, że wcześniej nie odebrał bratanka Godfreyowi? Niewątpliwie w grę wchodziła także pozycja lidera, porażka bowiem poważnie nadszarpnęłaby autorytet Gordona - cóż byłby wart przywódca niepotrafiący zapanować nad jednym szczeniakiem.

Tak, nic dziwnego, że Mat nie cierpiał dawnego Colina. Do tego stopnia, że zawiadomił gliny. Te niekontrolowane napady szału... Przy Emily Colin potrafił się pohamować; zapewne dlatego, że była taka mała, bezbronna i niewinna, budziła w nim opiekuńcze instynkty. Natomiast Mat, wiecznie stający okoniem smarkacz, działał na niego jak czerwona płachta na byka. Czasami Colin miał chęć rozszarpać go za tę krnąbrność.

Ile z owych nie najlepszych braterskich relacji Mat zapamiętał? Kiedy widzieli się po raz ostatni, miał jedenaście lat, czyli nie tak znowu mało. Teraz osiągnął ówczesny wiek Colina. Czy okaże się równie rąbnięty jak osiemnastoletni Colin? W Nigelu kipiało tyle nienawiści, że wydawało się niemożliwe, by nic z tego nie skapnęło na chłopaka. Colin zacisnął zęby. Drań nawet nie pozwolił mu pożegnać się z dziećmi!

Wspaniały obraz brata zachowało w pamięci rodzeństwo Colina, nie ma co! Skuty kajdankami, rozciągnięty na

masce policyjnego wozu, przyglądał się tępo, jak ich zabierają. Mat wsiadł sam, nawet nie spojrzawszy na Colina, a Emily płakała i wyciągała do niego rączki. Potem gliniarz zatrzasnął drzwi.

Zdrada Mata w jakiś sposób obezwładniła Colina; inaczej niechybnie wyrwałby się i walczył. Całe szczęście, że zabrakło mu woli działania. W przeciwnym razie niewątpliwie zabiłby kogoś w zaślepieniu, skazując się na los wiecznego uciekiniera.

Tamtego dnia widział ich po raz ostatni. Wolałby, żeby zapamiętali go w innej, nie tak dla niego poniżającej scenerii. Czemu, do cholery, Nigel odmówił mu możliwości przeproszenia obojga, zapewnienia, że wiele dla niego znaczą i zawsze będzie o nich pamiętał? Pierdolony Nigel!

Krew pulsowała Colinowi w skroniach. Odetchnął głęboko. Psiakrew, niby się zmienił, od tamtego wściekłego gówniarza dzieliły go setki mil, a mimo to na samo wspomnienie Stewarta wyrastały mu pazury. Co zamierzał tą metodą osiągnąć? Kiedy już dotrze na miejsce, będzie musiał przekonać Nigela i Noreen, że stał się zrównoważonym młodym człowiekiem o ustalonych życiowych celach i priorytetach, a jego skłonność do szalonych wyczynów dawno odeszła w niepamięć. Że w żaden sposób nie zagraża rodzeństwu, nie porwie dzieciaków ani nie sprowadzi na złą drogę. Cholernie trudne zadanie. Wynajdując powody, by nienawidzić Nigela, Colin bynajmniej nie ułatwiał sobie sprawy. Dodał gazu, delektując się prędkością. Oby Mat nie przypominał

tamtego Colina - wściekłego gnojka. Niech sobie będzie zbuntowany, ale w granicach normy, jak typowy nastolatek u progu dorosłości. Niestety, przypuszczalnie były to pobożne życzenia - chyba że jednak nastąpił nieprawdopodobny zbieg okoliczności i w pobliżu miasteczka zaatakował niedźwiedź. Chociaż... Winę mógł też ponosić obserwator, bo przecież Gordon na pewno jakiegoś dzieciakom przydzielił.

Cóż, gdyby Colin chciał, wysnułby jeszcze kilka innych równie wiarygodnych przypuszczeń, niemniej na tym etapie hipotezy nie tylko niczemu nie służyły, ale wręcz groziły zakłóceniem przebiegu śledztwa, jeśliby zaczął naginać do nich fakty. Musiał się wstrzymać z wyrabianiem sobie opinii do czasu przybycia na miejsce zdarzenia.

Wrócił do wspomnień, tym razem miłszych, bo dotyczących pierwszych miesięcy pod okiem Gordona i odkrywania nowego świata.

- Zapomnij słowa ojca - zalecił stryj, nim jeszcze dotarli do osady. - Wyczyść umysł. To prostsze niż odkręcanie każdej z chorych teorii, jakimi cię naszpikował. Jeśli...

- Nawet cię nie interesuje, jakie konkretnie...

- Teraz ja mówię, Colin - upomniał go spokojnie Gordon.

- Jestem otwarty na wszelkie twoje rzeczowe uwagi, argumenty oraz pytania, ale życzę sobie, żebyś zawsze najpierw wysłuchał tego, co mam ci do powiedzenia. A kpiący ton zachowaj na inne okazje.

- Spoko - mruknął Colin.

Zamierzał odpowiedzieć kpiącym tonem, lecz odzywka

nie zabrzmiała całkiem po jego myśli.

- Jeśli coś, co usłyszałeś od Godfrey'a, nie będzie dawało ci spokoju, wtedy oczywiście pytaj. Generalnie jednak załóż, że zaczynasz od zera. Każdą informację traktuj jak nową dla siebie prawdę i zastępuj nią teorie ojca, zamiast ją z nimi porównywać. Inaczej wszystko ci się pomiesza.

Spędzili wtedy w podróży kilkanaście dni. Gordon oznajmił, że będą się nawzajem docierać, lecz w rzeczywistości jedynie on docierał, a raczej temperował bratanka. Przede wszystkim zaś oceniał, czy Colin ma szansę wyjść na ludzi i czy można go bezpiecznie wprowadzić do osady.

Patrząc na to z perspektywy czasu, Colin dziwił się, że przeszedł test. Stryj musiał być ogromnie zdeterminowany.

Lało, kiedy dojechali na miejsce. Wokół nie było widać żywej duszy, Colinowi wydawało się więc, że trafił na całkowite odludzie. Zatrzymali się przed domem, tym, w którym teraz mieszkali, i w strugach deszczu przebiegli do drzwi.

Gordon oprowadził Colina po pokojach, przydzielił mu jeden i wreszcie zostawił samego.

Colin cisnął mokry worek na łóżko, odkładając rozpakowanie go na później. Niewiele ze sobą przywiózł - trochę ubrań, parę płyt i mały odtwarzacz.

Wyjrzał przez okno, szacując możliwości ucieczki. Jego pokój znajdował się na parterze, a w oknie nie zamontowano krat. Zaledwie kilka kroków dzieliło Colina od najbliższych drzew gęstego lasu. Bułka z masłem. Nie

musiał się spieszyć.

Poszedł do salonu, żeby zapytać o coś stryja, a tam już czekali oni – tłumek pachnący deszczem. Na podłodze u ich stóp z wolna formowały się kałuże. Colin zamarł w progu.

- Przedstawiam wam Colina - rzekł Gordon.

Niewątpliwie osoba Colina nie była im obca, wiedzieli o jego przeszłości, zwłaszcza o rodzicach, więcej niż on sam. Witali się z nim chłodno, każdy się przedstawiał (Colin większości imion nie zapamiętał) i prezentował funkcję, jaką pełni w osadzie. Nikomu nie wymknęło się żadne „słyszałem o tobie”, „dobrze znałem twojego ojca” lub „pamiętam cię takiego maleńkiego”, niemniej właśnie te słowa kryły się za skąpymi wypowiedziami. To wystarczyło Colinowi, by zechciał pozostać tam przez jakiś czas.

Dodał gazu, poirytowany i zarazem rozbawiony przywołanym z przeszłości obrazem siebie, tkwiącego jak ciele przed zgrupowaniem mieszkańców.

Wyraabiali sobie na jego temat opinię, a Colin oczywiście nie stanął na wysokości zadania. Poczul się jak cholerny dziwoląg i w samoobronie przyjął kpiący ton, przed którym przestrzegał go stryj. Obraził parę osób, zwłaszcza swoich rówieśników, odniósł bowiem wrażenie, że nim gardzą, ponieważ wychował się poza osadą. Nie wiedział wówczas, że sami dopiero co wrócili do niej po latach nauki w mieście.

W gruncie rzeczy wściekłość Colina – choć wtedy sobie tego nie uświadamiał – wynikała z samego faktu istnienia rówieśników, bo to oznaczało, że jego ojciec był

pierdolonym kłamcą. To, co oni uznawali za oczywiste, dla Colina stanowiło szokującą nowość, tak że wydał się sobie wręcz zacofany w rozwoju.

\*\*\*

Na nocleg Colin zatrzymał się pod gołym niebem. Nie groziło mu, że zmarznie, a im mniej osób go zapamięta, tym lepiej. Należy zostawiać jak najmniej śladów. Ukrył motor w krzakach i umościł sobie na mchu umiarkowanie wygodne legowisko. Teraz musiał tylko zatroszczyć się o jedzenie.

Gordon dał bratankowi tydzień na oswojenie się z nowym miejscem. Po wykonaniu kilku niezbyt czasochłonnych prac domowych Colin mógł swobodnie włóczyć się po osadzie. Z tej opcji skorzystał raz. Przeszedł się między chatami, burkliwie odpowiadając na pozdrowienia. Miał wrażenie, że za jego plecami każdy stroi miny i rzuca nieprzychylnie komentarze. W kolejne dni po prostu zaszywał się w pokoju. Padał na łóżko, zakładał na uszy słuchawki i nastawiał odtwarzacz na pełny regulator.

- Nie wierzę, że to ci sprawia przyjemność - powiedział Gordon, wskazując odtwarzacz, który Colin chwilę wcześniej niechętnie wyłączył. - Chodź, poznasz bliżej parę osób ze straży. Kojarzysz Rogera? Przedstawił ci się jako przywódca straży.

- Po co przyszli? Przyjrzą mi się, żeby łatwiej im było mnie ścigać? - Stryj zmrużył oczy.

- Pojąłeś już chyba, że tutaj każdy pełni jakąś funkcję. Pochodzisz z rodu wojowników, dlatego widziałbym cię w



roli strażnika. Czy się do tego zajęcia nadajesz, będę w stanie ocenić po półrocznym szkoleniu. – Ton głosu Gordona sugerował zarówno wiarę w możliwości Colina, jak i powątpiewanie w jego dobrą wolę. – Nie ukrywam, że wolałbym, żebyś się nadawał.

Wtedy Colin poznał Fisha i pozostałych, z wyjątkiem Seana, który kończył jeszcze szkołę średnią i w osadzie miał się pojawić w następnym roku.

Fish, o pięć lat starszy od Colina, mógł się już wtedy pochwalić nie tylko stażem w straży, ale nawet kilkoma znaczącymi sukcesami. Kreowano go na kolejnego przywódcę, następcę Rogera, kiedy ten ostatni dołączy do żony i trójki dzieci, od niedawna mieszkających poza osadą. Colin znieubił gościa od pierwszego wejrzenia. Prymusik, szlag by go trafił.

Reszta młodych członków straży dopiero co przeszła wstępne szkolenie lub (Ada i Rose) właśnie je rozpoczęła, Colin nie popadał więc przy nich w nadmierne kompleksy.

Roger zwlekał z odejściem, chcąc najpierw zakończyć edukację następców. Wraz z dotychczasowym przywódcą straż mieli opuścić także jej starsi członkowie. Na wielu czekały w miastach rodziny lub ich dzieci zbliżały się do wieku przedszkolnego, jednak nawet ci, którzy teoretycznie mogliby zachować stanowiska, mieli zostać przesunięci do innych zajęć. W straży preferuje się pełną wymianę pokoleniową, żeby młody lider nie miał kłopotów z uzyskaniem posłuchu wśród weteranów, górujących nad nim doświadczeniem i pamiętających pierwsze stawiane

przez niego kroki.

- Wybij to sobie z głowy - mruknął Gordon, kiedy wracali z pierwszego spotkania ze strażą.

- Niby co?

- Że zostaniesz ich liderem. Funkcję przeznaczono dla Fisha i nie wątpię, że okaże się doskonałym przywódcą. Od początku szkolenia młodzieży wpaja się posłuch przede wszystkim wobec niego. Oczywiście, na razie Fish podlega Rogerowi, jednak nad młodymi ma w zasadzie wyłączną władzę. Szanują go i już się oswoili z myślą o jego przywództwie, więc nawet gdybyś się do tej roli nadawał, forsowanie twojej kandydatury przyniosłoby więcej szkody niż pożytku. Poza tym widzę ciebie nie jako członka, ale raczej współpracownika straży. Otrzymasz trochę odmienne zadania, pozostające obecnie w mojej gestii. Predyspozycje posiadasz, o tym zaś, czy można ci powierzyć te zadania, zadecyduję później. Zaakceptuj przywództwo Fisha. On będzie odpowiadać za grupę. Masz słuchać jego poleceń także jako współpracownik straży. Mimo że jestem liderem, to kiedy pomagam straży, Roger rozkazuje mnie, a nie odwrotnie.

Perspektywa podporządkowania się Fishowi ani trochę nie przypadła Colinowi do gustu, czego też specjalnie nie ukrywał. A że reszta stała murem za młodym przywódcą, relacje Colina ze strażą początkowo nie układały się najlepiej. Gordon zabierał go niekiedy na prywatne sesje, oficjalnie w celu przekazania mu wiedzy, która strażnikom do niczego się nie przyda. I owszem, szkolił wtedy

bratanka, ale głównie chodziło o odizolowanie go od pozostałych. Czynił tak zawsze, ilekroć realna stawała się groźba poważniejszego starcia.

Colin musiał się wiele nauczyć, zanim zyskał akceptację zespołu. Zanim zrozumiał, że buntowniczą postawą bynajmniej nie zdobywa ich uznania, ale jedynie naraża na fiasko każdą operację. I zanim docenił ich przyjaźń, znaczenie przyjaźni w ogóle.

Asfalt uciekał spod kół. Wiatr smagał twarz Colina, wyciskając mu łzy z oczu. Docenił przyjaźń, cholera, dobre sobie. Właśnie ich okłamywał. Siebie nawzajem członkowie straży nie okłamywali nigdy.

# CZWARTEK

Do miasteczka wjechał kilka minut przed pierwszą. Wokół panowała senna atmosfera, jako że letni sezon turystyczny minął, a zimowy jeszcze się nie zaczął. Nieliczni przyjezdni pstrykali zdjęcia i kursowali po sklepach z pamiątkami i restauracyjkach. W październiku w te okolice przybywali głównie amatorzy polowania, ci zaś gardzą miejskimi rozrywkami.

Miasteczko żyło głównie z turystyki, ponieważ znajdowało się w tej szczęśliwej sytuacji, że w zasadzie o każdej porze roku miało coś do zaoferowania. Latem ludzi nęciło urokliwe jezioro z piękną plażą i bogatą ofertą rejsów widokowych, pole golfowe, jazda konna, liczne imprezy plenerowe, górskie wspinaczki i wyprawy na łono natury w wersji dla mniej wysportowanych. Zimą zjeżdżali się miłośnicy białego szaleństwa, wiosna była wymarzonym czasem dla wędkarzy, jesienią natomiast rozpoczynał się sezon na grubą zwierzynę. Jeśli uwzględnić zabytkową i stylizowaną architekturę, która sama w sobie stanowiła atrakcję, a także czyste ulice, zadbane chodniki i fasady domów, można było uznać miasteczko za bardzo przyjemne miejsce na odpoczynek.

Tak, Colin doskonale znał te okolice, jako że za pośrednictwem Internetu spędził tu niejedną godzinę. Szczegóły otoczenia zarejestrował jednak mimochodem,

uderzyło go bowiem coś innego.

Zesztywniał. Dwie... trzy, cztery... pięć charakterystycznych woni. Węszył chwilę dla pewności. Pięć, nie inaczej. Niech to szlag, niemożliwe! Pięć zaskoczyło go tylko w tym jednym, przypadkowym miejscu, a w całym miasteczku prawdopodobnie natknie się na więcej.

A nie spodziewał się zastać nawet jednej, gdyż podana w artykule data śmierci Hammera sugerowała innego winowajcę. Po raz kolejny wciągnął nosem powietrze. Do diabła, nie było mowy o pomyłce: intensywność nut zapachowych wskazywała na nocną aktywność całej piątki. Coś takiego się nie zdarzało... Choć kiedyś słyszał o jednym wyjątku.

Ani trochę mu się te rewelacje nie spodobały. Przebywał w miasteczku zaledwie od paru minut i już zyskał pewność, że chodzi o coś znacznie poważniejszego, niż zakładał, a sprawa przerasta jego siły.

Odnotował też chyba jedyny, za to ważny pozytywny aspekt dokonanego właśnie odkrycia: mógł postawić Mata poza kręgiem podejrzeń. Kandydatów na zabójcę Hammera znajdzie się tutaj bez liku.

Zdawał sobie sprawę, że powinien natychmiast poinformować o wszystkim Gordona lub Kenta, a przynajmniej wezwać Fisha. Liczyła się każda minuta. Nawet w najbanalniejszych przypadkach straż stara się interweniować błyskawicznie, a tutaj, choćby jego pierwsze wrażenie okazało się mocno przesadzone, Colin natknął się

na niespotykane zagrożenie dla społeczności.

Czy Gordon rzeczywiście o niczym nie wiedział? Oddelegowany do Emily i Mata obserwator musiał przecież zauważyć, że dzieje się coś dziwnego. Hammer zginął w nocy z soboty na niedzielę, zatem nietypowe symptomy pojawiły się w okolicy prawdopodobnie co najmniej przed pięcioma dniami.

Niewykluczone, że Gordon przysłał tu ekipę do zadań specjalnych - o ile taka jednostka w ogóle istniała. Logicznie rzecz biorąc, powinna istnieć, społeczność bowiem zorganizowano na wzór państwa, państwo zaś, oprócz policji, której odpowiednik stanowi straż, dysponuje również tajnymi grupami działających na granicy prawa zawodowców. Colin mógł jednak co najwyżej snuć domysły, gdyż od stryja nigdy o takim zespole nie usłyszał. Gordonowi przez lata wymknęło się jedynie słówko czy dwa na temat wiedzy, jaką posiadzie podopieczny, kiedy spełni odpowiednie warunki i dostatecznie się wykaże. Wkurzające. Jak długo jeszcze Colin miał się wykazywać? Pokręcił głową. Właśnie przez tę swoją złość nie dostąpił dotąd pełnego wtajemniczenia.

Powęszył, usiłując odkryć trop ekipy, ale bez skutku. Albo jeszcze tu nie dotarła, albo żaden z jej członków nie przechodził w pobliżu. Możliwe też, że po prostu doskonale się maskowali. Ostatnie wyjaśnienie wydało się Colinowi najbardziej prawdopodobne, jako że tajne komórki z pewnością dysponują stosownymi umiejętnościami. Poczekaj, a w końcu na siebie wpadną.

Porzucił pomysł, by natychmiast skontaktować się ze stryjem. Jeśli Emily i Mat znaleźli się w niebezpieczeństwie, Gordon powinien był o tym bratankowi powiedzieć – ale nie, on wolał zachować informacje dla siebie. Colin zmrużył gniewnie oczy. Drań!

Postanowił, że zagadnieniem nietypowych woni zajmie się później. Na razie zaś, zgodnie z pierwotnym planem, złoży wizytę Stewartom. W tak małej miejscinie jego obecność nie umknie uwagi Nigela; niewykluczone, że tutejsze gliny dysponowały zdjęciem Colina. Konspiracja nie wchodziła więc w rachubę. Colin wolał jak najszybciej odbębnić przykry obowiązek, żeby nie narażać się na zarzut potajemnych działań. Potajemnych, a zatem o nieczystych intencjach.

Zaczeplił przechodnia, pytając o dom Stewartów. Mężczyzna obrzucił Colina podejrzliwym spojrzeniem. Jasne, skórzana kurtka i motor źle się kojarzą, facet więc na pewno pomyślał o siejących spustoszenie bandach, przemierzających z rykiem silników autostrady.

- Jestem... dawnym przyjacielem rodziny. Przyjacielem Mata i Emily – wyjaśnił Colin.

Nieznajomego te słowa raczej nie przekonały, gdyż sceptyczny wyraz jego twarzy nie zmienił się ani na jotę. Strzyknął śliną. Wreszcie jednak leniwie objaśnił Colinowi drogę, uznawszy widocznie, że dziwaczny przybysz to nie jego problem. Zwłaszcza że pytał o nielubianego Stewarta.

Cholera, bez sensu, czemu ktokolwiek tutaj miałby nie lubić Nigela? Miejscowi zapewne postrzegali go jako

przeciętnie miłego faceta, członka Rady Miejskiej. Ba, nawet szanowali za zaangażowanie w rozwój miasteczka. Colin poznał gościa od najgorszej strony, dlatego też odruchowo doszukiwał się negatywnego nastawienia u innych.

Przypomniawszy sobie pierwszą wizytę wujka Nigela i ciotki Noreen. Nastąpiła dopiero, kiedy Mat skończył trzy lata, ponieważ Stewart, nie chcąc zaakceptować Godfrey'a w roli szwagra, przez długi czas wierzył, że ukochana Vivian sama przejrzy na oczy i skruszona powróci pod braterskie skrzydła. Nie doczekawszy się powrotu siostry marnotrawnej, Nigel postanowił wreszcie wziąć sprawy we własne ręce. Zapowiedział przyjazd.

Vivian traktowała odwiedziny brata jak wizytację. Pragnęła zaprezentować się od najlepszej strony. Na trzy dni przed wielkim wydarzeniem talerze leciały jej z rąk, a w domu lśniły nawet zawiąsy kuchennych szafek. Godfrey znosił napięcie jeszcze gorzej i z byle powodu wydzierał się na Colina.

Wszystko zostało dopięte na ostatni guzik, mąż i dzieci, wystrojeni, od dwóch godzin oczekiwali gości w salonie. Ale co z tego, skoro Nigel przybył z przeświadczeniem, że nic nie zmieni jego opinii o szwagrze, tym niegodnym Vivian chłystku. Ścięli się w ciągu pierwszych dziesięciu minut. O Colina.

- Temu dzieciakowi źle patrzy z oczu - zawyrokował Nigel. - Viv, jesteś pewna, że on nie bije TWOJEGO syna?

Diabli wiedzą, czy Godfrey'a bardziej wyprowadziło z



równowagi owo „twojego”, czy napaść na pierworodnego w ogóle, będąca w gruncie rzeczy zakamuflowanym atakiem na jego osobę. Stracił panowanie i od słowa do słowa wyrzucił Stewartów za drzwi.

Godfrey tak rzadko stawał w obronie syna, że w pierwszej chwili Colin, jak ostatni głupek, poczuł wobec Nigela wdzięczność. Szybko się z niej wyleczył. Kiedy Vivian ze szlochem zamknęła się w sypialni, okazało się, że to właśnie Colin jest winien zaistniałej sytuacji. Nawet w równie ważnym dniu nie mógł się kontrolować? Czy aż tak wiele się od niego oczekuje? Uśmiechu i grzecznego „dzień dobry”, niczego więcej. Ale nie, najprostsze reguły dobrego wychowania przekraczają możliwości pojmowania durnego szczeniaka. Słowa do Colina nie trafiają, trzeba mu więc pewne sprawy wbić do łba skuteczniejszymi metodami.

Słodki smak krwi w ustach uzmysłowił Colinowi, że przygryza wargę. Cholera, po co się nakręcał przeciwko Stewartowi?

Tamtego dnia uśmiechnął się i uprzejmie przywitał. Godfrey dobrze wiedział, że Nigel przyczepiłby się tak czy inaczej, jeśli nie do Colina, to do czegokolwiek. Skurwiel szukał po prostu ujścia dla złości, a starszy syn świetnie się nadawał na worek treningowy.

Potem nastąpiło jeszcze kilka wizyt, a każdą poprzedzały trudne telefoniczne negocjacje i obietnice Nigela, że tym razem z niczym nie wyskoczy. Najdłuższa trwała bodajże pięć godzin (zamiast planowanych trzech dni) – rekord, przeważnie bowiem kończyło się na paru kwadransach.

Scenariusz zawsze wyglądał podobnie: między mężczyznami wybuchała wściekła awantura o bzdurę, po czym Godfrey wywalał Nigela za drzwi, a Vivian uderzała w płacz. Winny był nieodmiennie Colin. Także wtedy, gdy nie wyściubiał nosa z pokoju - wówczas zarzucono mu, że zachował się niegrzecznie, nie zszedłszy się przywitać.

\*\*\*

Zatrzymał motor przy końcu uliczki, przed piętrowym żółtym domem o lśniących czystością białą obramowanych oknach, z wysuniętym garażem na dwa samochody. Świeża woń farby informowała, że całość odmalowano tego lata. Od frontu rozciągał się wypielegnowany trawnik ze strzelistą tują i kompozycją niższych zimozielonych krzewów o barwach od żółtej, przez rozmaite odcienie zieleni, po stalowoniebieską. Z tyłu Colin dostrzegł ogród, na oko spory, graniczący z lasem - to było wygodne, choć w gruncie rzeczy bez znaczenia, gdyż nie wyczuwał woni, jaką obawiał się tu zastać. Emily i Mat. Ich nuty zapachowe zmieniły się nieco, ale po siedmiu latach nie było w tym zjawisku nic dziwnego. Colin odetchnął z ulgą.

Normalność, marzenie Godfrey'a. Drań pragnął mieszkać w zadbanym domu i chodzić do miłych sąsiadów na grilla, gdzie z dumą opowiadałby o swych sukcesach w pracy albo dyskutował o ostatnich futbolowych rozgrywkach.

Jego niczego nieświadome dzieci uczęszczałyby do szkoły wraz z tłumem rówieśników, przekonane, że ich największym życiowym problemem jest durny nauczyciel

matematyki.

Godfrey wierzył, że odnalazł ową normalność dzięki Vivian. Świadczyła o tym serweta dobrana do obicia kanapy, współgrające z dywanem tapety, dziesiątki kuchennych sprzętów i wszechobecny porządek, od równo ułożonych butów w hallu po lśniące kurki łazienkowych baterii. Jadał smaczne posiłki w rodzinnym gronie, a gdy wieczorem przyjemnie zmęczony wracał z pracy, mógł zawsze liczyć na ciepłe powitanie stęsknionej małżonki. Budował tę swoją iluzję starannie, kadr po kadrze. Miała trwać wiecznie.

Jeden Colin nie wpasowywał się w misterną układankę, był niczym czarne pociągnięcie pędzla na pastelowym obrazku. Dlaczego nie uśmiecha się przy kolacji? Zbyt wiele się od niego oczekuje? Co ma znaczyć jego ponure spojrzenie? Vivian usiłuje im stworzyć prawdziwy dom, a Colin uparcie sabotuje każdy jej wysiłek! Ustawicznie ją rani. Gdyby nie był synem Godfrey'a... Jest zatruty, chory od urodzenia! Ale bez obaw, ojciec to z niego wytrzebi. Niech tylko ponownie przyłapie syna, że patrzy na Vivian w taki sposób, a wtedy nie ręczy za siebie. Colin nie cierpi macochy, jakby ponosiła winę za to, że jego pieprzona matka woląла raczej zejść z tego świata, niż go wychować!

Godfrey tak zapamiętane wmawiał synowi negatywne nastawienie do Vivian, że momentami Colin rzeczywiście jej nienawidził, mimo całej jej serdeczności i troskliwości, mimo że broniła go przed gniewem ojca i nigdy się na niego nie skarżyła, choć w przypiływie nieukierunkowanej złości Colinowi zdarzało się zaleźć biedaczce za skórę. Była w

porządku, nawet bardziej niż w porządku, łatwiej jednak przyznać się przed sobą do nienawiści do macochy niż do rodzzonego ojca.

Vivian wkroczyła w ich życie mniej więcej rok po tym, jak we dwóch opuścili osadę. Godfrey zaczął znikać wieczorami, a kiedy wracał, przynosił ze sobą woń damskich perfum. Colin, wtedy jeszcze szczeniak, nie całkiem pojmował, co oznacza nagła zmiana ojcowskich zwyczajów. Cieszył się, że stary ma lepszy humor i rzadziej się go czepia. Aż wreszcie został poinformowany, że wkrótce pozna swoją nową matkę, po czym musiał wysłuchać długiego kazania pod tytułem „Język za zębami”.

Cholera, straszliwie bał się ojca. Pierwszego dnia i przez wiele kolejnych tygodni profilaktycznie w ogóle się nie odzywał do Vivian. A należało ją ostrzec, żeby uciekała, ratowała się. Ach, i tak by nie posłuchała – kto się przejmuje wymysłami dzieci? Godfrey omotał ją całkowicie. Bo też kobiety często czuły do niego wielki pociąg.

Co jej opowiedział o synu? Zapewne, że Colin nie potrafi się otrząsnąć po śmierci matki, sprawia trudności wychowawcze, fantazjuje, izoluje się od rzeczywistości, jest ponury i zamknięty w sobie, tak że biedny Godfrey nie wie już, co robić. Dobrze przygotował grunt pod ewentualną wpadkę Colina. Gdyby nastąpiła, odwołałby się do własnych słów: przecież uprzedzał Vivian, że dzieciak żyje w świecie wyobraźni.

Przyszła wreszcie, jasna i słodko pachnąca, a przy tym trochę przestraszona, co Colinowi pochlebiło, choć niczego

nie dał po sobie poznać. Przyniosła mu prezent – zdalnie sterowany samochód, najładniejszą zabawkę, jaką kiedykolwiek dostał. Usiłowała zaskarbić sobie jego sympatię, szczerze, gdyż mimo młodego wieku, z pewnością wyczułby fałsz. Starła się, i wtedy, i później, starła do samego końca, mimo że jej wysiłki przynosiły marne efekty.

Traktowała Colina na równi z własnymi dziećmi. On, i tylko on, odpowiadał za wszelkie problemy w ich wzajemnych relacjach.

Początkowo Colin żywił wobec Vivian niechętną wdzięczność, ponieważ pod wpływem żony Godfrey złagodniał, a on sam zyskał dzięki temu parę lat umiarkowanego spokoju. Nie nazwałby tamtego okresu sielanką, jednak w porównaniu z pierwszymi miesiącami po opuszczeniu osady wydawał się niemalże rajem na ziemi. Z czasem jednak znowu draniowi odbiło, krótko po narodzinach Mata, zanim jeszcze w ich życiu pojawił się Nigel Stewart ze swoimi wykładami i pretensjami. A Colin w głębi duszy miał żal do Vivian, że znudziła się mężowi. Jak śmiała? Powinna była się bardziej wysilić.

Dopiero z perspektywy czasu Colin zrozumiał przyczynę wybuchów Godfreya. Podobnie jak jego własne napady agresji, wynikały one z tłumienia wrodzonych instynktów, przeciwko czemu buntowała się natura ojca. Godfrey nie chciał wyładowywać wściekłości na idealnej żonie i idealnych dzieciach z drugiego małżeństwa, doskonale natomiast nadawał się do tego skażony i przeklęty pierworodny. Samym swoim widokiem Colin przypominał

ojcu, że iluzja nie wygra w starciu z faktami.

Zły na siebie postawił motor na nóżkach. Urocze zadbane domki nieodmiennie przywoływały przykre wspomnienia, ale, do cholery, Colin nie musiał za każdym razem poddawać się ich zgubnemu wpływowi. Czekąco go ważne, nieprzyjemne zadanie i na nim powinien się skoncentrować.

Zapukał. Stawiane z wyczuwalnym wahaniem kroki zamarły po drugiej stronie drzwi. Długo mitrężył na podjeździe, Noreen więc zdążyła się zorientować, kto przybył.

Dochodziło dopiero wpół do drugiej, zatem Mat i Emily nie wrócili jeszcze ze szkoły. Dobrze, bo Colin wolał najpierw przekonać do siebie panią Stewart. A jeśli się przeliczył, jeśli Noreen nie wpuści go do środka? Za późno, już się przecież nie wycofa.

\*\*\*

Rozległ się cichy szcęk zamka i drzwi otworzyły się powoli. Colinowi dopisało szczęście, gdyż Noreen najwyraźniej także pragnęła w spokoju ocenić zmiany, jakie w nim zaszły przez te siedem lat.

- Colin.

Kiedy Noreen przebiegła wzrokiem postać gościa, na jej twarzy odmalowała się niepewność. Jasny gwint, powinien był najpierw doprowadzić się do porządku w jakimś hotelu. Niedobrze z nim. Zamiast poświęcić uwagę bieżącym sprawom, oddawał się rozstrajającym go wspomnieniom, popełniając błąd za błędem. W końcu któryś okaże się

tragiczny w skutkach.

- Dzień dobry, pani Stewart. Przepraszam za wygląd, dopiero co przyjechałem...

- Jechałeś na tym motorze aż z... Mieszkacie gdzieś nad Zatoką Hudsona?

W odpowiedzi tylko pokiwał głową, ponieważ nie wiedział, jaki adres Gordon podał swego czasu Nigelowi.

- Trzydzieści siedem godzin, nie licząc postojów. Ale taka podróż to czysta przyjemność. Choć może nie dosłownie. - Wskazał zakurzone ubranie.

Nie uśmiechnęła się.

- Spodziewałam się, że któregoś dnia do nas zajrzysz. - Westchnęła. - Mata i Emily nie ma w domu. A Nigel nie ucieszy się na twój widok.

- Pani Stewart...

- Wejdz, nie będziemy rozmawiać przez próg. - Miała taką minę, jakby się obawiała, że po zamknięciu drzwi przybysz wyciągnie rzeźnicki nóż. - Mów mi Noreen, jesteście prawie rodziną. Napijesz się kawy?

- Marzę o kawie.

W kuchni wskazała Colinowi krzesło, a sama zakrzętnęła się nerwowo przy ekspresie. Noreen była kropka w kropkę taka, jaką ją zapamiętał - mieszanka aromatu mydła, proszku do prania i kuchennych zapachów, okraszona delikatną nutką dobrych perfum. Przywodziła mu na myśl ciepło domowego ogniska, napawała spokojem i wzbudzała sympatię. Z wyglądu także niewiele się zmieniła - przytyła nieco i miała nalaną twarz. Z pani pustego domu

przemieniła się w matkę, co Colin wyczytał w jej oczach. W osobach Emily i Mata ziściły się jej marzenia.

Rozłożył na czynniki pierwsze pozostałe otaczające go zapachy. Nie znalazłszy nic podejrzanego, odprężył się.

Nie spodziewał się, że Noreen zareaguje na niego tak spokojnie.

Czemu się dziwił? Przecież miał w niej zawsze cichego sprzymierzeńca - nie szczędziła mu serdecznych uśmiechów ani słów pocieszenia. Zdobywała się na te gesty... no właśnie, po cichu, ukradkiem, żeby ich nie zauważył mąż. W pamięci Colina utrwaliły się więc głównie przykre komentarze Stewarta. Każde wspomnienie związane z Noreen wiodło wprost do Nigela.

- Wspaniała kawa - pochwalił szczerze.
- Emily przez dwa lata się o ciebie dopytywała.
- Stryj obiecał... tak mi powiedział... że umówili się z panem Stewartem...
- Jednak przyjechałeś.
- No... tak, ale odjadę.

Sam sobie przeczył, psiakrew. Nie przemyślał argumentów, którymi mógłby uzasadnić złamanie danego przez Gordona słowa. Nagła eksplozja braterskich uczuć? Mało wiarygodne.

- Colin... Cokolwiek twój stryj uzgodnił z Nigelem... ty nie podpisałeś cyrografu. Nie powinni byli czynić tego rodzaju ustaleń za twoimi plecami. Chociaż...

- ...byłem nieobliczalny. Nie obawiaj się, nie zamierzam ich znowu porywać - zażartował.



Znów nie trafił – na twarzy Noreen nie zagościł nawet cień uśmiechu. Przyglądała się Colinowi badawczo. Cisza stawała się coraz bardziej niezręczna.

– Może chcesz się wykąpać? – zapytała nagle, po czym umilkła stropiona.

– Dziękuję, wynajmę pokój w hotelu.

– Jak długo zostaniesz?

– Parę dni.

– Nigel wyjechał, wróci wieczorem, najpóźniej jutro rano. Masz pełne prawo widywać się z rodzeństwem... Och. Posłuchaj. Nie jesteś... częstym tematem rozmów w tym domu. Nie zdziw się, jeśli Emily cię nie pozna. Mówiła o tobie coraz rzadziej... aż przestała. Uważa cię chyba za wytwór własnej wyobraźni. Tęskniła za tobą. Nie wiedziałam... opowiadać jej o tobie czy pozwolić, żeby zapomniała i nie musiała pytać, czemu nie chcesz jej widzieć. Jeśli weźmie cię za obcego człowieka, nie mać jej w głowie. Rozumiesz. Pojawiasz się po siedmiu latach, przewrócisz jej świat do góry nogami, a po paru dniach znowu znikniesz, Bóg wie na jak długo. Co do Mata... jest do ciebie i ojca bardzo negatywnie nastawiony. Przygotuj się na trudną przeprawę.

Mówiąc, skubała rąbek fartucha, a wzrokiem ponaglała Colina do szybszego picia kawy. Wyraźnie żałowała, że go zaprosiła do środka – jakby wierzyła, że odprawiony z kwitkiem, rozplynie się w niebycie.

– Skąd wiesz? To znaczy, jakie jest nastawienie Mata? Skoro o mnie nie rozmawiacie... ani o ojcu, jak

podejrzewam?

- Och. Omijać temat można na różne sposoby. Mat głęboko przeżył tamto zajście, przez rok posyłał go na terapię. Miał opóźnienia w nauce. Nigel wini ciebie. Za całokształt. Niekiedy... jakby sądził, że gdybyś ich nie znalazł, tamto by się nie stało. Zrozum. Nie ujęto sprawcy, Godfrey nie żyje. Jesteś jedyną realną osobą, ku której może skierować gniew i żal. Bardzo kochał Vivian.

Colin zmrużył oczy. Jej zdaniem tyle wystarczyło za usprawiedliwienie? W gruncie rzeczy zdenerwowała go wiadomość o terapii Mata, ponieważ z intonacji Noreen wywnioskował, że w jej mniemaniu ciężkie przeżycia zafundował smarkaczowi głównie starszy brat. Wziął głęboki wdech.

- Zmieniłeś się. - Noreen patrzyła na niego z powagą. - Na to liczę. Że rozwaga i spokój nie są maską. Masz wszelkie powody nie lubić Nigela, ale proszę, postaraj się go zrozumieć. Zrozumieć jego motyw.

Kiwnął głową. Noreen go sprawdzała, Colin zaś musiał przetrwać tę próbę.

- A co u Emily i Mata... tak ogólnie? - zapytał szybko, aby tylko uciec od myśli o czekającym go spotkaniu ze Stewartem.

Noreen uśmiechnęła się, jak każda dumna matka zachęcona do pochwalenia się dziećmi. Nadała głosowi obiektywne brzmienie, zapewne chcąc zaznaczyć, że spogląda na wychowanków z dystansu, na równi dostrzegając ich zalety i wady. Na pierwszy ogień poszedł

Mat, przypadek mniej wdzięczny. Jest prawie dorosły... a właściwie nie „prawie”. Dorosły. Przy każdej okazji forsuje własne zdanie, przeważnie odmienne od opinii wujostwa, a konkretnie - od opinii Nigela.

- Dobry z niego chłopak, ale ostatnio ciągle stwarza problemy. Widzisz, Nigel od początku, to znaczy jeszcze za życia Vivian, miał wizję, jak powinny potoczyć się losy Mata. Myślę, że popełnił błąd, zbyt intensywnie mu ją narzucając. Dzieciak się zbuntował, dla zasady... choć może Nigel się myli i Mat nie nadaje się na prawnika. Chce się poświęcić ochronie przyrody. Widzę w tym rękę Carol, miła dziewczyna, ma na niego dobry wpływ, ale o te plany Nigel się złości. Och, ale odbiegłam od tematu... Prawo. Przekonuję Mata, że jedno nie wyklucza drugiego, przeciwnie, nic mu tak nie pomoże w walce o ochronę przyrody jak ukończone studia prawnicze. Usiłuję również dotrzeć do Nigela, ale on, niestety, stawia sprawę na ostrzu noża. Twierdzi, że Mat zostanie prawnikiem w Nowym Jorku albo Bostonie, i koniec dyskusji. Będzie zarabiać grube pieniądze, z czasem pomyśli o karierze politycznej...

Opowiadała nieskładnie, zacinając się i przeskakując z tematu na temat, przy czym każdy wymagał paru słów wprowadzenia. Łatwiej zdać relację z wydarzeń minionego tygodnia niż z siedmiu długich lat, a Colin bynajmniej nie pomagał gospodyni odnaleźć się w gmatwaniu informacji. Odzywał się rzadko, obawiając się, że Noreen może nagle dojść do wniosku, że zanim Colin cokolwiek od niej usłyszy, powinien najpierw uzyskać zgodę Nigela na przebywanie

pod ich dachem.

Noreen zatrzymała się na dłużej przy kwestii Carol. Miła i rozsądna dziewczyna, od dwóch lat spotyka się z Matem. I trzeba przyznać, że chłopak pod jej wpływem wydorósł, a zarazem jakby złagodniał.

- Szkoda, że ich drogi się rozejdą - westchnęła. - Mat wyjedzie na studia, już mniejsza o to na jakie, w każdym razie opuści nas prawdopodobnie na zawsze. Wiesz, kiedy sobie pomyślę, że niedługo się stąd wyprowadzi i nigdy...

Głos jej się lekko załamał, zaraz jednak zaczęła się dzielnie rozwodzić nad ciężką dolą każdego rodzica.

- Ojej, ale znowu odbiegłam... Carol jest od Mata o dwa lata młodsza, no, o rok, jeśli liczyć według roczników szkoły. Nieistotne. Zostanie w miasteczku, zresztą chyba w ogóle zakończy edukację na szkole średniej. Widzisz, jej ojciec...

Noreen skrzywiła się lekko, a następnie pożaliła Colinowi na rodziców starej daty, których zdaniem większe prawo do edukacji mają synowie niż córki.

Ojciec Carol prowadzi w miasteczku pensjonat. Hołduje zasadzie, że do przyjmowania gości studia nie są potrzebne, co może nie odbiega od prawdy, niemniej aspiracje Carol sięgają dalej niż obsługa turystów.

- Nigel jest zadowolony z tego rozstania, nie chce, by Mat zmarnował sobie życie przez zbyt wczesne zobowiązania. Jakby w dzisiejszych czasach ktokolwiek się takimi sprawami przejmował. - Noreen pokręciła głową nad naiwnością męża, lecz natychmiast wyraziła nadzieję, że Mat by się mimo wszystko przejął. Następnie Colin musiał

wysłuchać wywodu o troskach, jakich przysparza kobiecie wychowywanie chłopaka.

- Ale wracając do sprawy studiów... Mat, choć stracił rok - Noreen posłała Colinowi nerwowe spojrzenie - uczy się dobrze. No, przyzwóicie - poprawiła się. O Harvardzie chłopak nie ma co marzyć, powinni go jednak przyjąć na niezły uniwersytet. Problem w tym, że z Matem nie sposób o studiach porozmawiać. Wszelkie próby ucina stwierdzeniem, że sam postanowi, dokąd wysłać papiery.

- Nigel wścieka się i grozi, że nie da mu ani centa, jeśli nie wybierze prawa, na co Mat, naturalnie, odpowiada, że nie potrzebuje żadnej łaski. - Noreen znów pokręciła głową, ale szybko znalazła pocieszenie w myśli, że wielu młodych ludzi doskonale radzi sobie bez pomocy rodziców. Niektórzy uważają taką szkołę życia za wręcz wskazaną.

- No i znowu odbiegłam - upomniała samą siebie po raz chyba trzydziesty. Mat gra w kosza, co mu dość dobrze wychodzi, liczył więc na stypendium. Niestety, same umiejętności tu nie wystarczą, choć pod okiem dobrego trenera mógłby wiele osiągnąć. Mat po prostu jest za niski.

- To jego życiowa tragedia. Zapowiadał się, ho, ho, na co najmniej siedem stóp, a zatrzymał na niecałych sześciu. - Noreen zmierzyła wzrokiem siedzącego Colina. - Jesteś o głowę wyższy od niego. Uważaj, żeby ci się coś nie wypsnęło, Mat... Och, niepotrzebnie o tym wspomniałam... - Urwała, po czym zmieniła temat: - Ale opowiadałam o finansowaniu studiów, właśnie. Nie wątpię w zaradność Mata. Widzisz, w wakacje dorabia, obsługując turystów u

Joego Bluebella. Rejsy widokowe. Może zauważyłeś takie stateczki z czerwonym i żółtym pasem? Wprawdzie jest po sezonie...

Colin pokręcił głową, ale chyba tego nie spostrzegła. Wróciła już do kwestii zarobków Mata. Chłopak potrafi być sympatyczny, więc zapewne dostaje pokaźne napiwki, a Noreen nie odnotowała, żeby sporo wydawał. Wynikałoby z tego, że odkłada na studia, przy czym niezawodnie dodaje mu animuszu myśl, że robi wujowi na złość. Z napiwków co prawda wiele nie uskłada, ale na pierwsze miesiące powinno mu wystarczyć.

- Chociaż, kto tam wie, czym się zajmują z kolegami. - Noreen ściągnęła brwi. - W dobie Internetu i tej, jak jej tam, globalnej wioski, młodzież, nawet w miasteczku tak spokojnym, jak nasze, trudno upilnować...

Kiedy tak rozwodziła się nad zagrożeniami, jakie czyhają na młodzież we współczesnym świecie, Colin przyłapał się na tym, że wbrew woli znowu odpływa we wspomnienia.

Zmęczona, ale szczęśliwa Vivian, Godfrey - wręcz rozanielony, bo wreszcie pojawił się na świecie upragniony nieskażony potomek, czysty i niewinny jak jego matka. Skupiony na niemowlęciu ojciec na kilka cudownych tygodni zostawił starszego syna w spokoju, Colinowi powinien być zatem pasować taki stan rzeczy. Cóż, kiedy spokój szybko przestał mu wystarczać. Irracjonalnie wmawiał sobie, że brat zajął należne mu miejsce w sercu rodzica. Dopiero później, kiedy Godfrey zaczął znów zauważać pierworodnego, Colin zatęsknił za ojcowską

obojętnością.

Mat wyczuwał, że zajmuje w rodzinie uprzywilejowaną pozycję. Od niemowlęctwa terroryzował otoczenie wrzaskami, dążąc do postawienia na swoim w każdej sytuacji, z zapamiętaniem tym większym, im usilniej przekonywało się go do czegoś przeciwnego. Godfrey jedynie udawał surowość, w istocie bowiem przekora młodszego syna współgrała z jego teoriami i nadziejami. Colina z kolei doprowadzała do szału: smarkacz miał się słuchać starszego brata, a jak nie, nogi mu z dupy powyrywa. Lecz w głębi duszy zdawał sobie sprawę, że jest po prostu o malca zazdrosny.

Godfrey nie lubił, kiedy synowie spędzali czas razem. Wręcz odganiał Colina od brata. Pracował jednak na utrzymanie rodziny, więc przez większą część dnia chłopcy znajdowali się pod opieką niewtajemniczonej Vivian. Czemu nie miałyby poprosić pasierba o przypilnowanie brata? Po powrocie ze szkoły Colin i tak zwykle nie miewał planów na popołudnie.

Colina nachodziła czasem chęć, żeby sprowokować Mata do jakiegoś niebezpiecznego postępu. Zdarzyłyby się wypadek i szczeniaki wreszcie znikłyby z jego życia. Ganił się za takie myśli i tym mocniej przykładał do pilnowania brata, zakazując mu zabaw choćby minimalnie niebezpiecznych. To kończyło się wrzaskiem i kłótniami, Mat bowiem nie uznawał zakazów.

- Ty na to drzewo włąziłeś! - krzyczał ośmioletni Mat. - Widziałem, widziałem, widziałem! Powiem tacie! Powiem,

zobaczysz! Będzie zły na ciebie, nie na mnie! Zobaczysz!

- Nie włożyłem, do cholery! Schodź w tej chwili, bo ci nogi z dupy powyrywam, gówniarzu pierdolony! - wściekał się Colin.

Przegapił moment, kiedy brat podbiegł do pnia i pokonał dwie niższe kondygnacje gałęzi. Potem nie dało się już złapać smarkacza za kostkę i ściągnąć, w każdym razie nie bez ryzyka.

- Złamiesz coś sobie! Złaż, do cholery!

- Włożyłeś! I jeszcze kłamiesz! I przeklinasz! Potrafię zrobić to samo co ty! Wszystko tak samo jak ty! Albo lepiej! Uczę się lepiej! Tato mówi, że z ciebie nic nie będzie! Do niczego w życiu nie dojdiesz! - wykrzykiwał Mat, z wściekłym samozaparciem kontynuując wspinaczkę.

Colinowi poczerwieniało przed oczami. Zapragnął, żeby gałąź się pod gnojem złamała. Wówczas szczeniak dostałby za swoje.

I po chwili się złamała. Chłopiec zleciał z hukiem, a Colin zamiast satysfakcji poczuł paniczny strach. Nie wiedział jedynie, czy to strach o Mata, czy też boi się czekających go konsekwencji, jeśli smarkaczowi stała się krzywda.

Skończyło się na złamanej nodze. Zgodnie z przewidywaniami, Godfrey się wściekł, a Colin słono zapłacił za chwilę nieuwagi. Mat go tylko dodatkowo pogroził, twierdząc, że wspinaczkę na drzewo wymyślił brat. On nie chciał na nie wchodzić, ale został wyzwany od tchórzy.

Pozytywny w całej sprawie okazał się fakt, że noga



zrastała się normalnie, to znaczy ani trochę szybciej niż w przypadkach tego typu złamań u przeciętnych ośmiolatek. Godfreyowi na kilka tygodni poprawił się humor, dzięki czemu mniej się czepiał Colina. Mata natomiast ów wypadek niczego nie nauczył. Z roku na rok stawał się coraz bardziej uparty i kłótniwy.

Cholera, Colin liczył, że smarkacz z wiekiem się utemperował, a tymczasem z opowiadania Noreen wynikało, że jako jedenastolatek Mat był przesłodkim, grzecznym chłopaczkiem, różki zaś wyrosły mu dopiero niedawno.

\*\*\*

Colina ogarnęła irytacja. Noreen rozgadywała się coraz bardziej, za chwilę więc znowu najdzie go jakieś przykre wspomnienie.

- A Emily? - zapytał, kiedy jego rozmówczyni nabierała tchu.

- Ach, Emily! - rozczuliła się Noreen. - Jak zawsze przeurocza. Kochane dziecko, aniołek po prostu. Zdaniem Nigela wykapaną Vivian.

Owszem, podobieństwo dało się zauważyć już przed laty, tak z wyglądu, jak i z charakteru. Emily, ze swoją śliczną, wiecznie uśmiechniętą buzią, okoloną kasztanowymi lokami, przypominała miniaturkę matki. Wystarczyło, że weszła do pokoju, a wszystkim poprawiał się nastrój. Nie sposób było się na nią złościć, nie dostarczała zresztą po temu powodów. To raczej Colin czuł się przy niej jak ostatni

łobuz.

Noreen pochwaliła się Colinowi świetnymi wynikami, jakie mała osiąga w szkole, także i pod tym względem wykazując podobieństwo do Vivian. Zaraz jednak na czole gospodyni pojawiła się pionowa zmarszczka. Emily jest, naturalnie, powszechnie lubiana, niemniej Noreen jej relacje z dziećmi wydają się nieco zbyt powierzchowne, jakby wysilone.

- Ma tylko jednego przyjaciela - poskarżyła się Colinowi.  
- Moim zdaniem dziewczynka w tym wieku powinna spędzać więcej czasu z rówieśniczkami, chichotać, stroić się... Czasem sobie myślę, że może coś się zdarzyło, na przykład koleżanki wyrzuciły jej w szkole jakąś przykrość. Ale z Emily trudno cokolwiek wyciągnąć. Jest taka skryta. Nigel twierdzi, że przesadzam, albo wręcz że sobie to ubzdurałam. No, ale jakie mężczyźni mają pojęcie o dziesięciolatkach? Może tobie...

Zagalopowała się. Nie chciała przecież, żeby Colinowi w ciągu paru dni udało się zbliżyć do małej, skoro ona od lat nie mogła się przebić przez niewidzialną barierę.

Pokiwał z roztargnieniem głową. Niech to szlag! Słowa Noreen wskazywały na odmienność Emily. Tylko czemu, u diabła, niczego nie wyczuł? On sam doskonale się maskował, fakt, ale ta umiejętność nie przyszła sama z siebie, kosztowała go miesiące ćwiczeń. Miałby uwierzyć, że Emily...? Do diaska, skrytość małej o niczym nie świadczy. Colin nie musiał od razu dorabiać do tego ponurych teorii.

Poza tym nie każde należące do społeczności dziecko cechują akurat skrytość czy problemy z przystosowaniem się w szkole. Chociażby taki Dustin – wątpliwe, by kiedykolwiek dał komuś powód do zarzutów o izolowanie się od rówieśników. Przeciwnie, istna była z niego dusza towarzystwa, pchał się w centrum uwagi i był nieszczęśliwy, gdy przez kwadrans nie zdołał nikogo rozbawić.

- A tobie jak się wiodło? - Noreen wyrwała Colina z zamyślenia. Zreflektowała się wreszcie, że najpierw powinna przybysza przesłuchać i zdecydować, czy kontakty z nim nie zagrażają rodzeństwu, a dopiero potem, ewentualnie, udzielić mu skąpych informacji na temat Mata i Emily. - Skończyłeś studia?

- Nie, nawet nie zaczynałem. Czekają na mnie inne obowiązki - odparł z półuśmiechem.

Studia nigdy nie zaliczały się do jego życiowych priorytetów, nie żałował więc, że z nich zrezygnował. Tym bardziej że Gordon musiał naprawić, co zepsuł jego brat. Poświęcił temu cztery lata. Pobyt na uczelni nie dałby Colinowi tyle, ile owe lata u boku stryja. No, umownie u boku. Gordon często wyjeżdżał w sprawach społeczności, Colin zaś nie mógł mu towarzyszyć, gdyż wtajemniczenie go w tak zaawansowane aspekty funkcjonowania organizacji nie wchodziło w grę. Nie wolno mu było opuszczać osady; zdaniem niektórych i tak wiedział za dużo, ciesząc się zarazem zbyt wielką swobodą. Mimo to oficjalnie nikt go nie kontrolował. I nawet jeśli szkolenie w straży oznaczało obowiązkową obecność na spotkaniach o określonych

godzinach, to te zasady dotyczyły wszystkich, nie tylko jego. Z pewnością jednak znajdował się pod stałą obserwacją, Gordonowi raportowano każdy jego ruch, a pod nieobecność stryja nadzór nad Colinem przejmował Roger.

W trakcie owych czterech lat Colin wreszcie zaakceptował siebie. Nauczył się wykorzystywać i rozwijać wrodzone talenty, przez Godfrey'a piętnowane jako najgorsze wady i tępione wszelkimi dostępnymi metodami. Odzyskał wewnętrzną równowagę, która stanowiła podstawowy warunek swobodnego funkcjonowania w społeczności.

Wyprowadzenie Colina na prostą nie należało do zadań łatwych. Nieustannie szukał ujścia dla rozpierającego go gniewu – gniewu na ojca, za zatrucie mu dzieciństwa. Winowajca znalazł się poza jego zasięgiem, negatywne emocje jednak pozostały. Colin rozumiał, że otrzymał szansę od losu, a mimo to nie potrafił zapanować nad kretyńskimi odzywkami, napadami szału i potrzebą natychmiastowej realizacji niebezpiecznych pomysłów.

Podczas jednego z takich odpałów wziął wóz Gordona, a ściśle mówiąc, ukradł. Ruszył przed siebie, powtarzając w myślach, że jest dorosły, nikt więc nie będzie nim dyrygował. Było to tym głupsze, że od Godfrey'a nigdy nie próbował uciekać, choć miał ku temu tysiąc razy więcej powodów. Ojciec wmówił mu, że cierpi na poważną chorobę i bez odpowiedniego nadzoru zagrozi sobie i innym. Roztaczał przed synem krwawe wizje, a Colin bał się tego, co sam mógłby zrobić.

Jakim cudem dał się do tego stopnia zastraszyć i otumanić? No cóż, ojciec wywiózł go z osady jako niespełna czterolatka, potem zaś wyłącznie on kształtował Colina. Dyktował synowi, co ma czuć i myśleć, przy czym w jego ustach naturalne potrzeby stawały się mrocznymi zwiastunami katastrofy, której Colin w żaden sposób nie zdoła samodzielnie zapobiec. Godfrey całkowicie uzależnił go od siebie, wmawiając, że są sami na całym wielkim świecie i syn może polegać tylko na nim. W owym czasie Colin czuł niepokój już w chwili, w której ojciec wychodził poza zasięg słuchu.

Stryj oznajmił, że wszystko to są bzdury i Colin nie cierpi na żadną chorobę. Wprost przeciwnie, spotkało go wyróżnienie, otrzymał cudowny dar, otwierający przed nim wiele możliwości. Powinien uznać ten fakt za powód do dumy, a nie do umartwiania się. Colin doszedł wtedy do wniosku, że w takim razie jest w stanie poradzić sobie bez niczyjej pomocy.

Gordon wytropił go po dwóch dniach. Kopnięciem wyważył drzwi taniego motelowego pokoju, zamiast jednak chwycić bratanka za kołnierz czy choćby na niego wrzasnąć, spokojnie podszedł do nocnego stolika i wziął z blatu kluczyki do samochodu.

- Nie umiesz ani dziesiątej części tego, co niezbędne, ale nie będę cię zatrzymywał siłą - powiedział cicho. - Chcesz odejść, trudno. Byle nie za moje pieniądze. Czekaam w aucie pięć minut.

Po czym wyszedł z pokoju. Nie było żadnego „a później”,

ani słowa o konsekwencjach, niemniej ostatnie krótkie zdanie zawierało morze gróźb, z których ta o wydzwiku „nigdy więcej ci nie pomogę” wydawała się najłagodniejsza.

Colin wsiadł do wozu cztery minuty i pięćdziesiąt sześć sekund po tym, jak stryj skończył mówić.

- Pomyśl pięć razy, zanim znowu zdecydujesz się na podobną eskapadę - powiedział Gordon w drodze powrotnej.

Był to jego jedyny komentarz do ucieczki Colina.

Gordon musiał wiedzieć, że bratanek posłucha. Trafnie dobierał metody postępowania. Rzadko naciskał, pozostawiając podopiecznemu wybór, dzięki czemu niezmiennie osiągał pożądany efekt. Dopiero z perspektywy czasu Colin pojął, jakie czekałyby go konsekwencje, gdyby nie wsiadł do samochodu. Zbyt był wówczas nieobliczalny.

Te pierwsze lata pod skrzydłami stryja Colin opisał Noreen ze sporymi modyfikacjami. Gordon uznał, że studia nie nauczyłyby bratanka ogłady, a poza tym wolał mieć go na oku.

- Zatrudnił mnie w swojej firmie - wyjaśnił Colin. - Zacząłem od pracy fizycznej, przy obróbce drewna, co zdaniem stryja pozwalało mi spożytkować nadmiar energii. Z czasem awansowałem, a obecnie odpowiadam za kontakty handlowe.

- Stryj darzy cię zaufaniem - stwierdziła Noreen.

Wzruszył ramionami, nieco tym komplementem skrępowany.

- Mojej ogólnej edukacji też nie zaniedbał. Sam mnie

uczył. Podsuwał mi książki z różnych dziedzin, od matematyki po filozofię. Dawał mi czas na zapoznanie się z nimi, a potem inicjował dyskusję, żeby sprawdzić, ile zostało mi w głowie.

Inna sprawa - tego już jednak Noreen wysłuchiwać nie musiała - że zdobywanie tradycyjnej wiedzy średnio Colina rajcowało. Miał złe skojarzenia. Godfrey bardzo na ten aspekt naciskał i kontrolował wyniki w nauce syna, co kończyło się dość nieprzyjemnie, drania bowiem nie dało się zadowolić. Chociaż, niestety, Colina trudno byłoby nazwać orłem. Wskazane przez stryja lektury również przyswajał z trudem, a po zdaniu „egzaminu” błyskawicznie, wręcz z ulgą, zapominał ich treść. Za to w szkoleniach w straży oraz wykładach z historii i zasad obowiązujących w społeczności uczestniczył niemal z zapartym tchem.

Nie wiedział, czy Gordonowi bardziej zależało na tej tradycyjnej edukacji, czy na zaprzątnięciu uwagi podopiecznego tematami niezwiązanymi ze społecznością. W pierwszych latach nie chciano przekazywać Colinowi zbyt wielu tajnych informacji, a zatem w niektórych szkoleniach strażników nie uczestniczył, wkuwając w zamian matematyczne regułki. Czasami stryj wybywał na dwa tygodnie, zostawiając bratankowi pięć grubych tomów, Colin zaś każdą chwilę wolną od obowiązków w tartaku czy straży poświęcał na przyswajanie ich ciężkostrawnej zawartości, dzięki czemu brakowało mu sił i czasu na głupie pomysły.

Pilnując się, żeby nie wyjawic zbyt wiele, zwierzył się Noreen, jak Gordon potrafił go zmotywować. Krótką uwagą, spojrzeniem czy leciutkim uśmiechem w trakcie dyskusji-testu stryj wyrażał pochwałę bądź nagane, wprawiając Colina w stan euforii lub krańcowego przygnębienia. Godfrey nigdy nie znajdował dla syna dobrego słowa, nie było więc sensu się starać. Tym cenniejsza stała się dla Colina opinia stryja. Przyjemnie było nagle usłyszeć, że jest się coś wartym. Nie chciał zawieść Gordona.

Kiedy jednak lider dłużej pozostawał w osadzie i Colin każdego dnia czuł na sobie jego wzrok, coś się w nim buntowało. Narastał bezsensowny gniew i przychodził taki czy inny odpał. Mentor osiągał najlepsze efekty, przebywając z dala od wychowanka.

- To miłe - orzekła Noreen. - Sposób, w jaki mówisz o stryju. Widać, że jest twoim idolem. W dzisiejszych czasach... kiedy młodzież, jeśli w ogóle uznaje jakies wzorce, są one co najwyżej negatywne...

- Mat uznaje negatywne wzorce?

- Och, znowu powiedziałam coś nie tak. Nie, to znaczy, nie wiem na pewno, ale dobry z niego chłopak. Nigel bardzo by chciał, żeby Mat mówił o nim tak, jak ty o stryju. Żeby przynajmniej tak czasem pomyślał. To chciałam powiedzieć. A on jest cały nastawiony anty...

Idol. Niezaprzeczalnie, lecz w ostatnich dniach Colin podejrzanie skutecznie wynajdywał argumenty, by do idola nie dzwonić i nie tłumaczyć się, dlaczego złamał dane przez niego słowo. Noreen mogła go pocieszać, że nie podpisał



cyrografu, a Nigel i Gordon nie mieli prawa czynić podobnych ustaleń bez jego wiedzy, niemniej Colin wolałby nadwerężyć własny honor niż honor stryja. Nigdy by się tu nie pojawił, gdyby nie zaistniała tak wyjątkowa sytuacja. Cholera, jeśli czuł się usprawiedliwiony, czemu nie sięgał po telefon?

\*\*\*

Słuchając wyvodu Noreen, drugim uchem złowił odgłos silnika samochodu parkującego na podjeździe. Land-rover? Ktoś energicznym krokiem zmierzał ku drzwiom wejściowym. Przybysz sam je sobie otworzył. Domownik. Mat.

- Ciociu?! - zawołał z hallu.

Noreen drgnęła i ze zdumieniem spojrzała na zegarek.

- Och - powiedziała cicho. Teraz kroki zbliżały się do kuchni.

- Ciociu? Czyj to mo...? - Mat urwał, zatrzymując się raptownie w progu.

Choć minęło siedem lat, jakiś mglisty obraz brata pozostał chłopakowi w pamięci. Na ulicy mógłby go nie rozpoznać, ale tutaj sytuacja była jednoznaczna, bo przecież ciotka nie gościłaby byle włóczęgi.

Oczy Mata zwęziły się w szparki. Dłonie zacisnął w pięści.

- Proszę, proszę - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Przyjechałeś uprowadzić nas oboje czy tym razem samą Em?

- Miło cię widzieć, Mat - odparł spokojnie Colin, podnosząc się z krzesła.

Na upstrzonej paroma punkcikami trądziku twarzy chłopaka odmalowała się furia. Poniewczasie Colin przypomniał sobie przestrożę Noreen. Najwyraźniej u Mata odezwał się kompleks na punkcie wzrostu.

- Po co go wpuściłaś? - zapytał ciotkę, z trudem utrzymując głos w ryzach.

- Mat, to twój...

- Nie przypominam sobie. Mam brata? Kto by pomyślał! Za wiele o nim nie słyszałem.

- Zdecyduj się. Jesteś wściekły, że znikłem czy że nagle się pojawiaam?

Zbyteczna złośliwość, Colin zachowywał się niewiele lepiej niż ten szczeniak.

- Wynoś się! - wybuchł Mat. - Trzymaj łapy z dala od Em!

- Nie ty decydujesz, komu wolno przebywać w tym domu!

- Colin nie posądziłby promieniejącej matczynym ciepłem Noreen o umiejętność wykrzesania tak ostrego tonu. - Pozwoliłam mu zobaczyć się z Emilią. Jeśli nie masz ochoty go oglądać, nikt ci nie każe. Idź na górę i siedź w swoim pokoju.

- Ciekaw jestem, co wuj na to powie - rzucił Mat wyzywająco, ale już bez poprzedniej buty. Zerknął na kuchenne drzwi. - Można wiedzieć, czemu zawdzięczamy zaszczyt goszczenia cię w naszych skromnych progach?

- Natrafiłem na artykuł o ataku niedźwiedzia. Przeczytałem nazwę miejscowości i...

- Ani się wazcie wspominać przy Emily o niedźwiedziu! - wtrąciła Noreen. - Ani mru-mru, rozumiano?

- Znalazł się obrońca! - prychnął lekceważąco Mat, w jego głosie zabrzmiała jednak nutka niepewności.

Cholera, on coś ukrywał.

- A Em na bank dowiedziała się w budzie. Całe miasto mówi tylko o zejściu Hammera - dodał Mat.

- Nie - sprostował Colin. - Ten artykuł uświadomił mi, że w każdej chwili wam... lub mnie może się coś stać. Wypadek, choroba, cokolwiek. I już nigdy się nie zobaczymy. Musiałem przyjechać.

To było banalne wyjaśnienie, ale oparte na prawdzie, bo ostatecznie ściągnął go tutaj artykuł. Zresztą kwestia umotywowania wizyty zeszła na dalszy plan. Przede wszystkim musiał dociec, co zataja brat. A zatajał coś niewątpliwie, gdyż Colin bezbłędnie rozpoznawał kłamstwo - słyszał nieuchwytnie dla ludzkiego ucha zmiany napięcia głosu, których niemal nikt nie jest w stanie kontrolować. Ów sekret wiązał się ze sprawą pośrednio, bo w zabójstwie chłopak raczej nie maczał palców. Czyżby chodziło o szczeniacką zabawę w śledztwo?

- Wzruszające - sarknął Mat.

Wycofał się z kuchni, mimo że przed chwilą wyraźnie zamierzał zostać. Prawdopodobnie obawiał się, że w złości powiedziałyby zbyt wiele. Colin zaklął w duchu - wolałyby, żeby śmierć Hammera nic brata nie obeszała.

- Przy Emily ani słowa o niedźwiedziu - zastrzegła ponownie Noreen. - Chcesz jeszcze kawy?

Właściwie Colin miał dosyć, ale kawa usprawiedliwiała jego dalszą obecność w tym domu, a chciał się dzisiaj zobaczyć z siostrą.

Choć takiego mniej więcej powitania oczekiwał, zaboląo jak jasna cholera. To jego brat, nawet jeśli pewne kwestie pomiędzy nimi na wieki pozostaną tajemnicą. Rodzony brat, a przyjął Colina jak najgorszego wroga.

Do diabła, szczeniak zawsze tak się do niego odnosił. Po prostu minione siedem lat wygładziło pamięć o wzajemnych relacjach, o różnych świństewkach, jakich dopuszczał się Mat, żeby ojciec wściekł się na Colina. Gówniarz zgrywał niewiniątko: on tego nie zabrał, nie rozbił, nie zniszczył. Potem czerpał satysfakcję z wrzasków Godfrey'a. Niech go szlag! Albo ten niewinny ton: „Tatusiu, a wiesz, co Colin dziś powiedział?”. Co z tego, że większość cytowanych kwestii rzeczywiście padła z ust Colina? Smarkacz go świadomie prowokował, Colin zaś tracił panowanie i wygarniał gnojkwowi.

- Ostrzegałam cię - westchnęła Noreen, badając spojrzeniem jego twarz. - Nie przejmuj się tak. Zaskoczyła go twoja obecność, ale przemyśli sprawę i spuści z tonu. Dobry z niego chłopak. On... tak naprawdę łąknie informacji o ojcu. Nigel nieustannie opowiada dzieciom o Vivian, jaka była w dzieciństwie, w młodości, jako dorosła, o czym marzyła, jak spędzała wolny czas, o jej ulubionych potrawach, filmach, książkach. Tysiące anegdotek. Proszę. - Postawiła przed Colinem kubek ze wspaniale pachnącą kawą, a on w podziękowaniu skinął z uśmiechem głową. -

Ma dosyć rozsądku, żeby o Godfreyu po prostu nie wspominać, ale i Mat, i Emily wyczuwają jego nastawienie. Trudno im uwierzyć, że owa wspaniała kobieta związała się z kimś tak strasznym, że unika się wypowiedziania jego imienia. Daj Matowi czas na ochłonięcie. Szybko odkryje, że możesz mu odpowiedzieć na wiele pytań.

Mówiła szczerze, co zirytowało Colina. Skoro uważała, że dzieci powinny usłyszeć co nieco o swoim ojcu, mogła sama im o nim opowiedzieć, zamiast pokornie skrywać się w cieniu Nigela. Autorytarny drań rządził w tym domu niepodzielnie, tak jak niegdyś komenderował własną siostrą. Aż pewnego dnia Vivian stwierdziła, że ma go po dziurki w nosie, i z radością padła w ramiona Godfrey'a, korzystając z pierwszej nadarzającej się okazji do ucieczki. Nigel jednak nie chciał przyjąć tego prostego faktu do wiadomości. Obwinił Godfrey'a o omamienie jego niewinnej siostrzyczki, bo przecież z własnej woli Vivian nigdy nie opuściłaby brata. W Colinie zawrzało z wściekłości na myśl, że obecnie Emily jest tłamszona w podobny sposób.

- Nie wiem, może stąd się bierze skrytość Emily? - zastanawiała się Noreen, Colinowi zaś zaczęło się robić czerwono przed oczami. - Powinnam się zająć obiadem. Zjesz z nami?

Zaskoczyła go tą propozycją, jakby chlusnęła na niego wiadrem zimnej wody. Doskonale, właśnie czegoś takiego było mu trzeba.

Obiad w rodzinnym gronie! Przez krótką chwilę pomyśl

wydał mu się cudowny, potem jednak wróciło wspomnienie dawnych rodzinnych posiłków.

Godfrey z samczą dumą lustrował domowe ognisko, kiedy roześmiana Vivian pytała, komu dołożyć ziemniaków, upominała Mata, żeby siedział prosto, albo namawiała Emily na jeszcze jeden kawałek pieczeni, bo inaczej dziewczynka będzie maleńka jak krasnoludek. Jeden Colin nie umiał się dopasować do tego obrazka. Wbrew woli ponury, świadom, że oberwie za negatywną postawę, z wysiłkiem układał usta w uśmiech, wystarczyła jednak chwila dekoncentracji... Choć Vivian i dzieciaki niewątpliwie nie udawali, Colinowi sztuczność tych rodzinnych scenek aż zgrzytała w zębach. Siedział nabuzowany, jak na wybryk natury przystało. Mat wyczuwał jego nastrój i prowokował brata, aż w końcu Colin warczał na szczeniaka. Wtedy w oczach Godfreya zapalały się wściekłe ogniki.

- Nie, dziękuję, zjem na mieście. Mat... To byłoby za szybko. Przywitam się jeszcze tylko z Emily. Przyjdę jutro, jeśli pan Stewart...

- Porozmawiam z nim - zadeklarowała pomoc Noreen. - Wytłumaczę mu... to znaczy, postaram się, ale niczego nie obiecuję. W sprawach dotyczących Emily bywa bardzo stanowczy. Pragnie ją chronić. Matem mniej się przejmuję, on jest prawie do... jest dorosły. Ma własny rozum, a jego nastawienie do ciebie... Nie zrób niczego nierozsądnego, gdyby się okazało...

- Nie zrobię.

Przed siedmiu laty Colin popełnił głupstwo, działając pod wpływem impulsu. Skazałby rodzeństwo na tułaczkę i biedowanie, nie byłby też w stanie posłać ich do dobrych szkół ani zapewnić przyzwoitego życiowego startu. Dobrze, że go wówczas powstrzymano. Nadal mógł niewiele zaofiarować Emily, jeśli jednak jego podejrzenia się potwierdzą... Głupie teorie, już sobie tę kwestię wyjaśnił. Z drugiej strony, przeczucie podpowiadało co innego. Zatem Colin będzie musiał zabrać stąd małą. To niebezpieczne. Do diabła! Wiedział, jak na jego pomysł zareagowałyby Gordon.

Drgnął, kiedy drzwi wejściowe otworzyły się z impetem. Co się z nim działo, do cholery? Nie usłyszał jej wcześniej, a nie powinien pozwalać sobie na takie uśpienie czujności.

- Colin!

Emily wpadła do kuchni i rzuciła się bratu na szyję. Witaa go radośnie i bez zdziwienia, jakby się zapowiedział, a ona przez ostatnie tygodnie wytrwale oczekiwała jego przyjazdu. Zaskoczyła Colina, a jeszcze bardziej Noreen.

Radość dziewczynki nagle przygasła. Odsunawszy się, Emily zmierzyła Colina poważnym spojrzeniem. Kiedy ponownie się uśmiechnęła, w jej oczach czał się niepokój.

Cholera, wyczuła go, mimo że Colin potrafił się po mistrzowsku maskować. Jakim cudem? Zwłaszcza że on nadal opierał się jedynie na przeczuciu i wnioskach wyciągniętych z jej zachowania. Czyżby emocje przytępiaały mu zmysły i naruszały kamuflaż?

Wymiana zdań między nimi ograniczała się do standardowych wykrzykników: „Ależ wyrosłaś!”, „Super, że

przyjechałeś!", a przecież po kilku minutach wiedzieli o sobie nawzajem więcej niż Noreen o każdym z nich, mimo że przez lata wychowywała Emily, a na rozmowie z Colinem spędziła parę godzin.

- Nie sądziłam, że pamiętasz Colina. - Noreen uśmiechnęła się z przymusem.

Scenka powitania sprawiła jej ból. Nic dziwnego, szczególnie że dopiero co zwierzyła się Colinowi, jak bardzo martwi ją u Emily nieumiejętność żywiołowego wyrażania uczuć.

- To mój brat - odparła z powagą Emily. - Jak mogłabym go zapomnieć?

Colina raziła ta nietypowa dla dziesięciolatki dojrzałość. Prowadzili banalną konwersację na temat szkoły, upływu lat, jego podróży czy kurzu na ubraniu i włosach, ale piwne oczy Emily patrzyły na brata nieustannie, a każde pytanie zawierało drugie dno.

- Co opowiedziała ci o mnie ciocia? Założę się, że strasznie mnie wychwalała. - Em przybrała żartobliwy ton, z uśmiechem zerkając na ciotkę.

Colin wiedział jednak, że siostrzyczki nie interesują pochwały.

- Nie bądź taka pewna swego. - Noreen udała surowość. Biedaczka, nie mogła przeboleć radosnego powitania, jakie dziewczynka zgotowała bratu, a nie miała pojęcia, o ile więcej przed nią zatajono. - Parę zastrzeżeń do ciebie by się znalazło, moja panno.

- Ciocia tak żartuje, żebym nie nabrała o sobie za



wysokiego mniemania.

- Nie przejmuj się, nie uwierzyłbym w ani jedno złe słowo na twój temat - zapewnił Colin.

Ubolewał, że ten los nie ominął Emily i że nie będzie jej dane żyć normalnie. Cholera, pokutowało w nim podejście wszczepione mu przez Godfrefya. Powinien był raczej gratulować siostrze wspaniałego daru natury. Mimo to, kiedy obserwował, jak Em serdecznie przekomarza się z ciotką, ogarnął go żal na myśl, że wkrótce wyrwie ją z tego gniazdka. Sam nie zaznał rodzinnego ciepła, nie zdoła więc małej zastąpić Noreen. Dziewczynka nie do końca zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji. Nie przypuszczała, że niedługo czeka ją rozstanie z kochającą opiekunką.

- Widziałeś się z Matem? - zapytała Em. - Założę się, że odegrał obrażonego. On tak lubi. Pokazuje, jaki jest ważny. Jeśli chcesz, żeby cię łaskawie zauważył, musisz się postarać i zasłużyć. Inaczej nic z tego.

- Emily, nieładnie tak mówić o bracie - upomniała ją łagodnie Noreen.

- Przecież nie zmyślam. Jest ode mnie starszy i silniejszy, powinien się mną opiekować. Dlatego że jestem jego młodszą siostrzyczką, bez zasługiwania.

- Tak bardzo wymagasz opieki? - zapytał cicho Colin, przy czym nie w pełni udało mu się ukryć niepokój.

- No co ty, chodzi mi o zasadę - oburzyła się Em, a w jej oczach błysnęły iskierki rozbawienia. - Miło jest żyć ze świadomością, że kiedy zaczepi cię jakiś koleś, możesz go postraszyć starszym bratem. Od razu mówię wam, że nikt

mnie nie zaczepia, podaję tylko przykład. No. A tymczasem, gdybym ja poszła do Mata i poprosiła, żeby jednemu czy drugiemu coś wytłumaczył, toby mnie spuścił na drzewo.

- Emily. - Noreen z przyganą pokręciła głową, co miało oznaczać, że w tym domu nie używa się potocznego słownictwa.

- Oj, ciociu. Właśnie w tym sęk, że by mnie spuścił na drzewo, a nie delikatnie odmówił czy coś. W obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa pomógłby mi na sto procent, na co dzień jednak nie mogę na niego liczyć. Nie obraż się, ciociu, ale lepiej wygląda, jak się komuś grozi starszym bratem niż ciocią i wujkiem. Oczywiście w teorii.

Colin zanotował w myślach, że musi później wy badać dziewczynkę. Mała coś za często podkreślała, że opisuje hipotetyczną sytuację. Może więc powinien odbyć z pewnym „kolesiem” poważną rozmowę.

Noreen znów wspomniała o obiedzie, nie ponowiła jednak zaproszenia dla Colina. Tym razem chciała tą uwagą skłonić go do wyjścia. Z zalem podniósł się z krzesła. Pożegnał się, zapowiadając, że zajrzy jutro; ma nadzieję przekonać do siebie pana Stewarta. Noreen poleciła mu hotelik, niezwykle przyjemny, no i będzie wiadomo, gdzie go szukać.

- Nigel zawsze będzie w tobie widział Godfrey'a - dodała na koniec, cicho, żeby nie usłyszała tego oglądająca motor Emily. Do małej oczywiście dotarło każde słowo, ale niczego po sobie nie pokazała. - Postaram się przychylnie go do ciebie nastawić.

Odpalił thunderbirda. Chętnie pocałowałby siostrzyczkę w policzek, ale zdobył się tylko na muśnięcie palcami jej ramienia. Zawrócił i dodał gazu. Musiał ją stąd wywieźć, i to jak najszybciej.

Rozegrał to bez głowy. Jeśli mała zniknie, jutro, za tydzień czy za miesiąc, Colin od razu stanie się pierwszym podejrzanym. Nigel ruszy jego tropem, a w trakcie poszukiwań może dotrzeć do osady i zagrozić całej społeczności. Ach, i tak by Colina podejrzewał. Gdyby zdołali rozsądnie porozmawiać... Colinowi jednak nie wolno było przedstawić Stewartowi żadnego z kluczowych argumentów przemawiających za wyjazdem dziewczynki do Kanady.

A gdyby poprosił o wstawiennictwo stryja? Gordon już raz zdołał przekonać Nigela, choć sprawa wydawała się stracona. Tak, tyle że stryj przybyłby przemówić do rozsądku Colinowi, wykładając mu w paru dosadnych słowach, że wystarczy trochę ziół, amulet i dyskretny nadzór, czyli standardowa procedura. Standardowa procedura zakłada jednak także niewiedzę. Obserwator popełnił poważny błąd, nie powinien był bowiem dopuścić do wtajemniczenia Emily w tak młodym wieku. Według Colina stanowiło to dostateczny powód, żeby dziewczynkę stąd zabrać.

Łudził się. Pomijając już kwestię problemów, jakich przysporzyłby organizacji poszukujący siostrzenicy Nigel, dorastanie pod opieką kochającego wujostwa było dla małej po prostu najkorzystniejszym rozwiązaniem, musiałyby

więc pojawić się argumenty kalibru znacznie cięższego niż przedwcześnie wtajemniczenie. Colin nie potrzebował wyjaśnień Gordona, żeby zrozumieć tę prawdę. Mimo to nie potrafił pogodzić się z myślą, że ma nie oglądać Emily przez kolejne siedem czy nie wiadomo ile lat.

\*\*\*

Stylizowany drewniany szyld poinformował Colina, że stanął przed Martha's Inn. Rozejrzał się. Z jednej strony zobaczył park, ciągnący się aż do jeziora; tafla wody połyskiwała między rzadko rosnącymi drzewami. Po przeciwnej królowała już cywilizacja. Żeby dostać się do lasu, będzie musiał przebyć spory odcinek brzegiem jeziora bądź przemykać ulicami miasteczka. Cholera! Planował wynająć gwarantujący dyskrecję domek gdzieś na obrzeżach, ale przecież nie powie Noreen, że zarekomendowany przez nią hotelik nie przypadł mu do gustu. Postanowił wziąć pokój, zostawić bagaże i ruszyć na rekonesans. Może trasa wzdłuż jeziora okaże się wystarczająco dyskretna.

Wciągnął w nozdrza unoszące się w niewielkim hallu recepcji zapachy. Czy to nie podejrzane, że natrafił na ślad w miejscu poleconym mu przez Noreen? Odrzucił tę koncepcję. Chodziło o grubszą sprawę, podobne wonie Colin zastanie więc w każdym hotelu w okolicy. Ilu ich tu mogło zjechać?

Recepcjonista otaksował przybysza podejrzliwym spojrzeniem, jakby zamierzał poprosić o zapłatę z góry.

- Pani Stewart poleciła mi wasz hotel. - Colin uśmiechnął się.

\*\*\*

Rzucił sakwy na łóżko. Ich zawartość była skromna, bo zadbał tylko o profesjonalne wyposażenie, zioła i amulety, natomiast takie drobiazgi, jak zmiana ubrania czy kosmetyki, wypadły mu z głowy.

Zważył w dłoni komórkę. W Europie panowała głęboka noc, poczuł się zatem usprawiedliwiony. Spróbuje złapać Gordona po powrocie z rozpoznania, kiedy będzie dysponował konkretniejszymi informacjami. Może wówczas lider, zamiast kazać Colinowi natychmiast wyjechać z miasteczka, pozwoli mu się przyłączyć do wyznaczonych do zadania specjalistów.

A jeśli Gordon o niczym nie wiedział i, co za tym idzie, nikogo tutaj nie przysłał? Informacje stryj mógłby uzyskać jedynie od obserwatora, a dotąd Colin nie natknął się na jego woń. Owszem, dopuszczał ewentualność, że gość się maskuje, ale takie wyjaśnienie wydawało się mocno naciągane - nie ta klasa umiejętności, do funkcji bowiem wyznacza się członków społeczności słabiej obdarzonych przez naturę. Poza tym podczas rozmowy z siostrą Colin odniósł wrażenie, że dziewczynka pozostaje bez dozoru.

Niemożliwe jednak, aby lider złamał jedną z podstawowych zasad. Jeśli dziecka nie wychowują rodzice bądź inni członkowie społeczności, zawsze oddelegowuje się osobę, która ma za zadanie śledzić oznaki zbliżającego

się przebudzenia i podjąć środki zaradcze celem utajnienia jego skutków. Colin nigdy stryja o tę kwestię nie spytał, ponieważ rodzeństwo stanowiło temat tabu, niemniej to wydawało się oczywiste. Obserwatorowi prawdopodobnie coś się przydarzyło, i to na tyle niedawno, że nikt nie zdążył się zorientować. Niewykluczone więc, że zniknięcie wiązało się ściśle ze sprawą i Colin trafi na jakiś ślad w trakcie śledztwa.

Do zmroku zostało półtorej godziny. Staranniejszą toaletę odłożył na potem, ograniczając się do zmycia brudu z twarzy i rąk. Przeczesał włosy.

Krytycznie popatrzył na siebie w lustrze. Cholera, nie wyglądał na turystę, a naczelna zasada wyraźnie głosi, żeby nie rzucać się w oczy. Trudno, i tak nie wziął nic do przebrania.

\*\*\*

Wyszedł przed hotelik. Po prawej miał park, po lewej, przecznicę dalej, pierwsze sklepy głównej ulicy miasteczka. Węsząc ukradkiem, ruszył w stronę centrum. Atmosfera była tu niesamowicie zagęszczona. Ostry wiatr ciskał w niego intrygującymi zapachami, Colin zaś próbował je rozdzielić i policzyć. Rozglądał się, usiłując zlokalizować ich źródła, co pośród zabudowań nie należało do zadań prostych.

Ile mógłby mu powiedzieć Mat? Dorwie chłopaka jutro po lekcjach. Odtworzył w pamięci plan miasteczka. Znajdzie brata bez trudu, jako że mieli tu tylko jedną szkołę średnią. Wiatr podsunął mu pod nos poszukiwany zapach,

potrząsnął nim jak czerwoną płachtą i porwał dalej. Colin rozejrzał się dyskretnie.

Tam. Mężczyzna w rozpiętym płaszczu, którego połami wściekle szarpał wiatr. Facet jednak tego nie zauważał. Szedł powoli, jak w transie, obojętny na architekturę i sklepowe wystawy. Co parę kroków przystawał, jakby się zastanawiał, dokąd zmierza lub jakim sposobem wylądował na tej ulicy. Dotarłszy do skrzyżowania, zawahał się, po czym skręcił w lewo. Kiedy jego wzrok padł na majaczący w oddali czerwony budynek ratusza, przyspieszył, jakby jego wędrówka nagle zyskała cel. Zatrzymał się po drugiej stronie wąskiej ulicy i z zadartą głową wpatrywał w ceglana fasadę.

Colin omiół spojrzeniem okolicę. Czysto. Podszedł do nieznanego i zagadnął go o ratusz, byle tylko złapać kontakt wzrokowy. Mężczyzna popatrzył na niego nieprzytomnie.

- Jak się nazywasz? - rzucił Colin z ledwie uchwytnym naciskiem w głosie.

Zagadnięty gapił się na niego zdumiony. Stopniowo na jego twarzy odmalowywało się oburzenie, że ktoś śmie tak bezczelnie go nagabywać. Otworzył usta do gniewnej reprimendy.

Colin szybko powtórzył pytanie, tym razem jednak z wyraźnym naciskiem.

- Basil Woods - odpowiedział po krótkim wahaniu mężczyzna i ściągnął brwi.

Właśnie wyjawiał tożsamość obcemu typowi, a jego umysł

najwyraźniej nie akceptował takiej uległości.

Zadziałał naturalny mechanizm obronny, dzięki któremu można z wybranym osobnikiem przeprowadzić rozmowę na dowolny temat i wydobyć z niego wszelkie potrzebne informacje. Przesłuchiwany, jeśli w ogóle zapamięta fakt wymiany zdań, założy, że dotyczyła ona zagadnień tak błahych, że ich treść natychmiast osnuła mgła zapomnienia. Dotąd, dla uzyskania pożądanego efektu, Colinowi wystarczała minimalna koncentracja, tutaj natomiast napotkał niespodziewany opór, musiał zatem uciec się do głębszych pokładów psychicznej siły.

- Skąd przyjechałeś, Basil?

- Valley Junction.

- Turysta?

- Turysta? - powtórzył indagowany, jakby słyszał to słowo po raz pierwszy.

Z nich dwóch prędzej Colin kwalifikował się na turystę. Pod rozpiętym płaszczem Basila było widać wymięty drogi garnitur i równie zmaltretowaną błękitną koszulę w prążki. Był bez krawata. Na nogach miał przybrudzone eleganckie buty. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wyjeżdża w góry w stroju, który wkłada się na posiedzenie rady nadzorczej poważnego koncernu. - Po co tu przyjechałeś, Basil?

Pytanie brutalnie wstrzeliło się w umysł zajęty maglowaniem owego „turysty”. Mężczyzna poderwał głowę.

- Po co tu...? Nie wiem. Musiałem. Poczuliem, że muszę wsiąść do samochodu i jechać. Jechać, właśnie. Jechałem. Zrobiłem postój na stacji. Raz. Nawet nie poszedłem do... I



zatrzymałem się dopiero tutaj. Lorraine... Lorraine mnie zabije...

Myśli Basila wskoczyły na właściwy tor, Colin zwlekał więc z kolejnym pytaniem, chcąc się przekonać, co z tego wyniknie. Mężczyzna zaczął z roztargnieniem szperać po kieszeniach płaszcza, trzy razy włożył dłoń do lewej, dopiero potem przypomniał sobie o istnieniu prawej. Wreszcie z wewnętrznej kieszonki na piersi wyjął komórkę. Przez chwilę gapił się na ekranik, po czym ze zdumieniem na twarzy podsunął telefon Colinowi pod nos.

- Czterdzieści dziewięć nieodebranych połączeń - poinformował. - Czterdzieści dziewięć.

- Basil. - Colin ponownie złapał z nim kontakt wzrokowy. - Czemu nie odbierałeś, Basil?

- Nie...? Trzy odebrałem. - Basil zamrugnął z wysiłkiem; wyglądało to, jakby ruch powiek wspomagał jego procesy myślowe. - Co jej powiem? Co to za miejsce? Poznałem cudowną kobietę. Lorraine nie zrozumie...

- Zabiłeś kiedyś człowieka, Basil? - przerwał mu Colin, nie interesowały go bowiem opowieści o małżeńskiej zdradzie.

- Zabi...? Nie! - Stanowczo pokręcił głową, a w jego oczach na moment błysnęło oburzenie. Zaraz jednak na powrót przybrały nieprzytomny wyraz.

Colin zadał to pytanie, bo był ciekaw reakcji mężczyzny, sensacji raczej nie oczekiwał. Basil nie wyglądał na zabójcę, a gdyby nawet ponosił odpowiedzialność za śmierć George'a Hammera, niczego by z tamtej nocy nie pamiętał.

Może Gordon potrafiłby wyłuskać z jego podświadomości poszukiwaną informację, Colinowi jednak pozostało w tej dziedzinie jeszcze wiele tajników do zgłębienia. Na szczęście tak zaawansowane umiejętności nie będą mu potrzebne. W nocy po prostu pójdzie na miejsce zdarzenia i ustali sprawcę po zapachu.

- Kiedy tu przyjechałeś?

- W sobotę przed południem.

Cholera, potencjalnie więc Woods mógł dopaść Hammera. To o niczym nie przesądzało, gdyż zapewne nie był wówczas jedynym reprezentantem społeczności w miasteczku. Basil nie przejawiał morderczych instynktów - takie rzeczy Colin wyczuwał. Jeśli zabił, zdarzyło się to przypadkiem, prawdopodobnie w samoobronie, wystarczyłyby zatem standardowe środki zapobiegawcze stosowane względem łagodnych nieświadomych.

- Gdzie się zatrzymałeś?

- Hotel Silver Falls, siłownia, w sezonie podgrzewany basen pod gołym niebem... - Zabrzmiało to, jakby Basil recytował tekst z ulotki.

- Wracaj do swojego pokoju, Basil.

Colin odprowadził mężczyznę zatroskanym spojrzeniem. Co tu było, u diabła, grane? Już wjeżdżając do miasteczka, zorientował się, że ma do czynienia z niezwykle sprawą, i im głębiej w nią wnikał, natrafiał na coraz więcej zagadek. W tej chwili boleśnie odczuwał brak doświadczenia. Zaliczył marne kilka akcji, łyknął więcej teorii niż praktyki. Ale, psiarew, nawet w teorii nie natknął się na podobną

sytuację. Ledwie przed paroma dniami Basil był normalnym mężczyzną i raczej miał nim pozostać do końca życia. Po czym nagle wstrząsnął nim nieokreślony impuls, popychając do przyjazdu tutaj. I żeby jeszcze chodziło o jednostkowy przypadek! Wokół jednak panowało niespotykane zagęszczenie zapachów. Colin był gotów się założyć, że pozostali przybyli do miasteczka na podobnej zasadzie, sami nie wiedząc po co.

Wyrabiał sobie opinię na podstawie jednej rozmowy. Bardzo, cholera, profesjonalnie.

Silver Falls, Colin zanotował nazwę hotelu w pamięci. Będzie musiał wrócić do Martha's Inn po zioła i uśpić Basila. W normalnych warunkach uciekłby się do dominacji, ale tutaj opór wydawał mu się zbyt silny. Niezidentyfikowany czynnik zewnętrzny błyskawicznie zniwelowałby efekty wpływu Colina.

Zastanowił się. Bez sensu; jeśli wyłączy Basila, nie dowie się, co go tu ściągnęło. Lepiej się wstrzymać. Gdyby w nocy Colin stwierdził, że właśnie Woods zabił Hammera, odwiedzi go jutro z ziołami, żeby zapobiec kolejnym nieszczęśliwym wypadkom.

Powęszył. Gdzie teraz? Wiatr utrudniał rozeznanie. Za budynkiem ratusza rozciągał się niewielki park, dalej natomiast znajdowały się już rejony uczęszczane raczej przez miejscowych niż turystów. Colin cofnął się zatem na ulicę sklepów z pamiątkami, restauracji serwujących ryby i dziczyznę, przytulnych cukierni oraz barów szybkiej obsługi. Szydł Burgerów Phila przypomniał mu, że od rana

nie miał w ustach nic poza kawą i trzema pysznymi, ale nieszczęśliwie sycącymi owsianymi ciasteczkami Noreen. Niestety, posiłek musiał zaczekać. Słońce już zaszło, księżyc od blisko dwóch godzin wędrował po niebie, tak więc do nocnych harców tutejszego towarzystwa zostało mało czasu.

Spośród nielicznych przechodniów Colin wyłuskał kolejnego mężczyznę. Podszedł do niego bez pośpiechu.

Był niższy od Basila, miał na sobie džinsy, trapery i ciepłą kurtkę. Od ubrań bił zapach nowości, niewykluczone zatem, że i ten osobnik zjawił się w miasteczku w garniturze i eleganckim płaszczu, tyle że w przeciwieństwie do swego poprzednika szybko się pozbiierał i zakupił strój bardziej stosowny na wakacje w górach.

Bryan Cowley, Kanadyjczyk z Port Mellon pod Vancouverem. Wsiadł do samochodu i jechał tak długo, aż dotarł tutaj. Wypowiadał się pewniej i bardziej składnie niż Basil, poza tym jednak Colin nie dopatrywał się większych różnic. Jego hipoteza zaczynała się potwierdzać. Do miasteczka Bryan zawitał we wtorek, nie kwalifikował się zatem do kręgu podejrzanych o atak na Hammera. Zatrzymał się w hotelu przy polu golfowym.

- Ach, człowieku, fantastyczna sprawa! Wreszcie znalazłem czas, żeby przećwiczyć parę uderzeń.

Dzień czy dwa i gość uwierzy, że przywiódł go tu wyłącznie golf, mimo że pole niemal na pewno już zamknięto na zimę. Bryana także Colin odesłał do hotelu.

Nawet się nie obejrzał za Kanadyjczykiem, dostrzegł

bowiem następny obiekt. Wysłuchał podobnej historii, z tym że ten przybył tu dosłownie przed półgodziną.

Colin uznał, że koniecznie musi coś zjeść, gdyż ssanie w żołądku przeszkadzało mu jasno myśleć.

Na podstawie owych trzech przypadków mógł założyć, że właściciele pozostałych zapachów - doliczył się dotąd czternastu - również „wsiedli do samochodu i jechali tak długo, aż dotarli tutaj”. Tyle że nie była to teoria, lecz co najwyżej baza do jej zbudowania. Colin musiał znaleźć odpowiedź na pytanie „dlaczego?”, w tej kwestii zaś totalnie brakowało mu koncepcji.

W Burgerach Phila pochłoniął dwa hamburgery, przepytując przy okazji czwartego osobnika. Nazywał się Jacob Kranz i w miasteczku zjawił się wczoraj rano.

- Po co tu przyjechałeś, Jacob?

- Latami nie zaglądałem w góry. Latami. Praca, dom, praca, dom. I masz. Trzy dni nie byłem w robocie. Nie wziętem telefonu, nie dałem znać. Nie ma mnie, po prostu.

Niedobrze, że facet nikogo nie powiadomił o swoim wyjeździe. Jeszcze gorzej, że zapewne nie stanowił pod tym względem wyjątku. Najbliżsi zaczną się niepokoić i zgłaszać zaginięcia policji. Colin wyrzucał sobie, że nie polecił swym poprzednim rozmówcom, aby, wróciwszy do hoteli, zadzwonili do rodziny czy przyjaciół. Cholera wie, kiedy Basil odebrał te swoje trzy połączenia. Możliwe, że nie reagował na sygnał komórki od niedzieli.

- Nie martwisz się o żonę?

- Martwię się, że nie może jej trafić szlag, pindy jednej -

warknął Jacob, powstrzymując się przed splunięciem na podłogę knajpy. - Byłej żony, zaznaczę. Człowiek nie powinien się żenić, ot co. Czekają tylko, żeby go wycyckać. Czarują, kuszą, aż myślisz sobie, naiwny: jaka cudowna kobieta, spędzę z nią życie. Rodzą się dzieci i wyłazi szydło z worka. Babie chodziło wyłącznie o kasę. Płać, durny, płać, a dzieciaków...

- Zawiadom pracodawcę, Jacob - przerwał mu Colin z naciskiem. - Nagłe problemy rodzinne. Telefon. - Wskazał w głąb sali. - Idź, zadzwoń. Poproś o tydzień urlopu.

- Chrzanić robotę - mruknął Jacob, ale posłusznie podreptał w stronę aparatu.

Colin nadstawił uszu, rozważając jednocześnie, czy nie złożyć kolejnego zamówienia. O tej porze Jacob nie zastał już nikogo w firmie, nagrał się więc na sekretarkę. I dobrze. A na trzeciego hamburgera Colin nie miał czasu.

Odesłał Kranza do hotelu. Pierwszy bunt w życiu, żaloszne. Facet mało nie pęknie z dumy, a tymczasem nie tylko nie on podjął decyzję, ale wręcz działał pod większą niż kiedykolwiek presją.

W drodze powrotnej do Martha's Inn Colin wpadł na kolejną sztukę, kobietę dla odmiany. Agnes Peacewall. Była sztywna, jakby połknęła kij, ale posłusznie odpowiadała na pytania. Colin zyskał następną historyjkę do kolekcji: zostawiła dziecko w krzeselku przy kuchennym stole. Współczuł jej, bo w oczach męża to nie mogło wyglądać dobrze. Trudno będzie się Agnes wytłumaczyć z porzucenia domu bez słowa wyjaśnienia czy choćby kontrolnego

telefonu. Właśnie, ostatnią kwestię należało załatwić... chociaż, diabli wiedzą, jak zareaguje jej facet. A nuż zechce przyjechać po żonę? Po krótkim zastanowieniu Colin zdecydował, że nie będzie się mieszał w sprawy rodzinne i zawodowe przyjezdnych. Lepiej niech nikt nikogo nie zawiadamia o miejscu swego pobytu.

Agnes przybyła do miasteczka w sobotnie popołudnie, była zatem drugą osobą, która miała możliwość zaatakowania Hammera. Podobnie jak Basil, nie wydała się Colinowi typem zabójcy. Zaprzeczyła też oczywiście, by kogokolwiek skrzywdziła.

Miał jeszcze do przebadania co najmniej dziewięć osobników. Ile złapie się do kręgu podejrzanych?

Jasny gwint. Powinien był natychmiast złożyć raport Kentowi lub przynajmniej wezwać straż. A już bez wątplenia należało złapać Gordona - choćby Colin miał go w tym celu wyrwać ze snu - żeby się upewnić, że stryj zna temat i podjął stosowne kroki. Na dotarcie tutaj Fish z ekipą będą potrzebowali minimum półtorej doby, a i to przy założeniu, że wyruszą natychmiast. Najpierw jednak musieli uzyskać pozwolenie Kenta i zgromadzić wyposażenie.

Tymczasem zaś mogły się pojawić kolejne ofiary. Nie zaszkodziłoby, gdyby Colin wiedział, czy do przybycia straży będzie zdany na siebie, czy przeciwnie - może odpuścić sobie sprawę Hammera i nieświadomych, i zająć się wyłącznie rodzeństwem.

Komórkę miał w kieszeni, na co więc, do cholery, czekał? Wolał najpierw ustalić, w jakim stopniu są zaangażowani w

owe zdarzenia Mat i Emily, żeby ich nie narażać... Bzdura, narażał ich właśnie niepotrzebną zwłoką. To zadanie przerastało Colina, a jednak nie sięgał po telefon, żeby poprosić o wsparcie. Postępował cholernie głupio, identycznie jak przed siedmiu laty. Wtedy również wbił sobie do głowy, że wszystkiemu podoła sam – po czym pokonał go jedenastoletni smarkacz.

Postanowił, że zadzwoni z pokoju. Na ulicy mógłby przecież zwrócić na siebie uwagę.

\*\*\*

W drzwiach hoteliku zderzył się z dziewczyną, czy raczej kobietą, była bowiem niewątpliwie o parę lat od niego starsza. W nozdrza uderzył go jej ponętny zapach; prawdę mówiąc, wyczuł go już wcześniej, kiedy się meldował.

– Hej, przystojniaku! Uważaj, jak chodzisz – rzuciła przez ramię, okraszając wypowiedź zalotnym uśmiechem. Omiotła Colina spojrzeniem. – Przydałby się prysznic?

Ubrana w dres, najwyraźniej zamierzała pobiegać w parku. Colin zastanowił się, czy stamtąd uda się wprost do lasu. Ładna suczka, nawet w luźnym dresie diabelnie seksowna. Pachniała wanilią. Odkrył, że ma na nią niesamowitą ochotę.

Wymruczał w odpowiedzi coś nieskładnie, jako że nie był najlepszy w kokieteryjnych manewrach. Zaśmiała się krótko i już po chwili zamykały się za nią drzwi. Colin stracił szansę błysnięcia inteligencją. Całe szczęście, cholera, gdyż pora nie była stosowna na romanse. Noce będzie tu spędzał



bardzo aktywnie. W zasadzie ona także. Mógłby.. Zaklął pod nosem.

Zamyślił się i dlatego wyczuł go z opóźnieniem. Odwrócił się, stając z facetem twarzą w twarz.

- Gustujesz w starszych od siebie? - zapytał lodowatym tonem Nigel.

Świetne wejście, brawo, Colin. Nie przychodziła mu do głowy sensowna riposta. Zawsze wolał pozostawiać zabieranie głosu innym. A w tej chwili nie chciał dodatkowo zaognić sytuacji.

- Porozmawiamy w barze?

Ruchem głowy Colin wskazał niewielkie pomieszczenie po prawej stronie hotelowego hallu. Rankami podawano tu gościom hotelowym śniadania; po południu sala zmieniała wystrój, by służyć amatorom napojów wysokokowych.

Rozumował, że bezpieczniej będzie odbyć spotkanie w miejscu publicznym, ponieważ Nigel, członek Rady Miejskiej, w obecności osób postronnych powinien okazać się mniej skory do wybuchu. Na razie Stewart jedynie wpatrywał się w Colina zimno.

- Przyszedł pan ze mną porozmawiać? - zapytał Colin, czując się jak kretyn.

Stewart wyminął go i wkroczył do sali. Świeciła pustkami. Przy jednym ze stolików migdałiła się jakaś para; z kilku wyłapanych przez Colina słów wynikało, że gość dopiero co poderwał laskę. Przy innym dwaj mężczyźni pochylali się nad szklankami piwa, a Colin rozpoznał drugi, zdecydowanie mniej ponętny z unoszących się w hallu

zapachów. Szatyn i rudzielec konwersowali bez zapału, przy czym pierwszy urywanymi zdaniem opowiadał, jak to we wtorek wieczorem wszedł do restauracji i nagle poczuł... Stara śpiewka. Colin przestał słuchać, zwłaszcza że miał teraz na tapecie co innego.

Nigel wybrał stolik w narożniku sali, z dala od pozostałych gości. Uniósł dwa palce, na co dziewczyna za barem skinęła głową.

- Zgodnie z umową mieliśmy cię tu nigdy więcej nie oglądać - wycedził Stewart, kiedy Colin opadł na krzesło.

Władczy wygląd i władczy styl bycia świadczyły, że facet jest przyzwyczajony do uzyskiwania posłuchu. Colin poczuł, jak do gardła podchodzi mu gniew; zawsze tak reagował na próby wywierania na niego presji. Opanuj się, upomniał sam siebie, tym sposobem niczego nie osiągniesz.

- Panie Stewart... Jak pan by zareagował, gdyby zakazano panu kontaktów z Vivian? Gdyby żyła... a pan nie mógł nawet na nią spojrzeć?

Colin poważił się na ryzykowny krok, wybierając najdrażliwszy z możliwych tematów. Ale też Nigelowi niełatwo przyjdzie zbić taki argument.

Poniewczasie pomyślał, że uznanie jego racji wymagałoby od Stewarta postawienia znaku równości między nimi dwoma, a takiej możliwości drań zapewne w ogóle nie uwzględniał.

- Kiedy twój ojciec ją uwiódł, także jej nie oglądałem.

Uwiódł. Związała od ciebie, durny palancie. Nie mogła przy tobie oddychać, sprostać żadnemu z twoich pieprzonych

oczekiwań.

Colin podsłuchał kiedyś, jak Vivian opowiadała o swym życiu Godfreyowi. Znacznie młodsza od Nigela, miała szesnaście lat, gdy w ciągu miesiąca ich rodzice zmarli jedno po drugim, jakby dla ojca życie bez matki straciło sens. Nigel przejął rodzicielskie obowiązki, biorąc je sobie bardzo do serca. Za bardzo, nie chciał bowiem dostrzec, że jego siostra jest już właściwie dorosłą kobietą. Vivian wiedziała, że brat ją kocha, a każda jej porażka czy niesubordynacja dotkliwie go rani. Nie wytrzymała presji. Uciekła z pierwszym facetem, który wzbudził jej zaufanie.

To prawda, że intencje Godfreya nie były czyste. Pragnął przeprowadzić eksperyment, żeby uzyskać dowód na potwierdzenie swoich chorych teorii. Potrzebował do tego kobiety, która stworzyłaby mu normalny dom i obdarzyła go normalnymi dziećmi. Zakochał się w Vivian dopiero później, po ślubie – niemniej kochał ją szczerze. I nie przytłaczał tą miłością.

- Rozmawiał pan z nią przez telefon, odwiedzaliście nas przynajmniej raz w roku. - Colin poszukał łagodniejszych argumentów. - Ja nie widziałem Emily i Mata przez siedem lat.

- Gdyby ci na nich zależało, zjawiłbyś się wcześniej. Zniknąłeś z ich życia i niech tak zostanie. Nie masz tu czego szukać. Pakuj się i zmiataj z miasta, albo naślę na ciebie policję. Pod zarzutem napastowania nieletniej.

- To moja siostra, do cholery! - Colin poderwał się, uderzając pięścią w blat.

Poczuł ból w knykciach i opanował się. Opadł z powrotem na krzesło. Miał szczęście, że stół z grubego drewna oparł się sile ciosu.

Drań przesadził, ale wrzaskami Colin co najwyżej ściągnie sobie na kark gliny. A musiał spędzić w okolicy przynajmniej parę dni, jeśli chciał rozwiązać zagadkę. Chodziło przecież o bezpieczeństwo Emily i Mata.

- Ona jest moją siostrą - powtórzył Colin. - Niedawno... dotarło do mnie, jak kruche jest życie. To brzmi banalnie, wiem, jednak gdy człowiek uświadomi sobie tę prawdę, pragnie zobaczyć najbliższych.

Trzymał się podanej wcześniej wersji, jako że takie wyjaśnienie niespodziewanej braterskiej wizyty Nigel zapewne usłyszał od żony.

Wymuszonym uśmiechem Stewart podziękował barmance, która postawiła przed nimi dwa piwa. Dziewczyna przeniosła zdumione spojrzenie z poważnego przedstawiciela lokalnych władz na młodego mężczyznę o aparycji włóczęgi. Colin zaklął w duchu. Będzie sobie musiał kupić przyzwoite ubranie.

- Boi się pan, że ją skrzywdzę? Dlaczego odmawia mi pan szansy?

- Mam ci przypominać?

Colin zmrużył oczy. Pytanie zabrzmiało, jakby Nigel oskarżał go o... zabicie ojca i matki w celu uprowadzenia rodzeństwa. Stewart, człowiek chory z nienawiści, byłby zdolny snuć podobne teorie. Ale, cholera, gdyby podejrzewał Colina, nie gawędziliby sobie beztrąsko przy

piwku.

- Byłem młody i głupi. Podśluchałem, jak mówił pan tamtemu urzędnikowi, że zabiera Mata i Emily, a ja pana nie obchodzę. Że jeśli zajdzie konieczność, wystara się pan dla mnie o sądowy zakaz zbliżania się do rodzeństwa. Jakbym panu cokolwiek zrobił... albo im.

- Zdajesz sobie sprawę, w jakim stanie był Mat? Wydaje ci się, że chodził na terapię w związku z utratą rodziców? Nie twierdzę, że jej głęboko nie przeżył, ale to ciebie się bał, dręczyły go koszmary z tobą w roli głównej i twoje imię wykrzykiwał przez sen. Więc mi nie opowiadaj, że byłeś dobrym braciszkiem! I nie rób ze mnie drania dlatego, że chciałem ich przed tobą chronić!

Colina zaszokowała ta informacja. Pragnął wierzyć, że stanowi zaledwie wytwór chorego umysłu. Musiała nim być. Tracił niekiedy panowanie - każdemu się zdarza, nie był najwspanialszym bratem, jakiego można sobie wymarzyć, ale żeby zaraz koszmary...

Oszukiwał się. Słowa Nigela znajdowały potwierdzenie w rozjarzających się na ułamki sekund obrazach z przeszłości, a zwłaszcza z ostatnich dni, jakie Colin spędził z rodzeństwem. Mat zapierał się, chwytając się kurczowo mebli i framug, kopiając i wrzeszcząc, aż wreszcie Colin zatkał chłopcu usta dłonią, trzepnął go po głowie i coś cicho do niego powiedział, nie pamiętał już co. Nie chciał pamiętać. Niewątpliwie było to coś drastycznego, bo mały umilkł i potem już tylko się trząsał. Boże, przez lata Colin tak bardzo się starał zapomnieć. Pojął, że nie ma prawa szukać

kontakty z rodzeństwem.

Ale to przecież Godfrey doprowadził go do takiego stanu, niemalże opętania. Przeklęty sukinsyn. Poza tym Colin nie złożył rodzeństwu wizyty dla własnego widzimisie, lecz skłoniły go do niej ważne okoliczności. Szkoda, że nie mógł użyć tych argumentów.

- Nie wiedziałem - powiedział cicho do Nigela. - Nie chciałem wiedzieć ani nawet się zastanawiać. Proszę posłuchać... ja ich znalazłem. Myśli pan, że łatwo jest się z takiego doświadczenia otrząsnąć? Straciłem ojca i kobietę, która przez trzynaście lat zastępowała mi matkę. Uważałem się za dorosłego mężczyznę, czułem się odpowiedzialny za Mata i Emily. Ojciec utrzymywał, że nie posiada krewnych, nie miałem więc pojęcia o istnieniu stryja. Sądziłem, że brat i siostra to moja jedyna rodzina. Wydarzenia toczyły się zbyt szybko, bym zdołał przysiąść i poważnie zastanowić się nad przyszłością, jednak ilekroć o niej myślałem, widziałem nas troje razem, siebie troszczącego się o nich. Potrzebowałem ich. I nagle pojawił się pan, zamierzając mi te najbliższe, jedyne bliskie mi istoty odebrać. Moja reakcja była samolubna, ale jak pan by się zachował na moim miejscu? Działalem w szoku, zapewne też nazbyt impulsywnie. Nie zastanawiałem się nad ich pragnieniami i uczuciami... albo raczej zakładałem, że są zbieżne z moimi. Nie rozumiałem, dlaczego nie wolno mi ich widywać. Nie rozumiałem aż do dzisiaj, jeszcze chwilę temu... Sądziłem, byłem przekonany, że chodzi wyłącznie o to, że nie akceptował pan mojego ojca w roli męża pana siostry.

Umilkł. Wystarczy, to wyznanie i tak zbyt wiele go kosztowało. Odsłonił się przed draniem; gdyby Nigel to wykorzystał i uderzył, Colin nie ręczył za siebie.

Do diabła, takim myśleniem dowodził jedynie racji swego rozmówcy.

Niemniej nawet Gordonowi nie zwierzył się nigdy z odczuć z tamtego okresu. Należały do przeszłości, raz na zawsze oddzielonej grubą kreską, podobnie jak Ianthe czy młodzieńcze lata Godfrey'a i jego rola w straży. Stryj szybko dał Colinowi do zrozumienia, że nie życzy sobie odgrzebywania starych dziejów. Było, minęło, nic się nie poradzi. Życie takich jak oni obfituje w straty, zginą więc, jeśli pozwolą sobie na oddawanie się rozpaczom bądź rozważaniom, co by było, gdyby.

Mieszkańcy osady nie użalali się na los ani nie rozpamiętywali przeszłości, mimo że niejednen członek społeczności poległ, służąc sprawie. Colin się dostosował. Oczekiwano po nim siły, zdecydowania i opanowania, budował je zatem w sobie. I chyba osiągnął cel. Może kiedyś, gdy znajdzie właściwą partnerkę, pokrewną mu duszę, wyrzuci z siebie tłamszone przez lata uczucia.

O Macie i Emily nie rozmawiał z liderem od dnia, w którym opuścił areszt. Stanęło na tym, że dzieciakom będzie dobrze u wujostwa, i zakończono temat. Niekiedy, mówiąc o zasadach wychowywania dzieci, Gordon jakby nawiązywał do rodzeństwa Colina, imiona tych dwojga nie padły jednak ani razu. O Godfreyu i Vivian zamieniali czasem ze stryjem kilka chłodnych zdań, gdyż tego tematu

nie dało się zakończyć, dopóki trwało śledztwo. No i Colin, wbrew zaleceniom, nie zdołał oczyścić umysłu z nauk ojca, tak że konieczna okazała się ciągła konfrontacja wpajanych synowi przez Godfreya teorii z rzeczywistością.

Cisza przy stoliku się przedłużała. Nozdrza Nigela poruszały się, krew pulsowała wściekle w jego żyłach. Colin milczał, obawiając się, że każde kolejne jego słowo osłabi efekt poprzednich lub wręcz sprowokuje wybuch. Przeciwnik stopniowo się uspokajał.

- Noreen utrzymuje, że się zmieniłeś - odezwał się wreszcie Stewart. - Każdego obdarza przesadnym kredytem zaufania. Ale... Przyjmijmy, że poddałem cię testowi i uzyskałeś wynik pozytywny. Jeśli z powodu mojego zakazu miałbyś znowu popełnić jakieś głupstwo, wolę, żeby wszystko odbywało się za moją wiedzą i pod moim nadzorem. Możesz nas odwiedzić w sobotę przed południem. Porozmawiasz z Emily i zobaczymy, co dalej. Przekonamy się, jaka będzie jej reakcja. Jeśli ci powiem, że masz stąd wyjechać, wyjedziesz. Natychmiast. Czy wyrażam się jasno?

Colin skinął głową, czując, że zalewa go fala ulgi. Stał się cud: osiągnęli porozumienie. Nie widział powodu, by Emily przyjęła jego drugą wizytę z mniejszym entuzjazmem niż pierwszą, nawet jeśli Nigel planował rozegrać rzecz po swojemu. Dobrze, że drań wyznaczył mu termin na sobotę, gdyż tym sposobem Colin zyskał dzień na rozeznanie się w sytuacji. Im później nastąpi kolejna konfrontacja ze Stewartem, tym lepiej, jej wynik był bowiem trudny do



przewidzenia. I tak Colin opuści miasteczko dopiero, gdy ustalą, co zwabiło do niego tych zdezorientowanych biedaków.

- W twoje relacje z Matem nie zamierzam ingerować - ciągnął Stewart. - Chłopak jest prawie dorosły, więc sam może za siebie decydować. Jednak ze względu na jego nie najlepsze wspomnienia na twój temat, radziłbym ci omijać go z daleka. Kiedy będzie chciał porozmawiać, sam cię znajdzie. Wie, gdzie się zatrzymałeś. Wyrażam się jasno? - powtórzył.

Colin znowu skinął głową. Nigel dalej wygłaszał protekcyjnalne uwagi, przy czym na końcu każdego zdania czaiła się groźba: jedno drobne potknięcie i umowa przestaje obowiązywać, a Colin natychmiast wylatuje z miasta. Testu ciąg dalszy czy też drań nie potrafił sobie darować? Gdyby Colin wybuchem dowiódł swej nieobliczalności, Stewart z czystym sumieniem zakazałby mu widywania Emily.

Noreen chyba nieźle się napracowała, żeby mąż nie popędził na policję. Pozornie cicha myszka, najwyraźniej miała na niego spory wpływ. Przysłała Nigela do Martha's Inn, aby naocznie przekonał się o zmianie, jaka zaszła w niegdyś porywczym chłopaku. Argumentowała zapewne, że Emily ucieszyła się na widok brata i zakaz spotkań ją zrani, wypada więc dać Colinowi szansę. Nigel ustąpił, bo mogłaby mu tak truć w nieskończoność. Niemniej w duchu kalkulował, że sprowokuje Colina, udowodni iluzoryczność owej przemiany i tym przekona żonę, że kontakty między

rodzeństwem są niewskazane.

Colin odprowadził Stewarta spojrzeniem. Teraz, kiedy opadły z niego emocje, czuł się wykończony, fizycznie i psychicznie. I cholernie głodny, gdyż rozmowa na nowo zaostrzyła mu apetyt. Niestety, na posiłek w hotelowej restauracji mógł liczyć dopiero rano. Leniwie sącząc piwo, nadstawił ucha na konwersację przy stoliku szatyna. Głupawa gadka o kobietach, a nadawał głównie rudzielec.

Colin dopił swoje piwo i spojrzał na nietkniętą szklanekę Nigela. Nie. Musiał zachować trzeźwość umysłu, a z tym i tak już nie było najlepiej. Uregulował rachunek i wziął klucz z recepcji.

\*\*\*

Fragmenty rozmowy z Nigelem powracały w rozbłyskach i Colin coraz bardziej się na siebie wściekał. Otworzył się przed swoim największym wrogiem! Psiakrew, też sobie znalazł powiernika. Rzuciłby kilka stonowanych argumentów na temat braterskiej miłości, przebrnął przez cholerny test, i po krzyku.

Zamarł, włożywszy klucz w zamek. Cholera! Powinien wcześniej się zorientować, że w pokoju ktoś przebywa. Akurat ten gość mu nie zagrażał, niemniej w innych okolicznościach mógłby zarobić kulkę. Co się z nim, do diabła, dzieje?

Zapalił światło.

Na łóżku siedziała po turecku Emily, mrużąc porażone blaskiem oczy. Mimo zaścielającego schody i korytarz

miękkiego dywanu usłyszała Colina sporo wcześniej, nim dotarł do drzwi.

- Ja tego nie zrobiłam - powiedziała cicho. - Chyba nie myślisz, że zrobiłam?

Usiadł obok siostry, po czym kumplowsko trącił łokciem jej ramię. Chętnie by ją objął, ale nie miał śmiałości. Usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz kogoś przytulił, kiedy ktoś przytulił jego. To musiała być matka. Vivian próbowała, ale jej Colin na takie gesty nie pozwalał, mimo że niezawodnie kierowały nią jak najlepsze intencje.

Tym paru kobietom, które przewinęły się przez jego życie, także nie potrafił okazać czułości. Przeważnie nie darzył ich nawet sympatią; służyły zaspokojeniu innego rodzaju potrzeb. Właściwie Colin wolał wilczyce, bo mógł sobie z nimi pozwolić na więcej.

- Gdybyś to była ty, nie pisaliby o niedźwiedziu, tylko o pumie albo o wilku.

- Ja wiem na pewno, bo pamiętam każdą chwilę. - Ożywiła się. - Wtedy siedziałam w domu całą noc. A kiedy wychodzę... bo nie całkiem potrafię nad sobą zapanować, coś mnie zmusza do biegu, ale poza tym nigdy... nawet nie...

- Wiem, maleńka.

Sztywno przygarnął dziewczynkę ramieniem. Emily oplótła go rękami w pasie, tuląc głowę do piersi brata. Przypomniawszy sobie groźbę Nigela. Jak drań by zareagował, gdyby ich teraz nakrył?

- Jak się tu dostałaś?

- Pete mi pomógł.

- Pete?

- Kumpel. Syn Marthy, otworzył mi drzwi uniwersalnym kluczem.

- Wpuszcza cię do pokoiów gości?

Odsunąwszy się na długość ramion, mała spojrzała na Colina zde gustowana.

- Nie jesteś gościem, jesteś moim bratem. Pete często zagłada do pokoiów. Twierdzi, że potrafi ocenić człowieka po wyglądzie jego sypialni, po pierwszym dniu pobytu. No i czasem znajdzie coś ciekawego... Kolekcjonuje takie tam drobiazgi. Ale nic nie mów, dobrze?

- Twój wuj wyszedł z hotelu pół godziny temu. Boi się o ciebie, postawił mi surowe warunki. Jeśli się zorientuje, że cię nie ma w domu...

- Spoko, powiedziałam cioci, że idę do Pete'a i że Martha mnie odwiezie. Często się odwiedzamy, a ciocia i Martha bardzo się lubią. Martha jest zaganiana, nie zauważy. Bo my zwykle bawimy się na strychu albo z tyłu w szopie, a „wrazieco” Pete da mi cynk. Wyluzuj.

Colin parsknął śmiechem, choć nie całkiem podzielał przekonanie siostrzyczki o naiwności Nigela. Liczył jednak, że „wrazieco” Noreen będzie dziewczynkę kryła.

- Nie wyglądasz na przestraszoną... albo zagubioną. - Przyjrzał się małej badawczo. Dziwne, ale nadal niczego u niej nie wyczuwał. - Kiedy to się stało po raz pierwszy?

- Ze mną? Miesiąc temu.

- Jeden raz?! Znaczy... przez czas jednej pełni?

Pewnie dlatego nic nie czuł! Świeżo przebudzony

organizm Em nie zaczął jeszcze wydzielać charakterystycznej dla świadomych woni.

- No, trzy noce z rzędu - potwierdziła, wyraźnie dumna, że czymś zadziwiła brata. - Instynkt, normalka. Pani White mówiła, że zwierzęta zawsze wiedzą co robić, nawet jeśli żadne starsze zwierzę im nie powie. Mogą być jednym jedynym zwierzęciem danego gatunku w danym miejscu. Na przykład, gdyby kot wychował się z psami i był przekonany, że jest psem, to instynktownie i tak zachowywałby się po kociemu. Bo tak go zaprogramowała natura, podobnie jak się programuje komputery. Prawda?

- U nas to trochę bardziej skomplikowane - odparł ostrożnie.

Colina nie dotknął problem nagłego odkrycia, że jest kimś innym, niż mu się przez lata wydawało. Od pierwszego miesiąca życia przejawiał dwoistą naturę - tak mu powiedział Godfrey, jego przewodnik, marny wprawdzie i zmuszający syna do walki z wrodzonymi instynktami, niemniej od niego właśnie Colin dowiadywał się, jakich doznań ma oczekiwać.

Z kolei dopiero od Gordona usłyszał, że ci świadomi, którzy są zdolni do przemiany od urodzenia, wykazują większe wewnętrzne zrównoważenie. Dwie natury, od początku wyraźnie w nich obecne, przenikają się wzajemnie, zlewając w jednolitą całość. Są silniejsi od pobratymców, u których przebudzenie nastąpiło w późniejszym okresie życia, i lepiej od nich panują nad instynktami.

Colin zrównoważony, dobre sobie! Nie spotkał bardziej rozdygotanego wewnątrznie świadomego. Ale to już była zasługa pierdolonego Godfrey'a.

W każdym razie Colin zawsze zdawał sobie sprawę z obecności wilka w sobie. Cokolwiek kazał mu na ten temat myśleć ojciec, gdzieś w podświadomości Colina gnieździło się przekonanie, że wszystko przebiega zgodnie z prawami przyrody, a on sam jest dokładnie taki, jaki być powinien. Nie czuł się zaskoczony, odkrywając u siebie kolejną nietypową - nieludzką - cechę czy umiejętność.

A Emily? Dorastała wśród niewtajemniczonych ludzi, w przeświadczeniu, że niczym się od nich nie różni. Bez rewelacji przeżyła ponad setkę pełni księżyca, aż miesiąc temu spojrzała na okrągłą tarczę i nagle stwierdziła, że musi się przebiec. I przyjęła tę potrzebę jak najzwyklejszą rzecz pod słońcem. Instynkt? Możliwe, ale niechybnie pomógł też jej młody wiek, jako że dzieci wiele spraw traktują lżej niż dorośli.

Dlaczego, do cholery, nikogo przy Emily nie było? Dziesięciolatkom nie pozwala się jeszcze na przemianę, dzieci w tym wieku nie powinny się nawet orientować, kim są. Jeśli zaś z jakichś powodów jedno i drugie okazuje się nieuniknione, za przygotowanie do pierwszej transformacji i łagodne wprowadzenie dziecka w zagadnienia drugiej natury odpowiedzialni są opiekunowie bądź obserwatorzy.

Świadomi ani na moment nie tracą kontaktu z rzeczywistością, wiedzą, a nie jedynie odnoszą wrażenie, że dzieje się z nimi coś nowego i dziwnego. Mogą się czuć

zaskoczeni i zdezorientowani lub wręcz bać się zachodzących w nich zmian, są jednak w stanie ocenić ich realność. Nie wątpią we własne zmysły. Niemniej zostają uprzedzeni o czekającym ich doświadczeniu. Opiekun lub obserwator wybiera moment stosowny na odstawienie powstrzymywaczy, potem zaś czuwa na wyciągnięcie łapy, gotów służyć wyjaśnieniami lub zapewnieniem o prawidłowym przebiegu procesu.

Emily potrząsnęła głową. Nikogo nie zauważyła ani nie wywęszyła, nikt się do niej nie zgłaszał, nie czynił aluzji, nie wręczał jej ziół ani amuletów. Po prostu wzeszedł księżyc i pojęła wszystko.

- Ode mnie dostaniesz amulet - powiedział Colin.

Rozczuliła go swoją dziecięcą naiwnością; „wszystkiego” on sam długo jeszcze nie pojmie. Pogrzebał w sakwie i wyjął z niej niewielki pęk wisiorków. Wyszukał odpowiedni.

- Muszę rozgryźć, co tu się dzieje. Na razie nie mam bladego pojęcia, ale sytuacja mi się nie podoba. Jutro zaczyna się pełnia. Nie powinnaś wychodzić w nocy.

Zawiesił jej amulet na szyi. Mała oglądała z zaciekawieniem i obracała w palcach pokryty magicznymi symbolami kamienny krążek z dziurką.

- Powstrzyma transformację - wyjaśnił. - Noś go bez przerwy, w dzień i w nocy. Zachodzą tu dziwne zjawiska, bo normalnie nieświadomi nie przemieniają się, jeżeli nie ma pełni księżyca. Coś w okolicy na nich wpływa.

Colin słyszał tylko o jednym przypadku wcześniejszej transformacji nieświadomego, przy czym nastąpiła ona w

efekcie testowania silnego wywoływacza. Spośród dwunastu poddanych eksperymentowi osobników przemienił się jeden. Jakie było zatem prawdopodobieństwo zaistnienia takiej sytuacji jak tutejsza?

Hammer zginął na sześć dni przed pełnią, dlatego też Colin uznał za oczywisty fakt, że winę za ową śmierć ponosi świadomy. Choć brakuje tu ścisłych reguł, przemiana poza pełnią wymaga pewnej siły i praktyki, ewentualnie także odpowiednich ziół lub amuletów. Colin wprawdzie nie wykluczał brata z kręgu podejrzeń, stawiał jednak raczej na obserwatora bądź innego doświadczonego osobnika, który przybył w te okolice z nieznanymi przyczyn, przypuszczalnie - Colin skłaniał się ku tej opinii - pozostających w związku z zabójstwem Godfrey'a.

Tymczasem okazało się, że całkowicie się w swoich założeniach pomylił. Wokół roilo się od nieświadomych, hasających swobodnie po lesie mimo niepełnego księżyca, przy czym spora część z nich, wnioskując po zapachu, oddawała się temu nie od wczoraj.

- Ty się od nich różnisz - ciągnął Colin. - Jesteś wilkołakiem świadomym, bardziej odpornym na wszelkiego rodzaju oddziaływania. Jednakże, cokolwiek wymusza ich przemianę, może w końcu wpłynąć również na ciebie. Sam dziwnie się tutaj czuję. Jak... rozkojarzony?

Czy o to właśnie chodziło? Cholera, chyba tak, gdyż zebranie myśli ewidentnie sprawiało Colinowi kłopot. Nie widział sensu w pytaniu o nietypowe doznania Em, ponieważ świeżo przebudzeni i w normalnych warunkach



nie narzekają na ich brak.

- Domyślasz się może, kto zabił? - zapytał i zaraz zganił się w duchu. Przesadził, psiakrew, rozmawiał przecież z dziesięciolatką.

- Mówię ci, siedziałam w domu. Jest ich dużo, coraz więcej. Wtedy były cztery.

- Na pewno dokładnie cztery?

- Cztery wyły. Trzy o polowaniu, jeden o krwi. Myślisz, że to ten? Może któryś się nie przyłączył?

Pokręcił głową. Reakcja na zew przypomina odruch bezwarunkowy, więc żaden z obecnych wówczas w lesie nie mógł pozostać obojętny. A przynajmniej Colin miał nadzieję, że reguła znajduje tu zastosowanie. Na czymś przecież musiał się oprzeć.

Zatem w sobotnią noc po lesie biegało czworo nieświadomych, co równało się czworgu podejrzanym o zabicie Hammera. Dwoje Colin już odnalazł. Banał.

- Tu u Marthy też są, prawda? - Emily bardzo chciała być pomocna. - Kobieta i mężczyzna. Ona jest dłużej.

- Od soboty?

- Zauważyłam ją w poniedziałek. Colin... - Spoważniała nagle. - Czy one tu przyszły z mojego powodu? Zawylałam parę razy miesiąc temu. Czy je tym przywołałam?

- Nie, szkrabie, wycie by ich nie przywołało. Nie jesteś odpowiedzialna za żadne z ich działań. Ani za śmierć Hammera, ani za nic, co jeszcze zrobią. Dowiem się, czemu się tu zjawily, obiecuję. Nie wyjadę, dopóki nie rozwiążę tej zagadki. A teraz...

- Wiem. - Emily westchnęła. - Do domu.

- Nigel pozwolił mi do was wpaść w sobotę.

Przestrzegł małą przed zbytnią wylewnością wobec kolegi i wreszcie pozbył się jej z pokoju.

\*\*\*

Biedactwo. Jak się czuje dziesięciolatka obarczona tajemnicą, którą nie wolno jej się z nikim podzielić? Cholera, trochę Colina przerażała tak spokojnym podejściem do drugiej natury. Zwierzyła się Matowi? Raczej nie, gdyż podczas wizyty u Stewartów odniósł wrażenie, że brat nie wiąże Em ze sprawą. Kolejny temat na jutro.

Zanadto się przejmował. Dotąd nieczęsto obcował z dziećmi, miał też ogólnie ograniczone pojęcie o reakcjach na pierwszą przemianę. Może rzeczywiście działa tu instynkt i rady opiekuna lub obserwatora nie są konieczne, lecz jedynie zalecane, żeby zminimalizować ryzyko nieprawidłowości. Paru przyjaciółom ze straży wymknęło się słówko czy dwa na temat ich pierwszego razu, ale byli wtedy znacznie od Em starsi, trudno więc owe doświadczenia porównywać. Poza tym tego typu relacje bywają ubarwione, podobnie jak mało kto opowiada szczerze o utracie dziewictwa.

Należało się raczej cieszyć, że dziewczynka, zamiast wpaść w panikę czy rozpacz, zachowała trzeźwy osąd sytuacji. Ale nie, Colin szukał dziury w całym. Szkoła Godfrey'a. Gordon miał słuszość, trzeba oddzielić grubą kreską wszelkie wspomnienia o sukinsynu. I na co dzień to

się Colinowi udawało. No, prawie. Niemniej w tej okolicy obrazy z przeszłości wręcz go zalewały, on zaś nie potrafił wszystkich odepchnąć.

Swoim pytaniem Emily zabiła mu ćwieka. Czy przybyli do miasteczka z jej powodu? Jakiś związek między przebudzeniem Em, a pojawieniem się tu bandy do niedawna nieaktywnych, bez dwóch zdań, nieświadomych zachodził z całą pewnością. W podobny zbieg okoliczności nie uwierzyłyby nawet optujący za najprostszymi wytłumaczeniami Dustin. Ten sam czynnik, który uaktywnił drugą naturę dziewczynki, odpowiadał za przebudzenie i przyciągnięcie w te rejony zerówek (Colin pozwolił sobie na użycie nieco rasistowskiego określenia, jakie niezawodnie zastosowałby kolega). Co to za czynnik? I czemu, do cholery, wystąpił akurat w miejscu zamieszkania Emily?

Odłożył „czemu?” na później. Istniała szansa, że to wyjaśni się samo, kiedy Colin znajdzie odpowiedź na pierwsze pytanie, czyli „co?”. Gdyby chociaż coś odczuwał, poza nieszczególnie pomocnym w rozwiązywaniu zagadek rozkojarzeniem! Cóż, Colin był bardzo silny, a zatem także odporny na wpływy, może jednak ktoś z brygady Fisha zdoła opisać charakter oddziaływania.

Z westchnieniem wyłuskał z kieszeni komórkę. Pora skończyć z tą dziecinadą. W Europie był wczesny ranek, ale mimo to Colin wybrał numer stryja. Powitała go informacja o niedostępności abonenta. Jasna cholera, co z tego Gordona za przywódca? Powinien być osiągalny zawsze!

Colin zdawał sobie sprawę, że niesłusznie się wścieka.

Ilekcroć obowiązki lidera przejmował czasowo Kent, Gordonowi nie należało w ogóle zawracać głowy. Zastępca jako jedyny znał tajny kanał kontaktowy, przy czym korzystał z niego wyłącznie w sytuacjach podbramkowych. Colin miał obowiązek składać raporty Kentowi, załączając ewentualnie pokorną prośbę o przekazanie liderowi najważniejszych informacji. Ale niech go szlag, jeśli pozwoli jakiemuś tam wice prawić sobie kazania i wydawać polecenia w sprawach rodzinnych.

Wybrał numer Fisha. Niech oni się spowiadają staremu. Sorry, chłopaki, służba nie drużba, tak więc nici z piątkowej imprezy. Będą wściekli, rzadko bowiem opuszczali osadę dla frajdy. Czemu Colin odczuwał z tego powodu satysfakcję? Odbieraj, pacanie! Gdzie się włóczysz?!

Wreszcie uzyskał połączenie. Kontaktując się przez telefon, trzeba zachowywać najwyższą ostrożność. Więcej informacji przekazuje się pozornie przypadkowymi chrząknięciami i powarkiwaniem niż słowami, tak że tylko inny świadomy potrafi zrozumieć treść. Mimo to konkrety ogranicza się do minimum. Colin trochę się nabiedził, żeby, przestrzegając zasad, naświetlić Fishowi powagę sytuacji.

Spoko, wyruszą, jak tylko uzyskają pozwolenie. W głosie kolegi Colin nie usłyszał nadmiernego zdziwienia, starał się więc delikatnie dociec przyczyn: czyżby znali temat? To oznaczałoby, że obserwator jednak złożył meldunek. Nie, chyba raczej ktoś ze straży trafił na artykuł i pokazał go reszcie. Domyślili się celu wyprawy Colina i kryli kumpla przed Kentem, teraz zaś oberwą za brak czujności.

Cholera, nadal nie mógł uwierzyć, że Gordon pokpił sprawę i nikogo nie wyznaczył do opieki nad Em. Niezawodnie niewiedzę Fisha dało się wyjaśnić inaczej – po prostu nikt nie pędziłby informować szefa straży o akcji grupy do zadań specjalnych, bo to nie jego broszka. Ba, Fish, nagabywany kiedyś przez Colina, odparł, że nie słyszał o żadnej specjalnej jednostce.

Diabła tam nie słyszał. Przywództwo straży było wysokim stanowiskiem, więc jej lider z pewnością miał dostęp do wielu sekretów organizacji, tyle że nie mógł się nimi dzielić. Skurczybyk najwyraźniej kłamie lepiej, niż się przyznaje. Colin ze złością zacisnął zęby.

Wszedł pod prysznic, żeby wreszcie spłukać z siebie brud kilkudniowej podróży. Gorąca woda przyjemnie masowała mu ciało, spływając spod stóp szarym strumyczkiem.

Jak Godfrey zareagowałby na przebudzenie Emily? Niewątpliwie uznałby je za osobistą porażkę i rzucił się małą „ratować”, „leczyć”. Z gardła Colina dobył się głuchy warkot. Dobrze, że sukinsyn zszedł z tego świata, niech go piekło pochłonie. A Nigelowi powiedział, że skurwiela kochał! Śmiechu warte.

Co Vivian widziała w Godfreyu? Nawet jeśli oczarował ją na początku znajomości, z czasem musiała się przecież zorientować, z kim dzieli łożę. Colin poświęcił chwilę na analizę wyrwanych z odmętów pamięci scenek. Niech to, w obecności żony łajdak się hamował, nie miała zatem pojęcia, jak Godfrey traktuje starszego syna. Przy niej ograniczał się do gniewnych komentarzy, a pełnię swoich

możliwości prezentował wyłącznie wtedy, gdy przebywał z Colinem sam na sam. Zabierał syna do domku w lesie i tam się nad nim pastwił. Tak, Vivian mogła nie znać prawdy.

Na pewno jej nie znała. W porównaniu z jej bratem Godfrey musiał się żonie wydawać delikatny i mało wymagający. Czasem, gdy w jej obecności napadł słownie na Colina, czyniła mu łagodne wyrzuty. Wyciągał w takich momentach argument nie do zbicia: Colin nie jest jej dzieckiem. Vivian zaś przyznawała mu rację, myślała bowiem, że jako mężczyzna Godfrey wie lepiej, jak wychowywać chłopaka.

Radośnie witała męża, kiedy wracał z pracy, spędzali romantyczne weekendowe wieczory i prowadzili rzeczowe dyskusje o sprawach domowych, uzgadniając, do jakiej Mat pójdzie szkoły bądź na które zajęcia dodatkowe powinien uczęszczać. Vivian dowartościowywało takie wspólne podejmowanie decyzji, gdyż Nigel nigdy nie pytał siostry o zdanie. Kochała męża i była zbyt szlachetna, żeby powziąć podejrzenia. Godfrey zresztą okazywał żonie i maluchom wiele czułości. Oszukiwał ją, odgrywając przy niej mężczyznę, jakim pragnął się stać. Normalnego człowieka.

Akurat z oszukiwania Colin nie mógł czynić ojcu zarzutu, ponieważ dzięki kłamstwom Godfrey'a Vivian była szczęśliwa, przez lata nie tracąc nic z pogody ducha. A posiadała jej sporo. Ilekroć jej męża coś gryzło – miał fatalny dzień w pracy czy dopadł go zły nastrój – zawsze znajdowała słowa pocieszenia i potrafiła pomóc mu się odprężyć.

Niekiedy w Godfreyu gromadziło się zbyt wiele negatywnych emocji, co kończyło się wybuchem. Niemniej kłótnie także stanowią element codziennego życia – owej normalności, o której Godfrey tak marzył. W tym związku wrzeszczał on, Vivian zaś głównie płakała, ewentualnie próbowała się bronić. W nim ogień stopniowo się wypalał, aż wreszcie ogarniał go wstyd. Wychodził z domu, wściekły na siebie i cały świat, a Colin bardzo uważał, żeby w takich chwilach nie znaleźć się w zasięgu wzroku ojca. Potem Godfrey przeproszał żonę lub, częściej, zachowywał się, jakby nic się nie zdarzyło. A Vivian cieszyła się z powrotu rodzinnej sielanki.

Tak, w oczach żony drań wydawał się całkiem porządnym facetem. Możliwe, że uważała się wręcz za szczęściarę.

\*\*\*

Colin przeszedł nagi do pokoju, otworzył okno i wsłuchał się w wieczorne odgłosy. Z oddali dobiegały pojedyncze wycia, na które z rzadka odpowiadały psy.

Na tych terenach wilki reintrodukowano około ośmiu lat temu. Od tamtej pory ich populacja rozrosła się do kilkuset osobników, niemniej nadal znajdowały się pod kuratelą biologów. O wyciu niewątpliwie powiadomiono straż leśną i FWS<sup>\*</sup>, zatem lada dzień w miasteczku pojawią się, jeśli już nie przybyli, naukowcy zainteresowani ustaleniem, skąd przywędrowała tutejsza wataha.

Członkom społeczności dobro wilków leży na sercu, jako że wzajemne relacje zawsze poprawnie się układały.

Niektórzy czują się nawet bliżsi im niż ludziom. Na przyrodników spogląda się więc przychylnym okiem, a Colin nie stanowił pod tym względem wyjątku. Teraz jednak zaklął pod nosem. Przy takiej bandzie nieświadomych wydawało się całkiem prawdopodobne, że wkrótce badacze radośnie obwieszczą światu odkrycie nowego gatunku.

Drugim problemem byli łowcy. Artykuł o tragicznej śmierci Hammera nieodzownie zwabi ich w te okolice, gdyż każdy szanujący się łowca regularnie przeczesuje Internet. Colin ponownie wybrał numer Fisha. Czy kumpel pomyślał o wsparciu prasowym? Przyda się parę wzmianek o atakach zwierząt w odległych rejonach kontynentu - wypadkach bardziej intrygujących niż obecność niedźwiedzia grizzly w Górach Skalistych.

Zwykle nie przesadza się ze wsparciem, ponieważ gwałtowny wzrost agresji wśród zwierząt po każdej dokonanej przez nieświadomego napaści w mig wzbudziłby podejrzenia. Oficjalnie na całą społeczność składa się zaledwie kilka rozproszonych, bezradnych osobników, które nie tylko nie wiedzą nawzajem o swoim istnieniu, ale przeważnie nie orientują się nawet w kwestii własnej odmienności. Dla tutejszej sprawy należało jednak uczynić wyjątek, wykorzystując każdą szansę na zawrócenie łowców z drogi.

W głosie Fisha zabrzmiała irytacja. Rozumie się, że pomyślał o wsparciu. Jest, do cholery, przywódcą straży. Colin nie powinien kwestionować jego kwalifikacji.

- A nawiasem mówiąc, twój ostatni żart wzbudził w



pewnych kręgach niemałe poruszenie - rzucił Fish na pożegnanie, co miało oznaczać, że Kent aż się zagotował z furii.

Przed nocną wyprawą Colin postanowił uciąć sobie drzemkę dla oczyszczenia umysłu. Kent mu zwisał i powiewał, ale jeśli on się wściekł, jakiej reakcji należało oczekiwać po Gordonie? Do diabła, Colin też miał do stryja parę uwag. Tak, zdecydowanie potrzebował drzemki. Czekąco go tego wieczoru konkretne zadanie, nie mógł więc zaprzętać sobie głowy pierdołami.

Spał czterdzieści pięć minut, w trzech częściach. Po każdej krótko lustrował pokój i zmieniał pozycję. Tę relaksującą i zarazem pozwalającą zachować kontrolę nad otoczeniem metodę odpoczynku Colin zapożyczył od wilków - to była kolejna z niezliczonych umiejętności, jakie opanował pod okiem Gordona.

- Przyłączmy się na tydzień do watahy - oznajmił Gordon pierwszej zimy w osadzie, przy czym główny cel wyprawy polegał na odizolowaniu Colina na pewien czas od członków straży, ponieważ nastroje zbyt się podgrzały. - Obserwuj zwyczaje wilków. W przeciwieństwie do ludzkich wynikają z przystosowania się do otoczenia. Dyktuje je instynkt. Każde wilcze zachowanie posiada głęboki sens i służy określonemu celowi, choć czasem trzeba wysiłku, by ów sens i cel dostrzec. Nie nakłaniam cię do bezkrytycznego naśladownictwa, ale niczego z góry nie odrzucaj. Daj sobie czas na przetestowanie. Kilka dni, tydzień, miesiąc. A nuż odkryjesz, że jakieś pozornie głupie

rozwiązanie idealnie odpowiada twoim potrzebom.

Wilcza metoda spania początkowo wydała się Colinowi kretyńska. Jak można wypocząć, budząc się co kilka minut? Jasne, mnogość wrogów wymusza zachowanie czujności, lecz jeśli ktoś przebywa w bezpiecznym otoczeniu, po co miałby się katować? Spróbował jednak, żeby nie wyglądało na to, że lekceważy polecenia lidera. I ze zdumieniem skonstatował, że wstaje bardziej wypoczęty, a w ogólnym rozrachunku wystarcza mu mniej godzin snu niż poprzednio.

Teraz Colin sypiał wyłącznie w ten sposób. Wydłużył tylko czas jednostkowej drzemki do kwadransa w miejsce wilczych pięciu, najwyżej dziesięciu, minut, takie rozwiązanie uznał bowiem za optymalne dla swego organizmu.

Było grubo po dziesiątej, kiedy się ubrał i opróżnił kieszenie. Wolałby udać się do lasu od razu w wilczej postaci, ale że umknęła mu kwestia rozpoznania terenu, taka wyprawa byłaby zbyt niebezpieczna.

Czy nie przesadzał z ostrożnością? Tutejsi nieświadomi w większości opuszczali hotelowe pokoje przemienieni, a w miasteczku nie wybuchła dotąd panika. Członkowie społeczności mają umiejętność wtapiania się w otoczenie wręcz zakodowaną w genach. Paru mieszkańców mogło zauważyć biegnącego psa i odruchowo rozejrzeć się w poszukiwaniu właściciela, szybko jednak zapomnieli o sprawie. Mimo to Colin zdecydował, że nie będzie bez potrzeby ryzykował.

\*\*\*

Niepostrzeżenie opuścił hotel. Przejście przez park okazało się nad podziw łatwe - po parominutowym spacerku wzdłuż jeziora mała o tej godzinie uczęszczaną ścieżką dla miłośników joggingu znalazł się na skraju lasu. Wkrótce otoczył go ofiarujący cudowne poczucie bezpieczeństwa gąszcz.

Colin się rozebrał, zawiązał spodnie i sweter w skórzaną kurtkę, po czym upchnął tobolek wraz z butami w wykrot pod korzeniami przechylonej wichurą topoli. Przemiana zajęła mu osiemdziesiąt pięć setnych sekundy. Tak szybka transformacja dostarczała Colinowi ogromnej przewagi nad potencjalnymi przeciwnikami, gdyż nawet najsprawniejsi świadomi na całkowitą zmianę postaci potrzebują zwykle kilkunastu sekund. U nieświadomych proces trwa nawet do dziesięciu minut, przeważnie też wiąże się ze sporym bólem. Jak przebiegał u Emily?

U świadomych transformacja rzadko bywa bolesna, choć ci najłabsi odczuwają pewne niedogodności. Emily nie potrafiła powstrzymać przemiany siłą woli, zatem na pewno była słabsza od Colina. Ale o ile? Wiele ze swych umiejętności Colin nabył drogą długich i zmudnych ćwiczeń, Em zaś stawiała dopiero pierwsze „świadome” kroki. Może więc jeszcze zaskoczy brata, w mig ucząc się zarówno powstrzymywać transformację, jak i ją wywoływać.

Jednakże, nawet jeśli Emily okaże się silną świadomą, to cholera wie, jak jej organizm zareagował na szok pierwszej

przemiany. Standardowy zestaw ćwiczeń na siłowni nie wydaje się zabójczym wyzwaniem dla przeciętnego człowieka, niemniej gdyby faceta, który od dziesięciu lat spędzał czas wyłącznie za biurkiem lub przed telewizorem, wysłać na trzygodzinny trening, następnego dnia nie byłby w stanie ruszyć nogą. Colin żałował, że dokładniej nie wypytał Emily o transformację. Chociaż pewnie sama by się poskarżyła, gdyby coś jej dolegało. Dziecięce organizmy łatwiej się przystosowują, może więc Em przy swoim pierwszym razie nie odczuła najmniejszego dyskomfortu.

Sunął leniwym truchtem – pozornie leniwym, poruszał się bowiem z prędkością prawie jedenastu mil na godzinę, stawiając długie kroki. Miejscami, na błotnistym podłożu, odznaczał się pojedynczy trop w jednej linii, charakterystyczny dla wilków, stawiających tylną łapę w miejscu, które przed ułamkiem sekundy opuściła przednia. Żaden myśliwy nie wzięłby jednak śladów Colina za wilcze, jego łapy były bowiem zbyt masywne, a pazury za długie i za ostre, mimo że w trakcie biegu pozostawały schowane.

Chociaż Colin stąpał lekko, wytrawny tropiciel odczytałby też, że waży on niemal dwukrotnie więcej niż Przeciętny wilk – przemiana nie wpływa na wagę ciała, a Colina każdy bez wahania określiłby potężnym mężczyzną.

Naturalnie był też dłuższy i wyższy w kłębie nie tylko od przeciętnego basiora, ale i od największych zaobserwowanych okazów. Gdyby ktoś stanął z nim oko w oko, uznałby go raczej za niedźwiedzia, także z racji

masywnych kończyn. Colin miał ciemną sierść, niemal czarną, a na łbie tworzyła mu się miniaturowa grzywa.

Dzięki informacjom ze znalezionej w necie artykułu Colin orientował się, w której części lasu powinien szukać. A że zwietrzała woń ludzkiej krwi wyraźnie wskazywała kierunek, bez problemu odnalazł miejsce śmierci Hammera.

Wywarczał kilka siarczystych przekleństw.

Poprzedniej nocy nieświadomi pętali się tu całą bandą, wskutek czego nowe zapachy nałożyły się na stare i nie sposób było ustalić, kto wcześniej odwiedził te rejony samotnie. Wprawdzie w obliczu niespotykanego napływu zerówek wykrycie zabójcy Hammera schodziło na dalszy plan, niemniej Colin wolałby wiedzieć, na kogo powinien zwrócić szczególną uwagę. No, ale trudno. Z dwójgiem potencjalnych winowajców już rozmawiał i stwierdził, że są niegroźni. Musiał teraz tylko odnaleźć pozostałych dwóch (bądź dwoje), potem zaś zdecydować, czy któremuś z nich zaaplikuje zioła usypiające.

W konfrontacji z człowiekiem, oceniwszy niebezpieczeństwo jako realne, nieświadomy raczej atakuje niż ucieka. Zabójca Hammera zapewne nie wyróżniał się niczym szczególnym – po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Niewykluczone, że wszyscy obecni tamtej nocy w lesie zaatakowali gromadą, sprowokowani przez Hammera. Każdy inny nieświadomy w takiej sytuacji zareagowałby podobnie, brakowało więc podstaw, aby wyłączać akurat tę czwórkę. Chcąc zagwarantować bezpieczeństwo ewentualnym spragnionym

wrażen nocnym markom, Colin musiałby uśpić całą watahę, wówczas zaś nie dowiedziałby się, dlaczego tu przyjechali. Pomijając już drobną okoliczność, że nie zabrał z osady dostatecznego zapasu ziół.

Pora odnaleźć watahę i zorientować się w nastrojach poszczególnych osobników. Jeśli trafi się parę bardziej agresywnych, Colin uziemi je na najbliższe noce w hotelowych pokojach, przy czym martwy Hammer nie będzie miał na te decyzje wpływu.

Truchtał z łbem ustawionym w linii tułowia, dostroiwszy nos i uszy, żeby wychwytywały przede wszystkim oznaki obecności zwierzyny łownej. Łownej, niestety, w cudzysłowie. Ach, ileż by dal za możliwość upolowania soczystego królika! Myśląc o jedzeniu, niepotrzebnie się rozpraszał. Był po części wilkiem, do cholery, a zatem wytrzyma bez posiłku nawet dobę czy dwie, nie odczuwając najmniejszego osłabienia.

Słyszał ich już, wałęsających się bezładnie w tę i z powrotem. Choć w wilczej postaci rządziły nimi wilcze instynkty, nie nauczyli się jeszcze robić użytku z wyostrzonych zmysłów. Colin niemal się o nich otarł, a niczego nie wyczuli.

Nieświadomych w ludzkiej postaci cechuje zwykle drobna postura bez tendencji do tycia, tak więc mało który przekracza wagę stu pięćdziesięciu funtów. Dlatego po przemianie przypominają wilki bardziej niż Colin. Ci tutaj wyglądali jak gromadka dobrze odżywionych i wyrosniętych okazów, o typowym brunatnym lub niekiedy wpadającym w

szarość umaszczeniu, zaokrąglonych uszach i bursztynowych oczach. Jedynie łapy mieli zbyt masywne, tak że nawet mało wytrawnego znawcę dręczyłyby wątpliwości, czy patrzy na wilki. Uznałby raczej, że natknął się na dziwne mutacje *Canis lupus*.

Warczeli i ścierali się, serio bądź w ramach zdobywania szlifów, ustalały się sympatie i antypatie. Część baraszkowała niczym szczenięta, inni krążyli po lesie w oddaleniu od grupy, nieporadnie usiłując zapolować - nawet wychowany w niewoli wilk poradziłby sobie lepiej. Cud, że przy takiej bezładnej bandzie była dotąd tylko jedna ofiara śmiertelna.

Colin w całym swoim życiu nie widział tylu zerówek naraz, także w osadzie. Inna sprawa, że nieświadomych rzadko sprowadza się do osady. Standardowa procedura postępowania z przebudzonymi zerówkami zakłada ich ponowne uśpienie, poprzez dominację, niekiedy wspomaganą ziołami. Osobnik wraca do dawnego życia, do rodziny i pracy, jakby nic poważnego nie zaszło. Sądzi, że cierpiał na przejściowe problemy o podłożu psychicznym, spowodowane nadmiarem stresu, przez pewien czas źle sypiał, ale już wszystko wróciło do normy, czuje się wręcz jak nowo narodzony. W razie zagrożenia dekonspiracją, przeważnie związanego z pojawieniem się w okolicy łowcy, nieświadomemu załatwia się nową tożsamość i przenosi go wraz z rodziną w inne miejsce, wmawiając mu bzdurę w rodzaju tej, że został objęty programem ochrony świadków.

Po uśpieniu wszyscy nieświadomi znajdują się pod stałą

dyskretną obserwacją. Przeciwdziałała się ich ponownemu uaktywnieniu, powtarzając raz na kilka lat, czasem miesięcy - w zależności od predyspozycji danego osobnika - zabieg dominacji bądź serwując kolejną porcję ziół.

Większy problem występuje, kiedy ktoś z bliskich nieświadomego zaczyna się domyślać prawdy. To sytuacja czysto hipotetyczna, ponieważ nawet bardziej od Colina doświadczony Fish dotąd się z czymś takim nie zetknął; w każdym razie tego typu przypadki leżą już poza kompetencjami straży. „Organizacja ma swoje sposoby” - tylko na taką odpowiedź Colin mógł liczyć, gdy zdecydował się zagadnąć o tę kwestię Rogera, Gordona czy choćby Fisha. Podejrzał, że w domu nieświadomego pojawiają się wówczas specjaliści z innej osady, podający się za agentów rządowych bądź policjantów. Przesłuchują rodzinę, okazując sceptycyzm i pogardę, aż wreszcie każdy rozsądny człowiek przyznaje, że coś się jej/jemu przywidziało: oczywista bzdura, żeby tatuś czy brat był wilkołakiem!

Zapewne stosuje się także rozwiązania bardziej drastyczne, inaczej bowiem nie istniałby powód, żeby wyłączać owe zadania z kompetencji straży. Straż ma bronić ludzi i członków społeczności, w każdej sytuacji. Nikt nie kazałby więc strażnikowi zabić nieświadomego albo niewygodnego świadka.

Jeśli przebudzenie pociągnęło za sobą ofiary w ludziach, straż ma obowiązek ustalić przyczynę zdarzenia. Zwykle da się je zakwalifikować jako nieszczęśliwy wypadek: ktoś wpadł na nieświadomego i przestraszył go swym



agresywnym zachowaniem, prowokując atak. Aplikuje się wówczas standardową procedurę postępowania, z tym że – ponieważ śmiertelne ofiary wabią łowców – zawsze organizuje się zerówce nową tożsamość. Nieświadomi wychodzą na żer w pobliżu swych miejsc zamieszkania, a że są nimi tereny raczej rzadko zaludnione, łowcy wystarczyłoby do namierzenia obiektu niewielki wywiad. Wprawdzie wraz z trwałą dezaktywacją wilczej natury osobnik przestaje reagować na wykrywacz, co w oczach części łowców eliminuje go z kręgu podejrzeń, zdarzają się jednak w branży i tacy, którzy wyznają zasadę, że lepiej zastrzelić niewinnego człowieka, niż pozwolić bestii się wymknąć.

Gdy pojawia się uzasadnione przypuszczenie, że zabójstwo nastąpiło wskutek polowania, a zatem celowo chociaż w wypadku zerówek trudno mówić o typowej premedytacji, a co najwyżej o żądzy mordy – osobnika oddaje się w ręce sądu, czyli starszyzny osady pod przewodnictwem lidera. Po krótkim procesie zapada decyzja o ograniczeniu wolności bądź likwidacji nieświadomego. Z zastrzeżeniem, że drugie rozwiązanie w ostatnim stuleciu zastosowano bodajże raz.

Dawniej nie patyczkowano się tak z osobnikami narażającymi społeczność na zainteresowanie świata. Kulka w łeb załatwiała sprawę. Obecnie większą wagę przywiązuje się do komfortu psychicznego członków społeczności. Powinni zdawać sobie sprawę, że nie unikną kary za złamanie zasad, zarazem jednak mają się czuć

ważni dla organizacji także jako jednostki.

Dlatego właśnie wygodniej jest pozostawić brudną robotę łowcom. Członek społeczności zginie od kuli jednego z nich – taki los, nikt nie zgłasza pretensji. Łowcy zawsze istnieli i będą istnieć, są złem koniecznym, a teraz tym bardziej nie da się ich zlikwidować bez zwracania niczyjej uwagi. Społeczność nie może podejmować zakrojonych na szeroką skalę akcji, natychmiast bowiem wyszłoby na jaw, jak doskonale jest zorganizowana, i tym samym upadłby najważniejszy z budowanych przez wieki mitów.

Colin przypuszczał, że niejednego niewygodnego osobnika wystawiono już łowcom na odstrzał. Oni też muszą przecież niekiedy odnieść drobny sukces, który utwierdzi ich w fałszywych teoriach na temat zwierzyny. Niechże więc padnie na kogoś, kogo organizacja i tak chce się pozbyć. Zapewne w historii społeczności zdarzało się też, że łowcę obarczano winą za egzekucję dokonaną przez służby organizacji. Łowcy stanowią dogodny obiekt nienawiści, bo i tak wiadomo, że nikt nie wyruszy wymierzać im sprawiedliwości na własną rękę. A jeśli zajdzie potrzeba, zawsze można wydać na „mordercę” wyrok, żeby rodzina poczuła satysfakcję z wywarcia zemsty.

Decyzje o likwidacji łowcy niosą ze sobą ryzyko, dlatego się nimi nie szafuje. Mimo to Colin zdołał już jednego zaliczyć. Ów typ wpadł na trop osady, stawką było więc bezpieczeństwo organizacji. Ze względu na wagę sprawy Gordon zajął się nią osobiście, wziął jednak ze sobą bratanka, czyniąc z akcji kolejny etap szkolenia. Wyrok

wykonał Colin, pod czujnym nadzorem stryja.

Colin z niechęcią uniósł fafle. Usunięcie łowcy kwalifikowało się do zadań specjalnych, dlaczego zatem podjął się go lider? Można by dojść do wniosku, że wyspecjalizowana formacja jednak nie istnieje. Ponieważ misje tego typu niewątpliwie zdarzają się rzadko, do ich wypełniania wystarczy jedna osoba. Z braku innych kandydatów o stosownych predyspozycjach tą osobą był teraz Gordon, Colina zaś przygotowywano na przejęcie funkcji w niedalekiej przyszłości.

Zaklął pod nosem. Widział teraz jasno, że nie może liczyć na pomoc ekspertów. Przynajmniej dopóki nie przybędzie Gordon - o ile w ogóle się zjawi. Obecność straży oczywiście się przyda, niemniej Fisha nauczono działań zgodnych z procedurą, a w tym wypadku procedura nie miała zastosowania.

Colin słyszał tylko o jednym grupowym przebudzeniu nieświadomych, przy czym chodziło wtedy o trzy spokrewnione osobniki. Termin ujawnienia się wilczej natury jest uwarunkowany genetycznie, zatem przy tak ograniczonej liczebności populacji zgranie w czasie większej liczby przebudzeń wydaje się co najmniej nieprawdopodobne. Na co dzień miewa się do czynienia wyłącznie z pojedynczymi sztukami.

Proces przebudzenia trwa u nieświadomych od dwóch do Sześciu lat. Zaczyna się od coraz bardziej niespokojnego snu w nocie pełni, później pojawiają się majaczenia i somnambulizm w ludzkiej postaci, aż wreszcie następuje

przemiana, najpierw częściowa, zaledwie na kilka minut, z czasem jednak okresy przebywania w zwierzęcej postaci się wydłużają, a wilcza forma nabiera docelowych kształtów. Instynkty budzą się stopniowo, organizm nieświadomego przechodzi zaś do kolejnej fazy dopiero wówczas, gdy każda jego cząstka zaakceptuje poprzednią dawkę odmienności. Dzięki tak łagodnemu przebiegowi procesu osobnik tak w ludzkiej, jak i w wilczej postaci jest zrównoważony (co nie oznacza, że niegroźny, ten aspekt bowiem zależy od jego usposobienia).

Tymczasem według wszelkich symptomów członkowie obserwowanej przez Colina grupy przebudzili się dosłownie z dnia na dzień, i to w dodatku przed nastaniem pełni! Ich organizmy doznały gwałtownego wstrząsu, nic więc dziwnego, że w obu postaciach byli zagubieni i nerwowi. Czyżby przeprowadzono kolejne testy wywoływaczy i eksperyment wymknął się spod kontroli? Cholera, brak kontroli wydawał się ostatnią rzeczą, jaką ktokolwiek mógłby zarzucić organizacji.

Do przebudzenia świadomego wystarczy często zaledwie jedna pełnia. W zasadzie wszyscy potencjalni świadomi są rejestrowani, raczej więc nie występują sytuacje, kiedy organizacja dowiaduje się o przebudzeniu dopiero po fakcie, jak to się nagminnie zdarza w wypadku zerówek. Naturalnie, nie można wykluczyć przelotnego romansu świadomego, który zaowocowałby nieplanowaną ciążą, jednak od przebywających poza osadą mężczyzn oczekuje się wykazu ich kontaktów seksualnych, dzięki czemu

prawdopodobieństwo pominięcia ewentualnej wpadki zostaje zmniejszone do minimum. W każdym razie Colin uznałby przebudzenie Emily za standardowe, gdyby nie najazd zerówek. Cokolwiek przyciągnęło je do miasteczka, przy okazji aktywując ich drugą naturę, niechybnie wpłynęło także na jego siostrę.

\*\*\*

Doliczył się w lesie szesnastu nieświadomych, nie nazwałby jednak tej grupy watahą. Instynktownie garnęli się do siebie, ale nie potrafili wytworzyć typowej dla wilków społecznej hierarchii. Przede wszystkim zaś brakowało im lidera.

Choć poszczególni zainteresowani mogą to widzieć inaczej, w naturze zerówek leży podporządkowanie. Zarazem każde stado potrzebuje przewodnika. Skoro więc w okolicy nie znalazł się świadomy, który chciałby objąć stanowisko, do tej funkcji pretendowały trzy najbardziej zdecydowane basiory. Przyglądając się potyczkom konkurentów, Colin wątpił, aby któremuś udało się pozyskać pełną akceptację grupy. Zresztą, gdyby nawet tak się stało, z nastaniem dnia osobniki wrócą do bliższej im ludzkiej postaci, a ich podświadomość zepchnie dziwaczne nocne wspomnienia w najciemniejsze zakamarki. Kolejnej nocy będą na nowo odkrywać wilczy świat, a kandydaci na lidera walkę o władzę rozpoczną od podstaw.

Colin postanowił, że skupi się dziś na obserwacji i wywiadzie, rezygnując z aktywniejszych działań. No bo co

innego mógłby zrobić? Dopóki nie wykryje źródła przyciągania, próby usypiania i odsyłania zerówek do domów przyniosłyby więcej szkody niż pożytku.

Poszczególne osobniki oceniał pod kątem poziomu agresji. Dwa zakwalifikował jako dostatecznie nabuzowane, by mogły zabić człowieka dla samej przyjemności polowania. Wręcz rozglądały się za ofiarą. Stwarzały zagrożenie.

Colin zapamiętał więc ich wonie - za dnia odszuka oba i, jeśli zdoła, zneutralizuje.

Pierwszym był jeden z pretendentów do przewodzenia stada. W gorącej wodzie kąpany, atakował, dostrzegłszy choćby cień prowokacji. Jeśli przeciwnik uznał jego wyższość, kulił uszy i przewracał się na grzbiet, wtedy furiał, warknąwszy kilka razy, odstępował. Ponieważ jednak nie każdy okazywał uległość, co rusz dochodziło do starć. By objąć funkcję lidera, potrzeba stanowczo więcej opanowania.

Drugi agresywny basior wydawał się bardzo młody. Wnioskując z budowy wilczego ciała, w ludzkiej postaci był wymoczkowatym nastolatkiem stanowiącym pośmiewisko dla kolegów. Kiedy więc zniecka poczuł się niezwyciężony, woda sodowa uderzyła mu do głowy. Palił się, żeby nowo odkrytą sprawność spożytkować w bezpośrednim starciu.

Colin krążył wokół stada, nie kryjąc się zbyt, wiedział bowiem, że rano nieświadomi i tak nie będą niczego pamiętać. Niektórzy kładli uszy po sobie w odruchu

podporządkowania, jako że zerówka zawsze ulegnie jedyńce, czyli świadomemu. Gdyby Colin ich wezwał, ruszyliby za nim posłusznie. To znaczy, powinni, jednak w tym dziwnym miejscu bezpieczniej było nie przyjmować niczego za pewnik.

Wyłuskawszy z tej bandy Basila, Colin podbiegł, aby zapytać go o poprzednie noce. Otrzymał odpowiedź bez ładu i składu, jakby dla basiora życie rozpoczęło się ledwie parę godzin wcześniej. Dosłownie plątały mu się łapy, tak że przypominał stawiającego pierwsze kroki szczeniaka, który rozpaczliwie rozgląda się za matką.

Niewiele lepszy efekt przyniosła rozmowa z Agnes.

- Miejsce w lesie, gdzie czuć ludzką krew. Co tam robiłaś?

- Księżyc świeci - odwarknęła wadera.

- Skup się. Dlaczego tam poszliście?

- Gdzie?

- Krew, zapach krwi. Pamiętasz?

- Krew. - Oblizła fagle różowym jęzorem. - Polowanie!

- Patrz na mnie. Czy ktoś zaprowadził was do krwi?

- Jakiej krwi?

Wypytał kilku kolejnych, ale tutejsi nieświadomi w wilczej postaci raczej nie błyszczeli inteligencją. Każdy sądził, że jego pobyt na świecie ogranicza się do paru spędzonych dziś w lesie godzin. Gdyby przebudzenie przebiegło łagodniej, może Colin zdołałby wydobyć z nich jakieś wspomnienia z ubiegłych nocy (albo chociaż dwa składne zdania na jakikolwiek temat), a tak, cóż,

pozostawało mu pogodzić się z myślą, że dalszy wywiad mija się z celem. Z niejedną wilczycą przeprowadził rozmowę głębszą niż z Agnes.

Właściwie Colin generalnie miał wyższe mniemanie o wilkach niż o zerówkach. Może i przemienieni nieświadomi sprawniej unikają pułapek bądź wywodzą w pole łowców, jednakże nie sposób z nimi pogadać.

Rozpoznał kobietę z hotelu. Szlag, ależ z niej ślicznotka! W wilczej postaci wydała się Colinowi nawet ponętniejsza... Zawarczał głucho. Na suczki przyjdzie czas później. Na razie powinien trzymać się od niej z daleka.

Nadbiegł kolejny, już siedemnasty osobnik. Nieprawdopodobne. Cholera, przecież w całej Ameryce Północnej zdarzają się przeciętnie dwa, trzy przebudzenia rocznie.

Colin liczył, że tej nocy natknie się na wskazówkę, co je tu przyciągnęło lub w jakim celu się gromadzą. Ale nic nie wskazywało, że którykolwiek z osobników zdoła go oświecić. Może stawiał niewłaściwe pytania? Zastanawiał się nad kolejnym ruchem, kiedy nocną ciszę rozdarł huk wystrzału.

Nieświadomi poderwali łby. Co bardziej strachliwi rzucili się do ucieczki, zaraz jednak pojęli, że hałas dobiegł z daleka, a zatem nic im nie zagraża. Wkrótce cała grupa wróciła do przepychanek i powarkiwań, zapomniawszy o zdarzeniu.

Colin objął zerówki szybkim spojrzeniem. Zamierzał kręcić się przy nich przez resztę nocy, na wypadek gdyby



jakiś kretyn wybrał się do lasu „poobserwować wilki”. Kretyn w rodzaju Mata. Teraz jednak stwierdził, że musi zmienić plany i odnaleźć tajemniczego strzelca.

\*\*\*

Trochę trwało, zanim wreszcie złapał trop. Miał rację. W lesie był Mat, w dodatku z czterema równie smarkatymi towarzyszami. Colin podążył za nimi, by chwilę później natknąć się na kolejną woń. Jack Benson.

Ze wszystkich łowców Colin najmniej życzyłby sobie wizyty Bena. Zaklął pod nosem.

Facet sprawnie kojarzył fakty, znalazł się już całkiem blisko odkrycia, że ktoś wodzi za nos jego i kumpli po fachu, a obecna sytuacja będzie wymagać ryzykownych i niekonwencjonalnych działań. Benson prawdę o organizacji otrzymał niemalże na tacy. Nie mógł wyjechać stąd żywy, zarazem jednak Colin uważał tego łowcę za zbyt porządnego gościa, żeby go z czystym sumieniem zlikwidować. Jack Benson stanowił rzadki przypadek w swej branży, dostrzegał ludzką twarz bestii.

Ale co łączyło Mata z łowcą? To na tych kontaktach polegała wielka tajemnica chłopaka? Od kiedy Benson angażował do pomocy dzieciaki?

Colin spiesznie podążył tropem całej szóstki. Wreszcie usłyszał głosy. Sunął cicho, śledząc rozmowę szczeniaków z Bensonem. Wynikało z niej, że nie znają się z łowcą zbyt długo. Tak więc wcześniej, w domu Stewartów Colin odgadł trafnie – cały sekret sprowadzał się do zabawy w śledztwo.

W tropienie wilkołaków. Cholera, smarkacze nie uciekali w dwuznaczności. Nie zwlekali też zbyt z wyjawieniem Bensonowi celu ich nocnej wyprawy.

Pewnie dlatego ktoś strzelił, kiedy na siebie przypadkiem wpadli. Prawdopodobnie któryś ze szczeniaków, bo Jack by nie spudłował; skoro zaś Colin nie czuł krwi, nikt nie został nawet draśnięty. A teraz Benson wyprowadzał młodocianych poszukiwaczy przygód z lasu.

- Został pan kiedyś ugryziony? - indagował jeden z kumpli Mata. - Da się z tego wyleczyć?

- Jeśli ma się pod ręką odpowiednie zioła i poda je dostatecznie szybko - odparł Benson. - To bolesne, nie radzę więc próbować.

Dziwne, że Benson tak łatwo ujawnił się smarkaczom. Łowcy preferują dyskrecję, osobom postronnym przedstawiają się zatem zwykle jako myśliwi-amatorzy, przyrodnicy, zagubieni podróżni bądź też policjanci poszukujący zbiega. Niektórzy prędzej zastrzelą ciekawskiego, niż zdradzą swą tożsamość. No cóż, Jack na pewno nie przejawiał tendencji do pochopnego pociągania za spust. Niezawodnie uznał ujawnienie się za jedyny sposób, aby zapanować nad szczeniakami. Podając się za badacza przyrody czy strażnika leśnego, miałby problem z pozyskaniem ich zaufania, nie mógłby też użyć właściwych argumentów, żeby ich utrzymać z dala od watahy.

- Czy to oznacza, że mamy do czynienia z niewinnymi ludźmi, którzy po prostu zostali pogryzieni? - spytał Mat.

- Najprawdopodobniej. Choć wedle podań wilkołakiem

można się stać na wiele sposobów, od zaklęć czy klątw począwszy, poprzez spożycie mózgu wilkołaka i ugryzienie, skończywszy na odziedziczeniu genu. - Benson mówił chłodnym, rzeczowym tonem, jakby chciał pokazać szczeniakom, że temat właściwie nie zasługuje na uwagę takich zagorzałych tropicieli tajemnic, jak oni. - Przeobrażenie niekoniecznie następuje natychmiast po zarażeniu, często więc trudno jednoznacznie wskazać przyczynę. Nie jestem naukowcem i nie słyszałem, żeby nim był któryś z moich kolegów. Interesuje nas, jak je skutecznie tępić i jak się chronić przed zakażeniem. Nie prowadzimy statystyk. Zresztą... zwykle pojawia się jeden obiekt na kilka lat. Jeśli mamy szczęście, udaje nam się ustalić jego nazwisko i miejsce zamieszkania. Przeważnie jednak pozostaje dla nas bezimienną istotą. Na takiej podstawie można wyciągnąć niewiele wniosków, opieramy się więc na wiedzy zawartej w legendach.

- A Hammer? Ten zabity? - dociekał inny smarkacz. - Nie wstanie z grobu? Jak to działa?

- W *Skowycie II* jedną łaskę normalnie pogrzebano, zimny trup w trumnie, a potem, jak przyszli w nocy na cmentarz... - ożywił się trzeci kolega Mata.

- Trzeba przeżyć przynajmniej do najbliższej pełni po ugryzieniu - wpadł mu w słowo Benson. Colin odniósł wrażenie, że jedynie przez delikatność nie nazwał chłopaka kretynem. - Silne oddziaływanie księżyca budzi wilczą naturę, co, zwróćcie uwagę, nie musi od razu oznaczać przeobrażenia, wiąże się jednak ze wzrostem odporności.

Jeśli ktoś umrze przed kolejną pełnią, odejdzie jako człowiek w każdym calu. I dzięki Bogu, inaczej bowiem nie poradziłibyśmy sobie z tą plagą. Rzadko się zdarza, żeby wilkołak ugryzł i uciekł. Pragną zabić, żeby się dostać do serca i płuc, prawdziwych wilczych przysmaków. Jeżeli nie są pewne, czy zwyciężą, nie atakują.

Benson karmił smarkaczy historyjkami dla naiwnych. Z punktu widzenia człowieka ugryzienie przez członka społeczności nie różni się od ugryzienia przez psa czy wilka. A nawet jest bezpieczniejsze, nie grozi bowiem zarażeniem wścieklizną czy innym świństwem.

Co nie znaczy, że część łowców nie żyje w przeświadczeniu, że wirus „księżycowej choroby” może wniknąć do ludzkiego krwiobiegu. Zdarzało się, że ktoś zastrzelił cywila czy kolegę po fachu, żeby go „uwolnić” od klątwy. Pewien zapaleniec osobiście wpakował sobie srebrną kulkę. Benson należał jednak do elity łowców, której członkowie mają zbyt wiele doświadczenia – i oleju w głowie – by dawać wiarę bredniom.

Elicie na zachowaniu tajemnicy zależało niemal w równym stopniu jak członkom społeczności. Doświadczeni łowcy, ci mniej skorzy do pociągania za spust przy byle okazji, usiłują wmówić osobom postronnym, że padły ofiarą przywidzenia, jeśli zaś okaże się to niemożliwe, wymyślają na ich użytek różne zwariowane teorie, garściami czerpiąc z legend i ludowych podań. Niech potem cywil spróbuje przekonać świat, że spotkał wilkołaka.

- Czemu więc wracamy? - spytał Mat. - Z pana słów

wynika, że nie zaatakują sześciu uzbrojonych mężczyzn.

- Uzbrojonych? - zdziwił się Benson.

- Mamy dwie strzelby! - wykrzyknął ten od zimnej laski w trumnie.

- Posłuchajcie. Wilkołaki to przeważnie samotniki. Tylko z takimi miałem dotąd do czynienia. Samotnik by nas nie zaatakował, choć nie ręczę za to głową. Wataha może się okazać bardzo niebezpieczna. Według mojego rozeznania przypada ich co najmniej po dwa na łebka. A wierzcie mi, że nawet łowca z moim doświadczeniem i umiejętnościami czuje respekt przed choćby jednym wilkołakiem.

Colin zastanowił się, co może zrobić. Pragnął utrzymać brata z dala od tych wydarzeń, ale chłopak już tkwił w nich po uszy. Usuwając Bensa, co najwyżej pogorszy sytuację, popchnie bowiem Mata i jego kumpli do działania, na przykład w imię zasady „jeden za wszystkich” lub innej bzdury. Przy obecnym układzie istniał przynajmniej cień szansy, że Jack odwiedzie smarkaczy od samotnych wypraw do lasu. Colinowi by się ta sztuka nie udała.

Poza tym w okolicy mogli się w każdej chwili pojawić kolejni łowcy, których Colin musiałby także wykończyć, a diabli wiedzą, ilu ich się zjedzie. Gordon nie skakałby ze szczęścia, dowiedziawszy się o takiej samowoli bratanka. Cholera, Colinowi pozostawało tylko nawiązać współpracę z Bensonem. Prędzej czy później i tak by na siebie wpadli, szkoda było zatem tracić czas na podchody. Poprzez łowcę zaś Colin łatwiej osiągnie porozumienie z bratem - zjednoczą siły w obliczu poważnego problemu.

- A jeśli kogoś dziś napadną? Weźmie pan to na siebie? - zaatakował Mat.

- Wkrótce zajdzie księżyc i stado się rozejdzie. Jedynymi potencjalnymi ofiarami, jakie tu widzę, jesteście wy. I was właśnie nie chciałbym mieć na sumieniu. Najlepsze, co dziś można zrobić, to trzymać się od nich z daleka. Jutro zastanowimy się nad kolejnym krokiem.

- M-może jednak zawiadomimy szefa policji? - zapytał chłopak, który jako pierwszy poruszył temat ugryzienia.

- Martin, tak? Wyjaśnij mi, jak sobie to wyobrażasz.

- On miewa takie kretyńskie odzywki - rzucił z wściekłością Mat.

- Sam jesteś kretyn!

- Co utwierdza mnie w przekonaniu - oznajmił spokojnie Benson - że miejscem najbardziej dla was odpowiednim o tej porze są wasze łóżka. Spotkamy się jutro. Zaufałem wam i wyjawilem, kim jestem. W zamian oczekuję również zaufania. W przeciwieństwie do was wiem, z czym walczymy i jakie w tej walce stosować środki. Jeśli któryś zechce pójść na policję... no cóż, nie będę strzelał, żeby go powstrzymać. Nie liczcie jednak, że poprę waszą wersję zdarzeń.

- To była tylko sugestia - wymamrotał Martin. - Skoro jest nas za mało...

- Ty lepiej nic więcej nie sugeruj - warknął entuzjasta *Skowytu II*.

- Może pan postawić przyczepę na kempingu mojego ojca. Jest po sezonie, więc nikt nie będzie panu

przeszkadzał - zaproponował kolejny, dotąd milczący chłopak.

- No, w dechę pomysł, Paul!

Grupka dotarła do pozostawionych na skraju lasu samochodów. Colin podszedł na tyle blisko, że widział granatowego freelandera Mata i drugiego land-rovera, nowiutkiego czarnego discovery. Jack wsiadł do wozu Mata. Z poczynionych chwilę wcześniej ustaleń wynikało, że pojedą po przyczepę łowcy, a później na wspomniany kemping.

Zrobiło się już dość późno i nieświadomi rzeczywiście zaczęli się rozchodzić. Jeśli nawet Benson umyślił sobie, że po rozstaniu ze smarkaczami wróci do lasu, nie zdoła dziś dopaść stada. Colin zrezygnował zatem ze ścigania samochodów. Odnajdzie łowcę jutro.

Niestety, nie znał lokalizacji owego kempingu, nie wiedział też, jak Benson umówi się na kolejny dzień z chłopakami. Zapewne spotkają się właśnie przy przyczepie Jacka, i to po południu, gdyż szczeniaki nie podejmą ryzyka wagarów, jeśli zależy im na dyskrecji i swobodzie ruchów. Colin zyskał więc nieco czasu na zaplanowanie tego, w jaki sposób nawiąże kontakt z Bensonem i wyłączy z nocnych harców dwa agresywne basiory.

Potruchtał do miejsca, gdzie ukrył ubranie. Powrót do ludzkiej postaci zajął mu nie więcej niż transformacja w wilka, organizmowi bowiem nie czyni różnicy, w którą stronę się przemienia.

Ostrożnie pobiegł ścieżką wzdłuż jeziora. Nie chciał, żeby

ktoś podkablował Nigelowi, że jego przyszywany siostrzeniec włóczy się po nocy. Gdyby zaś nastąpiło kolejne zabójstwo, także nie zaszkodzi, jeżeli żaden palec nie wskaże Colina. Wyczulone zmysły dwukrotnie ostrzegły go przed nocnymi markami; obie osoby ominął szerokim łukiem.

Do hotelu dostał się tylnym wejściem. Sforsowanie zamka nie sprawiło mu najmniejszego problemu, Gordon bowiem nauczył go posługiwania się wytrychem. Naturalnie, Colin mógł bez wysiłku wyrwać drzwi z zawiasów, tyle że trudno byłoby wtedy mówić o dyskrecji.

Uśmiechnął się pod nosem, ponieważ jako szczeniak użył takiego właśnie argumentu: gmeranie drucikiem jest dobre dla ludzkich słabeuszy. Godfrey zabraniał synowi korzystać z wynikających z wilczej natury umiejętności, kiedy więc wreszcie Colin mógł się nimi cieszyć, popadł w drugą skrajność, krzywiąc się na wszystko, co „ludzkie”.

W pokoju Colin wylądował tuż przed piątą. Zrzucił ubranie, zostając w samych bokserkach. Zwykle sypiał nago, ale teraz obawiał się, że Emily może wpaść na pomysł, by złożyć mu kolejną niezapowiedzianą wizytę.

Mimo chłodu październikowej nocy otworzył okno na oścież.



# PIĄTEK

Colin zwlókł się z łóżka kwadrans przed dziesiątą, cholernie zmęczony.

Pod tym jednym jedynym względem nieświadomi mają przewagę nad świadomymi. W nocy ludzka część ich umysłu się wyłącza, dzięki czemu rano wstają z przeświadczeniem, że całą noc spali, i czują się wypoczęci. Ból mięśni bądź ogólne wrażenie potłuczenia zwalają na senne koszmary, uznając, że widocznie rzucali się w łóżku. Uważają, że skoro spędzają całe dni za biurkiem, to nawet po niewielkim wysiłku, na przykład dłuższym niż zwykle spacerze, ciało może być obolałe.

Tymczasem umysł świadomych pracuje nocą na identycznych jak za dnia obrotach. Oczywiście, cechuje ich większa niż ludzi wytrwałość, zatem okresowo nawet skromna ilość snu wystarczy im, żeby w miarę normalnie funkcjonowali. Nie są jednak z kamienia. Także u nich, podobnie jak u ludzi, zmęczenie ogranicza szybkość reakcji i błyskotliwość w kojarzeniu faktów.

Colin pocieszał się myślą, że z racji zbyt gwałtownego przebiegu procesu przebudzenia tutejsze osobniki są generalnie wycieńczone i skołowane. Nie wstaną dziś wiele świeższe niż on. Tylko czy jemu coś z tego przyjdzie? Zerówka, choćby najbardziej wypoczęta, nie jest w stanie zaszkodzić świadomemu, nie zdaje sobie bowiem sprawy, że

w ogóle powinna się nim interesować. Z punktu widzenia Colina jedyna korzyść z wycieńczenia tutejszych nieświadomych sprowadzała się więc do głupiej satysfakcji.

Zszedłszy na śniadanie, musiał odpowiedzieć na uprzejme – i nad wyraz szczegółowe – pytania właścicielki hoteliku o minioną noc. Spało mu się wyśmienicie, zregenerował siły po długiej podróży, a pokój dostał wprost cudowny, no i ta cisza! Kobieta na pewno złapie zaraz za telefon, żeby przekazać Noreen wrażenia z rozmowy.

Pochłoniął stanowczo zbyt skromny na jego potrzeby posiłek. Przy kawie ułożył plany na dzisiaj. Po pierwsze, należało nawiązać kontakt z Bensonem. Byłoby najlepiej, gdyby wpadli na siebie w mieście, na to jednak Colin nie miał wpływu. Mógłby objechać okoliczne kempingi, tłumacząc, że wydały mu się dość prawdopodobnym miejscem postoju łowców. A że uznał, że w obliczu tak wielkiego zagrożenia dobrze będzie zjednoczyć siły... Wiarygodniej jednak wypadnie w oczach Bersona, jeśli ruszy tropem Mata. Colin miał uzasadnione powody, żeby się niepokoić o jego bezpieczeństwo, łowca raczej więc nie zakwestionuje takiego wyjaśnienia.

Mat wybierze się na spotkanie z Bensonem dopiero po południu, kiedy skończy lekcje. Najpierw zatem, dopóki zachowywał swobodę działania, Colin musiał odnaleźć i uspić na czas pełni dwóch agresywnych typków.

Zastanowił się, czy częstując ich powstrzymywaczem, nie zakłóci rozwoju wydarzeń, utrudniając sobie rozwiązanie zagadki. A jeśli do miasteczka została przyciągnięta ściśle

sprecyzowana liczba nieświadomych? Albo właśnie agresywnym przeznaczono w tej rozgrywce istotną rolę. Hipotezy te wydawały się jednak mało prawdopodobne. Natomiast zostawiając napastliwe basiory w stadzie, Colin naraziłby Mata, który niemal na pewno powtórzy nocną wyprawę. Poza tym po lesie szwendało się coraz więcej osób - przyrodnicy, pracownicy FWS, strażnicy leśni. Odosobniony atak niedźwiedzia zainteresował tylko lokalne media, lecz jeśli ofiar przybędzie, miasteczko przeżyje najazd ogólnokrajowych stacji telewizyjnych. Tak, dwa agresywne osobniki stanowczo należało uspić.

Nie zaszkodziłoby też namierzyć pozostałych podejrzanych w sprawie Hammera. Właśnie jego śmierć zwabiła Bersona. On i grupka smarkaczy łazili po lesie również po to, by wykryć sprawcę, przydałby się więc wiarygodny kandydat na zabójcę. Colin liczył, że któryś z brakującej mu do kompletu dwójki okaże się dostatecznie antypatyczny, by bez skrupułów mógł uczynić z niego kozła ofiarnego. To byłby idealny zbieg okoliczności, gdyby padło na jednego z wczorajszych furiatów. Nieważne, kto faktycznie zabił. Jeśli w grę wchodziła samoobrona, nie warto niszczyć życia jakiemuś biedakowi. Furiatowi natomiast - czemu nie? Dawniej takich typków likwidowano profilaktycznie.

\*\*\*

W drzwiach hoteliku Colin zderzył się ze starą znajomą. Cholera, znowu się zamyślił. Przeprosił, tłumacząc swoją

niezdarność nadmiarem świeżego powietrza, które lekko go otumaniło.

- Tym razem jeszcze ci uwierzę, przystojniaku. -  
Uśmiechnęła się ironicznie.

Podobnie jak poprzedniego dnia, otaksowała Colina wymownym spojrzeniem. Uniosła brew w wyrazie uznania. Przedstawił się jej.

- Celia Alton - odparła chłodno.

- Samotna ucieczka od miejskiego zgiełku? - zagaił.

Dobrzeją wyczuł, rzeczywiście przyjechała z dużego miasta. Z Seattle. Niespotykane, gdyż osoby z wilczym genem, choćby przebudzenie nigdy nie nastąpiło, instynktownie wybierają siedliska bliżej natury - odludne farmy lub niewielkie miasteczka. Jeżeli zaś społeczne lub rodzinne uwarunkowania przymuszają je do podjęcia pracy w jakiejś metropolii, kupują domy na dalekich przedmieściach. Miejski ruch je stresuje, nie lubią nawet krótkich wypadów do centrum, o spędzaniu życia w takim otoczeniu nie wspominając. Mieszkanie w mieście może się dla nich skończyć nawet pobytem na oddziale psychiatrycznym.

Celia tymczasem osiadła w samym sercu wielkiej aglomeracji. Najwyraźniej hałas i panujące wokół zamieszanie jej odpowiadały, nie sprawiła bowiem na Colinie wrażenia osoby niezadowolonej z życia. Cóż, zawsze jest jakiś wyjątek.

Wyjątek, typ zdobywcy, tak w biznesie (własna firma), jak i w kontaktach damsko-męskich, prowadził rozmowę z

niezmiennie ironicznym uśmiechem, zalotny i nieprzystępny zarazem. Colina piekielnie pociągała ta kombinacja. Ale, niestety, czekały na niego obowiązki. Pożegnał się z żalem. Może kiedyś zdoła wpaść na parę dni do Seattle.

Stał chwilę przed Martha's Inn, wsłuchując się w siebie. Przeczucie nie miało mu jednak tym razem nic do powiedzenia. Pozostawały więc tradycyjne metody działania.

Wkroczył na główną ulicę miasteczka, zakładając, że jeśli któryś z poszukiwanych opuścił tego ranka miejsce zakwaterowania, to na dziewięćdziesiąt procent skierował swe kroki właśnie tutaj. To rozumowanie okazało się słuszne, wkrótce bowiem Colin trafił na nitkę zapachu nabuzowanego szczeniaka. Bez pośpiechu podążył tym tropem aż do Burgerów Phila.

Z radością skorzystał z okazji, żeby uzupełnić skromne śniadanie, i zamówił trzy hamburgery. Facet za ladą, zapewne Phil, upewnił się ostrożnie, czy porcja jest przewidziana tylko dla jednej osoby. Cholera, Colin znowu zlekceważył zasady kamuflażu. Wielu dobrze zbudowanych mężczyzn z trudem pokonałoby jednego gigantycznego hamburgera Phila. Ale co tam, żołądek Colina domagał się odpowiedniej porcji jedzenia.

Odebrał hamburgery i dosiadł się do szczeniaka. Pytając o pozwolenie, przybrał taki ton, że chłopak nie mógł odmówić.

Tony Boyce, lat szesnaście i pół, uczeń szkoły średniej w Idaho Falls. Rąbnął wóz matki i jechał tak długo, aż dotarł

do miasteczka. Zagniewany głos smarkacza przechodzącego mutację zdradzał jego wściekłość na świat w ogóle, na Colina za zadawanie pytań, na samego siebie za pokorne udzielanie odpowiedzi, a przy okazji także na niedobór keczupu i nadmiar sałaty w kanapce.

W swej ludzkiej postaci Tony odpowiadał wyobrażeniom Colina: pryszczaty, zakompleksiony wymoczek. Ponieważ do miasteczka zawitał w środę, nie nadawał się na kozła ofiarnego w sprawie Hammera. I dobrze, zasługiwał bowiem głównie na współczucie. Colin raczej nie zdobyłby się na skazanie go bez dowodów.

Przetestował możliwość uspienia smarkacza przez dominację, napotkał jednak znajomy opór. Cholera, w normalnych warunkach świadomy o sile Colina po prostu spogląda takiemu w oczy i rzuca parę słów w stylu: „Jesteś zmęczony, blask pełni odbiera ci chęć do działania, padasz bez czucia na łóżko”. W wypadku większości zerówek tyle wystarczy, by je uspić na długie lata. Nie trzeba się nawet uciekać do szczególnego nacisku w głosie. Tutaj natomiast, choćby w wywarcie presji na Tony’ego Colin włożył maksimum wysiłku, metoda poskutkowałaby najwyżej na jedną noc. Cóż, spodziewał się, że próba przyniesie taki właśnie wynik. Sięgnął więc po zioła.

Wsypał do coca-coli szczeniaka stosowną mieszankę w potrójnej dawce. Ta i kilka kolejnych nocy zaświadczą o skuteczności środka. Ewentualnie Colin będzie się musiał pogłowić nad innym sposobem, gdyż dalsze zwiększanie dawki mogłoby wpędzić Tony’ego w sen wieczny.

Polecił chłopakowi opróżnić szklanę do dna. Powstrzymywacz wpływa wyłącznie na wilczą część natury, dlatego efekt można ocenić dopiero po wschodzie księżyca. Jeśli zioła poskutkują, Tony nie ruszy się w nocy z łóżka.

Żeby Colin musiał korzystać z powstrzymywacza, tego rozwiązania dla słabeuszy! Porażka, cholera. Czy słusznie zakładał, że coś w okolicy uodparnia nieświadomych na dominację? Może problem tkwił w nim samym, przy czym wcale nie polegał na oddziaływaniu tajemniczego czynnika, ale wynikał z osłabienia wspomnieniami. Gordon przestrzegał go przecież, że tak się kończy grzebanie w bolesnej przeszłości.

Bzdury, Colinowi nic nie dolegało. Jeśli miasteczko nie różniło się od setek innych, dlaczego akurat tutaj ciągnęli tłumnie nieświadomi?

Dokończył trzeciego hamburgera.

- Wracaj do hotelu, Tony - rzucił i opuścił knajpę.

\*\*\*

Na ulicy właśnie zaczął węszyć za drugim osobnikiem, kiedy minęła go grupka nastolatków. Przystanął w pół kroku. Nie za młoda godzina na koniec lekcji? Dogonił smarkaczy.

- Jestem starszym bratem Mata Stewarta. Znacie go może? Orientujecie się, o której kończy zajęcia?

- Dzisiaj belfry opanowały szkołę - wyjaśnił z półuśmiechem blondasek, ewidentnie przywódca grupki. - Dzień wolny od tortur. Pewno siedzą u Paula.

Chłopcy bez najmniejszych oporów wytłumaczyli Colinowi, jak ma trafić do Paula.

Szybko wrócił po motor. Niewykluczone, że się spóźnił, i Mat z kumplami byli już u Jacka. Zaklął w duchu. Ale skąd miał wiedzieć, że akurat dzisiaj szczeniak nie musi być w szkole? Blondasek i jego paczka poinformowali Colina, że Staff Development Day trwa od czwartku, a przecież wczoraj Mat nie pojawił się w domu jakoś wstrząsająco wcześnie.

Dom Paula powinien stać nad jeziorem, Colin przyszykował się zatem do skrętu w lewo, w wiodącą nad wodę główną drogę. I wtedy minęły go sunące w przeciwnym kierunku dwa land-rovery - granatowy frelander i czarny discovery. Colin pomyślał, że ma niewiarygodne szczęście.

Zawrócił i ruszył za smarkaczami, zachowując bezpieczną odległość, co przy niewielkim ruchu za miastem okazało się utrudnione. Jeśli Colin nie chciał stracić śledzonych wozów z oczu, narażał się na wykrycie, gdyż na motorze na pustej jezdni był doskonale widoczny. Pozostawało mu liczyć na to, że Paul, kierowca discovery - zapewne prezentu od dzianego tatusia - będzie rzadko spoglądał we wsteczne lusterko.

Po obu stronach ciągnął się gęsty las, droga wiła się, wznosiła i opadała, więc samochody co rusz skrywały się przed wzrokiem Colina. Po pokonaniu kolejnego zakrętu ujrzał, że stosunkowo długi prosty odcinek jezdni przed nim świeci pustkami, nie licząc nadjeżdżającego z przeciwka



forda. Cholera, smarkacze musieli odbić w bok.

Zatrzymawszy się na poboczu, Colin wyłączył motor i chwilę nasłuchiwał. Zostali z tyłu, skręcili w lewo. Przypomniawszy sobie mijaną dróżkę.

U wylotu odnogi zatrzymał się ponownie. Silniki land-roverów umilkły, nie ujechali zatem daleko. Colin ukrył thunderbirda w zaroślach, żeby ryk motoru nie zaanonsował przedwcześnie jego przybycia. Popędził asfaltem.

Usłyszawszy ich głosy, przystanął. Parę minut sprintu zaowocowało jedynie leciuteńką zadyszką; chwilę później Colin oddychał już normalnie. Podkradł się brzegiem lasu i wyjrzał zza zakrętu. Jego oczom ukazał się kemping z osamotnioną przyczepą mieszkalną, srebrną z dwoma niebieskimi pasami.

Ruchomy dom stanowi rozwiązanie wygodne, gdyż cały profesjonalny ekwipunek znajduje się zawsze pod ręką, lecz zarazem ryzykowne, przyczepa bowiem wbija się w pamięć bardziej niż przeciętny samotny samochód. Dlatego większość łowców zakłada sekretne bazy wypadowe, na akcje zaś zabiera jedynie część wyposażenia, sypiając w tanich motelach bądź pod namiotem. Benson jako jeden z nielicznych zawsze włożył ze sobą przyczepę.

Wszyscy stali na zewnątrz – Benson pośrodku i grupka słuchaczy wokół niego. Matowi towarzyszyło czterech chłopaków – ekipa z minionej nocy, oraz dwie dziewczyny – lekko pyzata blondyna i drobna brunetka, której dłoń spoczywała na jego ramieniu. Colin domyślił się, że to jest

Carol. Nadstawił uszu.

- Więc skąd się wzięło, że chodzą na dwóch nogach? - pytał właśnie Martin.

- Się znalazł filmoznawca - prychnął najwyższy z gromadki, blondyn. To on ubiegłej nocy powoływał się na *Skowyt II* i zimną laskę w trumnie. - W jednych łążą na dwóch, w innych na czterech.

- Wyczytałem, że po raz pierwszy wilkołak poruszał się na czterech łapach w *Amerykańskim wilkołaku w Londynie* - odparł rzeczowo Martin. - Czyli dopiero w osiemdziesiątym pierwszym roku! Znaczy, nie licząc filmów, gdzie nie bawili się w charakteryzację i do scen, w których gość biegał przeobrażony, podkładali wilka, bo takie rozwiązanie wynikało z kosztów, a nie z założeń. Czyli co, wcześniej reżyserzy sobie te dwie nogi wymyślili? Zresztą, w *Dog Soldiers* też chodzą na dwóch nogach, a to jedna z najnowszych produkcji, i w dodatku ambitna. Brytyjska.

- Też mi, kurwa, ambitna - mruknął Mat, ale Martin go chyba nie dosłyszał.

- Pan statystyk - prychnęła blondyna.

- O, przepraszam! W takich sprawach liczy się precyzja. Mam rację, Jack?

Benson kiwnął głową, na co Colin zaklął pod nosem. Więc już przeszli na ty. Nie tracili czasu, cholera. I co dalej? Łowca przyjmie ich do siebie na staż?

- Moim zdaniem w dawnych czasach ludzie lepiej znali legendy - ciągnął Martin. - Rozmaite ludowe podania krążyły...

- Okej, już się nie wymądrzaj - przerwał mu Paul. - Nigdzie nas te twoje wywody nie prowadzą. Jeśli Jack mówi, że chodzą na czterech łapach, to znaczy, że tak jest, i już.

- Zgoda, ale może zdarzały się odmiany na dwóch łapach. To chcę wiedzieć. Zdarzały się?

- Nie słyszałem o takich - odparł Benson. - I nie jestem przekonany, czy filmowców kiedykolwiek interesowało wierne odtwarzanie realiów... podań. Nieistotne, dawniej czy dziś. Mało kto wierzy w istnienie wilkołaków, więc co za różnica, czy film odpowiada ludowej prawdzie? W tradycji włoskiej znajdziecie pogląd, że wilkołak nie potrafi ani przez chwilę stanąć wyprostowany na dwóch nogach. Dlatego ucieka się przed nim na dach, drzewo lub drabinę. Albo na schody, nie jest bowiem w stanie pokonać więcej niż trzech stopni. Legendy mówią przeważnie o wilku o zwierzęciu, zatem ruch na czterech łapach wydaje się oczywisty. Niekiedy w opowieści pojawia się „wilk stojący na dwóch łapach", ale jest to pozycja tymczasowa, która ma za zadanie sugerować odmienną domniemanego zwierzęcia. Ucharakteryzowany człowiek na ekranie prezentował się bardziej przerażająco niż zwykły wilk, a przecież takie filmy tworzy się właśnie po to, żeby straszyły. Wraz z rozwojem techniki pojawiły się możliwości komputerowego generowania potworów, więc cztery łapy wróciły do łask. Przy czym, moim zdaniem, u podstaw takiego rozwiązania nie legła nagła fascynacja legendami, lecz jedynie chęć pokazania widzowi czegoś nowego.

- Z tym drzewem i drabiną...? - zapytał Paul.

- Nie miałem okazji sprawdzić. Nie zdarzyło mi się uciekać przed wilkołakiem.

Colin skrzywił się z irytacją. Nie zaszkodziłoby, gdyby Benson włożył w swe odpowiedzi więcej fantazji. W nocy lepiej sobie radził.

- A jak jest z relacją między ludzką a wilczą częścią? - podjął wysoki blondyn. - Na przykład w *Wilku* było, że wilcza część stopniowo opętuje człowieka. Aż do pierwszej pełni, kiedy zostają z niego tylko... yyy... serce i natura?

- No i proszę, kto tu wymyśla teorie na podstawie filmów. - Martin wykrzywił ironicznie usta.

- A ja uważam, że twórcy *Wilka* orientowali się w temacie!

- Taa, cholernie się orientowali. Tyle że nawet księżyca nie udało im się dobrze pokazać. Jednej nocy jest wyraźnie rosnący, a następnej nagle grubo po pełni.

- Moglibyście się nie kłócić o pierdoły? - zdenerwował się Mat.

- Zdaje się, że tam bohater na końcu przeobraża się w wilka na stałe? - upewnił się Jack. - Ja z niczym podobnym się nie zetknąłem. W nocy mamy zwierzę, za dnia człowieka, przy czym żadne nie wie o istnieniu drugiego. Jeśli nikt wilkołaka nie zastrzeli, taki stan utrzymuje się latami.

Cholera, teraz Benson już stanowczo przeginał. Definiował smarkaczom nieświadomego, i to bez najmniejszych ubarwień czy przekłamań!

Chociaż... Przy tej liczbie osobników nie dało się wcisnąć

szczeniakom totalnego kitu. Martin zastosowałby prawa statystyki, w mig wypunktowałby Bensaona i smarkacze z tym większą zaciekłością rzuciliby się w pościg, pragnąc zatrzeć wrażenie, że pozwolili się łowcy pięknie przerobić. Raczej też nie uwierzyliby, że miasteczko nawiedziły same wyjątki od reguły. Poza tym, jakkolwiek by na to patrzeć, legendy opisują spotkania ludzi z nieświadomymi. Jaki byłby więc sens zaprzeczać zawartym w nich prawdom?

- Łowcy oglądają filmy o wilkołakach? - zdziwiła się blondyna.

- Skarbie, muszą trzymać rękę na pulsie - wyjaśnił łagodnie Paul, niewątpliwie jej chłopak. Pasowała mu rola opiekuńczego mężczyzny, wskazującego swej kobiecie drogę. - No nie, Jack? Musicie się orientować w najnowszych trendach w przesądach?

Pora, by Colin się ujawnił. Westchnął z niechęcią. Wyglądało jednak na to, że tylko w ten sposób ma szansę chronić brata. Ograniczy się do potakiwania, gadanie pozostawiając łowcy, bo sam prawdopodobnie by się z czymś sypnął. Poza tym Benson zyskał sobie u szczeniaków posłuch - mimo że przemawiał do nich nazbyt protekcjonalnym tonem.

Colin wycofał się, by po chwili wyjść z za zakrętu. Pierwszy spostrzegł go blondyn. Natychmiast trącił łokciem Mata.

- Patrz, kogo niesie.

Najwyraźniej braciszek podzielił się z kumplami wieścią o wczorajszej niepożądanym wizycie.

Twarz Mata wykrzywił wściekły grymas. Było widać, że chłopak zastanawia się w panice, jak ma przedstawić Bensa, gdyż, co oczywiste, nie uważał Colina za godnego wtajemniczenia. Zanim smarkacz znalazł właściwe słowa, Jack uśmiechnął się półgębkiem, co u niego stanowiło oznakę najwyższej radości.

- Vernon! Długo tu jesteś? Spodziewałem się, że ktoś jeszcze się pojawi.

- Witaj, Jack. - Colin potrząsnął prawicą łowcy.

- Vernon? - zdziwił się ostrożnie Mat. - Znacie się?

- Bierzemy udział w ryzykownej zabawie, więc bezpieczniej posługiwać się fałszywym nazwiskiem - wyjaśnił z uśmiechem Colin.

W tym fachu wymyślona tożsamość jest na porządku dziennym. Jeśli ktoś ma na świecie choć jedną bliską mu osobę, nie ugania się za zwierzyną, szafując prawdziwymi danymi. Chyba że jest idiotą, bo tacy się również zdarzają. Jack Benson oczywiście się do nich nie zaliczał; naprawdę nazywał się Anthony Tuma.

- Więc ty też polujesz...? - zaczął Mat, ale zaraz się zmitygował. Colin nie sprecyzował przecież, jakiego rodzaju „zabawę” ma na myśli.

- Tak, Mat, też poluję na wilkołaki - potwierdził Colin. Udał rozbawienie, jakby zdumienie brata sprawiało mu frajdę, podczas gdy najchętniej sprząby szczeniaka i nakazał siedzieć w domu na czterech literach. - Dotarłem wczoraj - zwrócił się do Bensa. - Opis ran tego Hammera wydał mi się dość sugestywny. Jesteśmy z Matem braćmi, jeśli się

jeszcze nie domyśliłeś. Przeczuwałem, że coś kombinuje... A ty kiedy przyjechałeś?

- Ubiegłej nocy. Dobrze, że się zjawiłeś. Trafiła nam się grubsza sprawa.

Colin udał zainteresowanie ustaleniami Jacka, tłumacząc krótko, że sam poprzedniego wieczoru padł, gdyż przez trzy dni jechał niemal bez przerwy. I że pomyślał sobie, że lepiej będzie zregenerować siły na początek pełni, niż włączyć się po pustym lesie.

- Tak, słyszałem wycie, ale byłem pewien, że to wataha wilków - odpowiedział na pytanie Jacka. - Przecież nie mogło się zebrać aż tyle zwierzyny!

Benson pokręcił głową.

- Obawiam się, że jednak nie wyły wyłącznie wilki. Nie zdążyłem rozeznaczyć się lepiej, bo coś mi przeszkodziło. Daniel i Nick także tu jadą - dodał. - Kojarzysz ich? Każda pomoc się przyda.

Niewesoła wiadomość, psiakrew. Zatem spóźniono się ze wsparciem prasowym. Gdyby Colin nie zatrzymał dla siebie informacji o artykule... Ale przecież tekst nie sugerował rozmiarów zjawiska, a dla standardowych przypadków nie stosuje się wsparcia prasowego. Niepotrzebnie się obwiniał, cholera. Choćby zawiadomił Fisha natychmiast po swoim przyjeździe, niczego by już nie zmienił. Jeśli komuś można było zarzucić w tej sprawie zaniedbanie, to Gordonowi. Gdyby lider umieścił w miasteczku fachowego obserwatora, społeczność miałaby czas na podjęcie właściwych działań.

- Czy „każda pomoc” obejmuje także nastolatków? - zapytał Colin zjadliwie.

Wywołał tym burzę protestów, sarkanie i gniewne komentarze, Matowi zaś oberwało się za wrednego brata. Jack pozwolił małodatom chwilę pomarudzić, zanim uniósł dłoń w uciszającym geście.

- W nocy w lesie absolutnie nie - wyjaśnił surowym tonem, zwracając się bardziej do smarkaczy niż do Colina. - Wczoraj nieomal mnie postrzelili. Rzucili się na mnie, chociaż nieszczególnie przypominam wilka. Pominę już fakt, że mało który wilk uprzedza wołaniem o swoim nadejściu.

Jeden z chłopaków gwałtownie poczerwieniał. Opuścił głowę, nerwowo splatając i rozplatając palce.

- Nie czynię ci wyrzutów, Randal. Szczęśliwie nikomu nic się nie stało. To godne pochwały, że chcecie chronić bliskich, mieszkańców waszego miasteczka i turystów. Gdyby nie zjawił się tu żaden łowca, w was spoczywałaby cała nadzieja. Przed wami stoi jednak dwóch profesjonalistów, którym wygodniej będzie się pracowało samodzielnie, kiedy nie będą musieli troszczyć się o wasze bezpieczeństwo ani uważać, żeby jednego z was przypadkiem nie postrzelić. Albo żeby nie zostać postrzelonym. Możecie się zarzekać, że będziecie ostrożni i trzy razy pomyślicie, nim pociągniecie za spust, prawda jednak wygląda tak, że w obliczu zagrożenia zadziałacie odruchowo. A wierzcie mi, że wasze odruchy pozostawiają wiele do życzenia. Nocą najlepiej przysłużycie się sprawie,



barykadując się w domach. Zależy mi, żebyście to sobie uświadomili, a nie tylko pokiwali w tej chwili głowami, by za kilka godzin popełnić głupstwo.

- Ale we dwóch na watahę? - zaprotestował Martin.

- Ilość niekoniecznie przekłada się na jakość.

- Mógłbyś nas podszkolić! - wyrwała się entuzjastycznie blondyna.

Przy okazji posłała Colinowi powłóczyście spojrzenie, co nie umknęło uwagi Paula. Puls chłopaka natychmiast przyspieszył.

Colin zaklął w duchu: wprost marzył o konflikcie z powodu jakiejś siuśmajtki.

- Sporo wiemy. Srebrne kule i tak dalej - oznajmił blondyn. - Ja i Randal polowaliśmy z naszymi starymi. Jesteśmy niezli, słowo. Wczorajsza sytuacja się nie powtórzy.

- Mamy siedzieć bezczynnie... - zaczął gniewnie Mat, urwał jednak, kiedy dłoń Carol spoczęła na jego ramieniu.

- Czy ja mówiłem o bezczynności? - spytał chłodno Jack. - Zaleciłem, żebyście noce spędzali w pokojach. Tu mam... - Z kieszeni kurtki wyjął woreczek z grubej folii. - Wykrywacz. To specjalna mieszanka ziół, dzięki której rozpoznacie wilkołaka. Rozpylicie odrobinę pod nosem podejrzanego, a jeśli zaczniesz kichać - trafiony. Człowiek nie reaguje na wykrywacz. No, chyba że cierpi na ostrą alergię.

Benson zerknął spod oka na Colina, który właśnie zamierzał się wtrącić. Pod wpływem spojrzenia łowcy zrezygnował. Fakt, nie mógł podważyć autorytetu Jacka.

Zresztą smarkacze i tak by Colina olali.

Szkopuł w tym, że wykrywacz stanowił kolejną ujawnioną tajemnicę, a im więcej szczeniaki ich poznają, tym gorzej dla nich. Organizacji się to nie spodoba. Tego argumentu Colin jednak Bensonowi nie przedłoży, jako że, naturalnie, dla łowców żadna organizacja nie istnieje. Ba, wielu z nich się nawet nie orientuje, że występują inne niż zerówki odmiany zwierzyny.

- Podkreślam: odrobinę - podjął Benson. - Nie daję wam zabawki. Niektóre składniki mieszanki niezwykle trudno zdobyć, a na jej przygotowanie trzeba wielu tygodni. Poza tym, każdy kichnie, jeśli wciągnie do nosa chmurę pyłu. O, mniej więcej tyle. - Wysypał na dłoń śladową ilość proszku i dmuchnął nią Randalowi w twarz.

- Nic nie poczułem - poskarżył się chłopak zawiedziony.

- I bardzo dobrze, kretynie - skomentował Paul.

- Mogę spróbować? - Blondyna niecierpliwie wyciągnęła rękę po woreczek.

- Najpierw zastanówcie się, jak dyskretnie wykonać zadanie. Wystarczy, że zioła znajdą się we wdychanym przez badanego powietrzu, lecz przyjmijmy, że największą gwarancję poprawności testu zyskacie, jeśli dmuchniecie mu proszkiem prosto w nos.

Smarkacze zaczęli się naradzać, kłócąc się przy tym i przekrzykując nawzajem. Banda cholernych dzieciaków, którym się wydawało, że trafiły na plan filmowy horroru, w dodatku komediowego. A jeśli za kilka lat uznają, że historia świetnie nadaje się na scenariusz, i spróbują

zainteresować nią jakieś studio? Osoby minimalnie zorientowane w temacie doszukałyby się w niej paru godnych uwagi szczegółów. Ściągnąwszy brwi, Colin spojrział na Jacka, ale łowca tylko ledwie dostrzegalnie pokręcił głową.

- Albo właśnie niedyskretnie! - gorączkowała się blondyna. - Weźmiemy kamerę Paula i będziemy wciskać kit, że robimy do budy opracowanie na temat lokalnego ruchu turystycznego!

- No! Albo że testujemy proszek śmiechu?

- Wykrywacz kłamstw...

- Będziemy ich mieć na płycie!

Obiektywnie patrząc, pomysł brzmiał co najmniej nieźle, więc naturalnie Benson mu przyklasnął. Protest Colina zdałby się na nic; będzie musiał później zwędzić te nagrania. Cholera, po diabła Jack powierzył szczeniakom wykrywacz? Odesłałby ich do domów i tyle, lepiej by wyszli na takim rozwiązaniu.

- Dwa zespoły! - wydzierał się Martin. - Ja też mam kamerę!

- Jezu, wiemy - westchnęła blondyna, posyłając Colinowi kolejne powłóczyście spojrzenie.

Na szczęście tym razem Paul niczego nie zauważył.

- Zatem plan działania macie ustalony - podsumował Jack. - Zaczniemy od sprawdzenia siebie nawzajem, żeby uniknąć wątpliwości. Skupcie się na przyjezdnych. Nie musicie się obawiać, że wzbudzicie w obiektach podejrzenia. Ponieważ nie zdają sobie sprawy, co się z nimi

dzieje w nocy, nie mają powodu czuć się zagrożeni. Już bardziej uważajcie na znajomych, mogą bowiem zapytać, kto zlecił wam przygotowanie tego opracowania. I podejdźcie do zadania z powagą.

Łowca udzielał dalszych instrukcji, każde zalecenie i ostrzeżenie powtarzając przynajmniej trzykrotnie. Ku zadowoleniu Colina, pomiędzy radami racjonalnymi Benson przemycił też kilka absurdalnych.

- Nie patrzcie wilkołakowi zbyt długo w oczy. Parę sekund nie zawadzi, ale pół minuty grozi stworzeniem więzi. Ludzka strona waszych rozmówców nie będzie zdawać sobie z niczego sprawy, jednak z nastaniem nocy wilk stanie się zdolny widzieć to samo, co wy. A nie zależy wam chyba na niespodziewanej wizycie watahy?

Colin zastanawiał się, ile z tego wykładu dotarło do małolatów. W tej grupie jedna Carol sprawiała wrażenie rozsądnej. Pozostali przyjmowali do wiadomości jedynie informacje „czadowe”, które nie mogły zakłócić zabawy.

Benson wręczył smarkaczom woreczek, żeby trochę poćwiczyli, do czego zabrali się z zapalem, przepychając się i chichocząc. Colin i Jack przez chwilę służyli za króliki doświadczalne, przyjmując swój los ze stoickim spokojem.

Blondyn udał, że kicha, po czym parsknął śmiechem.

- Żartowałem, baranie! - powiedział, klepiąc po plecach podekscytowanego Randała.

- Dostyc - oznajmił lekko poirytowany Benson. - Powiedziałem, że macie poćwiczyć, a nie się bawić. Szanujcie wykrywacz, bo musi go wam wystarczyć. Więcej

nie dostaniecie.

- Co zawiera? - zaciekał się Martin.

- Turzycę siną, rdest ziemnowodny, bodziszek cuchnący.  
Mówią wam coś te nazwy?

Smarkacze mieli głupie miny, niemniej Colin również słyszał o takich składnikach wykrywacza po raz pierwszy.

- Mieszanek tworzy mnóstwo ziół - ciągnął Jack. - Część jest powszechnie dostępna, inne jednak rosną tylko na niewielkich obszarach, w różnych rejonach świata. W obliczu zmian klimatycznych i rozwoju cywilizacji zdobycie ich staje się coraz trudniejsze, dodatkowo zaś ich oddziaływanie zakłócają wchłonięte zanieczyszczenia. Zrywa się je w ściśle określonych terminach, aby następnie poddać długiemu procesowi przetwarzania. Drobnym błędem wystarczy, żeby przepadł efekt wielomiesięcznej pracy.

- A czosnek? - spytał Randal.

- Czosnek jest dobry na wampiry! - oburzyła się blondyna.

- Wcale nie! Gdybyś patrzyła, co oglądasz, i trochę poczytała...

- Jest też czosnek - przerwał sprzeczkę Jack. - Śladowe ilości. Niektóre metody walki są pokrewne. Przynajmniej jeśli wierzyć legendom, bo ja wampira nigdy nie spotkałem. W wielu kulturach nazwy „wampir” i „wilkołak” od wieków stosowano zamiennie. A może powinienem raczej powiedzieć, że w niektórych językach słowo „wampir” nie występuje, a istotę o cechach typowych dla wampira określa się wyrazem, który gdzie indziej w zbliżonym

brzmieniu oznacza, naszego wilkołaka. Na przykład G.F. Abbott w swoim *Macedonian Folklore* z początku XX wieku podaje, że *wykolakas* to...

- Kacetonia? - upewniła się szeptem blondyna, ciągnąc Paula za rękaw.

Chłopak zbył ją gniewnym machnięciem.

- ...powstały z grobu nieboszczyk, który wysysa krew ludzi i zwierząt. To greckie słowo. Część ludów słowiańskich, zwłaszcza Serbowie, wierzy, że wampirem zostaje po śmierci ten, kto za życia był wilkołakiem. Z takich wierzeń zapewne zrodziło się całe to zamieszanie w nazewnictwie. Nie wykluczam więc, że wampir stanowi regionalną mutację czy też odmianę wilkołaka.

- Drakula często się przemieniał w wilka! - ożywił się blondyn. - W wilka i w nietoperza jednocześnie.

- Na pewno jednocześnie - prychnął Martin.

- Że też ty się zawsze musisz ucześcić pieprzonego słówka!

- Akurat Drakula nie ma tu wiele do rzeczy - mruknął Mat, wyraźnie wstydzając się przed Bensonem bzdurnych teorii kolegi.

Bo też było się czego wstydzić. Jeszcze chwila i blondyn wydedukowałby, że wilkołak potrafi się zmieniać w nietoperza. A najlepiej od razu w całe stadko, żeby zostały zachowane proporcje ciężaru ciała.

- No, bierzcie się do roboty, bo czas ucieka - zarządził Jack. - Pogadam chwilę z Vernonem... A właściwie, jak mam się tu do ciebie zwracać?

- Colin.

- Jestem Carol - odezwała się po raz pierwszy brunetka.

Colin nie poznał dotąd jedynie imion May i Regiego, czyli blondyny i blondaska. Niemniej nie wyrwał się ze swoją - zdobytą częściowo ubiegłej nocy - wiedzą.

Padło jeszcze kilka pytań, Jack udzielił paru dodatkowych instrukcji i wreszcie smarkacze zapakowali się do samochodów. Na kempingu zapanowała błoga cisza.

\*\*\*

- Po co ich wciągasz w ten interes? - zapytał Colin spokojnie, nie dając po sobie poznać, jak bliski jest wybuchu. - Powinni siedzieć w domach, zamknięci na cztery spusty. Chcesz ich mieć na sumieniu?

- Nie chcę. Właśnie dlatego dałem im wykrywacz. Nie są już dziećmi, Ver... Colin, będę się musiał przyzwyczaić. Nie mamy do czynienia z dziećmi, ale z bandą rozwydrzonych młodych ludzi, którym się wydaje, że są dorośli i sami najlepiej wiedzą, co dla nich dobre. Odesłałbym ich do domów, a spędziliby popołudnie na burzliwej dyskusji i orzekli, że jestem głupim starym prykiem, w nich zaś spoczywa ostatnia nadzieja na ocalenie ludzkości. Z fantazjowaniem też zresztą muszę uważać. Jeśli raz mnie przyłapią na kłamstwie, stracę autorytet, a więc także i kontrolę nad nimi. Przy tym, zauważ, nie są aż tak głupi, jak można by wnosić z ich ekscytacji horrorami. Byle co nie odwróciłoby ich uwagi od nocnych wypraw. Przydzieliłem im odpowiedzialne zadanie, które ich dowartościuje i

zarazem zmęczy na tyle, że wieczorem zwyczajnie padną. A wyniki ich pracy bardzo nam się przydadzą, no i zaoszczędzą czasu, jaki musielibyśmy poświęcić na bieganie z wykrywaczem. Czy to wyjaśnienie cię satysfakcjonuje? Jeśli tak, poświęćmy się istotnym sprawom.

- W tej chwili najistotniejszą dla mnie sprawą jest mój brat - warknął Colin.

Wkurzyło go, że łowca przemawiał do niego takim jak do szczeniaków, lekko protekcyjnym tonem.

- Mhm - mruknął Benson. - Zachowujesz się identycznie jak oni.

Colin wsunął dłonie w kieszenie kurtki, zaciskając pięści. Lada moment zaczęły mu wyrastać pazury. Psiakrew, zwykle kontrolowanie emocji nie sprawiało mu problemu, w ostatnich dniach wściekał się jednak o byle drobiazg.

Wszedł za Jackiem do przyczepy. Na przypiętej do korkowej tablicy mapie czerwona szpilka obrazowała ciało Hammera, czarne zaś wyznaczały żerowisko obiektów ubiegłej nocy. Benson wyjaśnił, że ustalił jego granice mocno na wyczucie, zanim bowiem zdołał dostatecznie zbliżyć się do watahy, wpadł na grupkę nastolatków. Zdał teraz Colinowi szczegółową relację z nocnego spotkania.

- Wybrali się zapolować na wilkołaki - oznajmił na zakończenie. - Nie musiałem ich w nic wciągać.

- Cholerne szczeniaki.

- Szacując po natężeniu wycia... a nie sądzę, że wyły wilki... minionej nocy po lesie kręciło się kilkanaście sztuk -



powiedział Benson, przy czym w jego ustach zwykle „nie sędzę” sugerowało pełne przekonanie o słuszności opinii, której Colin nie powinien podawać w wątpliwość. – Zdaniem naszych młodych pomocników co noc ich liczba wzrasta. W życiu nie zetknąłem się z tyloma naraz, i to w dodatku przed pełnią. A że pełnię mamy dopiero dzisiaj, prawdopodobnie nadejdą kolejne.

Colin pokiwał głową, udając oszołomienie spowodowane rewelacjami Bensa. Niemniej napływ nieświadomych trwał – w trakcie przedpołudniowego spaceru po mieście Colin wyłowił dwie nowe wonie – ostateczny wynik mógł więc rzeczywiście okazać się szokujący.

– Coś je tu przyciąga – odezwał się z namysłem Colin. – Skoro przy tylu obiektach mamy jak dotąd zaledwie jedną ofiarę, najwyraźniej nie interesuje ich polowanie na ludzi. Stawiałbym, że przybywają w te okolice w określonym celu, a Hammer zginął przypadkiem. Może więc powinniśmy się skupić na ustaleniu, co nimi powoduje?

– Zamierzasz machnąć ręką na sprawę Hammera? – Benson uniósł brwi.

No właśnie, Jack nie ustąpi tak łatwo. Gdyby tylko chodziło o kogoś innego...

Większość aktywnych obecnie łowców zasługiwała na miano bestii zdecydowanie bardziej niż ich zwierzyna. W Stanach i Kanadzie w branży działało plus minus dwanaście osób, to znaczy tyle zaliczało się do elity. Obok nich regularnie pojawiali się zapaleńcy w typie kolegów Mata, tych jednak społeczność nigdy nie traktowała poważnie.

Łowcy dążyli zwykle do celu, nie bacząc na ofiary. Walczyli pod sztandarem ochrony ludzkiego życia, ale faktycznie kierowała nimi wyłącznie nienawiść, los cywilów zaś niewiele ich obchodził. Mata i jego paczkę bez skrupułów wykorzystaliby jako przynętę. Pragnęli zabijać, zabijać, zabijać. Odcinaliby na pamiątkę uszy czy łapy, gdyby po zgonie nie następował powrót do ludzkiej postaci; niektórym zresztą i ten szczegół nie przeszkadzał.

Każdego z nich Colin zlikwidowałby bez mrugnięcia okiem, ba, wręcz z przyjemnością. Każdego, z wyjątkiem Jacka, cholera. Benson wyłamywał się z elity – ostrożniej wydawał sądy i autentycznie dbał o bezpieczeństwo osób postronnych. Koledzy po fachu szanowali go za umiejętności, ale krytykowali za poglądy. Podsumowując, niejeden chętnie strzeliłby Bensonowi w plecy, żeby nie siał fermentu. Z tym, że taki atak mógłby się źle dla napastnika skończyć. Mimo to Jack był, niezaprzeczalnie, łowcą i jeśli okaże się zbyt domyślny...

Colin świetnie znał środowisko łowców, ponieważ często udawał jednego z nich. Jawne działania gwarantowało mu swobodę ruchów oraz pozwalało odkryć plany przeciwnika i uprzedzić o nich przyjaciół. Ponadto Colin naprowadzał łowców na mylne tropy, odwracał ich uwagę od akcji straży, sporządzał profile psychologiczne, a także gromadził dane na temat ich życia prywatnego, związków osobistych i różnych słabostek, czyli wszystkiego, co w razie potrzeby dałoby się przeciw nim wykorzystać.

Inwigilacją mógł zajmować się tylko świadomy odporny

na wykrywacz i pozbawiony typowych dla członków społeczności, rozpoznawanych przez łowców zewnętrznych charakterystyk. Przedtem wspomniane zadania realizował Gordon, odkąd jednak na dobre wprowadził w temat bratanka, stopniowo się wycofywał, jako lider miał bowiem ważniejsze sprawy na głowie. Łowcy nie wiedzieli o łączącym Colina i Gordona pokrewieństwie. Oficjalnie poznali się oni podczas polowania, a ich kontakty były równie sporadyczne i nacechowane niechęcią jak pozostałych.

Przed pierwszą akcją Colin bał się, że nie podoła zadaniu, w kluczowym momencie zawiedzie go elokwencja. Gordon poradził mu, żeby po prostu rzadko zabierał głos, a na ewentualne osobiste pytania odpowiadał półsłówkami.

- Nikogo takim zachowaniem nie zdziwisz - zapewnił stryj. - Większość łowców to mruki. Pracują w pojedynkę i nie lubią wymieniać doświadczeń. Na szczęście dla nas nie uznają pracy zespołowej. Każdy pilnie strzeże zawodowych tajemnic, wyznając zasadę, że nie ma powodu ułatwiać innym życia. Szczególnie że konkurent mógłby pierwszy dopaść zwierzynę. Jeśli w ogóle zdecydują się podzielić wiedzą z kolegą po fachu, to wyłącznie według reguły „coś za coś”.

Ponure milczenie Colina nie wzbudzało zatem w środowisku podejrzeń. Zresztą okazje do pogawędek zdarzały się rzadko, gdyż nawet łowcy pracujący nad tą samą sprawą unikali swego towarzystwa, ograniczając kontakty do suchej wymiany informacji, koniecznej, żeby

się w nocy nawzajem nie powystrzelać.

Colinowi odgrywanie łowcy nieszczególnie pasowało. Złościło go, że musi beczynnie obserwować antypatyczne typy, siedzieć z nimi przy ognisku i przytakiwać ich pełnym nienawiści poglądom, podczas gdy chętnie by każdego z nich rozszarpał. Niestety, Gordon zajmował się infiltracją tego środowiska wyłącznie dlatego, że nie było komu go zastąpić. Oprócz Colina do tego zadania nadałby się także Caramel, ale po pierwsze, szczeniak miał jeszcze mleko pod nosem, po drugie zaś, uparcie trzymał się wilczej postaci. A swoją drogą - że też smarkaczowi udawało się w tym względzie postawić na swoim!

- Hammer zginął w sobotę - powiedział Colin ostrożnie, nie chcąc przesadzić z zaangażowaniem w obronę nieświadomych. - Ustalmy, które obiekty pojawiły się w miasteczku przed sobotnią nocą, a zawężymy krąg podejrzanych. Jeśli obserwacje smarkaczy są trafne i faktycznie z dnia na dzień ich przybywa, w weekend wałęsało się tu ledwie parę sztuk. Przy niewielkim o tej porze roku napływie turystów szczeniaki szybko się uwiną ze sporządzeniem listy. Określimy datę zameldowania każdego obiektu w hotelu i zobaczymy, ilu uzyskamy podejrzanych w sprawie Hammera. Może się okaże, że tylko jednego? Zlikwidujemy niebezpiecznego osobnika, a pozostałych będzie można chwilowo uznać za niegroźnych.

- Do czasu, aż twój brat bądź jego kumpel Paul postanowią poprowadzić żołnierzyków do boju.

- A co planujesz? Chcesz ich powystrzelać? Jednego czy

dwóch ciał pozbędziemy się bez problemu, ale co zrobisz z kilkunastoma?

- Pierwsze, co zaproponują Nick i Daniel - westchnął Benson. - Niełatwo ich będzie... Zgoda - podjął nagle decyzję. - Ryzykujemy, lecz rzeczywiście nie damy rady usunąć wszystkich dyskretnie. Po lesie pałęta się za dużo ciekawskich. Ale jeżeli zginie ktoś jeszcze... No nic, trzeba się skoncentrować na dwóch tematach. Dzieciaki zakreślą krąg podejrzanych, którym się potem uważnie przyjrzymy. A tymczasem spróbujmy ustalić, czemu zjechało tu tyle zwierzyny.

Niebezpieczeństwo zostało chwilowo zażegnane: Jack nie będzie strzelał do nieświadomych. Nie chwyci za broń tutaj, co nie oznacza, że później, kiedy już rozjadą się do domów, nie wytropi każdego z osobna i nie zlikwiduje. Po łowcy trudno byłoby oczekiwać innego zachowania. Cholera. Ale na podjęcie kroków wobec Bensaona Colin miał sporo czasu i na razie obecność łowcy była przydatna ze względu na smarkaczy. Poza tym tylko Jack zdoła ostudzić mordercze zapędy Nicka i Daniela.

Uzgodnili, że najbliższą noc poświęcą obserwacji, jako że przy pełni mógł się ujawnić cel napływu zwierzyny. Colin powątpiewał w efekt akcji, nie czuł bowiem w powietrzu jakiejś zasadniczej zmiany, lecz zachował te przemyślenia dla siebie. Nie chciał, by Jack łamał sobie głowę nad innymi działaniami.

\*\*\*

Przyczepę Bensaona opuścił kilka minut po trzeciej. Do

zachodu słońca zostały trzy godziny. A to oznaczało, że niedługo wszędzie księżyc. Na myśl o pełni ciało Colina przeniknął przyjemny dreszcz. Miał chęć zanucić pod nosem i zapomnieć o problemach, zatopiwszy się w zachwycie nad pięknem okrągłej tarczy. Otrząsnął się z tego niebezpiecznego stanu umysłu.

Pełnia działa narkotyzująco nawet na najsilniejszych świadomych, Colinowi zaś w dodatku przez lata zakazywano ulegać jej wpływowi. Godfrey wyznaczał synowi zadania wymagające koncentracji umysłu: jeśli Colin coś sknoci, pożałuje. Ma walczyć z chorobą, zwłaszcza w tym najważniejszym momencie miesiąca, bo gdy raz się podda, przekreśli efekty wieloletnich starań. A tego ojciec nie puści mu płazem. Dzięki powstrzymywaczom Colin odczuwałby pełnię nie bardziej niż wrażliwy na fazy księżyca człowiek, lecz Godfrey nie podawał mu żadnych środków, zakładając, że syn musi sam zwalczyć w sobie zło. Zioła maskują rzeczywistość, a zatem utrudniają jej naprawę.

Dopiero pod skrzydłami Gordona Colin poznał piękno pełni. Przeżył szok, potem zaś niemal popadł w nałóg, nadrabiając wieloletnie zaległości. W osadzie każdy rozkoszował się bez ograniczeń okrągłym księżycem, jednak podczas akcji członkowie straży byli obowiązani zachowywać czujność. Kumplom Colina rozgraniczenie przychodziło bez trudu. On sam, mimo starań i ćwiczeń, nadal miewał problemy z trzeźwym myśleniem, ilekroć na niebie zawisła okrągła tarcza.

Wyprowadził z krzaków thunderbirda i wrócił do miasteczka. Czując, że natychmiast musi coś zjeść, wybrał niewielki steakhouse o nazwie Osiem Jeleni, choć dobywające się z lokalu zapachy sugerowały, że żaden z serwowanych tam steków nawet koło jelenia nie leżał. Wkrótce Colin miał okazję się przekonać, że nazwa pochodzi od ośmiu spreparowanych głów zawieszonych na ścianach przydymionej sali.

Z zadań na ten dzień pozostało mu odszukanie drugiego z upatrzonych w nocy agresywnych osobników. Z błogim uczuciem sytości w żołądku rozpoczął wędrówkę główną ulicą w nadziei że trafi na jego trop. Wyglądało jednak na to, że facet nie zaglądał dziś do centrum. Colin wyłapał natomiast cztery świeże wonie. Do diabła, razem z porannymi dwiema świadczyły o sześciu nowych przybyszach, co oznaczało, że nocą do lasu wybiegną co najmniej dwadzieścia trzy sztuki. Byłaby to niemała liczba nawet jak na watahę wilków. Kiedy ustanie napływ? Pełnia wytyczała granicę?

Formalnie rzecz biorąc, dokładnie w pełni księżyc znajduje się tylko przez chwilę. Dla członków społeczności jednak pełnia oznacza czas, kiedy srebrna kula – choćby nawet przesłaniały ją chmury – oddziałuje na nich na tyle silnie, by wywołać przemianę, jeśli tylko nie spróbują tego procesu powstrzymać. Takie oddziaływanie trwa przez trzy noce, poprzedzające osiągnięcie przez ziemskiego satelitę punktu astronomicznej pełni. Trzy pełne noce, jeżeli ów moment przypada nad ranem, za dnia albo niedługo po

wschodzie księżycy. W pozostałych wypadkach ostatnia noc ulega mniej lub bardziej drastycznemu skróceniu. Tym razem zachodziła pierwsza sytuacja - księżyc minie punkt pełni w poniedziałek nad ranem.

W normalnych warunkach nieświadomi przybierają wilczą postać dopiero pierwszej nocy pełni, po blisko czterotygodniowej przerwie. Są więc wtedy nieco dezorientowani i nastawieni raczej na odkrywanie na nowo swych wilczych instynktów niż na realizację narzuconych im celów. Z kolei przemieniając się po raz trzeci, wyczuwają zbliżający się koniec cudownego oddziaływania - tkwiący w nich wilk staje się niespokojny, a ludzka strona coraz wyraźniej daje znać o swej obecności. Najbardziej pewni siebie czują się zatem w środku tego okresu.

Jeśli w obserwowanym przez Colina przypadku zasada została choćby w ostatniej części zachowana, nieświadomi zaś przybyli w te okolice w konkretnej misji - nieznaney żadnemu z nich - najlogiczniejszą porą do jej realizacji wydawała się sobotnia noc. A jeśli jutro nic się nie stanie?

Rozważał, czy za tutejszymi wydarzeniami może się kryć organizacja. Psiakrew, gdyby tak było, Gordon nie dopuściłby, żeby wieść o zabójstwie Hammera przeniknęła do prasy. A już z pewnością miałyby oko na Colina. Tymczasem stryj wyjechał sobie spokojnie do Europy.

Jeśli więc za napływ nieświadomych do miasteczka odpowiadał członek społeczności, niechybnie działał na własną rękę. Samotnik z własną wizją świata? Trafiali się już tacy niebezpieczni szaleńcy, zdaniem których



społeczność powinna wyjść z cienia, by zapanować nad słabymi ludźmi. Neutralizowano ich błyskawicznie.

Przyjmując, że za pielgrzymką nieświadomych stał szalony samotnik – jak ich przyciągnął? Colin przypominał sobie pytanie Emily. Wezwał ich wyciem? Nie słyszał o świadomym na tyle silnym, by mogła mu się udać podobna sztuka. Chodziło przecież o osobniki do niedawna nieaktywne. Niewykluczone, że kiedy proces przebudzenia znajdzie się na zaawansowanym etapie, wycie potrafi go przyspieszyć – w legendach przewija się taki motyw. Owszem, ale legendy mówią też o zdejmowaniu klątwy przez trzykrotne wbicie noża w czoło wilkołaka. Bardzo dziękuje, ale nie skorzystam.

Tutejsze zerówki nie słuchały nawet Colina, a przecież, cholera, ze świecą szukać silniejszego świadomego. Nie, żaden szaleniec nie zdołałby ich przebudzić i wezwać, podobnie jak nie uczyniła tego niechcący Emily.

Niemniej przypadek Em musiał się łączyć z tą sprawą. Dziewczynka przebudziła się w trakcie poprzedniej pełni, kiedy do miasteczka nie przyjechał jeszcze żaden nieświadomy, zatem nie ich obecność poruszyła zmysły małej.

Czyżby coś się działo z księżycem, przy czym, wskutek niesłychanego splotu okoliczności, siła jego wpływu koncentrowała się akurat nad miasteczkiem? Colin pożałował, że nie poświęcił więcej uwagi astrologii. Zdarza się, że w pewnych dniach oddziaływanie księżyca przybiera na sile niezależnie od pełni, teoretycznie więc oprócz

wyjatkowych dat mogą istnieć i wyjątkowe miejsca.

Splot okoliczności, psiakrew, akurat. No, ale co innego? Na początku, kiedy Colin sądził, że chodzi o atak pojedynczego osobnika, przeczucie podpowiadało mu, że istnieje związek między owym wydarzeniem a śmiercią Godfrey'a i Vivian. Tyle że nie potrzebował przeczucia, żeby dojść do takiego wniosku, dyktowała go bowiem prosta logika. Może więc tym razem zamiast przeczucia przemówił zdrowy rozsądek, a Colin po prostu nie dostrzegł różnicy? Był skłonny raczej przyjąć tę tezę, niż łączyć napływ nieświadomych z zabójstwem sprzed lat.

Z irytacją zagryzł wargi. Nie znosił rozważań pozbawionych solidnego punktu oparcia. Choćby się zderzył z właściwym rozwiązaniem i tak by go nie rozpoznał. Nie uważał się za kretyna, ale myślicielem też by siebie nie określił, zdecydowanie więc wolał, kiedy fakty nie pozostawiały szerokiego pola do interpretacji. Jeśli doda do tego pełnię, zawsze ograniczającą zdolność koncentracji, oraz dopadające go w tej okolicy rozkojarzenie, dojdzie do oczywistego wniosku, że z szukaniem wyjaśnienia zagadki drogą analizy danych powinien się wstrzymać do czasu, aż rzeczywistość podsunie mu ich nieco więcej.

Przemierzył główną ulicę w tę i z powrotem. Nie widział wielkiego sensu w pokonywaniu jej po raz trzeci. Byłoby lepiej gdyby zajął się objeżdżaniem hoteli - przecież napastliwy typek musiał się gdzieś zatrzymać - albo indagowaniem kolejnych nieświadomych, żeby ustalić nazwiska dwóch brakujących kandydatów na zabójcę

Hammera. Szkopuł w tym, że nie chciał się natknąć na smarkaczy. Benson zapewnił ich, że będą wykonywać zadanie sami, łowcy zaś poświęcą się innym kwestiom i byłoby niewskazane, żeby przyłapali Colina na wchodzeniu im w paradę. W kwestii ustalenia podejrzanych musiał się zatem zdać na małodatów. A drugi agresywny osobnik w końcu zawita do centrum. I wtedy Colin się nim zajmie.

\*\*\*

Dobiegało wpół do piątej, wrócił więc pod Osiem Jeleni po motor. Zajechał przed Martha's Inn, planując odpoczynek przed nocną wyprawą. W drzwiach hoteliku wyjątkowo nie zderzył się z piękną Celią, na co po cichu liczył, za to z sofy w hallu poderwał się na jego widok Mat.

- Zużyliście cały wykrywacz? - spytał go z przekąsem.

Psiakrew, tym sposobem nie osiągnie porozumienia z bratem. Powinien był raczej na każdym kroku udowadniać, jak się zmienił - że nie jest już wrednym typem, koszmarem dzieciństwa Mata.

- Czy rodziców zabił wilkołak?

Niech to szlag.

- Czekał chwilę, wezmę klucz. Pogadamy w pokoju - powiedział Colin.

Zyskał parę minut na zastanowienie. Postawa Mata wyrażała pewność i determinację, zaprzeczanie więc nie zdałoby się na nic. Chłopaka interesowały szczegóły, natomiast fakt jako taki nie ulegał wątpliwości. Colin otrzymał szansę, by zdobyć zaufanie brata. Nie wolno mu

było jej zmarnować.

Kiedy odbierał klucz, do pulpitu podszedł mężczyzna, nowy gość Martha's Inn. Jedną z woni, na które Colin natknął się w mieście tego popołudnia. Omiótłszy braci nieprzytomnym spojrzeniem, przybysz położył na ladzie swój klucz – staroświecki, z gigantyczną gruszką – i wbił w niego wzrok.

Mat gwałtownie się ożywił. Brwi nieznanego zrastały się nad nosem, Jack zaś poinstruował smarkaczy, że taka cecha morfologii często występuje u wilkołaków (na co zresztą Martin natychmiast zaczął się gorączkować, że w takim razie wilkołakiem, choćby nieaktywnym, była Frida, a może nawet jest nim Salma Hayek, jako że zrosnięte brwi całkiem do niej pasowały).

Gdyby mieli do czynienia z pojedynczym nieświadomym, Benson zapewne wmawiałby szczeniakom, że trafili na nietypowy egzemplarz przykładowy, ponieważ zwykle wilkołaka w ludzkiej postaci cechują... I tu posypałyby się brednie rodem z legend i ludowych podań. Jednakże wobec obecności co najmniej kilkunastu takich egzemplarzy łowca musiał wyjawić smarkaczom, że legendy nie mylą się jedynie w kwestii właśnie zrosniętych, krzaczastych brwi – charakteryzowały one mniej więcej jedną trzecią przybyłych do miasteczka osobników. Natomiast czerwone paznokcie, szpiczaste uszy, ostre zęby, owłosienie na całym ciele czy dziwaczny odcień skóry należy włożyć między bajki, którymi straszy się dzieci. Ludowe podania rozmijają się także z prawdą, kiedy mówią o niedającym się ugasić

pragnieniu, strachu przed światłem czy zamiłowaniu wilkołaków do cmentarzy.

- Idziemy - powiedział stanowczym tonem Colin.

- To mógł być... - szepnął Mat, oglądając się za znikającym za drzwiami hotelu gościem.

- I zapewne jest. Chodź.

- Masz gdzieś to, że właśnie...?!

- Porozmawiamy w pokoju.

Kiedy się w nim znaleźli, Colin dyskretnie wciągnął nosem powietrze. Pod jego nieobecność zaglądała tu jedynie pokojówka, natomiast najlepszy kumpel Emily, pan Uniwersalny Klucz Wścibski Pete, najwyraźniej darował sobie ocenianie brata przyjaciółki. Innych wizyt Colin się nie spodziewał. Nieświadomi rozmowę z nim zapamiętali jako błahą wymianę zdań z przypadkowo napotkanym facetem, nie mieli więc powodu się nim interesować. Tyle że w tej sprawie co krok zdarzały się niepokojące odchyłki od normy.

- Tak, zabił ich wilkołak - odpowiedział Matowi.

- Dlatego zostałeś łowcą?

Również to pytanie zabrzmiało raczej jak stwierdzenie faktu.

Colin pokiwał głową.

- Kiedy zacząłeś się domyślać? - zapytał.

Skąd Mat się dowiedział, że nie zginęli w samochodzie? Wedle oficjalnej wersji zdarzył się tragiczny wypadek na szosie, taką też informację podały wszystkie bez wyjątku media. Nadmorski kurort czerpał spore dochody z

turystyki, nikomu więc nie zależało na rozpowszechnianiu historii o krwawej jatce. Władze zadziałały szybko, a i Nigel użył swoich wpływów, nad podziw rozległych jak na mieszkańca górskiej miejsciny. Pragnął, aby dzieciaki, jeśli kiedyś przyjdzie im na myśl poszukać wiadomości o losie rodziców, natknęły się wyłącznie na wzmianki o tragicznej w skutkach kraksie. Dopiero teraz Colinowi wydało się dziwne, że ani słowo prawdy o zajściu nie wyciekło do żadnych sensacji mediów. Czyżby organizacja także wniosła swój wkład w zacieranie śladów?

- Tak konkretnie to dopiero po śmierci Hammera - odparł Mat. - Dzięki Randalowi i Regiemu. Kiedy na mieście gruchnęło, że coś rozszarpało gościa, zaraz dorobili do tego historię rodem z horroru. Głównie z powodu wycia, bo normalnie wilki rzadko się pojawiają w naszej okolicy, no i nie atakują ludzi, a Hammer też nie byłby tak głupi, żeby się zbliżyć do watahy. Miałby problemy, gdyby musiał któregoś w samoobronie zastrzelić. Widzisz, tutaj wiele osób jest... to znaczy było na niego ciętych, z powodu podejrzeń o kłusownictwo. Zresztą, nieistotne. Kiedy Randal i Regie zaczęli się rozwodzić nad poszarpanym ciałem, coś mnie tknęło. Wuj... On ciągle nie potrafi sobie poradzić ze śmiercią mamy. Średnio raz w miesiącu ma doła i sięga po flachę. A że nie lubi pić sam, ściąga Udonę, naszego sąsiada. Mówię ci, to najlepsi kumple. Upijają się razem i roztrząsają tamto zdarzenie. To znaczy, wuj się upija i roztrząsa, a Udo robi głównie za słuchacza. Gość ma zdrowie... W każdym razie dwa lata temu... tak dla jaj, bo

nie miałem pojęcia, że zawsze wałkują jeden temat... No wiesz, byłem ciekaw, jak wuj, taki stateczny, praworządny obywatel, zachowuje się po pijaku. Martin bawi się trochę elektroniką, więc złożył mi zestaw... no i podsłuchałem. Wuj opowiadał Udonowi o krwi, o strzępkach... - Głos Mata się załamał. Chłopak odkaslnął. - Pomyślałem sobie wtedy, że to robota jakiegoś psychola. W necie znalazłem tylko informacje o wypadku, nawet ze zdjęciami rozbitego wozu, wyobrażasz sobie? A wuja nie mogłem zapytać, bo zjechałby mnie za podsłuch... Zresztą, choćby i nie, nie ma mowy, że cokolwiek by mi powiedział. Dla niego nigdy nie będę dość dorosły, żeby poznać prawdę. Gość jest na naszym punkcie, Em i moim, nieźle pokręcony. Bez przerwy się o coś przypierdziela. Potem jeszcze tylko raz... - Mat znowu musiał odkaslnąć - ...tylko raz podsłuchiwałem. Wuj nadawał prawie słowo w słowo to samo, więc odpuściłem. Ale temat łąził mi po głowie. Wyszła sprawa Hammera, pokojarzyłem i okazuje się, że prawidłowo. A ty? Wiedziałeś od początku?

- Znalazłem ich.

- No tak, ale...

- Możemy o tym nie mówić?

- Chcę wam pomóc. Randal i reszta zachowują się jak banda dzieciaków, zgoda. Ale mnie nie wrzucaj z nimi do jednego worka. Chcę wam pomóc - powtórzył Mat z naciskiem. - Nie z jakimś durnym proszkiem, tylko...

- Brak ci doświadczenia - przerwał mu Colin, starając się nadać wypowiedzi łagodne brzmienie. - Poza tym

odpowiadasz za kolegów. Ty z nami pójdiesz, oni też będą nalegać. A sam przyznajesz, że są niepoważni.

- Postanowiłem zostać łowcą. Kiedyś muszę zdobyć pierwsze szlify w zabijaniu tych wściekłych bestii.

- Nie każdy wilkołak jest zaraz wściekłą bestią. Może chodzić o sympatycznego gościa, ojca uwielbianego przez...

- Po czyjej ty jesteś stronie?! - wybuchł Mat, dygocąc na całym ciele.

Fatalnie. W takim stanie ducha smarkacz wkrótce uzna, że Jack i Colin za słabo się starają, korzystniej więc będzie wziąć sprawy we własne ręce. Cholera, i znowu myślał o bracie per „smarkacz”. Ale czy nie tak właśnie zachowywał się Mat? Odrobina powagi więcej niż u kumpli nie czyniła jeszcze z niego dojrzałego faceta.

Pomyślał, że osądza Mata niesprawiedliwie. Chłopak dopiero co odkrył, że jego rodziców zabił wilkołak, jakże więc można było wymagać od niego współczucia dla nieświadomych czy choćby tylko obiektywizmu? W zaistniałych okolicznościach brat i tak wykazywał godne podziwu opanowanie.

- Mat... nie marnuj sobie życia. Obecna sytuacja jest wyjątkowa. Sami się na ciebie zwalili, jasne więc, że nie możesz pozostać obo...

- Obronę ludzkości nazywasz marnowaniem życia?

- Będziesz mi wmawiał, że kieruje tobą troska o dobro ogółu?

- Co za różnica? Liczy się efekt finalny.

- Nie, Mat. Różnica szybko staje się widoczna.



Posłuchaj... Mamy w tej chwili problem do rozwiązania. Zgodzisz się, żebyśmy odłożyli tę dyskusję na później?

Z zaciętym wyrazem twarzy chłopak zaplótł ręce na piersi. W końcu jednak zaczął stopniowo odzyskiwać równowagę, a jego tętno zwolniło – choć nie tak, jak Colin by sobie życzył.

W rozważaniu na temat motywacji, jakie pchnęły go do zostania łowcą, Colin nie chciał się wdawać, im więcej bowiem nakłamałby bratu teraz, tym trudniej byłoby mu go potem przekonać. A niewykluczone, że w najbliższych dniach zostanie zmuszony do wyjawienia Matowi sporej części prawdy.

- Twoim zdaniem istnieje związek? - spytał Mat opanowanym głosem, podczas gdy jego serce nadal wściekle waliło. Jedno nieostrożne słowo Colina mogło doprowadzić do ponownego wybuchu. - Między śmiercią rodziców a tym tutaj?

- Nie wiem - odpowiedział zgodnie z prawdą Colin. Przeczucie nie równa się wiedzy, a zresztą coraz bardziej skłaniał się ku teorii, że w tym wypadku w grę wchodzi raczej autosugestia niż podszept intuicji. - Wilkołaki stanowią rzadkie zjawisko, więc mielibyśmy do czynienia z nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności. Ale jak dotąd mogę snuć jedynie domysły. Od przyjazdu staram się tę kwestię rozstrzygnąć.

- Dorwałś tamtego?

- Nie - odparł odruchowo Colin. Nigdy nie zapomniał owego zapachu, miał zatem stuprocentową pewność, że

dotąd nie natknął się na zabójcę Godfrey'a i Vivian. Bratu nie mógł jednak przedłożyć takiego dowodu. – To znaczy, nie wydaje mi się – poprawił się. – Choć nie wykluczam, że był nim jeden z tych, z którymi miałem do czynienia.

– Ile ich zabiłeś?

– Byłem świadkiem śmierci dwóch, ale za spust pociągali inni łowcy.

Mat uśmiechnął się kpiąco na tak marny wynik.

– Często się zdarza, że wilkołaki atakują ludzi za dnia w ich domach?

Colin zaklął w duchu. Szczeniak trochę pokombinuje i sam dojdzie prawdy. Czy zadał już podobne pytanie Jackowi?

– Nie słyszałem o drugim takim przypadku. – Tej właśnie odpowiedzi udzieliłby chłopakowi Benson, oczywiście gdyby zechciał być szczery. – One unikają zabudowań. Wolą uderzać w lesie albo na otwartej przestrzeni.

Mat sądził, że członkowie społeczności tworzą jednolitą grupę, wilkołak był dla niego tym samym co nieświadomy – i na razie niech tak zostanie. Zerówki faktycznie unikają zabudowań, dany osobnik musiałby więc solidnie się uwziąć na ofiarę, żeby wpaść za nią do jej domu. A że ataki nieświadomych służą jedynie zaspokojeniu instynktów, nie zaś likwidacji konkretnej osoby, wątpliwe, by którykolwiek wykazał aż taką determinację. Raczej zaprzestałby pościgu i ruszył na poszukiwanie łatwiejszego łupu.

No i, naturalnie, nieświadomi przemieniają się wyłącznie nocą – wyłącznie przy pełnym księżycu, ten zaś wschodzi

mniej więcej o zachodzie słońca, a zachodzi z nastaniem dnia. Przynajmniej dotąd Colin był o tej ich właściwości przekonany... ale wtedy księżyc w ogóle nie gościł na niebie. Poza tym żadna samotna zerówka nie pokonałaby Godfrey'a.

Skarcił się za bezsensowne rozważania. W tej sprawie nieświadomy ani przez sekundę nie wchodził w rachubę. I właśnie dlatego niewskazane było rozwijanie tematu przy Macie, ponieważ każde kolejne pytanie zbliżało chłopaka do hipotezy, że jego rodziców zabił osobnik odmienny od obserwowanych w miasteczku.

- Więc działały celowo? - drążył Mat.

- To prawdopodobne. - W wypadku zabójstw dokonywanych przez świadomych raczej oczywiste, z wyłączeniem działania w obronie własnej. - Słuchaj... Przeszłość jest bolesna. Kiedy zaczynasz się w nią wgryzać, tracisz kontrolę nad emocjami, a w tej rozgrywce opanowanie będzie ci cholernie potrzebne. Zapomnij na moment o rodzicach. Dopóki nie ustalimy związku, mamy do czynienia z dwoma niezależnymi zdarzeniami. Skup się na faktach i poddawaj je chłodnej analizie. Pewnego dnia dorwiemy także tamtego drania. Chciałbym, żebyśmy obaj dożyli tej chwili. Jeśli coś odkryję, podzielę się tym z tobą. - Już mógłby się z Matem niejednym podzielić, psiakrew. - Zgoda? I nie wciągaj w naszą sprawę kumpli.

- Mówiłem tylko Carol. Ona nie wygada.

- Dobra, rozumiem... rozumiem, że musisz się komuś zwierzyć. Ale pomyśl też o niej, okej? Pewne informacje

bywają niebezpieczne. A teraz do rzeczy. Ilu namierzyliście?

Mat ociągał się z odpowiedzią, ale wreszcie się przełamał. Łącznie dorwali pięciu. Taką informację uzyskał, kiedy dzwonił do kumpli po raz ostatni, jakieś dziesięć minut przed powrotem brata. Colin udał zainteresowanie, podkreślając ogromną wagę zadania, aż udało mu się zarazić chłopaka tym wypracowanym entuzjazmem.

- Siedmiu - obwieścił Mat po odbyciu krótkich rozmów z Paulem i Regiem. - Mają siedmiu. Nieźle, prawda?

Colin zalecał bratu zapomnieć na jakiś czas o przeszłości, aby zachować jasność osądu. Mądra rada. Gdyby tak jeszcze sam się do niej zastosował! Z całą wyrazistością powróciło wspomnienie tamtego popołudnia.

Przeczucie milczało, Colin więc spokojnie zapakował dzieciaki do samochodu. Odstawiwszy Mata do domu kolegi, gdzie chłopcy mieli spędzić parę godzin na wspólnej zabawie, a Emily do koleżanki na urodzinowe przyjęcie, pojechał do marketu. Wiosenne słońce grzało przyjemnie, kiedy w pogodnym nastroju, pogwizdując, ładował torby z zakupami do bagażnika. Z otwartymi oknami zajechał przed zalany złotym blaskiem dom. Dopiero kiedy zatrzymał wóz, w jego nozdrza uderzył odór krwi. Dotarcie do frontowych drzwi zajęło mu całe wieki.

\*\*\*

Stryj poinformował go, że wszczęto śledztwo, a do zadania wyznaczono najlepszych detektywów z innej osady. Kiedy znajdą winnego, Colin natychmiast się o tym dowie.

W związku z tym nie powinien się mieszać w działania specjalistów, gdyż tylko utrudniłby im pracę.

Sprawcy jednak dotąd nie wykryto.

- Minęło pięć (sześć, siedem) lat, na pewno sobie odpuścili! - Colin atakował Gordona w przyływach złych wspomnień. - Pozwól mi się tym zająć! Poradzę sobie, nie jestem już porywczym szczeniakiem.

- Przykro mi, w tej chwili jesteś - odpowiadał chłodno stryj. - Organizacja nie odpuszcza takich spraw.

Colin nieraz się zastanawiał, czy grupa dochodzeniowa w ogóle istnieje. Jak często w społeczności pojawia się konieczność przeprowadzenia śledztwa? Może zabójcę tropił sam Gordon, zataił jednak ów fakt przed Colinem, żeby uniknąć bardziej natarczywych pytań?

Z drugiej strony, w osadzie jedynie straż zajmowała się zadaniami o „policyjnym” charakterze, przy czym zakres jej kompetencji ograniczał się do nieświadomych. Wszelkie przypadki nieodpowiednich zachowań świadomych podlegały komuś innemu.

Komu? Za bytności Colina w osadzie nie wystąpiła sytuacja wymagająca interwencji straży do spraw świadomych - czy jak zwać taki zespół - niemniej w bardziej odległej przeszłości przypadki drastycznego łamania zasad się zdarzały. I na pewno będą się zdarzać. Powinna zatem działać formacja złożona z niezwykle silnych świadomych, której zadania polegałyby na szukaniu dowodów winy i doprowadzaniu podejrzanych przed oblicze złożonego ze starszyny osady sądu.

Jakiś czas temu, pod wpływem mniej naładowanych emocjami przemyśleń, Colin pokornie (no, niemal pokornie) odważył się poprosić stryja o przydział do dochodzeniówki.

- Nie chodzi mi o śledztwo w sprawie Godfrey'a - argumentował, choć chyba niezbyt przekonująco. - Po prostu wydaje mi się, że to ciekawa praca, wymagająca szczególnych predyspozycji. Siły, którą ja posiadam.

- Masz inne obowiązki - odparł sucho stryj. - Tworzymy spójną, sprawnie działającą całość. Kiedy zawodzi jeden element, cierpią wszyscy. Nie wolno ci oddawać się prywatnej wendecie...

- Przecież powiedziałem, że...

- Teraz ja mówię, Colin. Dobrze wiem, co tobą kieruje. Śledztwo prowadzą najlepsi w swoim fachu. Jeśli oni nie dojdą prawdy, tobie tym bardziej się to nie uda. Potrzebuję cię w naszej osadzie jako współpracownika straży. Tamtym wystarczy kadr. I nie, nie ma możliwości zamiany. Żaden z nich nie wykazuje odporności na wykrywacz.

Posłuszeństwo i lojalność wobec przywódcy stanowią o przetrwaniu gatunku, zwłaszcza we współczesnym świecie, kiedy tak trudno jest utrzymać cokolwiek w tajemnicy. Lider pociąga za wszystkie sznurki, a pośledniejsi członkowie organizacji nie powinni się domagać wyjaśnień czy zmiany wyznaczonej im roli. Każdemu przypisuje się funkcję optymalną z punktu widzenia interesów społeczności i zarazem jak najbardziej zgodną z jego predyspozycjami.

Colinowi niełatwo przyszło się pogodzić z tym stanem

rzeczy. Jako bratanek lidera rościł sobie większe niż inni prawo do dociekań i decydowania o własnym losie, mimo że w gruncie rzeczy szybko pojął, iż uprzywilejowaną pozycję w organizacji zdobywa się wyłącznie dzięki własnym zasługom. Zrozumiał też, że zadając kłopotliwe pytanie, musi się liczyć z tym, że otrzyma zafałszowaną odpowiedź – jeśli w ogóle jakąś uzyska, zamiast paru ostrych słów na temat pilnowania własnego nosa. Gordon jako lider miał prawo kłamać, posiadał też po temu stosowne umiejętności. Chociaż, szczerze mówiąc, Colinowi wydawało się, że w miarę trafnie rozpoznaje, kiedy stryj mija się z prawdą.

Nauczył się słuchać Gordona, choć nie obyło się bez bólu. Nauczył się... Nie do końca. Od paru dni uparcie łamał zasady.

Tyle wątpliwości kłębiło mu się w głowie. Może ktoś miał zadawnione osobiste porachunki z Godfreyem, ale długo bezskutecznie szukał jego tropu, bądź zemstę odwlekły inne przeszkody? Dlaczego zginęła Vivian, niewtajemniczony człowiek, a ocalał Colin, w końcu godniejszy przeciwnik, ocaleli Mat i Emily, potencjalnie obciążeni wilczym genem? Dlatego że to ona była w domu i stała się niewygodnym świadkiem? Za dużo dostrzegał w całym zajściu celowości. Vivian planowano zabić, a on i rodzeństwo mieli pozostać przy życiu.

Gdyby nie śmierć Vivian i metoda zabójstwa, Colin skłaniałby się ku teorii, że robotę wykonano pod auspicjami organizacji. W swym pogłębiającym się szaleństwie Godfrey stwarzał dla społeczności coraz większe zagrożenie. Pchany

nienawiścią do „księżycowej choroby” mógł wręcz porwać się na wystąpienie w świetle telewizyjnych jupiterów, aby, światu ku przestrodze, dokonać przemiany na oczach tysięcy widzów i tym sposobem przyczynić się do wyplenienia zła.

Za złamanie zasad świadomego czekają konsekwencje, do najcięższych włącznie, o czym dowiaduje się każdy natychmiast po wtajemniczeniu. Naturalnie, wyrok zapada dopiero po procesie, ten może się jednak odbyć zaocznie.

Tyle że gdyby takie rozwiązanie zastosowano względem Godfrey’a, finał rozegrałby się dyskretnie: skazany otrzymałby srebrną kulkę, jego ciało zaś strawiłoby płomień spalarki. Organizacja świetnie sobie radzi z niewtajemniczonymi małżonkami, zatem Vivian nie domyśliłaby się prawdy – sądziłaby, że mąż ją porzucił. Gordon prawdopodobnie sam nadzorowałby akcję (zwłaszcza jeśli w jego osobie skupiały się siły specjalne organizacji), a przynajmniej pojawiłby się u bratowej i naopowiadał jej niestworzonych historii o Godfrey’u, tak że nie przyszłoby jej do głowy zgłaszać zaginięcia. Potem stryj wziąłby Colina pod swoje skrzydła, a Mata i Em zostawił pod opieką matki, przydzielając im jedynie obserwatora.

Oficjalnie cywilów się nie zabija. Z wyjątkiem, rzadkich zresztą, wyroków na łowców, dla wszelkich służb organizacji ludzkie życie stanowi priorytet. Colin jednakże do tych deklaracji podchodził sceptycznie. Jego zdaniem ludzie głównie interesują organizację, a zakaz służy tylko temu, by nadmiar trupów nie odarł społeczności z



tajemnicy. Tak więc wyrok na Godfrey'a mógłby objąć i Vivian, jeśli na przykład odkryła ważny sekret i zamierzała podzielić się nim z resztą świata.

Niemniej, pomijając już kwestię bezsensownej jatki, gdyby za zdarzeniem stała organizacja, Gordon postawiłby sprawę jasno: decyzję podjęła starszyzna, Colin zaś musi ją zaakceptować. No, może nie przywaliłby bratankowi tą wiadomością na dzień dobry, ale trzy lata temu Colin został wreszcie uznany za pełnoprawnego członka społeczności, z całym cholernym ceremoniałem. Gordon nawet poklepał go z tej okazji po plecach. Wtedy nastąpił właściwy moment na wyjaśnienia – trudno o lepszy test na posłuszeństwo.

Nic się Colinowi w tej sprawie nie zgadzało, zdarzenie przypominało atak jednego szaleńca na drugiego. A pora? Czy napastnik dobrał ją celowo? Księżyc znajdował się wówczas w ostatniej kwadrze i zaszedł około południa, tragedia zaś rozegrała się między szesnastą a siedemnastą trzydzieści. W takich warunkach potrafią się przemienić jedynie najpotężniejsi, jako że pod nieobecność księżyca na niebie nie pomagają najskuteczniejsze wywoływacze. Ile Colin znał takich osób? Poza nim samym umiejętność tę posiadali Gordon, Roger, Fish i Caramel. Przecież, cholera, nie zabił żaden z nich. A podobno ich osadę zamieszkiwali najsilniejsi świadomi kontynentu. Cóż, jeśli istniała grupa dochodzeniowa lub zespół do zadań specjalnych, akurat ostatnie stwierdzenie nie musiało być prawdą. Jeśli istniała.

Może zabił ktoś, kto przyjechał z zagranicy? Ponoć większość świadomych żyje w Ameryce Północnej, tu

bowiem w szesnastym i siedemnastym wieku ich przodkowie uciekli przed prześladowaniami. W Europie płonęły wówczas stosy i toczyły się liczne procesy. O likantropię oskarżano przeważnie niewinnych ludzi, bo to był skuteczny sposób na pozbycie się niewygodnego małżonka, uciążliwego sąsiada bądź konkurenta do spadku. Jednakże wśród tysięcy podejrzanych znalazło się także wielu członków społeczności, których zdradziły zrosnięte nad nosem brwi. Życie na Starym Kontynencie stało się trudne, a tymczasem dziewicza Ameryka kusila obietnicą wolności. Podobno współcześnie pozostały w Europie jedynie niedobitki, a ich organizacja nie umywała się do struktur Ameryki Północnej. Podobno, ponoć... Cholera, zasadniczą część posiadanych przez niego informacji stanowiły domniemania.

Niekiedy Colin przypuszczał, że na temat śmierci Godfrey'a stryj wiedział znacznie więcej, niż mu wyjawiał. Może już dawno wykryto sprawcę, a Gordon z jakichś względów zatajał ów fakt przed bratankiem? Na tę myśl Colinowi poczerwieniało przed oczami. Ale przecież, ilekroć nagabywał Gordona o losy śledztwa, nie wyczuwał w jego odpowiedziach fałszu - nie wyłapywał ani śladu drżenia głosu czy wahania, które się pojawiały, gdy zadawał stryjowi niewygodne pytania na temat zasad działania organizacji.

Ejże, czy aby nie zanadto ufał swoim umiejętnościom? Gordon był w końcu liderem, a zatem najpotężniejszym świadomym w organizacji. Oficjalnie nie powinien zdradzać

bratankowi pewnych faktów, ponieważ jednak chciał to uczynić, łąał w taki sposób, aby pośrednio, poprzez zamierzone drżenie głosu, wyjawić mu prawdę. Kiedy zaś rzeczywiście pragnął okłamać Colina, osiągał cel bez wysiłku.

Colin zirytował się na samego siebie. Popełniał dokładnie ten sam błąd, przed którym przestrzegał Mata. W dodatku, im usilniej starał się zapanować nad snuciem domysłów i wspomnieniami, tym głębiej go wciągały.

Czy tutaj natrafi na rozwiązanie zagadki śmierci ojca? Przeczucie – bo jednak zdecydowanie chodziło o przeczucie – podpowiadało, że nigdy jeszcze nie znalazł się równie blisko. Bał się, że cena odpowiedzi okaże się zbyt wysoka, przy czym zapłaci ją któreś z rodzeństwa. Colin zaś nie zdoła temu zapobiec. Ta właśnie obawa była najgorsza: że zawiedzie, jak zawiódł tamtego dnia. Nietrudno cierpieć i złorzeczyć zabójcy, kiedy rzecz się dokonała i niczego już nie da się zmienić. Niemniej prawda wyglądała tak, że Colin poczuł wtedy ulgę, wręcz ucieszył się, że skurwiel nie żyje. Gdyby pragnął ocalić Godfreya i Vivian, przeczucie coś by mu podszeptało, nakazując wcześniejszy powrót do domu.

\*\*\*

Mat i Colin pojechali land-roverem do Paula, co nie zajęło im nawet trzech minut. Kumpel Mata mieszkał w pięknej rezydencji z widokiem na jezioro, stojącej na niewielkim cyplu, który w całości należał do ojca chłopaka,

najznamienitszego biznesmena w okolicy.

- Ludzie uważają go za dobroczyńcę miasteczka - wyjaśnił Mat. - Przyjechał, mając dwadzieścia cztery lata czy coś koło tego, bo się zakochał w miejscowej dziewczynie, a ona się uparła, że wróci po studiach w rodzinne strony. Rozumiesz, z takich historii rodzą się lokalne legendy. Chłopak był obrotny, więc trochę pogłównkował i założył firmę produkującą konserwy. Teraz zaopatruje sklepy w całym kraju. Wuj ma udziały - dorzucił Mat z przekąsem. - Firma sporo łoży na miasteczko, no i daje pracę tym, co się nie załapali do obsługi turystów... zresztą w rozwój turystyki stary Paula też inwestuje. Więc go tu prawie na rękach noszą. No, ale w gruncie rzeczy porządny z niego gość. Nie ocenia ludzi po tym, ile mają kasy albo z jakiej rodziny pochodzą. Dla niego liczy się, co sobą reprezentujesz.

- Nigel myśli inaczej? - spytał Colin, z góry znając odpowiedź.

- Czepia się Carol, bo jej matka jest Indianką. - Mat gniewnie trzasnął drzwiami land-rovera. - Często wyjeżdża... stary Paula... zostawia mu wolną chatę i nie rzuca się, że Paul zaprasza kumpli, czyli nas, rozumiesz, nawet na parę nocy z rzędu. Stawia tylko jeden warunek: kiedy wróci, chce zastać porządek. I mamy sami po sobie sprzątać, a nie, że Paul zapędzi do roboty Sopię. To ich gosposia. No i jeśli coś zniszczymy, musimy zrobić zrzutę. Rozumiesz, jasne zasady, wiesz, na czym stoisz. Zaczekamy na nich w środku.

- A matka Paula? Nie żyje?

- Rak, trzy lata temu - odparł Mat. - Nie poruszaj przy nim tego tematu. Chyba nie do końca się jeszcze otrząsnął.

Chłopak poprowadził Colina do kuchni i otworzył lodówkę.

- Co chcesz pić?

Do przybycia Paula i pozostałych zostały jakieś trzy kwadransy. Wówczas zajdzie słońce, a zatem działalność szczeniaków straci sens, obiekty ruszą bowiem tłumnie do hotelowych pokoi, pchane nieodpartą potrzebą, by natychmiast udać się na spoczynek.

Mat skorzystał z krótkiego sam na sam, żeby wyciągnąć Colina na spytki. Chciał, żeby brat podzielił się z nim swoimi łowieckimi doświadczeniami: jak zaczynał, jak udało mu się nawiązać kontakt z innymi, skąd czerpał wiedzę na temat wilkołaków i tym podobne.

Colin wytrwale kierował rozmowę na bardziej neutralny grunt, starając się mówić raczej o łowcach w ogóle niż o sobie w tej roli. Najchętniej huknąłby na Mata, że to nie jego zasrany interes, ale nie chciał chłopaka do siebie zrażać.

- Skąd bierzesz forszę na życie? - drążył Mat. - Zdarza się, że ktoś wynajmuje łowcę? Jako mściciela czy coś w tym stylu?

- Jakiego znowu mściciela? - zirytował się Colin. - Nie dociera do ciebie, że działamy w sekrecie? - Westchnął. - Wydaje ci się, że w Ameryce roi się od zwierzyny? Przez dwa, trzy miesiące w roku sprawdzasz mniej lub bardziej

obietujące doniesienia prasowe, a resztę czasu możesz spożytkować na zarabianie pieniędzy. Pracuję w tartaku stryja, zarządzam sprzedażą...

Nie każdy przebudzony nieświadomy zaliczał śmiertelną ofiarę albo masakrował stado bydła, a tylko takie przypadki przyciągały łowców. Z ich punktu widzenia zdarzały się więc nie dwa przebudzenia rocznie, ale co najwyżej jedno na dwa lata. Występowały nawet kilkunastoletnie okresy bez ataku, kiedy część łowców odchodziła z zawodu w przekonaniu, że plaga została wreszcie przezwyciężona.

Straż nie ograniczała się do szperania po sieci. Wręcz przeciwnie, media stanowiły źródło uzupełniające, informacje natomiast płynęły głównie od pracujących w terenie wężycieli, czyli kilkunastu świadomych, którzy jeździli po kraju, węsząc za przebudzonymi.

Trzyosobowy zespół wężycieli miał swoją bazę wypadową w osadzie, przeważnie jednak zadanie wykonywali ojcowie rozrzuconych po całym kontynencie rodzin z dziećmi w wieku przedszkolnym i szkolnym, często będący poprzednio członkami straży. Oficjalnie pracowali jako komiwojażerzy. Amerykę Północną podzielono na rejony, przypisując je poszczególnym wężycielom. Oprócz wędrówki w poszukiwaniu przebudzonych, mieli oni też obowiązek odwiedzić – bez nawiązywania kontaktu – znane społeczności osoby potencjalnie obciążone wilczym genem.

Rysowaniem drzew genealogicznych rodów, w których ujawnił się wilczy gen, zajmował się w osadzie sześćosobowy zespół. Pierwsze drzewa zaczęto tworzyć

jakieś dwa i pół wieku wcześniej, kiedy to społeczność uznała, że nieświadomych trzeba lepiej ukryć przed ludzkim wzrokiem. Na schematy nanosiło się dane i aktualne adresy kolejnych potomków, co w gruncie rzeczy wydawało się zajęciem nieskomplikowanym.

Raz na pewien czas budził się jednak nieświadomy spoza obserwowanych rodów. Wówczas ustalało się jego przodków, możliwie daleko wstecz, dla każdej osoby rozrysowywało się drzewo i odszukiwało jej żyjących potomków, jako że nie wiadomo nigdy, skąd wilczy gen przywędrował ani w której gałęzi rodu się w przyszłości odezwie. Zdaniem Colina ta gigantyczna praca miała niewiele sensu. Równie dobrze można by założyć, że każdy człowiek jest potencjalnym nosicielem. Dlatego nie zdziwiłby się, gdyby chodziło jedynie o zapewnienie paru członkom społeczności absorbującego zajęcia.

Proces budzenia się trwa u nieświadomych latami, przy czym charakterystyczna woń pojawia się dość wcześnie. Dzięki temu większość przebudzonych, zwłaszcza jeśli pochodzili z obserwowanych rodów, namierzano przed etapem pełnej transformacji. O wykryciu zerówki wężyciel powiadamiał Fisha, ten zaś delegował zespół do załatwienia sprawy.

Przeciętny łowca, pozbawiony wieści z terenu, docierał ledwie do ułamka aktywnych nieświadomych, zostawało mu więc sporo czasu na zadbanie o aspekt finansowy jego działalności. Benson na przykład posiadał internetowy sklep z akcesoriami dla myśliwych (co przy okazji stwarzało

dobrą przykrywkę, gdyby kogoś zaintrygowała zawartość jego przyczepy). Zatrudniał kilku zaufanych pracowników i utrzymywał z nimi stały kontakt, a sam odwiedzał firmę raz na kilka tygodni. Wedle oficjalnej wersji, jako zapalony myśliwy na co dzień oddawał się swemu hobby.

Niemniej Benson także i pod tym względem stanowił w branży wyjątek. No, może jeszcze ze dwóch łowców prowadziło legalne interesy, ale organizacja pracy u nich kulała. Była też Margaret Dillmore, jedyna kobieta w tym fachu, dziedziczka niewielkiej rodzinnej fortuny, która na przekór nadętym krewnym postanowiła poświęcić się niebezpiecznemu męskiemu zajęciu. Co, nawiasem mówiąc, nieźle jej wychodziło.

Pozostali łowcy, a zatem zdecydowana większość, środki na swoją działalność zdobywali bezprawnie – kradli, wymuszali, oszukiwali. Trzech zmówiło się kiedyś nawet do napadu na bank. Nie trzeba im wiele i żaden nie żądał dla siebie luksusów. Jeździli odrapanymi wozami, sypiali byle gdzie, jedzenie często sami sobie ubijali. Wydawali więc głównie na benzynę, broń i zioła. Na zioła najwięcej. Wprawdzie srebrne kule też nie są tanie, ale okazje do ich wystrzelenia zdarzały się sporadycznie.

- Gównu mnie obchodzi handel drewnem – warknął Mat.  
- Dlaczego ciągle mnie zbywasz?

Rozmowa z bratem zaczynała działać Colinowi na nerwy, z ulgą więc powitał przybycie zespołu Paula.

- Jack zgarnie resztę po drodze – poinformowała May, znów rzucając Colinowi zalotne spojrzenie.



Kretynka wkurzała go niepomieranie.

- Lada moment będą - powiedział gniewnie Paul i położył dłoń na udzie dziewczyny, zaznaczając swoje terytorium.

Z dwojga złego Colin wolał już siedzieć sam na sam z Matem; brat przynajmniej nie przejawiał chętki na skok w bok. Z utęsknieniem nasłuchiwał silnika jeepa Bersona. Wreszcie!

\*\*\*

- Halo, sztabie generalny! - radośnie wykrzyknął od progu Randal.

- Ilu macie? - Regie rzucił się na Paula, który ze zblazowaną miną uniósł dłoń. - Czterech? A my sześciu! Lepsi!!! Przy trzecim ich wyczailiśmy. Brwi to pikuś, trzeba patrzeć na zachowanie. Ci nasi łążą jak naćpani. Sto procent trafień!

- Bo u nas niektórzy gdzieś sobie poszli - warknął Paul, wymownie spoglądając na Mata.

- A co, kobiety mniej się nadają? - najeżyła się May.

Nagle wszyscy mieli mnóstwo do powiedzenia.

- Podchodzę do gościa, co siedzi sam, kapujesz, przy stoliku...

- Idę za nią od niechcienia...

- Zagaduję faceta...

- Nie ty, ja zagadałem!

- Ale tego drugiego, ośle. Więc zagaduję...

- ...i niby, że się potykam...

- ...a ten gapi się na mnie...

- ...i nagle babka się odwraca i z mordą...
- A ja z tobą, ja z tobą!

Na twarzy Mata odmalował się wstyd, że kumple traktują zadanie jak grę komputerową, w której rywalizują o to, kto zdobędzie więcej punktów. Carol stanęła za jego krzesłem, pochyliła się, po czym, objąwszy chłopaka za szyję, przytuliła policzek do jego policzka.

Jack siedział w fotelu przy niskim stoliku, prowadząc zapiski. Sporadycznie obrzucał grupkę zatroskanym spojrzeniem, jakby zaczynał powątpiewać w to, że kipiący energią smarkacze spędzą grzecznie noc zamknięci w pokojach. - Obejrzyjmy filmy - zarządził poirytowany Mat. Propozycja spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem. Na pierwszy ogień poszło nagranie z kamery Paula (jego dom, jego sprzęt, a w dodatku wrócili pierwsi, więc niech Regie się zamknie i ogląda). Na płycie znalazły się tylko wilkołaki, ponieważ sceny z ludźmi Paul na bieżąco wymazywał. Martin natomiast zachował wszystkie wywiady i sprawnie przeskakiwał zbędne fragmenty. Z trzema sfilmowanymi nieświadomymi Colin rozmawiał wczoraj, dwoje znał z widzenia. Pozostałe twarze, nieodmiennie noszące wyraz zagubienia, były dla niego nowe.

Nagrywani podchodzili do szkolnego zadania przeważnie ze zrozumieniem. Badano poziom zadowolenia z oferty turystycznej miasteczka (prośba o opinię na temat dostępnych rozrywek i hotelu, w którym ankietowany się zatrzymał), zasięg tejże oferty (pytanie o pokonaną odległość, czyli, inaczej rzecz ujmując: z jakiego miasta

przybył gość) oraz odporność przyjezdnych na alergeny obecne w tutejszym powietrzu w miesiącach letnich (test przy użyciu mieszanki pyłków traw, po którym kichający zwykle wyrażał zdziwienie, jako że nigdy dotąd nie zaobserwował u siebie reakcji alergicznych). Nieliczne osoby protestowały nieśmiało przeciw udziałowi w badaniu, a tylko jeden mężczyzna zareagował gwałtownie, odtrącając kamerę i obrzucając smarkaczy wyzwiskami. Kichnąwszy, wpadł w szal i zagroził, że wezwie policję. Potem scenka się urwała. – Musieliśmy wiać – oświadczył z dumą Martin. Szkoda, że kamera nie rejestruje zapachu, wówczas bowiem Colin wiedziałby, czy ogląda poszukiwanego przez siebie agresywnego typka, czy też doszedł mu kolejny osobnik do zneutralizowania. Scenkę smarkacze nagrali w centrum, o siedemnastej, kiedy Colin wrócił już do hotelu. Mógł się więc z facetem rozminąć.

– Świetny miałam pomysł, no nie? – May domagała się uznania.

Jack pochwalił wszystkich za profesjonalną robotę, ją zaś w szczególności za genialny pomysł ze szkolnym zadaniem. Dziewczę aż pokraśniało z zadowolenia.

Colin głośno poparł Bensona, w duchu klnąc blondynę. Że też akurat dzisiaj jej szare komórki musiały przez chwilę pracować na wysokich obrotach! Materiał trzeba będzie zniszczyć, nie wzbudzając podejrzeń, zatem Colin nie zdoła się tym zająć od razu. Do tej pory smarkacze mogli wykonać kopie. Psiakrew, brakowało tylko tego, żeby każdy łowca otrzymał komplet zdjęć.

Sześć sztuk namierzonych przez konkurencyjną grupę dotknęło Paula do żywego, zaczął więc wyrzekać na słabą jakość nagrań kolegi: nieczysty dźwięk i rozchwiany obraz.

- No i po cholere zostawiłeś sceny z ludźmi?

- Jak to po cholere? - wściekł się Martin. - Badamy ruch turystyczny, tak czy nie? A jak nas ktoś zahaczy i będzie chciał obejrzeć film, co mu powiesz? Że kamera ci nawaliła i połowę wywiadów szlag trafił?

Członkowie zespołów zaczęli bronić swoich metod pracy, w związku z czym w salonie zapanował potworny harmider.

- Nie pora na kłótnie - zainterweniował surowo Benson. - Jutro podzielicie się na trzy grupy. Dwie będą kontynuować pracę z wykrywaczem, trzecia ustali, kto z dzisiejszej dziesiątki przybył do miasteczka w niedzielę lub wcześniej. Powinienem być od razu poprosić, żebyście pytali o czas pobytu. No, ale nazwy hoteli znacie, wiecie, skąd przyjechali, więc łatwo...

- Oprócz tego palanta - wtrącił Martin.

- Coś wymyślicie, świetnie wam idzie. A kiedy będziecie zaglądać do ksiąg hotelowych, spiszcie wszystkie dane z ostatniego tygodnia. Mogą się potem przydać. Na miejscu skupimy się na wykryciu zabójcy Hammera. Pozostałymi zajmę się później, korzystając z waszej listy. - Zamyślił się i po chwili dodał: - Właściwie nie postanowiłem jeszcze, w jaki sposób się nimi zajmę. Dotąd miewałem do czynienia wyłącznie z osobnikami agresywnymi, tak że konieczność ich likwidacji nie podlegała dyskusji. Ci z waszych filmów... Cóż, dostrzegam zasadnicze różnice. Nie chcę popełnić

błądu. Są po części ludźmi. Przeciętnymi ludźmi, którzy mieli w życiu więcej pecha niż na przykład wy, co przecież nie oznacza, że także od was nie odwróci się pewnego dnia szczęście. Mam nadzieję, że rozumiecie mój punkt widzenia.

Bez przekonania pokiwali głowami. Jasne, bardziej by im pasowała walka z bestiami czystej krwi, kiedy za spust pociąga się bez rozterek.

- Nie przeczę, w wielu legendach i zapisach historycznych wilkołaki są prezentowane jako potwory o nienasyconej żądzy mordy - ciągnął Benson. - Ale zdarzają się też podania, gdzie likantrop występuje jako postać pozytywna. Starofrancuska *Pieśń o Bisclaurecie* opowiada o baronie trwale przeobrażonym w wilka wskutek zdrady żony. Ufał jej, a ona wolała pozbyć się męża i związać z kochankiem. Jako zwierzę Bisckwret został ulubieńcem króla, kiedy zaś prawda wyszła na jaw, niewierną małżonkę i jej kochanka wypędzono z kraju, a samego barona obsypano łaskami. Chociaż czasy były wtedy brutalne, nie doszukacie się w tej historii rozszarpanych ciał. Wprawdzie Bisclavret odgryzł żonie nos, niemniej przy zdradzie tej rangi kary bywały w dawnych wiekach po stokroć surowsze. Jest też udokumentowany wschodnioeuropejski przypadek wilkołaka Thiessa, przesłuchiwanego pod koniec siedemnastego wieku. Thiess nie próbował się wypierać swej drugiej natury. Przedstawił wilkołaki jako obrońców ludzi, występujących przeciwko czarownicom i złym mocom. Puszczono go wolno. Sprawdźcie sobie, te

informacje krążą w sieci. Nie mówię, że macie bezkrytycznie wierzyć tego typu przekazom. Lecz skoro skłaniamy się do czerpania z legend przekonania o krwiożerczości wilkołaków, to podań, które twierdzą coś przeciwnego, nie powinniśmy pomijać tylko dlatego, że nie pasują nam do teorii.

Thiess. Łowcy rzadko zawracali sobie głowę zgłębianiem zapisów historycznych, wielu zatem o jego przypadku w ogóle nie słyszało. Ci jednak, którym opowieść obłąkała się o uszy, uważali, że Thiess skutecznie omamił sędziów, gdyż nie tyle mu uwierzyli, ile wzięli go za nieszkodliwego starego wariata i po wymierzeniu lekkiej kary puścili wolno. Co dowodzi, że obiekty są przewrotne, nie należy więc dawać się zwieść ich pozornej łagodności.

Zdaniem Colina rację mieli sędziowie, uznając Thiessa za kogoś niespełna rozumu. Czarownice i diabły, dobre sobie!

Co naprawdę myślał o tej historii Benson? Czy rzeczywiście się wahał, jak potraktować tutejsze obiekty? W wypowiedzi łowcy Colin nie wyczuł kłamstwa, ale też trudno ją było przyjąć za deklarację. Benson podał jedną z rozważanych przez siebie opcji postępowania, mając zapewne na uwadze ostudzenie morderczego zapału smarkaczy. Inna opcja mogła zakładać wybicie całego stada przy najbliższej nadarzającej się okazji.

- W porządku - podjął Benson. - Staramy się wyselekcjonować tych, którzy w nocy z soboty na niedzielę mogli zabić Hammera. Nie wykluczam, że sprawca pojawił się w okolicy późnym wieczorem i od razu ruszył w las, a w

hotelu zameldował się dopiero na drugi dzień. Dlatego na listę podejrzanych wpisujemy także osoby, które oficjalnie przybyły w niedzielę. Jak mówiłem, namiary chcę na wszystkich. Utrzymujcie między sobą stały kontakt, żeby zespół gromadzący dane był na bieżąco. Z kamerą w rękę nie można nagabywać o zbyt wiele, pozostanie więc przy przyjętym dziś schemacie rozmowy. Dorzućcie tylko pytanie o czas pobytu. Będziemy mieli okazję zweryfikować ich prawdomówność.

- Czy oni nas nie usłyszą? - zaniepokoił się Regie. - Na przykład, kiedy będziemy zdawać sobie relacje przez telefon?

- Taa, a że za jednym musiałeś wołać trzy razy, to nie pamiętasz - prychnął Martin.

- Mógł udawać! - Randal stanął w obronie najlepszego kumpla.

- Zawsze lepiej przesadzić z ostrożnością niż czegoś zaniedbać - oznajmił Benson. - W razie wątpliwości przyjmujcie więc gorszą możliwość. Z moich doświadczeń wynika, że w ciągu dnia wilk pozostaje nieaktywny, zatem pod względem cech fizycznych obiekt w ludzkiej postaci nie różni się od przeciętnego człowieka. Czyli nie powinni was usłyszeć. Ale rozejrzyjcie się uważnie, zanim wyjmiecie komórki.

- Z Hammera był taki wredny typ, że aż mam ochotę uściskać gostka, który go załatwił - mruknęła May.

- Wilkołak nie ocenia charakteru ofiary - zganił ją Jack. - Równie dobrze mogło paść na jedno z twoich rodziców.

Wtedy też rzucałabyś się zabójcy na szyję?

Colin podziwiał talent, z jakim Benson radził sobie z narwanymi szczeniakami. W ustach łowcy jutrzejsze wywiady urastały do rangi najważniejszego pod słońcem, niemalże przekraczającego ludzkie możliwości zadania. Tymczasem Jack i Colin powłóczą się tej nocy po lesie, próbując poczynić jakieś mądre obserwacje i wyciągnąć z nich równie mądre wnioski, niemniej było z góry wiadomo, że z ich wyprawy niewiele wyniknie.

Jeden Regie nieśmiało wyraził chęć towarzyszenia łowcom, mimo że wycieczka zapowiadała się nudna i właściwie bezcelowa.

- Młody jestem, więc spoko, styknie mi sił na jutro - zapewnił na poły butnie, na poły błagalnie.

- Wydawało mi się, że wystarczy, jeśli wytłumaczę wam daną kwestię tylko raz - zgasił go krótko Jack.

Colin żywił nadzieję, że Matowi nie zaświtał żaden kretynizm. Chłopak siedział podejrzanie cicho, jakby coś sobie umyślił. Na szczęście czuwała nad nim Carol, uosobienie rozsądku.

\*\*\*

Łowcy zostawili szczeniaków pogrążonych w burzliwej dyskusji nad podziałem zadań na sobotę. Wykrywanie wilkołaków smarkacze uznawali zgodnie za zajęcie o niebo ciekawsze od sprawdzania ksiąg hotelowych, tak więc nikt nie chciał się znaleźć w trzeciej grupie.

O tym, jak jest późno, przypomniało Colinowi i Jackowi



dobiegające z oddali wycie. Zwierzyna wyszła już w las.

- Jesteś pewien...? - zapytał Colin.

- Ja powinienem zapytać o to ciebie - odparł Jack, zatrzymując jeepa przecznicę od Martha's Inn. Za moment Colin oficjalnie wróci do pokoju, gdzie zostanie grzecznie do rana, jak każdy przyzwoity turysta. - Przewodzą im twój brat z Paulem, a Mat, na moje wyczucie, intensywnie rozważa nocną eskapadę. Ty mi powiedz: zwycięży brawura czy rozsądek?

- Widzę go pierwszy raz od siedmiu lat. Nie znam go wiele lepiej niż ty.

- Dlaczego tak się angażuje w tę sprawę?

- Dzieciaki, sam mówiłeś... - Colin wzruszył ramionami.

- Nie w jego wypadku.

- Nie mam pojęcia - rzucił z irytacją Colin.

Pieprzony Benson, przyczepił się jak cholera. Czyżby coś podejrzewał? Jeśli zahaczy Mata... Zahaczy, jak amen w pacierzu.

To jasne, że Jack zakładał tragedię w tle, mało kto bowiem zostaje łowcą z czystej fantazji. Colin mógł więc spokojnie wyjawić mu ocenzurowaną część prawdy. Zwykle chodziło o historię mniej więcej taką: gość żyje sobie szczęśliwie na łonie rodziny - składającej się z cudownej żony i dzieci bądź rodziców i rodzeństwa, istna sielanka - aż pewnego dnia w słodkie gniazdko wpada, niczym bomba, wilkołak, i topi je w morzu krwi.

Właściwie nie zawsze winę ponosił członek społeczności. Zdarzały się ataki zwierząt, które krewni ofiar uznawali za

robotę wilkołaka, najczęściej pod wpływem sugestii jakiegoś łowcy amatora, ekscytującego się legendami maniaka

W biurze straży każdemu liczącemu się łowcy zakładano teczkę, zawierającą między innymi doniesienia prasowe oraz wygrzebane z policyjnych kartotek informacje. Colin znał zatem historię Bensona.

Anthony Tuma, na co dzień urzędnik pracujący w banku, pojechał z żoną i dwójką maluchów na letnie wakacje pod namiot. Rozbili obóz w lesie, żeby pobyc trochę z dala od cywilizacji. Pewnego parnego popołudnia Anthony wybrał się do sklepu. W drodze powrotnej złapał gumę. Nim uporał się ze zmianą koła, na nocnym niebie dawno zawisła okrągła tarcza księżyca. Dzięki temu nadal żył, jednak we własnym mniemaniu zawiódł rodzinę – gdyby wrócił na czas i tak dalej – mimo że z perspektywy zdobytych doświadczeń pojmował doskonale, jak marne szanse w starciu z bestią miałby Anthony Tuma, prosty urzędnik bankowy, nie dość przebojowy nawet na to, by awansować. Faceci tego rodzaju uważają się za brutali, kiedy pogrożą pięścią kierowcy, który zajął im miejsce na parkingu. Oto, jak tragedia zmienia człowieka. Skromny kancelista Tuma stał się Jackiem Bensonem, jednym z najlepszych łowców.

– Naszych... jego rodziców, mojego ojca i macochę, zabiła zwierzyna – powiedział z westchnieniem Colin, łapiąc za klamkę drzwi jeepa. – Parę dni temu, analizując sprawę Hammera, Mat pokojarzył fakty. Chyba jeszcze się z nimi nie pogodził. Chce zostać łowcą.

- Niedobrze - stwierdził Jack.

W środowisku łowców obowiązywała niepisana zasada, że nie rozmawia się o osobistych tragediach - choć zdarzali się i tacy, którzy wręcz zanudzali towarzyszy opowieściami o swoim nieszczęściu, jakby próbowali w ten sposób usprawiedliwić wybór drogi życiowej. W każdym razie Benson się do nich nie zaliczał.

Umówili się za pół godziny w tym samym miejscu i Colin wreszcie wysiadł z jeepa.

\*\*\*

Przyłapał się na tym, że znowu marzy o zderzeniu się w drzwiach z Celią. Pełnia zawsze działała na niego pobudzająco, a dodatkowo nakręciły go filmy - w każdej kolejnej scenie miał nadzieję ją ujrzeć. O tej porze Celia już dawno biegała po lesie, mimo to hotelowy hall wręcz pulsował jej zapachem; tyle wystarczyło, żeby Colin poczuł, że ma erekcję. Cholera, przydałby mu się zimny prysznic.

Zwykle nie palił się do seksu z kobietami, włączając w tę kategorię także i nieświadome, ponieważ nie najlepiej radził sobie z własną nieśmiałością. Pełnia nieco ją osłabiała, co oznaczało tylko to, że robił z siebie w tym okresie mniejszego kretyna. Najwyraźniej jednak miał w sobie coś pociągającego, gdyż kobiety same o niego zabiegały, tak że nie musiał podejmować nawet najdrobniejszego wysiłku. Śmiały się w duchu z nieporadności Colina, a zarazem nie potrafiły się pohamować, napalone jak suki w rui. Zdarzało mu się więc

zaliczyć z przygodnie poznaną laską szybki numer. Musiał tylko uważać, żeby nie zrobić któregoś dzieciaka.

Ze świadomymi suczkami w ogóle nie wdawał się w bliższe relacje. W tak małym środowisku nie mogło być mowy o przygodzie na jedną noc, a do trwałego związku Colinowi się nie spieszyło. Jeszcze nie spotkał tej właściwej.

Preferował wilczyce – zero problemów, zero zobowiązań i nie ma zagrożenia niespodziewaną ciążą, jako że wadery są płodne tylko przez jakieś dwa, trzy tygodnie w roku. W sąsiedztwie osady zamieszkiwało kilka wilczych grup rodzinnych; Colin znalazł tam sobie ulubienicę, z wzajemnością. Mimo że poza okresem rui takie igraszki sprawiały jej raczej umiarkowaną przyjemność, rozumiała potrzeby Colina i ochoczo wyświadczała mu przysługę. Nazywał ją Varga'mar, wilcza czarownica. Imię zaczerpnął ze skandynawskich legend, dopatrywszy się czaru w jej bursztynowych oczach.

Varga'mar towarzyszyła parze dominującej, opiekując się szczeniętami swojej matki, zatem Colin nie wchodził w paradę żadnemu basiorowi. Na zimę jej grupa łączyła się z innymi w watahę i razem ruszały na włóczęgę. Co roku Colin obawiał się, że Varga'mar już nie wróci, że zapomni o nim, założywszy własną rodzinę. Ale jak dotąd obawy okazywały się płonne. Waderka chyba rzeczywiście go lubiła. Ich związek trwał już cztery lata, czyli z jej punktu widzenia szmat czasu. Kiedy ją poznał, była dziewicą, jak wszystkie wilczyce przed drugim rokiem życia. Jego Varga'mar. Uśmiechnął się lekko.

Raz spróbował z suką husky, ale psia uległość nie przypadła mu do gustu. Poza tym Colinowi brakowało inteligentnej wymiany zdań, na jaką mógł liczyć z Varga'mar czy inną waderą. Ostatecznie uznał, że takie kontakty są poniżej jego godności.

Uchylił okno w pokoju, ale z hotelu wymknął się tylnymi drzwiami. Benson już na niego czekał.

\*\*\*

Dzisiejszej nocy grupa buszowała na terenie wysuniętym bardziej na północ. Najwyraźniej zerówki, zamiast ciągnąć do konkretnego punktu, całą okolicę uważały za swoje terytorium. Czy raczej: czynnik przyciągający znajdował się w samym miasteczku, nieświadomi trzymali się bowiem obrzeży ludzkich siedzib, mimo że zwierzęca natura powinna była pchnąć ich głębiej w las.

Minęli tkwiący samotnie na przydrożnym parkingu wóz FWS.

- Ciekaw jestem, jak szczegółowe obserwacje zdążyli przeprowadzić - mruknął Colin.

- Zwierzyńę niełatwo podejść.

Colin miał nadzieję, że łowca się nie myli. Nieświadomi posiadają niezwykle wyostrzone zmysły, pod tym względem ustępują im nawet wilki, jednakże to stwierdzenie odnosi się do osobników zrównoważonych, czyli przebudzonych z zachowaniem kolejnych etapów procesu, nie zaś z dnia na dzień, jak te tutaj. Oby wystarczyło im czujności. Lepiej, gdyby FWS nie zyskało za wielu okazji do przyjrzenia się

tym „wilkom”.

Niedługo w okolicy powinny się pojawić także prawdziwe wilki, gdyż zew kuzynów działa na nie nieodparcie. Pod warunkiem, że choć jeden osobnik zawędrował dostatecznie blisko, by przekazać wezwanie dalej. Colin uspokoiłby się nieco, gdyby naukowcy i miejscowi dostali swoje racjonalne wytłumaczenie nocnych odgłosów.

Benson zaparkował jeepa w ukryciu, kilka mil od żerowiska zwierzyny. Zgodzili się obaj, że wolą nadłożyć drogi, niż narażać się na dociekania straży leśnej.

Pobiegli przez las. Colin nie mógł się przyznać, że z daleka wyczuwa obecność ludzi, poruszali się zatem ostrożnie, przystając za każdym razem, gdy w pobliżu trzasnęła gałązka. Cała ta zapobiegawczość opóźniała moment rozpoczęcia obserwacji, ale Colinowi wcale nie zależało na pośpiechu.

Benson niósł strzelbę, do pasa przypiął dwa pistolety, a w połach kurtki ukrył kilka powlekanych srebrem sztyletów. W porównaniu z tym arsenałem uzbrojenie Colina prezentowało się nad wyraz skromnie – wziął tylko starego colta.

- Przyjechałem głównie po to, by zobaczyć się z rodzeństwem, a gdyby wuj się dowiedział o magazynie broni w moim hotelowym pokoju...

Cholera, po jakiego czorta się Bensonowi tłumaczył? Usiłował się usprawiedliwić, bo odnosił wrażenie, że Jack czegoś się domyśla, choć łowcy brakowało podstaw do jakichkolwiek podejrzeń. Na właściwy trop mogła go

naprowadzić dopiero kretyńska gadka Colina.

Dotarli niemal do celu, kiedy huknął strzał. Tuż po nim rozległy się dwa kolejne, a czułe ucho Colina wyłowiło też krótki skowyt. Niech to szlag, któryś oberwał. Strzelec znajdował się kilkaset jardów na prawo od nich. Colin zaklął głośno pod wpływem pierwszej nasuwającej się myśli: smarkacze jednak postawili na swoim i wyprawili się do lasu.

- To nie Mat - orzekł Benson.

Colin nie spytał, skąd jego towarzysz czerpie tę pewność. Sam także po krótkim namyśle wykluczył brata i jego kumpli, gdyż niedoświadczonym szczeniakom nie udałoby się podejść nawet najbardziej rozkojarzonego nieświadomego. Tyle że Jack nie mógł słyszeć skowytu, nie wiedział zatem, że strzał był celny.

- Łowca - stwierdził Benson.

Rzeczywiście, przedstawiciel FWS strzelałby raczej środkiem usypiającym z broni pneumatycznej.

Posuwali się ostrożnie, jako że łowcy zazwyczaj najpierw pociągają za spust, a dopiero potem pytają, kto idzie. Smarkacze mieli wczoraj fart, że natknęli się na Bensaona.

- Daniel?! Nick?! - wołał półgłosem Benson. Starał się zachowywać cicho, ponieważ wiedział, że nie tylko oni szukają strzelca.

- Jack? - odpowiedział im ktoś agresywnym tonem.

Colin bezwiednie zacisnął pięści.

- Kenneth! - wykrzyknął Benson, także bez przesadnej radości.

Na większego skurwiela trafić nie mogli. Kenneth Stipe również doświadczył rodzinnej tragedii, gdyby jednak dało się cofnąć czas, to Benson z ulgą zatopiłby się w błogiej monotonii dawnego życia, a Stipe osobiście rozszarpałby żonę i dziecko, byle uzasadnić własną zajadłość w polowaniu. To człowiek targany sprzecznościami: położenie zwierzyny jednym celnym strzałem stanowiło powód do dumy, za to zranienie jej otwierało fascynujące możliwości. Kenneth Stipe. Jemu Colin z rozkoszą odpłaci pięknym za nadobne.

- Witaj, Jack - powiedział Stipe chłodno, nie przepadał bowiem za konkurencją.

Zresztą, mało który łowca lubił konkurencję, bo zwykle mieli do ustrzelenia pojedynczy okaz. Chyba tylko Benson mógł się zdobyć na telefon do Nicka i Daniela. Inni nawet w sytuacji równie wyjątkowej jak tutejsza zachowaliby informacje dla siebie.

- Ubiłem drania - oświadczył Stipe. - Drugi zwiął, kurwa. Wadera. Pierdolona parka. O, Vernon. Nie zauważyłem.

Zauważył, ale, jak kiedyś oznajmił Colinowi, „bobaski nie powinny się bawić bronią”.

Prasa napisała wówczas o rozszarpanej krowie i na miejsce zdarzenia zjechało czterech łowców, z Colinem włącznie. Znaleziony w błocie odcisk łapy dowodził, że tym razem faktycznie zaatakowała zwierzyna, nie zaś kolejny zdziczały pies. Łowców ogarnęła gorączka. Każdy marzył o zaliczeniu tej sztuki, zatem także i Colin odgrywał napalonego. Wtedy Stipe rozbił mu strzelbę o kamień.



Smarkacze z mlekiem pod nosem mogą się co najwyżej przyglądać, jak fachowcy wykonują robotę. I lepiej niech mu się Vernon nie pakuje na linię strzału, bo w takich okolicznościach człowiek staje się nerwowy. A nuż przypadkiem Stipe by bobaska pokiereszował.

Jeszcze skurwiel „bobaska” popamięta. Na razie jednak Colin musiał nad sobą zapanować. Cholera.

Spojrzał w otwarte piwne oczy, z których nawet śmierć nie wypluła wyrazu zagubienia. Biedny Basil. Colinem owładnęło poczucie winy. Gdyby uspił podejrzanych o zabicie Hammera, Woods nadal by żył.

- Odbiło ci? - Wbrew postanowieniu naskoczył na Stipe'a.  
- W lesie roi się od ludzi z FWS, strażników leśnych i diabli wiedzą, kogo jeszcze, a ty strzelasz do pierwszego napotkanego obiektu? Przeprowadziłeś choć minimalne rozpoznanie?

- Słuchaj, szczeniaku, nie będziesz mnie uczył...

- Kenneth - wpadł mu w słowo Jack. - On ma rację. Tamci na pewno usłyszeli strzały i pędzą sprawdzić, czy to nie kłusownik poluje na chronione wilki. Ściągniesz nam na głowę pościg. Musimy ukryć ciało.

- Miałem patrzeć, jak sobie rozkosznie, kurwa, swawolą?

Ograniczone bydlę, malutki mózdzek plus żądza mordy - te określenia najlepiej opisywały Stipe'a. Colin chętnie dobyłby colta i palnął draniowi w twarz. Wtedy jednak musiałyby zabić także Bensona, a z trzema ciałami nie uporałby się sam przed świtem. A gdyby nawet Jack przyklasnął atakowi na Stipe'a, i tak mieliby spory kłopot z

dwoma trupami.

- Weźmiemy z mojej przyczepy ponton i zatopimy ciało w jeziorze. - Jack uciął spór w zarodku. - Na szybko nic mądrzejszego się nie wymyśli. Gdzie zostawiłeś samochód?

Żeby nie znaczyć całej trasy przemarszu krwią martwego obiektu, ranę postrzałową przewiązali koszulą Stipe'a. Nieśli nagiego trupa na zmianę, we dwóch, podczas gdy trzeci z grupy szedł przodem, wybierając najdogodniejszą drogę i kontrolując otoczenie.

Wszyscy trzej dyszeli - łowcy byli autentycznie zmachani, Colin zaś udawał zmęczenie. Świadomych cechuje wyjątkowa siła i wytrwałość, tak w wilczej, jak i w ludzkiej postaci. Do momentu przebudzenia - ujawnienia się drugiej natury, nawet jeśli do pierwszej przemiany nie dopuszczono - pod względem fizycznych uwarunkowań nie różnią się od ludzi, potem jednak błyskawicznie nabierają sprawności. Stwarza to znaczny problem w przypadku dzieci. Powstrzymywacze nie wyłumiają tężyzny fizycznej ani nie zapobiegają jej rozwojowi, rodzi się więc ryzyko że młodzi świadomi skupią na sobie niepożądaną uwagę. Czasem pomaga dominacja, na którą dzieci wykazują większą niż dorośli podatność. Kiedy się im wmówi, że obowiązują ich te same co rówieśników ograniczenia, ich mózg zaczyna odruchowo hamować mięśnie przed wykorzystaniem pełni możliwości.

Z młodym Colinem, podobnie jak z innymi silnymi świadomymi, taka sztuczka by się jednak nie udała. Zresztą Godfrey nigdy nie próbował użyć dominacji. Syn musiał

zwalczyć chorobę sam. Gdyby któryś ze szkolnych kolegów go zaczepiał, Colinowi nie wolno było pod żadnym pozorem chłopaka uderzyć. Zarazem nie mógł też pozwolić się pobić, ponieważ natychmiast zagoiłyby się na nim zadrapania i znikły opuchlizny, a to wyglądałoby podejrzanie. Godfrey nie dostrzegał w swoich zaleceniach sprzeczności. Wystarczyło, żeby syn, jak każdy normalny chłopak, unikał prowokacji.

Szkopuł w tym, że Colin nie znajdował z rówieśnikami wspólnego języka, przez co nieustannie stawał się w szkole obiektem ataków. Stosowanie się do ojcowskich nakazów nie pomagało, a często jedynie zachęcało oprawców. W końcu więc zaczął się bić, w tajemnicy przed ojcem. Oddawał draniom, pilnując się, by nie przyłożyć zbyt mocno, bo Godfrey niezawodnie by się wściekł, gdyby syn ukatrupił jakiegoś parszywego gnojka. Szybko przestano wchodzić Colinowi w drogę.

U nieświadomych zjawisko nie występuje. Przebudzeni czy nie, w ludzkiej postaci tężyzną fizyczną niewiele się różnią od przeciętnego człowieka. Po przemianie czerpią siłę z blasku pełni, mimo to Colin nie określiłby ich możliwości jako szokujących. Nieuzbrojony mężczyzna nie ma z nieświadomym szans w bezpośrednim starciu, ale nie pokonałby też raczej żadnego drapieżnika o porównywalnych rozmiarach.

Łowcy dotarli wreszcie do wozu Stipe'a zaparkowanego w pobliżu żerowiska stada. Gdy upchnęli ciało do bagażnika podniszczonego dodge'a, najpierw podskoczyli po jeepa

Jacka, a potem ruszyli w dwa samochody na kemping po ponton.

Ponieważ na rozświetlonej księżycem tafli jeziora byłiby doskonale widoczni, nie odważyli się wypłynąć daleko od brzegu. Obciążony kamieniami worek zatopili w zatoczce, gdzie drzewa gwarantowały ich działaniom cieniastą dyskrecję. Zniknięcie turysty nie pozostanie bez echa, ale jeśli nikt nie natknie się na zwłoki, przez parę dni obędzie się bez większych kłopotów. Pracownicy hotelu, w którym zatrzymał się Basil, uznają zapewne, że osoba tak zakręcona po prostu się zgubiła.

Colin zapamiętał miejsce, żeby przy najbliższej okazji wydobyć trupa i spalić w spalarni na kółkach, o której zorganizowanie zawczasu poprosił Fisha. Po śmierci nieświadomy powraca do ludzkiej postaci w każdym najdrobniejszym szczególe, tak że zwykła sekcja czy badanie krwi nie ujawniłyby rozbieżności. Niemniej przy obecnym poziomie rozwoju genetyki ciało Woodsa dostarczyłoby wielu informacji osobom zorientowanym, czego należy szukać. Choć być może „zorientowani” dostali już materiał badawczy.

Zachowanie istnienia wilkołaków w tajemnicy przez setki lat okazało się niemożliwe. Nikt w organizacji nie był tak naiwny, by wierzyć, że można całkowicie wymazać społeczność z ludzkiej świadomości, włożono jednak wiele wysiłku w przeistoczenie faktów w bajkę poprzez przekazy ustne i literackie, a współcześnie także filmy. Społeczność otoczono zasłoną dymną, gdzie szczyptę prawdy umiejętnie

wymieszano z workiem fantazji. Świadców, którzy zetknęli się z bestią oko w oko, konsekwentnie ośmieszano, odbierając ich relacjom wiarygodność.

Organizacja wyćwiczyła specjalistów od utrzymywania zasłony dymnej; przy ich udziale powstał ponoć niejeden scenariusz filmowy. Ponadto, mimo że dotąd rzadko trafiała się okazja do przetestowania owych umiejętności w praktyce, każdego członka społeczności szkoliło się, jak wciskać otoczeniu głodne kawałki.

Szkolonym wpajano, że nie należy zaprzeczać utartym przesądom, takim jak na przykład groźba zarażenia się „księżycową chorobą” przez ugryzienie, ale także i informacjom prawdziwym, jeśli w powszechnym ludzkim mniemaniu trwale wiążą się z wilkołakami – jak choćby konieczność stosowania srebrnych kul. Poza tym jednak dopuszczalna była spora dowolność. Członkowie społeczności mogli czerpać z legend, często wzajemnie sobie przeczących, lub dodać parę szczegółów od siebie, jeśli dopisała im inwencja. Im więcej krążyło po świecie opowieści, tym bardziej narastał szum informacyjny. Byleby zachowali umiar, jako że ludzka naiwność też ma swoje granice. Chociaż, jeśli cywil wierzy w wilkołaki, przeważnie da wiarę również najbardziej niewiarygodnym teoriom na ich temat.

Mimo wszystkich podejmowanych przez organizację przeciwdziałań powstała przynajmniej jedna rządowa agencja zainteresowana dogłębnym zbadaniem zjawiska pod kątem, jakżeby inaczej, możliwości wykorzystania

wilkołaków do celów militarnych. Głównie ze względu na nią tak ważne było, żeby osobom postronnym, w rodzaju Mata i jego kolegów, nakłść do głów maksymalnie dużo bzdur i zrobić im wodę z mózgu, na przykład uciekając w panice na widok czosnku, skądinąd zupełnie dla członków społeczności neutralnego. Agenci mieli dzięki temu problem z oddzieleniem ziarna od plew. Przesłuchanie autentycznego świadka nie dostarczało im wiarygodniejszych informacji niż rozmowa ze zwariowanym tropicielem mitów.

Jak dotąd Colin nie spotkał agenta - albo go nie rozpoznał, co wydawało się wątpliwe, wyczułby bowiem, że rozmówca coś ukrywa. „Rozmówca” oznaczałoby: „jeden z łowców”, gdyż agencja na pewno infiltrowała ich środowisko. Do struktur samej organizacji agentom nigdy się nie uda przeniknąć, pozostawało im zatem zbieranie informacji wśród ludzi, którym życie upływało na polowaniu na bestie.

O istnieniu agencji Colin usłyszał od Gordona. Stryj uraczył go paroma skąpymi faktami: kiedy powstała (przed prawie dwudziestu laty), dotychczasowe osiągnięcia (mizerne, niemniej wystarczające, aby rząd przedłużał jednostce byt), metody działania (głównie wywiad środowiskowy i zdobywanie ciał nieświadomych, których zabili łowcy). Colin podejrzewał, że stryj zachował wiele szczegółów dla siebie; wkurzał go taki brak zaufania.

Agencja hołdowała przekonaniu, że występuje tylko jedna odmiana wilkołaków, a mianowicie nieświadomi. Dlatego

też skupiała się na zagadnieniu, jak nauczyć danego osobnika kontroli nad posiadanymi właściwościami. Niewykluczone, że w jej laboratoriach znajdował się już żywy okaz, poddawany różnym eksperymentom. To jednak zaledwie domniemanie. Rzeczywiste dokonania agencji mogły się sprowadzać do aktorskich umiejętności i inwencji jej szefa, który skutecznie ubarwiał efekty podejmowanych działań, żeby wydebić kolejną rządową dotację.

Łowcy także z zapałem uczestniczyli w zacieraniu śladów. Agencję traktowali jak osobistego wroga, nie powstała bowiem w celu eksterminacji bestii, lecz przeciwnie, wręcz dążyła do ich udoskonalenia i masowej produkcji. Zdemaskowanego agenta znaczna część łowców potraktowałaby na równi ze zwierzyną, choć zapewne z zachowaniem większej dyskrecji, żeby nie ściągnąć sobie na kark jego żadnych zemsty kumpli.

Łowcy zresztą nie cierpieli wszelkich instytucji, państwa jako takiego, gdyż ustanawiało ono prawa zabraniające im polować i kwalifikujące ich poświęcenie dla dobra ludzkości jako czyn przestępczy. Byli przekonani, że otaczają ich barany i głupki. I że oni jedni zachowali trzeźwy osąd sytuacji, ale, niestety, są zmuszeni się ukrywać.

Tylko kretyńcy pokroju Stipe'a walili z obrzyna, nie bacząc na konsekwencje.

- Spójrz na sytuację w ten sposób, Kenneth - perswadował łagodnie Jack, spuszczać powietrze z pontonu. - Coś w okolicy przyciąga zwierzynę. Dzisiejszej

nocy kręci się ich tu więcej niż wczoraj, a jutro przybędą pewnie następne obiekty. Pomyśl, ile trudu kosztowałyby cię wyśledzenie ich tyłu w normalnych warunkach. Nie wolno zaprzepaścić takiej okazji! Tutaj zastrzelisz ze trzy, cztery sztuki, a reszta pójdzie po rozum do głowy i ucieknie. Ale jeśli ustalimy ich tożsamość...

- I na co ci ona? - prychnął Stipe. - Co zrobisz, jeżeli na własnych śmieciach przestaną się przeobrażać? Będziesz strzelał do ich ludzkich postaci?

Czyżby skrupuły u Stipe'a? Niewiarygodne, więc raczej chodziło o ryzyko. Łatwiej zostać ujętym pod zarzutem morderstwa, zasadzając się na zwierzynę w jej ogródku, niż gdy poluje się na nią nocą w lesie.

Zresztą, w przypadku innych łowców, czy chociażby Mata i jego paczki, tego rodzaju skrupuły także zalaływały hipokryzją. Zabicie zwierzyny w wilczej skórze uważali za czyn chwalebny, a po powrotnej transformacji to samo pociągnięcie za spust awansowało nagle do rangi morderstwa. Jakby różnica tkwiła w wyglądzie! Nie daliby sobie wytłumaczyć, że człowiek o łagodnym usposobieniu nie będzie się po przemianie palił do tego, żeby kogokolwiek rozszarpywać - w każdym razie nie bardziej niż przeciętny wilk, te zaś, wbrew powszechnemu mniemaniu, wolą ludzi omijać z daleka. Zastrzelenie takiego osobnika pozostaje zawsze zbrodnią, nieważne, czy nastąpi w blasku pełni księżyca, czy w jakimkolwiek innym momencie dnia lub nocy.

Z kolei nieświadomy, który po transformacji przejawia



tendencje do krwiożerczości, również w ludzkiej postaci posiada naturę zabójcy, jednak ze względu na społeczne uwarunkowania dobrze się z nią kryje. I nie odbiega pod tym względem od zwykłego człowieka o podobnym usposobieniu, lub raczej jedyna różnica polega na tym, że przed nieświadomym pełni księżyca otwiera pewnego dnia nowe możliwości. Wystarczy, żeby wydać wyrok? No cóż, Colin gotów byłby się z takim twierdzeniem zgodzić. Jeśli tylko ludzi o morderczych skłonnościach także będzie się eliminować.

Nawet Benson, wzór opanowania, zaczął tracić cierpliwość. Wreszcie, aczkolwiek nie kryjąc niechęci, Stipe przystał, by czasowo ograniczyć działalność do obserwacji i ustalania tożsamości zwierzyny.

- Chyba że mi się jakiś nawinie pod strzelbę - zaznaczył szybko, obleśnie się uśmiechając.

- Kenneth, do cholery, toczymy wojnę! - wybuchł Jack. - Na wojnie taktyka jest ważniejsza od pociągania za spust! Jak zamierzasz pracować z FBI i paroma innymi typami deptającymi ci po piętach?

Nie zabijać teraz, żeby tym sprawniej zabić później. Smarkaczom Benson deklarował co innego. Przemyślał sprawę czy jedynie uznał, że tym argumentem przekona Stipe'a?

Do diabła, a czegoż oczekiwać po łowcy? Jack mógł sobie być porządnym facetem z zasadami, niemniej cel jego istnienia sprowadzał się do oczyszczania świata z krwiożerczych bestii. Zaświtały mu pierwsze wątpliwości,

czy wszystkie obiekty są krwiożercze i zasługują na śmierć, ale tyle nie wystarczy, by radykalnie zmienić metody postępowania w tej, używając jego określenia, wojnie. Colinowi jakoś nie obył się o uszy przypadek nawrócenia łowcy. No, chyba że nastąpiło ono w zaświatach, dokąd organizacja wyprawiła paru co bardziej problematycznych.

\*\*\*

Kiedy zapakowali ponton do bagażnika jeepa i wozem Kennetha wrócili w pobliże żerowiska stada, do świtu pozostały niespełna trzy godziny. Część tego czasu poświęcili na obserwację. Zachowywali przy tym najwyższą ostrożność, jako że po strzelaninie w lesie zrobiło się nerwowo.

W efekcie nawet Kenneth spuścił z tonu: nie sądził, że w całym pieprzonym kraju znajdzie się tyle tych pieprzonych bydlaków.

Szczerze mówiąc, Colin podzielał jego odczucia, choć może z wyłączeniem epitetów. Podczas obserwacji wyodrębnił trzy nowe wonie, co oznaczało, cholera, że wliczając śpiącego grzecznie w hotelu Tony'ego Boyce'a, w miasteczku przebywało dwudziestu sześciu nieświadomych. Poprawka, dwudziestu pięciu - Basil, niestety, opuścił rzucone grono.

Do niedawna Colin oczekiwał, że napotka w swoim życiu trzydzieści, najwyżej czterdzieści w pełni przebudzonych zerówek. Gros osób z wilczym genem trwa w uśpieniu aż do spokojnej śmierci w sędziwym wieku, natomiast do

większości tych, u których rozpoczął się proces przebudzenia, straż dociera przed etapem ich pierwszej całonocnej transformacji.

- Kurwa, przydałby się karabin maszynowy - mruknął Stipe.

Colin żałował, że nie nadarza się okazja, by odciągnąć na bok i dyskretnie zlikwidować łajdaka. Czy w ogóle zdoła tego dokonać bez wzbudzania podejrzeń Bensona? Niepokoił się, czy zwłoka nie przyniesie kolejnych ofiar wśród nieświadomych. W tej chwili Stipe przyklasnął koncepcji Jacka, niemniej do następnej nocy pewnie ze dwadzieścia razy zmieni zdanie. Ale chyba nawet Kenneth nie byłby tak głupi, żeby polować na zwierzynę w miasteczku, w świetle dnia?

Ponieważ nie ulegało wątpliwości, że straż leśna przeprowadzi dochodzenie w związku ze strzałami (zwłaszcza że rozlegały się drugą noc z rzędu), niebezpiecznie było pozostawiać przyczepę Jacka na leśnym kempingu. Już jej obecność na nim poza sezonem wywołałaby wiele pytań, nie mówiąc o tym, co by się działo, gdyby zajrzano do środka.

Po krótkiej naradzie łowcy postanowili zatem przestawić przyczepę na parking przy jednym z hoteli. Przejeżdżając po południu przez miasteczko, Benson przyuważył stosowne miejsce, dostatecznie na uboczu, żeby dało się niepostrzeżenie wchodzić i wychodzić.

Jack namawiał Kennetha, by zamieszkał u niego, ze względu na większą dyskrecję i swobodę ruchów. Stipe

przyjął ofertę bez entuzjazmu; nie podobała mu się myśl, że ma przebywać pod czyimś nadzorem. Nie mógł jednak pokazać się w hotelu z plamami krwi na ubraniu, propozycja Bensaona okazała się więc najlepszym rozwiązaniem na najbliższe godziny. Colin po cichu liczył, że Jackowi uda się zatrzymać drania w przyczepie przez cały dzień. Ułatwi to zatarcie śladów bytności Stipe'a w miasteczku, kiedy się go kolejnej nocy zlikwiduje. „Się”, jasna cholera.

- Zastanawiam się, czy słusznie postępujemy, zwlekając - powiedział Benson, kiedy we dwóch z Colinem jechali jeepem. - Na razie nie są szczególnie agresywne, ale jeśli wyłoni się lider... Może Kenneth ma rację, gdy sugeruje, że powinniśmy zabić ich tyle, ile tylko nam się uda? Mówimy o minimum dwudziestu sztukach. Jeżeli jutro przypuszczą atak na miasteczko... Nie wiemy, po co tu przybyły ani do czego są zdolne, kiedy się zorganizują. Jakoś trudno mi uwierzyć, że gromadzą się z czystego poczucia wspólnoty, a ich cel nie pociągnie za sobą ofiar.

W przemyśleniach łowcy Colin wyczuwał pułapkę. Czyżby od rozmowy ze smarkaczami Benson tak diametralnie zmienił zdanie? Przecież nie kłamał, mówiąc im, że w tutejszych nieświadomych dostrzega przede wszystkim nieszczęśliwych ludzi.

Colin nie potrafił sprecyzować, co mu nie pasuje w wypowiedzi Bensaona - rozkojarzenie znowu dawało o sobie znać. Wywoływał je ów cholerny tajemniczy czynnik albo po prostu nadmiar tematów do rozmyślań, jakie zwały się na

Colina: śmierć Basila, konieczność usunięcia Stipe'a, związek przebudzenia Emily oraz zabójstwa Godfrey'a i Vivian z tutejszą sprawą. Nie pomagał też gwałtowny napływ wspomnień, które latami skutecznie odsuwał w cień.

Wyskoczył na skraju parku. Stał chwilę, obserwując oddalającego się jeepa z przyczepą i sunącego za nimi dodge'a. A jeśli łowcy planowali akcję bez udziału Colina? Sklął się za popadanie w paranoję. Osobie mającej coś do ukrycia nieustannie wydaje się, że wszyscy wkoło poznali sekret i spiskują przeciwko niej. Przecież Stipe to ostatni człowiek, z którym Benson by się sprzymierzał.

Margaret powtórzyła kiedyś Colinowi krążącą w środowisku plotkę, że podczas jednej z akcji Stipe postrzelił Bensa. Niechcący, jakżeby inaczej. Ciemno było, nie dogadali trasy... Każdy łowca raczej zaryzykuje trafienie kolegi po fachu, niż będzie spokojnie czekać na atak bestii. Żadna ze stron nie potwierdziła, że do czegoś takiego doszło, co bynajmniej nie odbierało pogłosce wiarygodności.

Margaret orzekła, że Stipe jest za dobry, żeby popełnić równie głupią pomyłkę, a i Benson nie wchodziłby mu, ot tak sobie, na linię strzału. Ale ona, naturalnie, nie zamierzała się do sprawy mieszać. Co ciekawe, Margaret nie mieszała się nigdy, nie przeszkadzało jej to jednak doskonale się orientować w poczynaniach poszczególnych łowców.

Colin chyłkiem pomknął przez park do Martha's Inn.

Bawiła go myśl, że Benson nieświadomie ułatwia mu zadanie, zupełnie jakby zachęcał Colina do zabicia Stipe'a. A może Jack przygotowywał grunt pod własną akcję, w odwecie za zdarzenie sprzed lat? Nie, takie postępowanie byłoby nie w jego stylu. Zapewne z chęcią zastrzeliłby Kennetha w samoobronie, ale pierwszy go nie zaatakuje. Jeśli zatem panowie nie rzucą się sobie do gardeł w ciągu najbliższych kilkunastu godzin, Colin będzie zmuszony usunąć Stipe'a osobiście.

Do Martha's Inn wrócił tylnym wyjściem, upewniwszy się uprzednio, że okolica nie obfituje w widzów. W pokoju nie zaskoczyły go żadne obce zapachy, natomiast, niech to szlag, ledwie przekroczył próg, zaczęło mu wściekle burczeć w brzuchu.

W samych bokserkach wychylił się przez parapet, łapiąc ostatnie muśnięcia księżycowego blasku. Rozkoszował się chwilę cudownie naelektryzowanym powietrzem pełni. Przymknął oczy, wyobrażając sobie, że wyskakuje przez okno, a jego łapy miękko uderzają o trawę. A potem biegnie, pędzi do lasu, gdzie księżyc migoce w częściowo odartych z liści koronach drzew. Uniósł powieki. Trzeba z tym będzie poczekać do kolejnej pełni.

Przypomniał sobie o jutrzejszej... a właściwie dzisiejszej kawie u Stewartów. Musiał się u nich stawić, jeśli nie chciał zaprzepaścić szansy na odnowienie kontaktów z Emily. Następną otrzymałby dopiero po osiągnięciu przez małą pełnoletności. Cóż, w kwestii pilnowania Stipe'a mógł jedynie zawierzyć Bensonowi.

# SOBOTA

Usiadł na łóżku, odgarniając włosy z twarzy. Wyświetlacz w komórcie pokazywał, że jest dziesięć po dziewiątej, zatem na jego wypoczynek złożyło się jedenaście piętnastominutowych drzemek. Niewiele, mimo to umysł rozjaśnił mu się na tyle, by Colin odkrył, na czym polegała pułapka w słowach Bensona. Łowca go prowokował: „Sam widzisz, że dla dobra sprawy mnie także powinieneś sprzątnąć”.

Ale w takiej sytuacji Jack musiałby poznać prawdę, a wówczas Colin wyczułby zmianę w jego nastawieniu lub drobne wahanie w trakcie dalszej rozmowy, zauważyłby jakiś bardziej nerwowy gest, cokolwiek. Nie wspominając o tym, że dokonawszy tego rodzaju odkrycia, Benson natychmiast by Colina zastrzelił. Obiekt posiada mniejsze prawa niż najpodlejszy z ludzi, więc w walce z nim wszelkie honorowe zasady przestają obowiązywać.

Zatem w grę musiało wchodzić coś innego. Colin zbyt wyraźnie okazywał niechęć wobec poglądów Stipe'a i Jack postanowił wy badać, czy jego młody partner nie zawaha się pociągnąć za spust, gdyby doszło do walki z watahą. Tak, to wyjaśnienie by pasowało.

Tak naprawdę Colin gryźł się motywacjami Bensona tylko po to, by odsunąć myśli o czekającej go wizycie u Stewartów. Pokręcił głową, bolejąc nad własnym

eskapizmem.

Eskapizmem, cholera. Przyznałby szczerze, że chowa łeb w piasek jak jakieś pierdolone ptaszysko.

Gdy wyszedł spod prysznic, jego wzrok przykuły rzucone na podłogę dzinsy. Przyjrzał się im krytycznie: wytarte, postrzępione, niewiarygodnie brudne i wygniecione. Colin zasadniczo uważał taki wygląd za zaletę, trudno bowiem wówczas odróżnić błoto sprzed tygodnia od tego z ubiegłej nocy. Niemniej na oficjalną wizytę u Stewartów spodnie się nie nadawały. Swetrowi też zresztą można by co nieco zarzucić. Psiakrew, Nigel uzna, że Colin przyjechał wydebić od niego forszę.

Sprawdził zawartość portfela. Po odliczeniu przewidywanej należności za hotel jego zasoby prezentowały się skromnie, a karta zostawia ślady. Poza tym Gordon prawdopodobnie ją zablokował. Wymowne, że dotąd nie zadzwonił zrugać bratanka, mimo że Kent na pewno dawno mu o sprawie doniósł. O stryju Colin też wolał nie myśleć.

Wybrał numer Fisha. Szacował, że jeśli koledzy wystartowali od razu po wezwaniu i zmieniali się za kierownicą, powinni dotrzeć do miasteczka dziś około południa. Colina jednak spotkało niemiłe rozczarowanie: straż opuściła osadę dopiero w piątek rano, a w dodatku po drodze doszło małe opóźnienie. Przyjadą najwcześniej jutro. Zaklął siarczyście.

\*\*\*



Pochłonawszy migiem śniadanie, Colin ruszył w miasto, rozejrzeć się za jakimś niedrogim sklepem z odzieżą. Buty miał również w fatalnym stanie, ale zdecydował, że po prostu kupi długie, lekko rozszerzane spodnie, które je skutecznie zakryją. Marzył, żeby odwiedziny u Stewartów należały już do przeszłości.

Jak na złość wbił mu się w nozdrza poszukiwany poprzedniego dnia zapach: drugi z agresywnych basiorów z czwartkowej nocy. Odnalazł osobnika wzrokiem i rozpoznał nieprzyjemnego faceta z nagrania szczeniaków. Colin ucieszył się, że upiecze dwie pieczenie na jednym ogniu. Właśnie, cholera, pieczenie. Znowu odczuwał głód, bo hotelowe śniadanko zasługiwało co najwyżej na miano zakąski. Postąpiłby jednak nieprofesjonalnie, przepuszczając okazję. Sięgnął do kieszeni po zioła.

- Czego wybałuszasz gały? - zaatakował go obiekt. - Dam ci dobrą radę, łachmaniarzu. Nie gap się na porządnych ludzi!

Stanął tuż przed Colinem, jakby pragnął go przestraszyć i zmusić do pokornego spuszczenia wzroku. Co było o tyle zabawne, że Colin górował nad gościem o jakieś półtorej głowy.

- Jak się nazywasz? - spytał Colin, z wyraźnym naciskiem w głosie i patrząc prosto w świńskie oczka pod zrośniętymi brwiami. Nie zamierzał się z bydlakiem patyczkować.

Mierzył go ten palant. John Liner z Alpine w Montanie. Nie wiadomo dlaczego wymienił tę nazwę z dumą, by zaraz ze wstydem zaprzeczyć, że kogokolwiek atakował.

Niemalże obiecał poprawę, wkrótce.

Pojawił się w miasteczku w niedzielę rano, mógł zatem odpowiadać za śmierć Hammera – nie pamiętałby przecież nocnej przerwy w podróży. Colina ucieszyła ta informacja: nie wyobrażał sobie lepszego kandydata na kozła ofiarnego. Zwłaszcza gdyby odwiedzenie smarkaczy i Bensona od zamiaru tropienia pozostałych nieświadomych wymagało likwidacji zabójcy. Ze śliskimi typkami pokroju Linera zawsze są jakieś kłopoty. Nikt po tym panu płakał nie będzie, więc spokojnie można go poświęcić w imię ratowana większości.

Czwarty osobnik obecny tamtej nocy w lesie z pewnością nie okaże się większym palantem niż Liner, w przeciwnym bowiem razie rzuciłby się Colinowi w oczy podczas pierwszej obserwacji stada. Zatem na dziewięćdziesiąt procent zabił Liner, co awansowało go z kozła ofiarnego na ponoszącego zasłużoną karę przestępcę. Szczeniaki bez oporów uwierzą w jego winę, bo im również gość nie przypadł do gustu. Należało jedynie tak pokierować śledztwem, żeby bez cienia wątpliwości wskazało na Linera. A na razie Colin go uśpi.

Uwielbiający jasne sytuacje Fish niechybnie będzie kręcił nosem na tę intuicyjną metodę typowania winnego, o jego likwidacji nie wspominając. Cóż, będzie się musiał przełamać dla dobra sprawy. Zresztą, może jeszcze wypłyną jakieś dowody niezbitnie obciążające Linera.

Colin nasypał padalcowi ziół na dłoń.

- Połknij – polecił, zasłaniając go swą masywną sylwetką

przed ewentualnymi wścibskimi spojrzeniami. – Wracaj do hotelu.

Odprowadził Linera wzrokiem. Słabeusz, jeden z łatwiej ulegających wpływowi nieświadomych w okolicy. Niezawodnie stąd brała się jego agresja – niewiele się facetowi w życiu udawało. Stanowili z Tonym Boyce'em podobne typy osobowości, ale Tony miał jeszcze szansę z tego wyrosnąć.

Zakupy Colin odbębnił nad podziw sprawnie. Zwykle wybrzydzał, każda rzecz go uwierała, wpijała się bądź krępowała ruchy, dziś jednak nie był drobiazgowy. Byleby dobrze wyglądał u Stewartów; kiedy tylko od nich wyjdzie, wskoczy z powrotem w znoszone dżinsy i sweter. Nie cierpiał nowych ciuchów, ich sztywności i obcego zapachu.

Ubranie stanowiło element sztuczny, narzucony społecznymi konwenansami. Colinowi przeszkadzał dotyk tkaniny na ciele, niemniej im dłużej nosił daną rzecz, tylko dogłębniej przesiąkała ona jego własną wonią, każda fałdka materiału dopasowywała się do kształtu ciała, aż ubiór utworzył niemalże drugą skórę. Pranie niszczyło ów mozolnie wypracowany efekt i właśnie dlatego Colin rzadko poddawał garderobę temu zabiegowi.

Podobne podejście do tematu nie jest charakterystyczną cechą wszystkich świadomych. Zdarzają się zarówno zwolennicy niemalże sterylnej czystości, jak i podzielający pogląd Colina, a pomiędzy tymi dwiema skrajnościami rozpościera się wiele pośrednich postaw.

Gordonowi niezbyt odpowiadała owa skłonność bratanka.

W osadzie Colin mógł się ubierać, jak chciał, jednakże na czas kontaktów ze światem zewnętrznym, z łowcami, powinien się przełamać, gdyż zwracał na siebie uwagę. Lider wprawdzie naciskał, ale jeszcze się nie posunął do wydania rozkazu. Rozumiał, że Colin dość się naprężył przy Godfreyu. Czasem wypadało odpuścić drobiazgi, zostawiając chłopakowi trochę oddechu, inaczej mógłby się zbuntować w ważnych, wymagających bezwzględnego posłuszeństwa kwestiach.

Colin wyszedł ze sklepu ubrany w nowe ciuchy. Elegancki młody człowiek – gdyby nie rozczłapane i brudne trapery. Wrócił do pokoju, gdzie za pomocą hotelowego ręcznika spróbował doprowadzić buty do porządku. Rezultat go nie zachwycał. Gruba warstwa błota wprawdzie zniknęła, ale za to pokazała się popękana i poprzecierana skóra. Ach, do diabła z tym.

\*\*\*

Zapalił motor. Planowane na najbliższą noc zabicie Stipe'a wydawało się Colinowi łatwiejsze niż czekająca go rozmowa z Nigelem. Ba, wręcz sprawi mu przyjemność, pomagając odreagować obecny stres. Cholera, nie powinien pozwalać sobie na podobne myśli. Tylko że łowcę zlikwiduje nie po raz pierwszy, a w kontaktach z rodziną brakowało mu doświadczenia. Bał się, że na samym wstępie palnie nieodwracalną w skutkach gafę.

– Wejdz. – Noreen uśmiechnęła się na powitanie, dodając Colinowi otuchy.

- Coliiiiin! - Emily zbiegła ze schodów z radosnym krzykiem i rzuciła się bratu na szyję. - Czekam od rana!

Śmiejąc się, niezdarnie odwzajemniał całusy. Poczł ciepły ucisk w sercu. Gordon był świetnym facetem, jego idolem, cytując Noreen, do uczuciowych się jednak nie zaliczał. W relacjach z bratankiem zachowywał surowy chłód. Dwa słowa pochwały czy klepnięcie po plecach wyznaczały szczyt serdeczności, na jaki potrafił się wspiąć stryj.

Owa rezerwa wynikała prawdopodobnie z zajmowanego stanowiska. Czasami Gordon za mocno się przejmował swoim liderowaniem - wręcz popadał w paranoję, pilnując się, by nikogo nie wyróżnić z powodów innych niż zasługi dla społeczności. Możliwe też, że stryj uważał, że nie należy Colinowi pobłażać, gdyż i tak dostatecznie trudno było nad nim zapanować. Godfrey trzymał syna krótko i chłopak się go słuchał, kiedy zaś Gordon minimalnie popuścił smycz, natychmiast zaczynały się problemy.

- Jest Mat?

- Nocował u kolegi - wyjaśniła Noreen. Przyglądała się rodzeństwu z jasnym uśmiechem, bez śladu czwartkowej zazdrości, czy cokolwiek to było. - Nie zdziwiłoby mnie, gdyby się jeszcze nie obudzili.

Pan domu oczekiwał Colina w salonie. Zacisnąwszy usta w kreskę, ponuro wodził wzrokiem za podskakującą wokół brata Emily. Wbrew swym kalkulacjom nie zdołał małej przekabacić, żałował więc, że ustąpił i zaprosił Colina.

Powinien był go przepędzić w diabły. Teraz kombinował,

jak poprowadzić rozmowę, żeby wywalić intruza za drzwi, nie narażając się na zarzut stronniczości.

- Wystroiłeś się jak na pogrzeb - stwierdził kpiącym tonem Nigel, wymieniając z gościem niechętny uścisk dłoni; Colin profilaktycznie wybrał czarne rzeczy, na wypadek gdyby nie zdążył się przebrać przed akcją. Na czarnym plamy z krwi są najmniej widoczne.

Nigel mógł po prostu nie lubić czerni, ale bardziej prawdopodobne wydawało się, że nowym i czystym ubraniem Colin nieprzyjemnie go zaskoczył. Drań zamierzał przyczepić się do wytartych dżinsów, narzekając na to, jaki Colin daje przykład rodzeństwu. A tu całą misterną strategię trafił szlag.

Colin zajął wskazany fotel, a Emily zaraz przycupnęła obok niego na podłokietniku. Nigel ściągnął brwi.

- Emily, usiądź normalnie.

- Ale...

- Usiądź normalnie.

Krzywiąc się, dziewczynka przeniosła się na kanapę. Ukradkiem puściła do brata oko.

- Zwiedziłeś miasteczko? - zapytała nieco zbyt entuzjastycznie Noreen.

Nie czekając na odpowiedź Colina, zaczęła opisywać lokalne atrakcje turystyczne. Starła się rozładować atmosferę, co wypadło jednak raczej sztucznie. Wreszcie, ociągając się, poszła zaparzyć kawę.

- No, Colin - zagaił Nigel z jowialnością tak nienaturalną, że aż obraźliwą. - Opowiedz, co się u ciebie działo. Jak

zarabiasz na życie?

- Handluję drewnem. Pracuję dla stryja, jako ktoś w rodzaju... jego drugiej prawej ręki - odparł Colin, kontrolując emocje.

Próbował rozgryźć Nigela. Facet autentycznie pragnął szczęścia Emily, niemniej brata, do którego dziewczynka się garnęła, najchętniej wykreśliłby z jej życia, z rodzinnej historii, podobnie jak wymazał Godfreya. Zupełnie jakby Vivian dokonała samozapłodnienia i dzieci odziedziczyły wyłącznie jej geny. Cholera, gość nie był głupi, musiał zdawać sobie sprawę, że takimi decyzjami małą krzywdzi.

Colin przypomniał sobie rozmowę Stewarta z policjantem, którą podsłuchał wkrótce po śmierci Vivian. Wtedy jeszcze Nigel nie wiedział, jakim Colin był bratem; przecież rodzeństwo mogło go wręcz uwielbiać. Mimo to gnój ani przez sekundę nie zamierzał przyzwolić na kontakty między nimi. Uczucia dzieciaków gównem go obchodziły. Stewartowie nie zadają się z motłochem i tyle. Dlaczego nagle zmienił zdanie i wpuścił Colina do swego domu? Chyba rzeczywiście przestraszył się, że odmową sprowokuje go do popełnienia kolejnego szaleństwa.

Jowialność stopniowo ustępowała miejsca nieprzejednanej surowości. Każda odpowiedź Colina była punktowana, a wynik końcowy miał przesądzić o zgodzie na kolejne widzenie z Emily.

Sposób prowadzenia rozmowy przypomniał Colinowi dawne wizyty Stewartów w ich domu. Nigel siadał naprzeciw Godfreya i poddawał go przesłuchaniu: jakie

szwagier podjął kroki, by uczynić życie Vivian lepszym i zagwarantować świetlaną przyszłość jej dzieciom? Godfrey wybuchął po paru minutach, Colin jednak obiecał sobie, że przetrwa próbę. Starał się nie zaciskać pięści.

Usiłował wyczuć, jakie słowa zadowolą rozmówcę, ale sprawa wydawała się beznadziejna. Facet szukał pretekstu, żeby go wywalić na zbity pysk, w każdej wypowiedzi Colina doszukiwał się więc dowodów na degenerację jego charakteru. Colin wolałby bezpośrednią walkę na śmierć i życie z dorównującym mu sprawnością przeciwnikiem. Wówczas sytuacja byłaby przynajmniej klarowna.

- Otrzymałeś kanadyjskie obywatelstwo? - rzucił Nigel, niczym napastliwy, zadufany w sobie prokurator.

- Tak. Wiążę przyszłość z firmą stryja.

- Zatem ojczysty kraj ci nie odpowiada?

Colin zmrużył oczy. A myślał, cholera, że Stewart przyjmie tę wiadomość z zadowoleniem. Ostatecznie, granica państwa dzieli chyba skuteczniej niż tylko odległość.

- Odpowiada, jak najbardziej - odparł ostrożnie. Nie próbował prostować, że jego ojczyzną jest właśnie Kanada.

- Ale w Kanadzie otwierają się przede mną szersze perspektywy...

- Aha, pojmuję - przerwał mu Nigel. - Przejmiesz firmę po stryju, w Stanach zaś musiałbyś wykazać minimum inicjatywy. Nie masz konkurencji w postaci kuzynów? Tak podejrzewałem.

Na niskim stoliku pojawiła się kawa. W rodowych



filizankach, a jakże, przecież Nigel zawsze uwielbiał podkreślać, że Vivian wywodzi się z rodziny z tradycjami. Co natomiast reprezentuje sobą Godfrey i jego potomstwo? Pod pojęciem potomstwa Godfreya drań rozumiał, oczywiście, wyłącznie Colina.

Colinowi drżały ręce. Szlag, brakowało tylko tego, żeby się oblał albo, co gorsza, stłukł przekłete zabytkowe cacko. Ech, z chęcią pokazałby skurwielowi inicjatywę, wtedy drań zbierałby własne flaki z podłogi.

Noreen przyniosła półmisek z domowymi wypiekami, które Em natychmiast zaczęła bratu entuzjastycznie zachwalać. Poczęstował się, z ulgą stwierdzając, że drżenie rąk ustąpiło.

- Te z orzechami to ulubione ciasteczka Emily. Męczyła mnie strasznie, żebym je upiekła - zaćwierkała Noreen, ponownie podsuwając Colinowi półmisek. - Przepis mojej babki. Pamiętam ten smak z dzieciństwa... no, trochę inny, bo i inne były wtedy produkty. Bardziej naturalne, bez tej całej chemii. Za to żyło się trudniej. Masz w Kanadzie rodzinę? To znaczy, poza stryjem?

- Tylko jego. Dziadkowie już nie żyją.

Taką odpowiedź, krótką i ucinającą temat w zarodku, uzyskał od Gordona, kiedy na początku swego pobytu w osadzie postawił stryjowi podobne pytanie. Wtedy jeszcze nie radził sobie za dobrze z wykrywaniem kłamstwa u świadomych, trudno mu więc było ocenić wiarygodność informacji. Wątpliwości żywił zwłaszcza co do losów rodziców Ianthe.

Matka Colina pochodziła z innej osady, a ze względów bezpieczeństwa ograniczało się kontakty między mieszkańcami poszczególnych enklaw, nawet kiedy łączyły ich więzy krwi. Rodzice Ianthe mogli więc nadal żyć, zadowolając się przekazywanymi przez Gordona wieściami na temat wnuka i nie dopominając się spotkania z Colinem.

O rodzicach ojca też nie wiedział zbyt dużo. Z paru zasłyszanych mimochodem uwag wywnioskował, że dziadek długo pełnił funkcję lidera, załamał się jednak, kiedy starszy syn drastycznie zawiódł jego nadzieje, porzucając stanowisko przywódcy straży i społeczność w ogóle. Na temat babki Colin nie podchwycił nigdy ani słowa. Może ci dwoje nie umarli - za dużo byłoby tych przedwczesnych zgonów jak na odporny i długowieczny ponoć gatunek - tylko po prostu odeszli do innej osady, by uciec od wspomnień.

- Och, tak mi przykro - westchnęła Noreen. - Dobrze, kiedy młodzież ma szansę posłuchać rodzinnych historii.

- Dziadek i dwie babcie Pete'a o niczym mu nie opowiadają - wtrąciła Emily. - Mieszkają tak daleko, że widuje ich tylko na Boże Narodzenie i Święto Dziękczynienia. Mówi, że mają zimne nosy i są trochę straszni.

- Pete'owi przydałby się ojciec - orzekł gniewnie Nigel. - Chłopak wychowywany wyłącznie przez matkę boi się własnego cienia.

- Mówisz, jakby to była wina Marthy - powiedziała łagodnie Noreen.

- Ależ skąd, Martha jest wspaniałą kobietą. Wiesz dobrze, jak ją podziwiam. - Ilekroć Nigel zwracał się do żony, w jego głosie także pojawiała się łagodność. - Stwierdzam fakt. No właśnie, Colin. - Łagodność momentalnie wyparowała. - Powiedz mi... czy dwudziestopięcioletni mężczyzna nie powinien już myśleć o założeniu rodziny?

Scenka jak z marzeń Godfrey'a: ludzie zatopieni w kulturalnej konwersacji przy kawie i ciastkach, w eleganckim i zarazem przytulnym salonie, siedzący przy rozpalonym kominku. Tak by ich postrzegał, ignorując fakt, że dwoje z nich ludźmi nie jest, a każde padające słowo stanowi swego rodzaju kłamstwo. Przecież nawet Noreen grała, przesadzając z entuzjazmem, aby stworzyć przeciwwagę dla marsowej miny męża.

- Mogę pójść z Colinem na karuzelę? - Emily wstrzeliła się między odpowiedź brata a kolejne inkwizytorskie pytanie wuja. - Wczoraj przyjechała. Widziałam, jak ją rozstawiali w Parku Niedźwiedzia. Mogę? Wujku? Ciociu?

Mówiła niby normalnie, ale jej głos przywodził na myśl skamlenie szczeniaka - pobrzmiwało w nim coś tak rozpaczliwego, że nie sposób się było oprzeć. Zgodę ciotki zagwarantowała sobie natychmiast, wuj zaś bronił się wyłącznie dzięki sile czerpanej z niechęci do Colina.

Nigel jednak nie miał w tej rozgrywce żadnych szans, musiał się bowiem zmierzyć nie tylko z siostrzenicą, ale z własną żoną. Wyrazem twarzy Noreen dobitnie dawała do zrozumienia, że mąż postępuje nie fair. Po długich

negocjacjach osiągnęli w kwestii Colina konsensus, Nigel zaś znowu usiłował forsować własne stanowisko.

- Zostaw numer komórki - zarządził wreszcie pan domu, nie kryjąc irytacji. - Emily ma do mnie co kwadrans dzwonić, a kiedy powiem, że pora wracać, natychmiast wróćcie. Czy wyrażam się jasno?

- Oczywiście, panie Stewart - odparł Colin pokornie, z wdzięcznością.

Przynajmniej miał nadzieję, że tak to wypadło, gdyż panował nad sobą ostatkiem sił. Przeciągnąłby Nigelowi pazurami po policzku, a inaczej by bydlak zaśpiewał.

- Nie zamierzasz jej chyba wsadzać na motor?

- Wujkuuuu...

- Zawiozę was.

\*\*\*

Podróż trwała cztery i pół minuty, przy czym Colinowi każda z owych dwustu siedemdziesięciu sekund wydawała się najdłuższą w życiu. Zapach Nigela przytłaczał go i drażnił. Ogarnął go mimowolny podziw dla Godfrefa - skurwiel świetnie się kontrolował, w przeciwnym bowiem razie ze Stewarta dawno zostałyby strzępki. Colin z ulgą opuścił klaustrofobiczne wnętrze.

- Godzina wam wystarczy - oznajmił Nigel. - Podjadę o drugiej.

- Jest dziesięć po...

- O drugiej, Emily. Za dziesięć minut zadzwonię.

Po jego odejściu wymienili ze sobą udręczone spojrzenia.

Jeszcze chwila, a Nigel postanowiłby dotrzymać mi towarzystwa.

Właściwie nie należało się dziwić niepokoju Stewartów. Wychowując Emily przez siedem lat, nie nawiązali z nią ani cząstki porozumienia, jakie zaistniało między dziewczynką a starszym bratem po zaledwie paru spędzonych wspólnie godzinach. Myśleli, że postępują słusznie, izolując Colina, nawet Noreen zgadzała się dotąd z tą tezą. To naturalne, że poszukiwali dowodów na potwierdzenie swoich racji.

- Przejdziemy się? - zapytała Em.

- A karuzela?

- No co ty, to dla dzieci.

Colina bawiłaby powaga siostry, gdyby nie wiedział, z czego ona wynika. Życzyłby Em dłuższego beztróskiego dzieciństwa, łagodniejszego przejścia od lalek i zabaw z rówieśnikami do obowiązku strzeżenia niebezpiecznej dla niej tajemnicy.

- Nie zdejmowałaś amuletu?

- Spałam wporzo. Zabierzesz mnie ze sobą? Kiedy już ustalisz, czemu się tu zjawili?

Boże, jakże chciałyby ją stąd zabrać! Pokazałyby jej piękno życia blisko natury i swobody przemian, folgowałyby swym myśliwskim instynktom, spędzając w lesie całe noce, bez obawy, że ktoś urządzi aferę z powodu ich pustych sypialni. Zaprowadziłyby Em między wilki, jak niegdyś Gordon jego, a wśród nich w trzy dni dowiedziałyby się o swej drugiej naturze więcej, niż najmędrszy członek społeczności zdołałby jej wpoić przez dwa tygodnie wykładów.

Colin pamiętał, jak potrafił ciążyć tajemnica. Przy paranoicznym Godfreyu odnosił wrażenie, że popełnia przestępstwo każdym wypowiedzianym słowem, choćby taktowało ono o pogodzie za oknem, zasadniczo jednak nie dostrzegał wielkiej różnicy między swoją ówczesną, a obecną sytuacją Emily. Przymus nieustannego pilnowania się spadł na nią niedawno, więc jeszcze nie zaczął jej doskwierać. Kiedy Colin wyjedzie, mała zostanie ze swym sekretem sama. On miał przynajmniej Godfreya.

- Nie mogę - odpowiedział z bólem. - Wyrzuciłbym ci tym krzywdę. Mieszkam w dziczy, w niewielkiej osadzie, gdzie nie ma dzieci w twoim wieku. Przebywają tam tylko maluchy, takie, które jeszcze nic nie pojmują. Kiedy podrosną, ich rodzice przeprowadzają się w poblize miast, żeby się mogły uczyć i bawić z rówieśnikami. Widzisz, prawo wymaga, żeby dzieci uczęszczały do szkoły. Gdyby zaś mieszkały w osadzie, od małego obeznane z tajemnicami społeczności, w codziennych rozmowach z kolegami z pewnością coś by się im wypsnęło. Może dałoby się sprawę edukacji rozstrzygnąć inaczej, ale każde niestandardowe rozwiązanie przyciąga uwagę, a zainteresowania świata społeczność unika za wszelką cenę. Dlatego dzieci wywozi się z osady. Prawdy o sobie dowiadują się dopiero, kiedy stają się na tyle rozsądne, by umiały dochować sekretu. Skończywszy szkołę średnią, otrzymują wybór: mogą pójść na studia, żeby potem żyć wśród ludzi, lub zamieszkać w osadzie z takimi jak oni. Na cokolwiek się zdecydują, przydziela się im funkcję

odpowiadającą ich predyspozycjom. Ja, dla przykładu, posiadam naturę wojownika, należę więc do straży, która, mówiąc w skrócie, sprowadza zbłąkanych nieświadomych na właściwą drogę. Wkrótce poznasz moich kolegów. Już tu jadą. Może, kiedy dorośniesz, sama zostaniesz strażniczką.

Em pokiwała głową, uśmiechając się lekko. Czy spodobałoby się jej tropienie zerówek? Na razie Colin nie wiedział nawet tego, czy mała okaże się dość silna do pełnienia owej funkcji. Nie powinien był robić jej nadziei.

- Jeśli młody świadomy zdecyduje się na życie między ludźmi - ciągnął - posyła się go na stosowne studia, a potem powierza pieczę nad finansami społeczności bądź budową zaplecza technologicznego. Każdy szczegół struktury organizacji starannie dopracowano. Istnieją zasady, których nie wolno łamać. Ciebie i mnie one także obowiązują. Zabierając cię do osady, postąpiłbym wbrew regułom, a zatem szybko by nas rozdzielono. Z kolei, wywożąc cię gdziekolwiek indziej, mógłbym nawet przekreślić twoją przyszłość w społeczności, tak że już zawsze byłabyś wyrzutkiem. Do tego dochodzą kłopoty, jakich przysporzyłby wszystkim Nigel, szukając cię po całym kontynencie. Pomyśl też, jaką przykrość sprawiłabyś ciotce...

- Ja do nich nie należę. Dobrze wiesz - oznajmiła Em twardo, jakby uczucia wujostwa były jej obojętne. Nieszczególnie przystawało to do wizerunku słodkiego aniołka. - Chcę mieszkać w lesie. Muszę się nauczyć wielu rzeczy. Oni nie zgodzili się nawet na psa. Są tacy... ludzcy.

Nie rozumieją mnie.

Pewnych obowiązujących w organizacji zasad Colin nie potrafił w pełni zaakceptować. Poszedłby o zakład, że każde bez wyjątku młode świadome byłoby szczęśliwsze, dorastając w osadzie zamiast w mieście. Jasne, dopóki nie następowало przebudzenie, życie między ludźmi stanowiło jedyną możliwość, ale dlaczego dzieciaki takie jak Em musiały się dusić wśród zdobyczy cywilizacji? Czy organizacji brak specjalistów od lewych papierów? Młodemu załatwiono by zaświadczenia o ukończeniu szkoły i nikt by się nie przyczepił.

Wiedział, że podobne rozwiązanie jest nierealne. W przeszłości uczyniono parę wyjątków, ale nie poważono by się naginać prawa na tak ogromną skalę. Społeczność musi się wtapiać w otoczenie, a zatem stosować do funkcjonujących w świecie ludzi norm i reguł wszędzie tam, gdzie okazuje się to absolutnie niemożliwe. Dzięki takiemu podejściu osada i Przedsiębiorstwo Drzewne Trzech Potoków od dziesięcioleci nie zmieniały lokalizacji.

Najbliższe lata dziewczynka spędzi więc pod opieką Stewartów, Colinowi zaś wypadało się z tą myślą pogodzić. Dobrze, ale co się stanie, kiedy Emily osiągnie standardowy w społeczności wiek podejmowania decyzji? Nigel snuł wobec niej plany podobne jak względem Mata, chciał ją wepchnąć na drogę zawodowej kariery, „żeby nie zmarnowała życia jak jej nieodżałowanej pamięci matka”. Najpierw Harvard albo Stanford, potem wielki świat. I co, pozwoli Emily tak po prostu odejść?



Jak na zawołanie odezwała się komórka Colina. Psiakrew, drań nie zaczekał nawet deklarowanych dziesięciu minut.

Nastoletni świadomi standardowo wybierają osadę, dobrze wiedząc, że kiedyś i tak wrócą do cywilizacji, żeby wychować potomstwo. Odmienne decyzje trafiają się sporadycznie, przy czym przeważnie stoi za nimi uczucie. Zakochany w człowieku świadomy musi wybrać między osadą a miłością, ludzkich partnerów się bowiem nie wtajemnicza - to jedna z głównych reguł. I chyba najczęściej łamana, z czego też bez przerwy wynikają problemy.

Karą za podobne wykroczenie powinno być dla świadomego rozstanie z partnerem, ale co organizacja miałaby wówczas począć ze znającą sekret żoną czy mężem? Reakcja na rewelacje też bywa różna. Na przestrzeni dziesięcioleci wystąpiły nawet dwa czy trzy przypadki ostrej hysterii. Mówiąc o tym Colinowi, Gordon napomknął, że los niezmiennie okazywał się dla społeczności łaskawy i niewygodne osoby szybko ginęły w tragicznych okolicznościach.

Główny problem mieszanych związków polega na dozgonnej monogamiczności świadomych, pod tym względem przypominających wilki. Owszem, zdarza się mi skakać z kwiatka na kwiatek, jak choćby Colinowi, ale kiedy wreszcie się zaangażują, jest to uczucie do grobowej deski. Padło na innego członka społeczności - cudownie, parę czeka, zgodne pożycie. Gorzej, gdy wybranecem zostaje człowiek.

Monogamicznemu świadomemu wydaje się, że jego ludzki współmałżonek jest najbliższą mu istotą, której nie tylko może o wszystkim mówić, ale wręcz nie wolno mu mieć przed nią tajemnic. Ciąży mu kłamstwo, dąży zatem, choćby bezwiednie, do sprowokowania sytuacji, w której prawda „sama wyjdzie na jaw”. I dopiero po fakcie odkrywa, że druga strona od dawna nie jest ani zakochana, ani monogamiczna.

Zdarzały się, naturalnie, udane mieszane związki, a wtajemniczenie ludzkiego partnera nieraz okazywało się słuszną decyzją. Tylko że z punktu widzenia organizacji podejmowanie ryzyka nigdy nie jest słuszne. Stonowana reakcja małżonka nie oznacza więc końca kłamstw. Ba, wcześniej świadomy uciekał się do półprawd: jeśli mówił, że wyjeżdża na firmowe spotkanie integracyjne, formalnie rzecz biorąc, nie mijał się z faktami, bo przecież rzeczywiście pracował dla organizacji. A że integrował się, biegając po lesie w wilczej skórze – no cóż, każdy ma prawo do maleńkich sekretów. Natomiast wyjawivszy swoją tożsamość, świadomy zostaje zobowiązany do konstruowania zasłony dymnej, czyli opowiadania małżonkowi bzdur na temat społeczności. Organizacja bierze go pod lupę, a nawet regularnie podsłuchuje. Ponowne złamanie zasad równa się rozstaniu z partnerem i dziećmi, na zawsze, bez prawa do informacji o ich losie. Podobne konsekwencje czekają świadomego za próby zatajenia, że druga połowa poznała prawdę.

Gordon zapewne z chęcią osądzałyby poszczególne

przypadki indywidualnie, dopuszczając niekiedy wtajemniczenie bez zasłony dymnej. Niestety, w zasadach nie ma miejsca na subiektywizm. Każdy musi znać granice i konsekwencje ich przekroczenia.

- A co się dzieje z dziećmi podczas pełni? - zapytała Emily, zakończywszy rozmowę z wujem.

- Dostają powstrzymywacze. Zioła, amulety - wyjaśnił. - Jak ten, który ci dałem.

- Myślałam, że to... wyjątkowo. Ze względu na sytuację.

- Funkcjonowanie wśród ludzi wymaga wyrzeczeń. - Colin wzruszył ramionami. O wyrzeczeniach wiedział więcej niż ktokolwiek w społeczności. - Dorośli, jeśli nie potrafią oprzeć się księżycowi siłą woli, także korzystają z powstrzymywaczy. Wyłącznie w osadzie pozostawia się przemianę własnemu biegowi.

- I żadne nigdy się nie wygadało? - nie dowierzała Em. - W szkole, przed kolegami?

- A ty komuś mówiłaś?

- Ja jestem rozsądna.

Roześmiał się.

- Jasne, w twoim wypadku pytanie było retoryczne. Na początku o niczym nie mają pojęcia - ciągnął rzeczowo. - Piją zioła powstrzymujące, przekonane, że to środek na wzmocnienie kości albo na trawienie. Gdyby twój obserwator nie zawiódł, także nie orientowałabyś się jeszcze w swojej odmienności. Dziwnie byś się czuła przy pełni i na tym koniec. Wtajemniczenie następuje dopiero, kiedy dziecku można zaufać, co ocenia się indywidualnie.

Potem takie dzieci przyjeżdżają na ferie i wakacje do osady, gdzie mogą do woli korzystać z pełni. W przypadkach takich jak twój, gdy młodego świadomego wychowują ludzie, moment wtajemniczenia nadchodzi znacznie później. Poznanie sekretu bez możliwości odwiedzenia osady czy choćby porozmawiania z kimś o swej drugiej naturze zakrawałoby na czystą torturę.

Colin ściągnął brwi, ponownie zirytowany niedopatrzeniem Gordona. Chodziło o jego bratanicę, lider powinien był więc trzymać rękę na pulsie, żądając od obserwatora comiesięcznych raportów. Westchnął. Nie miał co w tej sprawie gdybać, musiał poczekać na spotkanie ze stryjem. Wtedy zada mu parę pytań.

- Oczywiście, te zasady postępowania odnoszą się wyłącznie do dzieci przebudzonych - kontynuował. - Przed przebudzeniem, bez względu na wiek i odpowiedzialność osobnika, nie może być mowy o wtajemniczeniu. Nawet kiedy istnieje stuprocentowa pewność, że dziecko jest świadomym.

- I nie ma wyjątków? A jeżeli ktoś w moim wieku nie chce się powstrzymywać? Jeżeli chciałabym zamieszkać w lesie?

- Zawsze zdarzają się wyjątki. Ale są bardzo, bardzo rzadkie.

W pierwszej chwili Colin zamierzał zaprzeczyć, w nadziei że wówczas małej byłoby łatwiej zaakceptować jej własną sytuację. Wiedział jednak, że wyczułaby kłamstwo.

Colin uważał, że gdyby nie zginęła Ianthe, sam miałby szansę stać się wyjątkiem, jako dziecko od dnia narodzin

zdolne do przemiany, typowy wojownik, którego w dodatku nie dało się zdominować, żeby zatrzeć w jego umyśle tajemnicę. Zwłaszcza że wielce uzdolnieni rodzice Colina oddawali społeczności zbyt istotne usługi, aby ta bez żalu na kilka lat zrezygnowała z ich umiejętności.

Cholera, jak miał przekonać Em, skoro sam nie wierzył powszechnie przytaczanym argumentom? Nakazał małej walkę z naturą, jak niegdyś jemu Godfrey... Nie, do diabła, nie wystąpiła tu żadna analogia! Skurwielowi nie wystarczyło, że syn panuje nad przemianą siłą woli. Colin musiał osiągnąć stan, w którym nie będzie nawet pamiętał o wilczej stronie swej osobowości. Gdyby żyła Ianthé... Colin dorastałby w osadzie jako syn przywódcy straży, silnego, zasługującego na podziw faceta. Od najmłodszych lat zgłębiałby tajniki drugiej natury i kto wie, jakie obecnie piastowałby stanowisko w organizacji oraz jakie rysowałyby się przed nim perspektywy.

Dlaczego Godfrey tak skrajnie zareagował na utratę żony? Czy odpowiedzialność ponosiła owa słynna nieśmiertelna wilcza miłość? Colin jej dotąd nie zaznał, może więc dlatego nie potrafił sobie wyobrazić, żeby śmierć ukochanej mogła do tego stopnia wstrząsnąć jakimkolwiek facetem pokroju Rogera. A niewykluczone, że w tamtych czasach jego ojciec wręcz górował nad Rogerem umiejętnościami i siłą charakteru. Przedwczesna tragiczna śmierć nie była w społeczności znowu aż tak rzadkim zdarzeniem. Członkowie tracili partnerów i mimo to zachowywali psychiczną równowagę, a czasem odnajdywali

szczęście w nowych związkach. Cholera, nawet Godfrey zdołał pokochać Vivian!

Jeszcze jednego Colin nie pojmował: dlaczego Godfreyowi pozwolono odejść. Wątpliwe, by w okresie wczesnego szaleństwa po śmierci Ianthe ojciec był w stanie tak świetnie kryć się ze swymi zamiarami, że w organizacji zdano sobie z nich sprawę dopiero po fakcie. Poza tym, choć znajomość metod działania straży niewątpliwie pomogła Godfreyowi skutecznie umknąć przed pościgiem oddziału polującego na niepokornych świadomych, pozostawali jeszcze wszechobecni wężyciele. Wykrywali świeżo przebudzone zerówki, a nie natknęli się na jego zapach? Maskował się doskonale jako świadomy, niemniej pewnych nut indywidualnej osobniczej woni nikt nie potrafi zmienić. Wężyciel zidentyfikowałby go bez trudu. Nie wspominając o tym, że młody Colin nie miał pojęcia o maskowaniu się. Dodatkowo, uciekinierzy zmieniali miejsca pobytu do momentu, w którym w ich życiu pojawiła się Vivian, a potem na trzynaście lat osiedli w jednym miejscu. Czy na tym właśnie polegał błąd Godfreya?

Colin ustawicznie słyszał o konsekwencjach, jakie czekają każdego, kto złamie zasady, a przecież wykroczenie Godfreya nie kwalifikowało się do błahych. Nie dość, że samowolnie oddalił się z osady, to jeszcze uprowadził ze sobą cenny okaz młodego świadomego. Może więc ojciec wcale nie uciekł, ale po prostu oznajmił, że pragnie zamieszkać bliżej cywilizacji, aby zapomnieć o Ianthe i wychować Colina zgodnie z przyjętą praktyką? I przez cały

ten czas pracował na rzecz organizacji?

Nie, Godfrey zbyt nienawidził wszystkiego, co wiązało się ze społecznością. Nie zdołałby ukryć tego nastawienia przed żadnym świadomym. Prędzej Colin uwierzy, że Joachim, ówczesny lider, przymknął oczy na występki syna, wysyłając za nim pościg jedynie dla formalności czy wręcz myląc tropy. Choć Gordona, który wkrótce potem zastąpił swego ojca na stanowisku, Colin nie podejrzewałby o łamanie lub choćby naginanie zasad, to prawdopodobnie Joachim wymusił na nim stosowne przyrzeczenie.

- A jak to sobie załatwiły? Te wyjątki? - dociekała Em.

Jedynym wyjątkiem, jaki Colin znał, był Caramel. Właściwie nie miał pojęcia, jak szczył owej sztuki dokonał. Chyba po prostu się zbuntował. Nie on pierwszy, ale innym zabrakło jego siły charakteru. Podobnie jak Colin, od urodzenia zdolny do przemiany, Caramel osadę opuścił późno, jako pięciolatek. Nikomu nie pozwolił się zdominować, obawiano się więc, że wypapla sekret. Zwłaszcza że strasznie protestował przeciwko wyjazdowi, a diabli wiedzą, do czego się może posunąć zdeterminowany smarkacz.

Wrócił w wieku lat siedmiu. Zdaje się, że użył dosadnego argumentu: niech go zabiją, jeśli tak szalenie im zależy, żeby w osadzie nie przebywał żaden świadomy w jego wieku. Starszyzna debatowała dwa dni, po czym przedłożyła Caramelowi listę zasad, do których musiał się stosować, jeśli nie chciał wylądować z powrotem w mieście. No i tym sposobem został. Przy czym do listy chyba nigdy

nie odnosił się z nabożnym szacunkiem.

Im dłużej Colin rozmyślał nad tą historią, tym większy czuł dla Caramela podziw. Psiakrew, szczeniak był zaledwie o rok starszy od Mata, a różnica między nimi wydawała się kolosalna. Już jako siedmiolatek Caramel umiał zadbać o swoje interesy. Doskonale rozumiał podstawową regułę zabawy: bez gróźb wobec organizacji.

Colin mógłby doradzić siostrze, żeby i ona postawiła sprawę na ostrzu noża. Tyle że nie potrafił przewidzieć, czym by się dla niej podobna akcja skończyła. Caramelowi się upiekło, gdyż solidnie przemyślał argumenty; niewykluczone zresztą, że jedynie go testowano, od początku planując zatrzymać w osadzie. Gdyby Emily palnęła jakieś głupstwo, groziłoby jej, że przez resztę życia pozostanie pod nadzorem, a każde jej potknięcie będzie traktowane mniej wyrozumiale niż w przypadku innych członków społeczności. Colin nie chciał małej narażać na takie szykany.

No i nieodmiennie należało uwzględnić jeszcze problem Nigela. Colin słuchał drugiej rozmowy siostry ze Stewartem: „Tak, wujku” i „Nie, wujku”, jak na uroczego grzecznego aniołka przystało.

- Oszalałeś? - Mat wyrósł przed nim jak spod ziemi, co umiarkowanie pozytywnie świadczyło o czujności Colina.

- A jak cię któryś z nią zobaczy? - wycedził przez zęby.

Emily udała, że nie dosłyszała słów brata.

- Em, czy to nie twój kolega? - odezwał się głośno Mat. - O, tam. - Wskazał palcem.



- Aha. To Artie - potwierdziła obojętnie dziewczynka. -  
Widzimy się codziennie w szkole. Colina widuję rzadziej.

- Nie zachowuj się jak mała mądralińska - zdenerwował się Mat. - Mam z Colinem do pogadania.

- No to wal. Albo zaczekaj z tym pół godziny.

- Emily, bo zaraz cię trzasnę.

- Mat... - wtrącił Colin.

- Co Mat?! Mam ci przypomnieć kilka twoich odzywek?!

- Dobra, dobra, gadajcie sobie - powiedziała pośpiesznie Em.

Odeszła parę kroków i podniosła z trawy patyk, po czym zaczęła nim rysować coś na ścieżce, na pozór szalenie tym zajęciem zaabsorbowana. Człowiek z takiej odległości nie zrozumiałby nic z prowadzonej półgłosem wymiany zdań, mała wyłapie jednak każde słowo, choćby bracia rozmawiali najcichszym szeptem. Colinowi to nie przeszkadzało, bo dziewczynka orientowała się w temacie znacznie lepiej niż Mat.

- Za dnia nie pamiętają nocnych zdarzeń, więc jestem dla nich zwykłym gościem na spacerze w parku - powtórzył bratu informację, którą chłopak słyszał od Bena już przynajmniej trzykrotnie. - A gdybym w tej chwili z niewiadomych przyczyn zasłużył sobie na ich uwagę, nocą o mnie zapomną.

- Skąd masz pewność? Tak często z nimi gawędzisz? Ryzykujesz, kurwa, jej życie! Przez siedem lat słowem się nie odezwałeś, a nagle nie możesz wytrzymać jednego pierdolonego tygodnia?!

- Mat... przepraszam za wszystko. Za... tamto. Za to, że musiałeś się mnie bać.

- Bać się ciebie?! Myślisz, że się ciebie, kurwa, bałem?! Pochlebiasz sobie, ty...

Colin zaklął w duchu. Że też zawsze, kiedy przychodziło do potyczki na słowa, obowiązkowo robił z siebie ostatniego palanta! Uratował go dzwonek komórki. Jednak gdy Colin spojrzał na wyświetlacz, poczucie ulgi błyskawicznie się ulotniło.

- Znowu? - zdziwiła się Em, wyciągając rękę po telefon. - Przegina.

- To nie on - odparł Colin.

Wprost marzył o tym, żeby zostać opieprzonym na oczach rodzeństwa. Gordon wiedział, psiakrew, kiedy zadzwonić. Cóż, mimo wszystko lepiej teraz, niż gdyby miał go dorwać w obecności Bensona i Stipe'a. Colin odebrał z ciężkim sercem.

- Dałem słowo, że nigdy się tam nie pojawisz. Nawet nie raczyłeś poinformować Kenta.

Głos Gordona ociekał lodowatą furią, co Colinowi wydało się tysiąc razy gorsze od zdrowego wybuchu wściekłości. W pierwszym odruchu położył uszy po sobie, ale szybko narósł w nim bunt. Do diabła, nie przyjechał tu gnany młodzieńczą fantazją! Był wolny, WOLNY, nikomu więc nie musiał się spowiadać ze swoich poczynań. Żaden Kent nie będzie za niego decydował. Nie jego wina, że do stryja nie sposób się było dodzwonić.

- Sytuacja...

- Nie interesują mnie wyjaśnienia. Załatwimy rzecz w cztery oczy. Jeśli nadal nie zrozumiałeś, tłumaczenie ci tego przez telefon uważam za bezcelowe. Nie wierzę, że posłuchasz, jeśli ci każę wyjechać, zrób więc dla mnie chociaż tyle: siedź w hotelu i trzymaj się z dala od siostry.

- Gordon...

Odpowiedział mu przerywany sygnał - stryj się rozłączył.  
- Colin ścisnął komórkę w dłoni, dopóki trzask pękającego plastiku nie przywołał go z powrotem do rzeczywistości.

Zdenerwowanie stopniowo z niego opadało. Cholera, liczył na więcej zrozumienia. Złamał sporo zasad, zgoda, ale usprawiedliwiała go nietypowa sytuacja.

Naginał argumenty. Bez względu na sytuację, Gordon nie mógł przechodzić do porządku nad samowolą jakiegokolwiek członka społeczności. A zwłaszcza nad samowolą Colina, wyglądałoby bowiem na to, że pobiła najbliższej rodzinie. Tymczasem od lidera oczekiwano obiektywizmu. Joachim pozwolił sobie na stronnictwo i prośbę, co z tego wynikło. Nic dziwnego, że Gordon jak ognia unikał oskarżeń o powielanie błędów ojca.

Colin wmawiał sobie, że jest wolny, ale to puste słowa. Jego wolność wyznaczały tereny należącej do społeczności korporacji drzewnej. Więzienie bez krat, gdzie każdy zna granicę, poza którą należy się zwracać o zgodę. Ponieważ przestrzeganie zasad przez poszczególnych członków przesądzało o bezpieczeństwie całej organizacji, każda niesubordynacja musiała zostać ukarana. Nieważne, jakie motywy legły u jej podstaw.

- Dlaczego masz się trzymać z dala ode mnie? - zainteresowała się Emily, prowokując zdziwione spojrzenie Mata.

Cholera, powinna zachowywać większą ostrożność.

- Stryj... brat naszego ojca... przyrzekł Nigelowi... - Colin zrelacjonował szczegóły układu, o którym, jak się okazało, rodzeństwo nie miało pojęcia. Skurwiel nawet tyle im nie wyjawiał. Chciał, by sądzili, że brat ich olewa. - Myśleliście, że was olałem? - zapytał na koniec.

- A co ty byś pomyślał? - warknął Mat.

- Ja założyłam, że nie znasz adresu - stwierdziła spokojnie Em.

- Taa, bo mieszkamy, kurwa, w metropolii! - zirytował się Mat. - W życiu by do nas nie trafił! Ciekawe, że nagle adres przestał być problemem.

- Wyrażasz się przy mnie. Właśnie wytłumaczył, że nie chodziło o adres i że to nie jego wina.

- Od kiedy ruszają cię ustalenia starych przyków? - Mat ponownie zaatakował Colina. Wyraźnie czuł dziś potrzebę wyładowania na kimś negatywnych emocji.

- Stryj dał słowo honoru - odparł zimno Colin. - I wcale nie jest mi lekko, że je złamałem.

Umilkł, żeby nie powiedzieć za dużo; oficjalnie Em nic nie słyszała o śmierci Hammera. No, w każdym razie nie od starszego brata.

Czy układ z Nigelem stanowił właściwe wyjaśnienie polecenia Gordona? Słowo stryja Colin złamał i nie sposób już tego odwrócić. Czemu więc nie miałby widywać się z

Em, dopóki Stewart wyrażał na owe kontakty zgodę? Czyżby Gordon sądził, że bratanek spotyka się z siostrą po kryjomu? I dlaczego tylko jej kazał Colinowi unikać? Uznał, że Mat jest dorosły, więc w jego wypadku umowa przestała obowiązywać? Możliwe, że Gordon po prostu się obawiał, że Colin rozbudzi w dziewczynce wilcze instynkty, które w najbliższych latach powinno się raczej wytłumiać. Jednakże przeczucie podpowiadało Colinowi, że chodzi o coś więcej. W głosie stryja pobrzmiwał strach. Strach o Colina.

Drgnął, kiedy komórka odezwała się ponownie. Tym razem dzwonił Nigel, więc Colin podał telefon siostrze.

- Jasne, w porządku. - Em śmiała się do mikrofonu.

Obserwując małą, Colin pomyślał, że świetna z niej aktorka.

Mat pociągnął go za rękaw i odeszli na bok.

- Gordon także...? - spytał szeptem. Rozkojarzony Colin skinął głową. - Przyjedzie? Chętnie bym go poznał.

W pierwszej chwili Colin zamierzał potwierdzić, bo przecież stryj zapowiedział swój przyjazd. Czy jednak zechce porozmawiać z Matem? Niech to szlag, Colin nie powinien był zdradzać bratu, że Gordon również jest łowcą. Jeśli chłopak napomknie coś Jackowi, ten w mig dojdzie, o kim mowa.

Wcześniej Colin wspominał o stryju jako o swoim opiekunie i pracodawcy. Przy tej wersji należało pozostać. Bo, ostatecznie, co Gordona obchodziła śmierć brata, z którym latami utrzymywał chłodne stosunki? Wspieranie wendety bratanka wydawało się naturalne, niemniej

osobiste zaangażowanie Gordona zakrawało już na przesadę. Ach, za późno, nie da się cofnąć raz wypowiedzianych słów. Colin mógł tylko liczyć, że smarkacz nie chlapnie czegoś przy Bensonie.

Wrócił pamięcią do swoich początków w branży, przed trzema laty. Odgrywał młodego zapaleńca, w którym żądza zemsty przeplata się z mrzonkami o wielkiej przygodzie. Polowano wówczas na nieświadomego w Georgii, a że wzbogacony zdjęciami prasowy opis ran ofiary wiele obiecywał, na miejscu zdarzenia stawilo się, oprócz Gordona i Colina, aż pięciu łowców. Colin musiał przetrzeć szlaki w hermetycznym środowisku, znosząc pokpiwania i cięte uwagi. Stryj zaś niczego mu nie ułatwiał. Traktował „Vernona” jak powietrze, mięso armatnie, którym szkoda zawracać sobie głowę. Właśnie Benson wziął wtedy Colina pod swoje skrzydła.

W opinii innych łowców „Vernona” więcej łączyło z Jackiem niż z Gordonem, jeśli w tym środowisku można w ogóle mówić o bliższych związkach – chyba że, jak w wypadku Nicka i Daniela, chodziło o więzy krwi. Colin lubił Bena, cholera, lubił i szanował. Dostrzegał między łowcą, a stryjem wiele podobieństw. Gdyby nie był tym, kim jest, zapewne obrałby sobie Jacka za wzór i szukał jego towarzystwa. A niewykluczone, że będzie zmuszony go zabić. Pieprzony los.

- Nie wiem - mruknął Colin niechętnie. - Załatwia ważne sprawy za granicą, więc raczej nie zdoła się urwać. Nasz problem wyjaśni się przed końcem pełni, tak myślę. Gordon

nie miałyby tu już nic do roboty.

Wkrótce się w tych kłamstwach i półprawdach pogubi: co powiedział Bensonowi, co Matowi, a co Stewartom. Gdyby chociaż z rodzonym bratem wolno było Colinowi szczerze porozmawiać!

Emily prawidłowo odczytała niemą prośbę w jego spojrzeniu i nie dała się Matowi ponownie wymanewrować. Spacerowali, gadając o bzdurach – bo niby o czym dwóch dorosłych facetów mogło nawijać z dziesięciolatką?

- Też się kiedyś nauczę jeździć na motorze – zadeklarowała dziewczynka.

- Spróbuj tylko, a wujek stłucze cię na kwaśne jabłko – stwierdził z przekąsem Mat.

- Zobaczymy. – Mała uśmiechnęła się szeroko.

Colin zmrużył oczy, ale zaraz zganił sam siebie. Był przewrażliwiony. Emily niczego nie sugerowała, to znaczy, niczego ponad to, że kiedy dorośnie, nie będzie musiała nikogo się słuchać. Tak jej się jedynie zdawało, ale Colin nie widział powodu, żeby już dziś pozbawiać siostrę złudzeń.

- Naprawdę kręcą cię motory czy chodzi o szpan? O wyrywanie lasek? – Mat ponownie przybrał napastliwy ton.

- Do lasek Colin nie potrzebuje motoru.

- Znalazła się znawczyni! – prychnął Mat, niemniej przyjrzał się bratu badawczo.

Albo analizował przyczyny sukcesów Colina w relacjach z płcią piękną, albo podejrzewał go o prowadzenie perwersyjnych rozmów z siostrzyczką.

- W dzisiejszych czasach młodzież dojrzewa szybciej –

poinformowała Mata Emily.

Nigel wykonał jeszcze jeden kontrolny telefon, po czym zjawił się osobiście, pięć minut przed uzgodnionym czasem. Zapewne tkwił w wozie przecznicy od parku lub wręcz podglądał rodzeństwo, schowany za drzewem.

- A ty co tutaj robisz?! - naskoczył na Mata.

Colin mógł się przyjrzeć relacjom brata z Nigelem. Ze zdumieniem stwierdził, że na ich tle nieuprzejmość Mata względem niego ociera się niemalże o serdeczność. Choć właściwie chłopak miał pełne prawo się wściekać. Hasło „dopóki mieszkasz pod moim dachem” nieszczególnie przystawało do występkę polegającego na chęci pospacerowania z bratem w parku czy spędzenia z nim paru godzin na zwiedzaniu okolicy.

- Siedem lat nas izolowałeś! - wrzeszczał Mat. - Pytałeś mnie o zdanie?! Chcę Colina poznać - dodał spokojniej. - Sam podejmę decyzję, czy utrzymywać z nim kontakty. I nie wywrze na nią wpływu fakt, że Colin nie jest synem Vivian.

- Uważaj, jak mówisz o własnej matce - głos Nigela drżał z gniewu. - Doskonale, poznawaj go sobie, jeśli tak ci zależy. Emily jedzie ze mną. - Gwałtownie pociągnął małą za rękę.

- Boli! - zaprotestowała Emily. - Sama bym poszła...

- Nie urządź przedstawienia! - ofuknął ją Nigel, przyspieszając kroku.

Bracia spojrzeli po sobie. Wreszcie zyskali okazję do swobodnej rozmowy, zamiast jednak z niej skorzystać, ruszyli zgodnie w stronę land-rovera Mata.



- Będę musiał odebrać motor od Stewartów - powiedział Colin. - Ale sprawa może poczekać do jutra - dodał szybko, gdyż oglądanie Nigela po raz trzeci tego dnia wydało mu się nagle czymś ponad siły.

Mat tylko pokiwał głową.

Pojechali do Paula, w drodze omawiając zalety posiadania podróżującego w interesach ojca. Na miejscu zastali jedynie Carol, w towarzystwie obu łowców. Pełniła honory pani domu, podczas gdy reszta smarkaczy od rana z zapalem realizowała wyznaczone im przez Bensona zadania.

W salonie panowała napięta atmosfera. Carol zaszyła się w kącie, mrużąc oczy, ilekroć Stipe zabierał głos. Łowca zachowywał się tak, jakby dostrzegał wyłącznie Bensona; pozostali, z Colinem-Vernonem włącznie, nie zasługiwali na jego uwagę.

- Czego nam jeszcze trzeba, do kurwy nędzy?! - wybuchł Stipe zniechęcony. - Powinniśmy wytruć, ile się da, a nie siedzieć przy kawie, czekając nie wiadomo na co! Pełnia się skończy i rozjadą się po kraju! Będziemy tropić sztukę po sztuce, kiedy tutaj mamy wszystkie pod samym nosem?

Najwyraźniej kilka godzin wystarczyło, żeby Stipe nie tylko zapomniał o nocnych ustaleniach, ale i wyzbył się ostatnich obiekcji. Nagle zamarzyło mu się zabijanie w świetle dnia. Lada moment uzna truciznę za zbyt czasochłonną i zaproponuje, żeby przejść się po miasteczku z karabinem maszynowym, dla pewności strzelając do każdego, kto się nawinie, w myśl zasady, że wielkie idee

wymagają ofiar.

- Zaczęły się zjeżdżać na tydzień przed pełnią - powiedział Colin, siląc się na spokój. - Nie sądzę, żeby tuż...

- Nie sądzisz?! Chłoptasiu, strzelałem do tych bestii, kiedy ty uczyłeś się mówić „mamusia”!

- Może gdybyś, zamiast strzelać, spróbował je lepiej poznać...

- Przestańcie! - wmieszał się Jack. - Nie otrujesz ich na oczach połowy miasta, nie rozumiem więc, po co w ogóle wszczynasz spór - zwrócił się do Kennetha. - Uzgodniliśmy, że dla dobra sprawy, i własnego bezpieczeństwa, zostawimy je tutaj w spokoju...

- Mam, kurwa, spędzić kolejną noc na obserwacji?!

Oczy Colina, w ludzkiej postaci barwy ciemnego piwa, lada moment mogły stać się bursztynowe, co z pewnością nie umknęłoby uwagi łowców. Cholera, w normalnych warunkach dupek pokroju Stipe'a nie wytrąciłby go tak łatwo z równowagi. Tym bardziej że bez względu na to, jak lotne pomysły wpadną jeszcze bydlakowi do głowy, żadnego nie wprowadzi w życie, zginie bowiem z nastaniem nocy.

Szkoląc bratanka, Gordon kładł wielki nacisk na kwestię panowania nad emocjami. Dziwne, ale Colinowi ta sztuka lepiej udawała się przy Godfreyu, kiedy tłamsił wszystko w sobie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. W osadzie, gdy wreszcie pozwolił, by tamy puściły, przez długi czas nie potrafił zamykać ich na żądanie. A może chodziło o krew Godfreya? Colin miesiącami czuł na sobie jej zapach, przypominający nieustannie, że skurwiel zniknął, zwracając

mu wolność.

Problemy Colina z utrzymywaniem emocji w ryzach należały już jednak do przeszłości. Jeśli w tej chwili znalazł się u progu wybuchu, winę za ów stan ponosiła wyłącznie cholerna okolica z jej dziwnym oddziaływaniem.

Jak na ironię, gdyby Colin był słabszym świadomym, nie musiałby się obawiać utraty kontroli. W każdym razie nie przez całą dobę.

Siłę świadomego określa się na podstawie możliwości sterowania przez niego przemianą. Najniższy poziom zajmują ci, którzy bez pomocy ziół i amuletów nie są w stanie powstrzymać transformacji w czasie pełni. Kolejny stopień trudności stanowi wywoływanie przemiany siłą woli, kiedy wpływ wędrującego po niebie księżyca do tego nie wystarczy. Im bardziej okrągły staje się rosnący księżyc, tym łatwiej o transformację; najslabsi nie potrafią jej dokonać, choćby użyli wywoływaczy, nawet w ostatnich dniach poprzedzających pełnię. Znacznie trudniej przemienić się przy księżycu malejącym, a największym wyzwaniem, umiejętnością posiadaną jedynie przez nielicznych, była transformacja w dowolnym momencie dnia i nocy bez użycia jakichkolwiek wspomagaczy.

Każdy świadomy, zdolny o danej porze zmienić formę wyłącznie siłą woli, może też przejść niezamierzoną transformację pod wpływem gniewu czy strachu. Dlatego najbardziej utalentowanym przemiana grozi zawsze, gdy tracą nad sobą kontrolę, podczas gdy słabszych ryzyko dotyczy jedynie w niektórych okresach. Z zastrzeżeniem, że

żadnemu ze znanych Colinowi przedstawicieli owej uprzywilejowanej grupy tak daleko idąca utrata samokontroli się nie zdarzała. On stanowił niechlubny wyjątek. No, ale ustalił przecież, że winę za jego obecną huśtawkę nastrojów ponosił tajemniczy czynnik w otoczeniu.

- Zrewiduj odrobinę poglądy, Kenneth! - Benson minimalnie podniósł głos. - Dotąd natykaliśmy się na odmienne przypadki, więc i ja nie wahałem się pociągać za spust. Zgoda, kilka tutejszych egzemplarzy zasługuje na takie potraktowanie. Ale są wśród nich i takie, którym wypadałoby raczej pomóc.

- Ależ ja im pomagam! Uwalniam je od przekleństwa. - Stipe wyszczerzył zęby w sztucznym uśmiechu.

Sprawa wyglądałaby prościej, gdyby i Jack prezentował postawę z gatunku „powybijając wszystkie”. Tymczasem, podając w wątpliwość twierdzenie o bezwzględnej agresji każdego osobnika, Benson był bliski zostania sprzymierzeńcem społeczności. Czy Gordon zgodzi się na próbę skaptowania łowcy?

Cholera, wierzył każdemu wygłaszanemu przez Bensa słowu, a przecież ubiegłej nocy łowca mówił coś dokładnie przeciwnego i Colin nie wychwycił w jego wypowiedzi fałszu. Owszem, Jack go prowokował, ale jedno nie zaprzecza drugiemu - można prowokować prawdziwymi deklaracjami. Wątpliwe, by Benson tak często zmieniał front. Zatem w którymś momencie kłamał, Colin zaś nie potrafił jednoznacznie stwierdzić, kiedy. Skąd, psiakrew,

owe trudności? Żaden człowiek nie zdołałby kontrolować zdradliwych mikrodrgań w głosie, znowu więc winę ponosiło rozkojarzenie Colina. Chociaż dziwne, że bez problemu wyczuwał kłamstwo, ilekroć Jack puszczał wodze fantazji na użytek smarkaczy.

- Wszyscy oni są jak Peeter Stubbe - warknął Stipe. - Perfekcyjnie udają niewiniątka. Spojrzysz w twarze matkom, których dzieci zostaną wkrótce rozszarpane na strzępy?

- Kto to jest Stubbe? - spytał Mat.

Dotąd chłopak kibicował tej potyczce w milczeniu, ze ściągniętymi brwiami, jakby nie mógł się zdecydować, po której opowiedzieć się stronie. Stipe wzbudzał niewiele sympatii, ale jego bezkompromisowe poglądy przemawiały do Mata bardziej niż wyważone argumenty Jacka.

- Szesnastowieczny wilkołak - wyjaśnił Stipe z satysfakcją. Wyraźnie liczył na podobne pytanie. - Przez lata był szanowanym obywatelem i miłym sąsiadem, dopóki nie wyszło na jaw, że ma na sumieniu dziesiątki ofiar. Z własnym synem włącznie. Pożarł jego mózg. Kochał chłopaka tak bardzo, że nie potrafił się powstrzymać. Wtedy ludziom wystarczyło ikry, żeby łajdaka zabić w ludzkiej postaci. Dzisiaj natomiast, no, dzisiaj świat stoi na głowie! Zastrzelisz bestię i musisz się z tym kryć, bo zamiast bohaterem okrzykną cię mordercą. I wariatem na dokładkę.

- Wystarczyło im też tej ikry, żeby spalić na stosie kobietę, bo koń okulał dwa dni po tym, jak na niego

spojrzała - wtrącił gniewnie Colin, czując pęczniejące pod paznokciami pazury.

Cholera, angażowaniem się w kłótnię napyta sobie biedy.

- Przykład nijak się nie ma do naszej sytuacji - oznajmił spokojnie Benson. - Stubbe wiedział o swojej drugiej naturze i umiał ją kontrolować. Mordował z premedytacją, napawając się kolejnymi zabójstwami. My natknęliśmy się na gromadę skołowanych podróżnych, niezdolnych wyjaśnić, dlaczego przyjechali w to miejsce ani co ich w nim trzyma...

- Aktywność łowców zawsze ogranicza się do jałowych dyskusji? - spytał zjadliwie Mat.

Carol pogłaskała go po ramieniu.

Chłopak wybrał Stipe'a, fatalnie. Colinowi ani trochę nie podobał się błysk w oku brata. Smarkacze wiązali z Jackiem wielkie nadzieje, a tymczasem zanosilo się na to, że kolejna noc upłynie Bensonowi na biernej obserwacji stada. Nie takie działania imponują młodym ludziom. O śmierci Basila nie słyszeli - na szczęście, bo dopiero Stipe by urósł w ich oczach! Colin pożałował, że nie wykończył drania od razu. Wtedy Mat by bydlaka nie spotkał i ideałem łowcy pozostałby dla niego Jack. Trzeba natychmiast wyciągnąć szczeniaka z tego domu.

- Chodź, Mat, poszukamy reszty - rzucił niedbale Colin.

- Jasne, bylebym wieczorem padł i do rana się nie podniósł!

- Więc wolisz jałowe dyskusje? - syknął Colin, na tyle cicho, żeby Kenneth nie uznał jego słów za zachętę do

realizacji swych trucicielskich planów.

Brat łypnął na niego nieprzychylnie, ale przynajmniej nie protestował i pierwszy opuścił salon. Carol podążyła w milczeniu za nim, obdarzywszy mijanego Colina przelotnym spojrzeniem. Czy się czegoś domyślała? Colin uzgodnił z łowcami szczegóły na wieczór i również wyszedł na dwór.

Mat zadzwonił do Paula, żeby umówić czas i miejsce spotkania, a przy okazji krótko wypytać kumpla o postępy w śledztwie. Z komórką przy uchu spacerował po podjeździe, podczas gdy Colin i Carol czekali na niego, oparci o maskę land-rovera.

- Wiesz, że jemu nie o ciebie chodzi? - spytała Carol, spoglądając na Colina. - Ciągle jeszcze wścieka się na waszego ojca. Czuł się niekochany, spychany na margines. Twierdzi, że dla ojca liczyłeś się wyłącznie ty.

- Mat sądzi... że ojciec kochał mnie bardziej od niego? - Colin aż się zatchnął. - Jezu, toż to wierutna bzdura! Było dokładnie odwrotnie...

- Wyjaśnijcie między sobą tę kwestię.

Colin bardziej kochany! Niewiarygodne, że w postępowaniu Godfrey'a względem niego ktokolwiek zdołał się dopatrzeć przejawów ojcowskiej miłości. Ze swoimi „metodami leczniczymi” drań dobrze się krył przed otoczeniem, ale żeby w jego nastawieniu do starszego syna dostrzec miłość?! To Mata i Emily ojciec kochał do szaleństwa, za ich normalność. Tych dwoje ucieleśniało jego marzenia.

Chociaż może rzeczywiście Godfrey niezbyt intensywnie

okazywał dzieciakom swoje uczucia. Bał się, że wskutek zażyłości z nim zarażą się przeklętą chorobą. Jedynie Colinowi, w zestawieniu z jego osobistymi doświadczeniami, wydawało się, że ojciec odnosi się do rodzeństwa z czułością.

Przypomniawszy sobie powroty Godfreya z pracy. Mat zbiegał ze schodów z radosnym okrzykiem „Tatuś!”, aby zatrzymać się parę kroków od ojca, czekając na gest zachęty.

Nigdy się go nie doczekał. Godfrey uśmiechał się cierpko, rzucał zdawkowe pytanie o szkołę, po czym kazał Matowi wracać do pokoju, ponieważ „tato ma kilka spraw do omówienia z Colinem”.

Spragniony ojcowskiego zainteresowania chłopiec mógł dojść do wniosku, że skoro Godfrey spędza całe godziny ze starszym synem, dzieląc z nim jakieś tajemnice, najwidoczniej kocha Colina bardziej niż pozostałe dzieci. Mat nie znał przecież szczegółów owych wspólnych popołudni. Marzyła mu się zamiana miejsc. Może więc nie kierował swoich prowokacji przeciw bratu, lecz pragnął jedynie zwrócić na siebie uwagę ojca. Względnie sądził, że rozpieszczanemu Colinowi nie zaszkodzi, jeżeli niekiedy tatuś na niego wrzaśnie. Cholera, smarkacz pewnie chętnie sam by oberwał, byle nie być ignorowanym.

\*\*\*

- Jack jest za łagodny - zawyrokował Mat, zbyt mocno dociskając pedał gazu.

- Uważasz, że należy wszystkich powystrzelać? - Colin



silił się na spokój. - Tych zagubionych ludzi, z którymi przeprowadzaliście wywiady?

- Uważam, bo nie mówimy o ludziach. I ty też powinienes  
- odszczeknął chłopak.

- Stipe to dopiero okropny człowiek - stwierdziła cicho Carol.

Miała rację, co do Kennetha i gdy sugerowała Colinowi poważną rozmowę z bratem. Gdyby wiedział o tym przeświadczeniu Mata już w parku... Dzień szybko zmierzał ku końcowi, nocą czekało Colina załatwienie kwestii Stipe'a, po akcji zaś sprawy mogły się różnie potoczyć - kolejna okazja, do spokojnego sam na sam z Matem prawdopodobnie rychło się nie powtórzy. Ach, do diabła, bez nawiązywania do „księżycowej choroby” Colin i tak nie zdołałby wyłożyć bratu sedna swych relacji z Godfreyem.

A gdyby złamał zasady - nie pierwszy raz w tym tygodniu - i po prostu chłopaka wtajemniczył? Co rusz ktoś niepowołany poznawał prawdę, a mimo to interes jakoś się kręcił. Ostatecznie, w oczach świata suche fakty niewiele się różniły od pełnego ubarwień streszczenia obejrzanego w kinie horroru.

Obawiał się jednak, że swym wyznaniem oddałby Matowi niedźwiedzią przysługę. Szczeniak i tak usłyszał sporo rewelacji, z których dotąd się nie otrząsnął. Poza tym Gordon by się wściekł, a Colin i bez tego dostatecznie stryjowi podpadł. Chociaż, nawiasem mówiąc, właściwie cieszył się, że lider wreszcie zadzwonił, żeby go ochrzanić. To nie było miłe, ale znacznie bardziej ciążył Colinowi

poprzedni stan zawieszenia.

W wyznaczonym na punkt zborny Arktycznym Szaleństwie oczekiwali już na nich Paul i May. Przed chłopakiem stał ogromny puchar kolorowych lodów, natomiast dbająca o linię May ograniczyła się do shake'a. W efekcie spozierała tęsknie na deser Paula, co jakiś czas „kosztując odrobinę”. Wyszłoby na jedno, gdyby zamówiła dla siebie pół porcji.

Tym dwojgu przypadło ustalanie danych osobowych oraz dat przyjazdu wilkołaków. Z dumą zaprezentowali pierwszych podejrzanych: Basil Woods i John Liner.

- Liner to ten facio, co się rzucał - wyjaśniła May. - W hotelu prawie się z nim zderzyliśmy, ale na szczęście nas nie pokojarzył.

- Oczywiście, że nie, skarbie. Przecież nie my go filmowaliśmy - powiedział Paul, za co zarobił od dziewczyny gniewne spojrzenie. - Przynajmniej nie mieliśmy kłopotów z określeniem jego tożsamości, bo Paco Danvers z punktu zaczął na cieniasa psioczyć. No, ale i tak stawiałbym na Woodsa. Gościu się nagle wyniósł z hotelu.

- Jeśli uciekł, to mówi samo za siebie - ożywiła się May.

- I ja pierwsza doszłam do tego wniosku - wypomniała Paulowi.

- Wyniósł się? - zareagował odruchowo Colin, nie zdoławszy ukryć zdziwienia.

- Bo co? - zainteresowała się May.

- Nooo... nie sądziłem, że którykolwiek wyjedzie przed końcem pełni.

- Może tylko zmienił hotel? - zasugerował Mat.

Wyniósł się, nie zaś „wyszedł i nie wrócił”. W tej kwestii na pewno zadziałał Jack, zapamiętawszy z filmu szczeniaków nazwę hotelu, w którym zatrzymał się Basil. Łowcy często bawią się w zacieranie śladów, nie zależy im bowiem na dociekaniach FBI czy innych służb. Generalnie Colinowi odpowiadało, że obędzie się bez policyjnego dochodzenia, niemniej coś go niepokoiło w łatwości, z jaką Basil został wymazany ze zbiorowej pamięci miasteczka - jeden z setek parodniowych turystów. Czyżby nie doceniał Bensona?

- Czadowo ci w czarnym - zagruchała May.

Dosłownie pożerała Colina wzrokiem, szlag by ją trafił.

- Raz na rok wypada się przebrać - warknął Paul.

Na szczęście po chwili zjawił się Martin i rozładował atmosferę. Narzekał, że musiał pracować sam, bo niektórzy - czyli niewątpliwie Mat - znowu mieli ważniejsze sprawy. W gruncie rzeczy szczeniak cieszył się jednak, że mógł się wykazać wpisaniem czterech sztuk na swoje konto.

- Dwóch dorwaliśmy razem! - zaprotestował Mat. -  
Dopiero potem pojechałem do...

Spór zdusiło w zarodku przybycie Randala i Regiego. Trafili pięcioro, więc razem z wczorajszymi uzbierało się dziewiętnaście wilkołaków.

- Z jedną babką pogadaliśmy dłużej, bez kamery - poinformował Regie. - Sympatyczna kobitka. Gadka szmatka i zagailiśmy o życiu nocnym w miasteczku. Zarzekała się, że sypia grzecznie jak niemowlę.

- Że w domu nigdy się tak wcześnie nie kładła - uzupełnił Randal. - Uważała, że górskie powietrze zwała ją z nóg.

- A czego oczekiwałaś? Że opowie ci, jak się przeobraża w wilka? - prychnął Martin.

- Naprawdę nie miała o niczym pojęcia - zaprotestował Randal.

- Jack mówił, że one nie wiedzą - wtrącił Paul.

- A w ogóle myślałem, że są silniejsze - dorzucił Regie. - Bo zaczęło się od tego, jeszcze przed nagraniem, że nie potrafiła otworzyć drzwi do sklepu Toma. Wiecie, zacinają się, ale wystarczy mocniej szarpnąć.

- Czy tobie się wydaje, że ja kupuję u Toma? - prychnęła May.

- Zgrywała się - orzekł Mat. - Muszą być cwane, jeśli chcą przetrwać. Robiła was w ciula.

- Zobaczyłbyś ją, tobyś nie gadał! - obruszył się Regie. - Potrafię rozpoznać, kiedy się mnie robi w ciula. Naprawdę nie umiała otworzyć tych pieprzonych drzwi. Nawet nas wtedy jeszcze nie zauważyła.

- Wyglądała, jakby się miała rozplakać - dodał Randal.

Colina niepokoiły te obserwacje. Im więcej smarkacze wiedzieli, tym gorzej dla nich, ponieważ coraz bardziej zagrażali organizacji.

Chociaż... Tak wielkie nagromadzenie obiektów w jednym miejscu było dostatecznie niewiarygodne, by nikt - nawet agencja - małolatom nie uwierzył. Poza tym, tradycyjnie przebudzeni nieświadomi zachowują się inaczej, zatem większość wyciągniętych wniosków, trafnych dla tutejszych

okazów, doskonale wpasuje się w zasłonę dymną.

- A zwróciliście uwagę, jak na nie reagują psy? - spytała May.

- A reagują? - Martin ściągnął brwi.

- Trochę jak na inne psy - wyjaśnił Paul. - Czasem ujadają, czasem je ignorują, a innym razem leżą za nimi krok w krok i nie chcą się odczepić.

- Przydałoby się sprawdzić reakcję koni - powiedział w zamyśleniu Randal.

Smarkacze na nowo rozdzielili między sobą zadania. Mat w imieniu własnym i Carol zgodził się spisywać dane z ksiąg hotelowych, Paul natomiast przejął swoją kamerę od brygady RR, gdyż on i May chcieli się teraz pobawić w wykrywanie wilkołaków. Jeśli któryś z chłopaków miał ochotę im towarzyszyć, proszę bardzo. Ponieważ jednak Randal i Regie nie lubili się rozdzielać, zdecydowali się dołączyć do Martina. Co temu ostatniemu z kolei nieszczerze przypadło do gustu, podpasowała mu bowiem samodzielność. Wreszcie burzliwa dyskusja osiągnęła szczęśliwy finał.

- A ty wracaj do hotelu - rzucił chłodno Mat do Colina, dopiero teraz racząc zauważyć jego obecność. - Odpocznij przed obserwacją - dodał zjadliwie.

Szczeniak zdecydowanie kombinował coś na nadchodzącą noc, Colin zaś nie miał pomysłu, jak go powstrzymać. Posiadał u Mata minimalny, niemalże zerowy kredyt zaufania; wolał zachować go na prawdziwie kryzysową sytuację.

\*\*\*

Za jakieś dwie godziny zrobi się ciemno, smarkacze nie poszaleją więc z wykrywaczem. Niemniej i tak świetnie sobie poradzili – dziewiętnastu na dwudziestu dziewięciu (Colin wyłapał trzy nowe wonie). Że też nie szło im gorzej, psiakrew.

Ponieważ z łowcami Colin umówił się dopiero na ósmą, zastanawiał się, co począć z wolnym czasem. Cholera, chyba skorzysta z sugestii Mata.

Lecz najpierw musiał zlikwidować ssanie w żołądku. Oprócz skromnego hotelowego śniadania i paru zdolnych co najwyżej pobudzić apetyt ciasteczek Noreen nie miał dzisiaj nic w ustach. Jeśli się nie posili, będzie nocą dumał o królikach, zamiast skupić się na akcji. Jego wzrok padł na Burgery Phila. A co tam. Nie chcąc wzbudzać zainteresowania, zamówił tylko dwa. Wracając do hotelu, wstąpi jeszcze do jakiejś knajpy.

Jakie faktycznie działania podejmowała organizacja wobec przypadkowo wtajemniczonych cywilów? Oficjalnie życie ludzkie stanowiło priorytet, nieoficjalnie zaś zdarzały się wypadki. Colin nie sądził, aby Gordonowi ta informacja wymknęła się niechcący. Podobnymi stwierdzeniami stryj raczej przygotowywał grunt. Grunt pod co? No cóż, tego Colin dowie się w „stosownym czasie” i ani sekundy wcześniej.

W tej chwili bardziej interesowała go odpowiedź na pytanie, czy do „wypadków” organizacja uciekała się jedynie w sytuacjach ekstremalnych, na przykład mając do

czynienia z rozhisteryzowanym małżonkiem, czy też wobec każdego, kto łyknął sporo prawdy, a jego dyskrecja pozostawiała wiele do życzenia. Do tej drugiej grupy smarkacze kwalifikowali się w przedbiegach. Ale czy Colin, marny pionek, miał cokolwiek do gadania w tej kwestii?

Nim sprawa zostanie zakończona, na pewno zaistnieje jeszcze sporo nowych okoliczności, zamiast więc już teraz zaprzętać sobie głowę losem smarkaczy, powinien skupić się raczej na śledztwie. Tyle że z braku danych nie bardzo było nad czym rozmyślać. Dzięki rozważaniom o przyszłości szczeniaków Colin miał poczucie, że nie próżnuje.

No, był też inny, konkretny temat: Stipe. Colin uśmiechnął się pod nosem. Tej nocy bobasek da skurwielowi popalić.

W hotelu zrzucił kupione rano ubranie, zastępując je starymi dżinsami i swetrem. Od razu poczuł się lepiej. Pozwolił sobie na osiem piętnastominutowych drzemek.

Opróżnił kieszenie, zostawiając tylko colta. Dodał za to jeden drobiazg: wilgotną szmatkę w foliowym woreczku. Przyklepał kieszeń kurtki.

\*\*\*

Wymknął się dyskretnie z hotelu. Miał nadzieję, że Nigel nie zapragnie nagle odbyć z nim kolejnej poważnej rozmowy.

Z łowcami Colin uzgodnił, że podjadą po niego tam, skąd poprzedniego dnia zabierał go Benson. Dotarłszy bez przeszkód na miejsce spotkania, musiał chwilę poczekać,

zanim pokazał się Dodge Kennetha. Wsunął się na tylne siedzenie. W ciasnym wnętrzu wzajemna niechęć aż pulsowała. Proszę, zatem nawet Benson, wzór opanowania, wreszcie stracił cierpliwość. Jaki wpływ będzie miał ów szczegół na akcję Colina?

Zaparkowali około dwóch mil od domniemanego żerowiska stada.

Otuliła ich ciemność – niebo było tej nocy pochmurne, a blady poblask księżyca jedynie z rzadka przebijał się przez cieńsze obłoki. Świetnie, gdyż taki stan rzeczy zwiększał przewagę Colina nad łowcami, którzy polegali głównie na zmyśle wzroku.

Stipe przeładował broń. Miał na sobie miniaturowy arsenał.

- Na wypadek, gdyby jakaś sztuka podeszła za blisko – mruknął lubieżnie.

Bydlaka podniecało polowanie, marzył o spotkaniu z kolejnym Basilem. Należało działać szybko.

W oddali raz po raz rozbrzmiewało wycie, Colin nie doszukał się w nim jednak konkretów. Nieświadomi wymieniali się stwierdzeniami w stylu: „Jak cudownie być wolnym!” albo zaklinali księżyc, żeby wyłonił się zza chmur. Nieomal się uśmiechnął, rozpoznawszy w chórze także głosy wilków. Przybyły, doskonale. Przyrodnicy dostali swój przedmiot badań i przy okazji racjonalne wytłumaczenie nocnych odgłosów.

Obie grupy trzymały się od siebie na dystans. Nieświadomi ani myśleli ulegać przywódcy wilczej watahy,



ale zarazem żaden z nich nie prezentował poziomu zdecydowania wystarczającego, żeby skłonić do posłuszeństwa wilki.

Wilki, stworzenia dumne i inteligentne, przeważnie uznają wyższość kuzynów, choć zdarzają się też osobniki akcentujące własną niezależność. Jeśli nie zażąda się od nich uległości, mijają członków społeczności łukiem, nie próbując walczyć o terytorium. Jednakże to twierdzenie dotyczy raczej relacji ze świadomymi. O interakcjach między wilkami a nieświadomymi Colin wiedział niewiele, dotychczas miewano bowiem do czynienia wyłącznie z przypadkami pojedynczych przebudzeń.

Nieświadomy grasuje po lesie przez marne trzy noce z rzędu, i nawet jeżeli w danym rejonie wilki występują, rzadko docierają do niego, nim minie pełnia. Poza tym, taki osobnik chadza własnymi ścieżkami, więc wilki, obejrząwszy sobie dziwoląga, zostawiają go w spokoju.

A jeśli tutaj uznają zerówki za konkurencję i je zaatakują? Nie, wilki były za mądre na podobną akcję. Dobrze wiedziały, że nie miałyby szans w bezpośrednim starciu. Niemniej w ich głosach pobrzmiwała pogarda.

Do toczącej się w lesie wymiany poglądów przyłączały się sporadycznie psy z miasteczka. Colin odróżniał je bez trudu, w przeciwieństwie do towarzyszących mu łowców.

- Przymknęłyby się, pierdolone kundle - warknął Stipe. - Jak mamy przy tym jazgocie policzyć zwierzynę? Zdradzieckiemu nasieniu warto by przecinać struny głosowe - dorzucił mściwie. Łowcy nie cierpią psów, jako że

niewiele trzeba, by przeszły na stronę przeciwnika.

Powinni się rozdzielić, jeśli Colin chciał zabić Kennetha, nie wzbudzając podejrzeń Bersona. To znaczy, nie dostarczając Jackowi bezpośrednich dowodów swej winy, pytań bowiem i tak nie uniknie.

Szczęśliwie Stipe sam szukał pretekstu, żeby się odłączyć od towarzyszy. Wysunął argument, że tym sposobem dokonają bardziej szczegółowych obserwacji, i wściekł się, nie znalazłszy u Jacka zrozumienia.

- Róbcie, co chcecie - oznajmił, zatrzymując się gwałtownie. - Ja przywykłem pracować w pojedynkę. Będziemy w kontakcie.

Skurwiel niewątpliwie zamierzał zadbać, żeby „jakaś sztuka podeszła za blisko”, w czym obecność Bersona mu przeszkadzała. „Vernon” się w tej rozgrywce nie liczył.

To jeszcze się okaże.

Zostali z Bersonem we dwóch. Colin chwilę łowił kroki oddalającego się Stipe'a, przyznając w duchu, że łajdak potrafi się skradać. Ta umiejętność zbytnio mu nie pomoże, gdyż Colin trafi do drania po nitce zapachu. Nieodmiennie rozbawiała go wiara łowców w skuteczność niektórych specyfików. Kenneth na przykład zastosował maść maskującą o nucie tak intensywnej, że wskazywała trop wyraźniej niż jego naturalny zapach.

Chociaż, cholera wie, w relacjach z zerówkami środek pewnie przynosił pożądany efekt. Woń maści sugerowała substancję niejadalną, wręcz trującą, więc podlegający nakazom instynktu nieświadomy nie zainteresowałby się

taką zdobyczą. Świadomy natomiast od razu by wydedukował, że za tym właśnie tropem powinien podążać, w dodatku z zachowaniem najwyższej ostrożności.

Opowieści o świadomych jednak większość łowców traktowała jak historyjki dla naiwnych. Jeśli nawet się z jakimś zetknęli, nie wiedzieli, kim jest. A obserwowany też, naturalnie, nie zamierzał udowadniać swej wyjątkowości. Przy okazji poprzednich akcji Colin odniósł wrażenie, że Benson uważał istnienie świadomych za niezbity fakt, natomiast w oczach Stipe'a zwierzyna w wilczej skórze to po prostu kawał bezrozumnego mięsa.

Skupiony na podchodzeniu zerówek Kenneth podłoży się Colinowi jak na tacy. Colin mlasnął odruchowo. Zerknął na Bensaona. Musiał chwilę odczekać, zanim ruszy w pościg. Kilkanaście minut, może pół godziny. Martwił się, że bydlak zdąży kogoś ustrzelić.

Jack ani myślał się rozdzielać, przydałby się więc wiarygodny pretekst...

- Cholera, słyszałeś? - zapytał Colin, przystając nagle.

- Co?

- Śmiech. Ci przekłęci smarkacze jednak postawili na swoim... Dam znać, jak ich znajdę.

- Ver...! Colin, zaczekaj!

Lecz Colin pędził już w stronę miejsca, z którego rzekomo dobiegał śmiech. Obawa, że Mat planuje na tę noc jakieś głupstwo, nie dawała mu spokoju. Odkąd opuścili wóz, podświadomie nasłuchiwał głosów szczeniaków, zatem pretekst nasunął się automatycznie. Najgorsze, że wydawał

mu się niepozbawiony podstaw.

Rozebrawszy się, Colin zawinął w kurtkę ubranie i buty, rewolwer oraz krótkofalówkę, którą dostał od Jacka. Przemienił się błyskawicznie. Chwycił w zęby tobołek i popędził w ślad za ofiarą. Woń maści maskującej wskazywała kierunek niczym smuga światła w smolistej ciemności. Szybko doganiał Stipe'a, zwolnił więc do truchtu. Usłyszawszy wreszcie kroki łowcy, przystanął, żeby złożyć zawiniątko pod krzakiem.

Bezszelestnie popłynął przez las; jakby w ogóle nie dotykał podłoża. Stipe, niewątpliwie odrażający psychopata, niezdolny do rozbudowanych procesów myślowych, był zarazem świetnym myśliwym o nieomylnym instynkcie. Niemal nieomylnym. Za moment kawał mięsa pokona genialnego łowcę.

Colin truchtem okrążył ofiarę. Nie zwalniając tempa, złapał w zęby niewielki kamyk. Niecierpliwie czekał na wycie pobratymcy, które skupiłoby na sobie część uwagi łowcy. Wyjcie, do diabła! Zamiast zewu zerówki w lesie rozbrzmiał odległy, ale słyszalny także dla ludzkiego ucha głos Jacka, wzywającego Colina przez krótkofalówkę. Stipe obrócił się w stronę, z której dobiegł dźwięk.

Pysk Colina skurczył się, na moment przybierając kształt ludzkiej twarzy, co miało mu umożliwić silniejsze dmuchnięcie. Kamyk wylądował po prawej ręce łowcy, ten zaś odruchowo skierował ku niemu broń. W mgnieniu oka Colin skoczył na niego od tyłu. Stipe zaczął się odwracać.

Jego strzelba wypaliła, raniąc hukiem wrażliwe uszy

Colina. Pociągając za spust, łowca był już jednak martwy, jego palec zgiął się w pośmiertnym odruchu, a pocisk pomknął w las.

Gorąca krew buchała z rozoranego pazurami gardła. Colin z lubością wdychał słodkawy zapach. Krew jest cudowna sama w sobie, a cóż dopiero, kiedy należy do wroga.

Otrząsnął się. Nie miał ani sekundy do stracenia. Zawył przeciągle, zakazując zbliżyć się zerówkom. W innych okolicznościach nie wątpiłby, że go posłuchają, tutaj mógł zaledwie żywić taką nadzieję. Na szczęście znajdowały się dość daleko, a ze względu na gwałtowność przebudzenia ich zmysły nie były wyostrzone. Może zatem nie wyczują krwi.

Colin zawył ponownie, prosząc wilki o odwrócenie uwagi nieświadomych. W odpowiedzi otrzymał krótkie, konkretne potwierdzenie. Miło było się dowiedzieć, że przynajmniej one zachowały w tej okolicy trzeźwość umysłu.

Z krótkofalówki w kieszeni trupa dobiegał zaniepokojony głos Bensaona, wywołującego na przemian obu towarzyszy. Colin popędził do tobołka. Obawiał się odpowiadać z aparatu Stipe'a. Sprzęt należał do Jacka i Colin nie był pewien, czy łowca nie zobaczy, kto nadaje.

Już w ludzkiej postaci, wyszarpnął z zawiniątka krótkofalówkę.

- Czemu nie odpowiadałeś? - zapytał Benson.

- Krótkofalówka wypadła mi z rąk i przestała działać. Nie mogłem jej znaleźć w tych przeklętych ciemnościach -

wyjaśnił Colin. Czy aby nie za szczegółowo? – Kto strzelał? Stipe?

– Najwyraźniej. Mam tu twojego brata i jego kolegów.

Colin zmełł w ustach przekleństwo. A właściwie... spadli mu z nieba – uwiarygodnili jego nagłą wycieczkę. U boku Jacka nic im nie groziło, i przynajmniej przekonają się na własne oczy, że walka z wilkołakami to nie przelewki. Może doświadczenie odwiedzie ich od dalszych samowolnych wypraw. Śmierć Stipe'a przypisze się Linerowi, podobnie jak zabójstwo Hammera. Jeden agresywny osobnik pośród dwudziestu – czy ile ich szczeniaki ostatecznie wykryją – jeszcze nie daje powodu do wystrzelania wszystkich.

– Nie mogę wywołać Stipe'a – poinformował go Benson. – Coś się musiało stać. Będę ciągle próbował, a na razie po prostu go szukajmy. Bez odbioru.

Przemieniwszy się ponownie, Colin powrócił do swej ofiary.

Poszarpał ubranie Stipe'a i dobrał się do jego wnętrzości, żeby zdarzenie wyglądało na atak oszalałej bestii, a nie na precyzyjną robotę profesjonalisty. Bensaona zapewne i tak ogarną wątpliwości, jak doświadczony łowca dał się zaskoczyć jednemu z tutejszych zdezorientowanych osobników. Rany, niech Jack chociaż, dla własnego dobra, uda, że wierzy w napaść nieświadomego. Colin z kolei uda, że nie wyczuwa kłamstwa... Odstąpił od Stipe'a, wystarczy.

Cofnął się do swoich rzeczy. Z kieszeni kurtki wydobył woreczek z wilgotną szmatką i otarł krew z twarzy. W ciemności niby niewiele widać, ale Benson wziął ze sobą

latarkę. Rany goiły się na Colinie zbyt szybko, by mógł upozorować zadrapanie, stwierdził więc, że najlepiej zrobi, jeśli „znajdzie” Stipe'a. Będzie utrzymywać, że usmarował się krwią, dotykając trupa. Trochę grubymi nićmi szyte... Trudno, obecność smarkaczy nie pozostawiała mu wyboru.

\*\*\*

Poszukiwania wypadło nieco przeciągnąć, Colin wędrował zatem po lesie, trzymając się od Bersona i szczeniaków na dystans. Błądzili za bardzo na prawo od miejsca zdarzenia, jako że na podstawie pojedynczego strzału niełatwo było precyzyjnie określić kierunek. Uszu Colina dobiegało wytłumione „piiiip” krótkofalówki Stipe'a: to Jack usiłował zlokalizować towarzysza. Kolejne udogodnienie – Colin nie będzie się musiał rozwodzić, jakim cudem trafił na ciało Kennetha w ciemnym lesie.

Odczekał około godziny, zanim podekscytowany zameldował Bensonowi, że znalazł Stipe'a.

- Trup, cholera!

Wzajemne namierzanie się trochę potrwało, ponieważ ze względu na niechybną obecność w okolicy przedstawicieli FWS i straży leśnej nie mogli się otwarcie nawoływać. Wreszcie Colin ich usłyszał: nawet stado krów by tak nie hałasowało. Niespiesznie wyszedł grupce naprzeciw.

- Co tu, do cholery, robicie?! - naskoczył na Mata, przy czym nie musiał udawać zagniewania.

Na szczęście, gówniarze nie przywlekli ze sobą dziewczyn.

Wyczuwał w chłopaku i jego kumplach przytłumiony niepewnością bunt. Dopóki nie padł strzał, wyprawa wydawała się smarkaczom genialnym pomysłem, teraz jednak Kenneth nie żył. Zginął, ponieważ łowcy się rozdzielili, a uczynili to, gdy w lesie pojawiła się młodzież – Colin nie wątpił, że Benson w mniej więcej taki sposób naświetlił im sytuację.

Mat wymruczał idiotyczne wyjaśnienie, że niby mieli na uwadze dobro ogółu, ochronę najbliższych. Mamrotał tak cicho, że żaden człowiek nie zrozumiałby z jego wypowiedzi ani słowa, Colin darował sobie więc komentarz.

- Cooo się stało? – głos Randala drżał. – Czy toooo...?

- Został zaatakowany. Trzymajcie się razem i oczy dookoła głowy – odparł Colin, odruchowo zapożyczając od Bersona nieco mentorski ton, jakim łowca zwracał się do szczeniaków. – Macie srebrną amunicję?

- Kenneth dał nam magazynek... – Paul niepewnie machnął pistoletem.

- Mówiliście, że jeśli rozwali się mózg... – zaczął Regie unosząc dubeltówkę.

- Takim jesteś świetnym strzelcem? – Colin nie krył sceptycyzmu.

- Poluję z ojcem!

- Nie pora na dyskusje – uciął Jack. – Prowadź.

- Widok nie będzie przyjemny. Pełno krwi. – Żeby uniknąć głupich pytań w przyszłości, Colin podsunął pod snop światła latarki okrwawioną dłoń. – A prawie nie dotykałem ciała.



- Nie mogą tu zostać sami - zawyrokował Benson.

Wędrujący po ściółce krąg światła wyłowił z mroku wojskowy but. Sunąc dalej, ukazał poszarpany brzuch, rozoraną klatkę piersiową, poharatane gardło i wreszcie oczy, zastygłe w wyrazie niedowierzania, że wielki łowca został pokonany.

- Kurwa - westchnął Jack.

Smarkaczy zamurowało. Randal rzucił się w bok i zaczął wymiotować.

- Uważaj, cholera - warknął Colin. - Nie było nas tutaj. Nie możemy zostawić śladów. Jeśli nikt nie ma przy sobie torebki, zbierz to w sweter.

- Rany jeża, ale masakra - jęknął Regie, kręcąc głową.

- Z dobrymi tropowcami i tak do nas trafią - mruknął Paul. - Tu niektórzy żyją z tego, że ich psy wytropią każdą zwierzynę.

- Ewidentnie nie zabił go człowiek - orzekł Benson. - Będą szukać dzikiej bestii, nie nas.

Colin przyglądał się spod oka bratu. Mat wpatrywał się w poszarpane ciało raczej z fascynacją niż odrazą: nareszcie ujrzał, jaki los spotkał rodziców. Tak mu się tylko wydawało, Colin jednak nie zamierzał wyprowadzać chłopaka z błędu.

Ciało Kennetha zostało zmasakrowane, niewątpliwie, ale każdy go bez trudu rozpoznał. Wtedy natomiast... Świeciło słońce, świergotały ptaki, wietrzyk szeleścił liśćmi - iście sielankowy obrazek, gdyby nie wszechobecny zapach krwi. Wsiadłszy z wozu, Colin odniósł wrażenie, że zarzucono mu na oczy czerwoną płachtę. Ruszył do wejścia. Nigdy

wcześniej nie sądził, że trasa z podjazdu na ganek może się okazać tak długa.

Już na dworze odór krwi był intensywny, ale gdy Colin otworzył drzwi, przekonał się, że dotąd zakosztował ledwie marnej namiastki. Pierwsze plamy i niewielkie kałuże dostrzegł od razu w hallu; pod ścianą walał się jakiś ochłap. Kolejne kroki Colin stawiał jak osoba w głębokiej hipnozie: unieś nogę, przesuń do przodu, opuść. Stał w progu salonu, spoglądając na zbryzgane czerwienią meble i dywan. Trudno mu było uwierzyć, że tyle krwi mieściło się tylko w dwojgu ludziach. Skrawki ubrań mieszały się ze skrawkami ciał, z żyrandola zwisał kawałek jelita, u stóp Colina spoczywał fragment kobiecej dłoni z obrączką na serdecznym palcu. Zapach krwi Vivian zlewał się z zapachem krwi Godfrey'a.

Z nienaturalnym spokojem Colin przepatrywał pomieszczenie w poszukiwaniu kolejnych możliwych do zidentyfikowania fragmentów. Niewielu się ich doliczył. Na komodzie zauważył część przedramienia, obok fotela kawałek ucha. Oglądał niemalże makabryczne dzieło sztuki. Ileż wysiłku musiało kosztować tak skrupulatne rozerwanie dwóch osób na strzępki – bo nawet nie strzępy! Czerwone kałuże dopiero zaczęły zastygać, niewykluczone więc, że zabójca opuszczał dom przez taras w chwili, kiedy Colin chwycił za gałkę drzwi wejściowych.

Nie był jednak w stanie rzucić się w pogoń za sprawcą. Coś mu mówiło, że pościg nie ma sensu – że nic nie ma sensu. Wycofał się do hallu i wezwał policję. Potem zaś stał

przy stoliku z telefonem, destylując unoszące się wokół zapachy. Odarł je z przytłaczającego odoru krwi, oddzielił wonie członków rodziny, listonosza, przyjaciółki Vivian, Barbary, oraz goszczących przed tygodniem na kawie Dwyerów. Aż wreszcie ją wyłuskał. Tę jedną, najważniejszą, obcą woń. Utrwalił ją w pamięci na całe życie, zanim do domu wtargnęli gliniarze, wzbogacając tę kakofonię o własne zapachy. Jedna woń, jeden świadomy. Za dnia, kiedy na niebie zabrakło księżyca. Żaden szczegół ataku nie był przypadkowy.

- Mat... - Colin dotknął ramienia brata. Chłopak wzdrygnął się, strącając jego dłoń. - Nie ma w tym waszej winy. Odłączył się od nas, jeszcze zanim was usłyszeliśmy.

Liczył, że jego słowa zabrzmiały dostatecznie nieprzekonująco. Szczeniakom nie zaszkodzi odrobina poczucia winy.

- Nic tu po nas - oznajmił chłodno Jack, zakończywszy przegląd kieszeni Stipe'a.

- Tak go zostawimy? - zdumiał się Paul.

- Przykro mi, chłopcze, ale za dużo musielibyśmy tłumaczyć policji. Jeśli nam się poszczęści, znajdą go dopiero za parę dni. A wtedy, miejmy nadzieję, nasza sprawa będzie już zamknięta.

- Nie lepiej go zakopać? - zapytał bez przekonania Martin. Rzucało się w oczy, że najchętniej siedziałyby już w wozie.

- Obecnie mamy do czynienia z ofiarą, powiedzmy, watahy wilków. Można nas co najwyżej oskarżyć, że nie

powiadomiliśmy nikogo o znalezisku. Przy odrobinie szczęścia wkrótce faktycznie przyplącze się kilka zwabionych zapachem świeżej krwi wilków i wilkołaków. Dokończą dzieła, a przy okazji zatrą nasze ślady. Natomiast zakopując go, dalibyśmy do zrozumienia, że usiłujemy coś ukryć. Najprawdopodobniej zbrodnię.

- To nie fair - wtrącił Mat. - Znaczący, wobec wilków. Kiedy sprawa trafi do prasy, ludzie znowu dostaną psychozy na ich punkcie i cały program reintrodukcji i edukacji weźmie w łeb. Masz pojęcie, ile trudu kosztowało przekonanie tutejszych mieszkańców, że wilki nie zagrażają ludziom?

- Nie pora na ekologiczne sentymenty - uciął Benson. - Zabieramy się stąd. Nie widzieliście ciała i nie znaliście człowieka. Większą część dnia przesiedział w mojej przyczepie albo u Paula, nie sądzę więc, żeby ktoś w ogóle odnotował jego obecność, a tym bardziej żeby skojarzył go z wami. Z takim arsenałem wezmą go za kłusownika. Może nawet za wariata, z racji srebrnej amunicji. Teraz najważniejsze jest, żebyście znaleźli się w swoich pokojach, zanim ktokolwiek się zorientuje, że gdzieś tej nocy wychodziliście.

- Śpimy wszyscy u mnie - mruknął Paul.

- Nie doszłoby do tego, gdybyście działali, zamiast...! - zaczął gwałtownie Mat.

- Wyluzuj - wszedł mu w słowo Colin, bezwiednie przyjmując rozkazujący ton.

Mat zmrużył oczy, ale umilkł posłusznie.

Dominacja nie działa na ludzi, czyżby więc chłopak nosił

w sobie wilczy gen? Jeśli ktoś nie ulega silnemu świadomemu, to jeszcze o niczym nie przesądza. Jednakże poddanie się dominacji jednoznacznie wskazuje, że dana osoba posiada ów gen. Niemniej w takim wypadku Mat powinien się być przebudzić, znalazłszy się u samego źródła tajemniczego oddziaływania. Możliwe więc, że po prostu odziedziczył pewne wilcze cechy i skłonności, które nie czyniły jednak z niego od razu członka społeczności, ale co najwyżej nosiciela trwale nieaktywnego genu. Albo najzwyczajniej w świecie chłopakowi wystarczyło rozsądku, by nie wszczynać awantury nad ciałem Stipe'a.

\*\*\*

Odstawili przygaszonych smarkaczy do wozu Paula, gdzie Benson po raz kolejny nakazał im dyskrecję. Musieli pilnować zwłaszcza Randala, jako że doznał szoku i mógł w tym stanie palnąć głupstwo. Ze względu na niego pewnie nie uda im się zataić prawdy przed dziewczynami, ale niech nie wnikają zanadto w szczegóły.

Opanowany głos łowcy działał cuda. Smarkacze, znacznie już spokojniejsi, posłusznie pokiwali głowami, zapakowali się do czarnego land-rovera i odjechali z piskiem opon.

- Ze Stipe'a był kawał cholernego skurwysyna - stwierdził Jack beznamiętnie. - Nie spodziewałem się jednak takiej jatki - dodał. - No nic, trzeba posprzątać.

- Topimy?

- Nie, jeden topielec na tydzień wystarczy. Myślę, że... -

Benson zastanowił się. – Pojedziemy do Spokane. Znam tam słabo pilnowaną kotłownię. Chodź. Podskoczmy najpierw po mój wóz. Dodge'a podwieziemy na jakiś większy parking.

Colin jakby wrósł w ziemię. Dopiero po chwili podążył za łowcą.

Co miała znaczyć uwaga o jatce? Ale przecież nie wyczuwał obawy, niepewności, w ogóle żadnej zmiany w nastawieniu Bena do siebie. Był przewrażliwiony. Jack rzucił zwykły komentarz, mogło mu chodzić o tysiąc różnych rzeczy. Gdyby się domyślił prawdy, nie zdradzałby się z tym tak otwarcie.

Cholera, widocznie Colin nadmiernie sobie ze Stipe'em pofolgował. Niemniej, jeśli wierzyć opisowi z lokalnej gazety, Hammer był w podobnym stanie, a zabójstwo Kennetha powinno wyglądać na drugie z serii.

Pojechali do miasteczka po jeepa, przy okazji zabierając z przyczepy płachtę grubej folii – najwyraźniej Benson był wyposażony na każdą okoliczność. Oba wozy zaparkowali w pobliżu miejsca zbrodni.

Psiakrew, jakiej zbrodni? Colin wściekł się na siebie za to określenie. Przeprowadził błyskawiczny zaoczny proces o zastrzelenie Basila i wykonał na sprawcy sprawiedliwy wyrok. Rzeczywisty proces tak czy owak wkrótce by się w osadzie odbył, gdyż Stipe'a już dawno wzięto pod lupę. I niewykluczone, że właśnie Colinowi powierzono by likwidację łowcy. Po prostu odrobinę uprzedził fakty.

Przełożyli z dodge'a do jeepa wszelkie przedmioty świadczące o dziwnej profesji właściciela. Benson wsunął

pod pachę zwiniętą folię i wrócili do ciała, przy czym łowca korzystał z kompasu, a Colin dyskretnie naprowadzał go na właściwy kierunek. Czy Jack nie uzna, że nazbyt łatwo odnaleźli zwłoki? Cóż, Colin tak przywykł do korzystania z rozwiniętych zmysłów, że trudno mu było sobie wyobrazić, jak Benson zdołałby sam trafić na miejsce zdarzenia. Choć zapewne łowca poradziłby sobie bez problemu.

W czasie kiedy nie było ich w lesie, zrobiło się w nim dość tłoczno. Uszu Colina dobiegały liczne ludzkie głosy; w pewnym momencie zamarł nawet Jack, potem zaś zaklął siarczyście pod nosem.

- Nakryją nas, jeśli się nie pospieszymy - mruknął.

Zawinęli ciało w folię. Na obu końcach przewiązali rulon linką, którą dodatkowo omotali w dwóch miejscach, łącząc uchwyty. Na „trzy” dźwignęli trupa.

Nikt Stipe'a nie będzie szukał, gdyż łowcy pędzą samotniczy tryb życia.. Najbliższym, jeśli w ogóle ich posiadają, nie zdradzają punktów docelowych swych wypraw ani terminów powrotu. Nie wyjawiają im też prawdziwego charakteru swego zajęcia. Zatem, nawet gdyby ktoś zapragnął ustalić, co spotkało Stipe'a, nie będzie wiedział, od czego zacząć śledztwo. Kenneth od dawna był duchem - fałszywe nazwisko, lewe papiery wozu, brak stałego adresu.

Przyczynami zniknięcia kolegi po fachu najprędzej zainteresowałby się inny łowca, tyle że oni wszyscy godzili się z faktem, że w tym zawodzie wypadki chodzą po ludziach. Usuwali dowody istnienia poległych i wymazywali

ich z pamięci. Jeśli denat dał się podejść zwierzynie, siłą rzeczy zostawał pomszczony, jeżeli natomiast za jego zgonem stała agencja czy inna rządowa formacja, zadawanie pytań groziło ściągnięciem pościgu na karki żyjących.

Z trupem w bagażniku Colin jechał za jeepem.

Odkąd dołączył do łowców, ani razu nie usłyszał imienia gościa, na którym swego czasu wykonał wyrok. Ciało pozostawił w lesie, ku przestrodze. Tak zarządził Gordon. Colin uważał, że rozszarpany trup kolegi raczej da łowcom dodatkowego kopa niż ostudzi ich zapał, ale nie próbował polemizować z poleceniem lidera.

Wieść o losie faceta z pewnością rozeszła się wśród łowców, przy czym nikt nie mógł wątpić, że padł on od pazurów zwierzyny, a nie kuli agenta rządowego. Mimo to żaden z dawnych towarzyszy broni nie wspominał o poległym. Tajemnicze zniknięcie Stipe'a znacznie bardziej elitę zaniepokoi, ale też tym mniej będą się pchać do poznawania szczegółów i toczenia na ten temat dyskusji. A co z Bensonem? Jego odejście także zaakceptują w milczeniu?

Przygryzł wargi. Rozpłynięcie się bez śladu dwóch łowców w tym samym czasie wydawałoby się zdecydowanie podejrzane, a na Bensonie i Stipie mogło się nie skończyć. Wkrótce przyjadą Nick i Daniel, i cholera wie, kto jeszcze. Ale jaki miał wybór? Zasadność zlikwidowania Stipe'a nie podlegała dyskusji. Decyzję w sprawie Bensaona dopiero podejmie, przy czym sam łowca walnie się do niej przyczyni



swoimi najbliższymi działaniami. Choć, właściwie, Colin mógł złożyć tę kwestię na barki Gordona, skoro naczelny strateg organizacji wkrótce miał zawitać w te strony.

\*\*\*

Ze zdumieniem stwierdził, że dotarli do Spokane. Niepostrzeżenie minęło półtorej godziny. Benson prowadził pewnie, bez wahania skręcając w kolejne przecznice. Wreszcie zatrzymali się przed dużym, pomalowanym na jasny kolor budynkiem. Colin nie wyczuł wokół żywej duszy.

- Kiedyś już tu byłem - rzekł Benson. - Wtedy mieli tylko jednego strażnika. Spodziewam się, że w takich miejscach schematy postępowania nie zmieniają się latami.

Sapiąc i stękając (Colin, naturalnie, udawał), ponieśli zwłoki do pieca. Benson bezbłędnie wybierał drogę. Cóż za nadzwyczajna pamięć! Niby się skradali, ostrożnie wyglądali zza załomów muru, rozmawiali szeptem i tym podobne, niemniej Colinowi nagle wszystko wydało się zbyt proste - zarówno ten pusty budynek z rozgrzanym do odpowiedniej temperatury piecem, jak i cały dyskretny pobyt Stipe'a w miasteczku. Jakby Jack wystawił Colinowi bydlaka. Ba, jakby wręcz zawczasu opracował i wprowadził w życie szczegółowy plan, pozostawiając towarzyszowi jedynie wieńczące dzieło machnięcie pazurami. Cholera, to bez sensu. Dlaczego nie mógł choć raz uwierzyć, że zwyczajnie sprzyjał mu los?

Wykonali ostatni wysiłek, wrzucając ciało do pieca.

- Czemu Basila też nie spaliliśmy? - spytał Colin. Poniewczasie ugryzł się w język. Wściekł się na siebie.

Widział Woodsa na filmie szczeniaków, dyskutowali na jego temat w Arktycznym Szaleństwie, mógłby więc łatwo wyjaśnić Bensonowi, w jaki sposób powiązał twarz z nazwiskiem. Jednakże zadając pytanie, w ogóle nie zastanowił się, czy ma prawo znać personalia zabitego przez Stipe'a obiektu.

- Nie było czasu - odparł krótko Jack.

Przez dwadzieścia minut pilnowali pieca, w myśl zasady, że lepiej doglądać wszystkiego osobiście, niż dać się zaskoczyć „niespodziewanym okolicznościami”. Potem wymknęli się z budynku.

Dodge'a zostawili na dużym parkingu, gdzie utonął w masie samochodów. Trochę wody upłynie, zanim ktoś zainteresuje się wozem, a i wtedy niczego istotnego nie ustali.

\*\*\*

W drodze powrotnej Colin usiłował wybadać, ile Jack się domyśla w kwestii przyczyn śmierci Stipe'a. Świadom, że chodzi prawdopodobnie o wytwór jego własnej wyobraźni, zadawał pytania zbyt zagmatwane, aby odpowiedzi łowcy cokolwiek rozstrzygnęły. Złościł się na siebie, że w ogóle nawiązał do sprawy.

- Smarkacze ciągnęli mnie dzisiaj za język w kwestii reakcji zwierząt na obiekty - zmienił temat. - Bałem się, że zaprzeczę twojej wersji.

- Reakcje zwierząt sami obserwują - stwierdził Benson. - Niestety, wszędzie tam, gdzie mogą zweryfikować informacje, musimy im mówić prawdę. Mnie też się to nie podoba, ale lepiej, żeby nam ufali na słowo, niż poczuli się zobligowani do przeprowadzania eksperymentów.

- Mhm - zgodził się niechętnie Colin. - No dobra, wymień mi w takim razie najważniejsze punkty, w których minąłeś się z prawdą. Czego mogłem nie usłyszeć?

Benson zastanawiał się chwilę.

- Ugryzienie... ale chyba się zorientowałeś? Konieczność święcenia kul w kościele. Nie sugerowałem im żadnej bzdurnej broni ani rzucania wypolerowaną stalą nad głową wilkołaka, bo jeszcze zastosowaliby taką metodę, stanąwszy z obiektem oko w oko. Zależność od pełni: są przy pełni silniejsze, ale przeobrażają się także, kiedy księżyc znajduje się w innych fazach. Kto im w to uwierzy? Mnie samemu nie chce się wierzyć, a przecież ten przeklęty Hammer... - Benson ściągnął brwi. - Śmierć osobnika, który kogoś pokąsał, wyzwala od przekleństwa, ale pod warunkiem, że ten ktoś nie zakosztował jeszcze ludzkiej krwi. Zadeklarowałem im też, że przemawiają do mnie legendy o klątwie i pakcie z szatanem. W ten sposób zrodziła się zaraza, a dla mnie, jako łowcy, takie egzemplarze stanowią najcenniejsze trofeum.

- Jezu... O diabelskim pasie też wspomniałeś?

- Twoim zdaniem przesadziłem? - Benson wykrzywił usta w półśmiechu. - Nie sądzę. Oni chcą usłyszeć, że walczą z nadprzyrodzonymi istotami. Nie zdziwiłbym się, gdyby moje

słowa natychmiast mieszały im się z wiedzą z filmów. Ściągnęli z sieci, co tylko się dało, i przypuścili szturm na lokalną wypożyczalnię. Mam wrażenie, że często tworzą własne teorie i celowo nie pytają mnie w danej kwestii o opinię, żebym przyziemnym wyjaśnieniem nie zburzył im misternej konstrukcji. Dobra, co jeszcze... Zjedzenie mózgu obiektu, albo nawet mózgu wilka, może zmienić człowieka w wilkołaka. Podobnie położenie się we krwi likantropa.

- A jeśli zechcą spróbować?

- To by świadczyło, że zupełnie brak mi daru przekonywania - odparł z półuśmiechem Benson. - Chociaż właściwie, przekonać ich do czegokolwiek... Na szczęście zawczasu wbili sobie do głowy, że wilkołaki stoją po przeciwnej stronie barykady.

- Podalesz im parę przykładów dobrych wilkołaków.

- No właśnie. Myślisz, że im się chciało ich poszukać? Nie, wolą w tym czasie obejrzeć kilka bzdurnych filmów więcej. Na dobrą sprawę powinni mieć wszystkie legendy w małym palcu, zanim w ogóle wyruszyli w teren. A w tym gronie tylko Martin, być może, przysiadł fałdów i trochę poczytał. Ale nie powinienem narzekać, bo dzięki temu uchodzę za eksperta, podając im informacje, do których sami by bez problemu dotarli. - Zamilkł na chwilę, a potem zastanowił się głośno: - Przy czym jeszcze mogło cię nie być? Prawdę mówiąc, sam już nie pamiętam wszystkich bajeczek, które im opowiadałem. Im dłużej się ta sprawa ciągnie, tym większe staje się ryzyko, że mnie złapią na jakiejś sprzeczności.

- A co im, na przykład, powiedziałaś o łowcach i innych przypadkach ataków zwierzyny? Mat podpytywał mnie o łowców.

Prawdę mówiąc, Colin powinien był notować informacje, które podawał mu Benson. No, ale przecież i tak nie wyjmowałby przy smarkaczach notesu, żeby sprawdzić, jakiej odpowiedzi ma im udzielić. Liczył, że jeśli zaskoczą go jakimś pytaniem, w mózgu odblokuje mu się odpowiednia klapka. Przede wszystkim zaś w tej chwili nie zniósłby jazdy w milczeniu, a tego tematu powinno im wystarczyć do końca podróży.

\*\*\*

Do miasteczka dotarli kilka minut po szóstej, tuż przed świtem. Wkrótce z domów wychyną pierwsze ranne ptaszki,

Colin musiał więc się pospieszyć, jeśli pragnął dyskretnie wrócić do pokoju.

- Zdzwonimy się ju... to znaczy, jak obaj trochę odpoczniemy - rzucił Bensonowi na odchodnym.

Znalazłszy się w hotelu, Colin obejrzał się w łazienkowym lustrze. Odrobina krwi zlepiła mu włosy, ale przecież miał prawo się pobrudzić, kiedy wpadł na zwłoki, i później, przy zawijaniu ich w folię. Sweter i dzinsy też były poplamione. Czyli musiał je uprać, bo niebezpiecznie byłoby trzymać w pokoju zakrwawione ubrania. Akurat mu się chciało. Z niechęcią napuścił wody do umywalki i namoczył sweter. Pomimo ogólnego przybrudzenia brunatne plamy wyraźnie odznaczały się na jasnej dzianinie.

Pod prysznicem ze zdumieniem skonstatował, że spływająca zeń woda jest czerwona. Szorował każdy cal ciała, pozbywając się zapachu wroga.

Uprał sweter. W dalszym ciągu odbiegał od ideału, ale przynajmniej znikły plamy. Z džinsami, ze względu na ich pierwotnie ciemnogrnatową barwę, poszło mu sprawniej. Rozwiesił ubrania na grzejnikach.

Pokój zalewała szara poświata, kiedy Colin wreszcie się położył. Padał ze zmęczenia, ale dwanaście drzemek - trzy godziny snu - powinno go dostatecznie odświeżyć.

Gorzej, że umierał z głodu. Mlasnął z żalem na wspomnienie Stipe'a. Nie uszczknął z niego ani kawałka, obawiał się bowiem, że dostałby od sukinsyna niestrawności. Łowcy często faszerowali się szkodliwym dla członków społeczności zielskiem. Wprawdzie Colin niczego podobnego u Stipe'a nie wyczuł, ryzyko jednak istniało.

# NIEDZIELA

Na śniadanie Colin zszedł przed jedenastą. Posiłek przełknął w pośpiechu, zaprzątnięty myślą o odebraniu thunderbirda. Liczył, że Noreen ponownie zaprosi go na kawę, a Nigelowi złość przeszła na tyle, że raczy podjąć kolejną próbę pojednania z przyszywającym siostrzeńcem. Zadzwoił do Mata z prośbą o podwiezienie. Przy okazji chciał wybadać stosunek chłopaka do ostatnich zdarzeń.

Wyszedł przed hotelik. Czekał na brata, połączył się z Fishem. Byli już blisko, no, może nie całkiem, ale przed nocą dotrą. A przed północą na pewno. Colin powstrzymał przekleństwo, zaintrygowany dziwnym brzmieniem głosu kolegi.

- Coś nie tak? - rzucił, jak na rozmowę z liderem straży stanowczo za ostro.

- Część... dziwnie się czuje. Im bliżej jesteśmy celu, tym bardziej ciągnie ich na miejsce. Nie posłuchaliby, gdybym im kazał zawrócić. Nawet z postojami robi się problem.

Colinowi cisnęło się na usta pytanie, dlaczego w takim razie nadal ich tu nie widać, ale darował sobie sarkazm.

- Spróbuj ustalić, z czego się bierze to nietypowe samopoczucie.

- Próbowałem - warknął Fish, ewidentnie wściekły, że Colin znowu podważa jego kompetencje.

Lider straży musiał także mocno odczuwać tajemnicze

oddziaływanie, gdyż inaczej nie dałby się równie łatwo sprowokować.

Cholera, Colin liczył, że kumple będą w stanie opisać, na czym polega tutejsze zjawisko, a tymczasem ich doznania najwyraźniej przypominały te doświadczane przez nieświadomych. Jedyna różnica sprowadzała się do tego, że członkowie straży zdawali sobie sprawę, iż wpływa na nich zewnętrzna siła, podczas gdy zerówki łudziły się, że przybyły do miasteczka pchane fantazją.

Z irytacją postukiwał butem o asfalt. Gdyby szczeniak wyruszył od Paula pięć minut po ich rozmowie, jak zadeklarował, dawno już zajechałby przed hotel.

Z prawej nadbiegała postać w dresie. Celia.

- Wychodziłbym chwilę później i znowu zderzylibyśmy się w drzwiach - zagaił z wymuszoną swobodą Colin. - Nie ma jak przedpołudniowy jogging.

- Dbam o formę - odparła, okrążając go truchtem. Gdyby wiedziała, że całą minioną noc spędziła na bieganiu, pozwoliłaby sobie na dłuższy wypoczynek z rana.

- Trenuję też sztuki walki - dodała Celia, szczerząc śliczne białe zęby w wilczym uśmiechu. - Masz ochotę na prezentację?

- To propozycja czy ostrzeżenie?

- Pozostawiam do indywidualnej interpretacji. - Roześmiała się, jednak w jej oczach błysnęło coś bynajmniej nie kokieterijnego.

- Przykro mi, ale dziś nie skorzystam. Muszę lecieć. - Colin wskazał hamującego przy nich land-rovera. - Z chęcią



powrócę kiedyś do naszej rozmowy...

Wzruszywszy ramionami, Celia posłała mu pożegnalne spojrzenie, ni to zalotne, ni to ostrzegawcze, po czym potruchtała do hotelu.

Całkiem nieźle mu poszła ta wymiana zdań. Chyba nabierał wprawy.

- Masz czas wyrywać laski? - prychnął Mat.

Colin przyjrzał się bratu krytycznie: zmęczenie na twarzy, cienie pod oczami.

- Cześć. Też się cieszę, że cię widzę. Spałeś dzisiaj choć trochę?

- Twoim zdaniem mógłbym zasnąć?! - Mat zawrócił z piskiem opon.

- Ja spałem. Domyślam się, że Benson także.

Chłopak chwilę przeżuwał tę informację.

- Dużo widziałeś takich...?

- Wystarczająco. Jak pozostali?

- Radzą sobie, spoko. Powiedz... czy rodzice... czy ten opis wuja...

- Tak. Ale mówiłem ci już, żebyś na razie zapomniał o tamtej sprawie.

- Dorwaliście go? W ogóle jakiegoś?

Colin cierpliwie tłumaczył chłopakowi, że rzecz nie była taka prosta. Wczoraj mogli co najwyżej podejść stado i strzelać do przypadkowych osobników. I co? W lesie zalegałoby dziesięć trupów?

Kiedy znika człowiek, policja może sobie podejrzewać morderstwo, jednak bez dowodu nie ma przestępstwa.

Łowcy, ze swoim charakterystycznym stylem bycia, rzucają się w oczy, zwłaszcza w niewielkich miejscowościach. Zatem po odkryciu ciała właśnie ich ścigano by w pierwszej kolejności. Dlatego zawsze starają się usunąć zabite obiekty i zatrzeć ślady zdarzenia.

Colin uciekał w ogólniki, gdyż uzgodnili z Jackiem, że zatają przed szczeniakami spalenie zwłok. Gdyby któryś z małolatów pękł i zapragnął pokazać policji martwego Stipe a, wyjdzie na to, że smarkaczom zebrało się na głupie dowcipy, względnie że pomieszało się im we łbach od nadmiaru obejrzanych horrorów.

- A rodzice? - przerwał mu Mat. - Czy nie zostałeś łowcą, żeby ich pomścić?

- Zrozum wreszcie, że teraz nie walczymy z ich zabójcami. Grupa zdezorientowanych ludzi zmienia się nocą w wilki, co nie czyni z nich od razu morderców.

- Sam mówiłeś, że istnieje związek...

- Bo nie wierzę w zbiegi okoliczności. Ale jeśli istnieje, na pewno nie polega na tym, że jeden z tych biedaków rozszarpał twoich rodziców. Niektórzy uważają wilkołactwo za chorobę. Tak się je nawet czasem określa: choroba księżycowa. Spójrz na nich w ten sposób. Jak na normalnych ludzi, takich jak ty, którzy cierpią na specyficzną przypadłość. Równie dobrze mógłbyś się znaleźć na ich miejscu.

- Gdyby mnie jakiś ugryzł?

Mat zatrzymał freelandera kilkanaście jardów od domu Stewartów i nie wyłączył silnika. Z okien nie dało się

dostrzec samochodu, ale Emily z pewnością ich usłyszała.

Cholera, Colin liczył, że rozmowa zaraz się zakończy. Niby wcześniej zależało mu na spotkaniu z bratem w cztery oczy, ale chwila nie wydawała się stosowna na analizowanie ojcowskich uczuć Godfrey'a.

Był w kropce. Na pytanie brata mógłby odpowiedzieć twierdząco, kontynuując kłamstwa Jacka według wersji, jaką ustalili w drodze powrotnej ze Spokane. Ale chłopak był dociekliwy i niegłupi. Dziś by uwierzył, a za parę dni doszukał się nieścisłości. Colina tymczasem nie było stać na utratę jego zaufania.

Poza tym, prawdopodobnie wkrótce będzie zmuszony wiele Matowi wyjawić i na przyjęcie tej wiedzy brat powinien zostać przygotowany. Colin nie mógł najpierw karmić go bajkami, a potem hurtem wyłożyć prawdę.

- Nie, to bzdura - mruknął niechętnie. - Przypadki likantropii są notowane od stuleci. Gdyby wilkołactwo rozprzestrzeniało się przez ugryzienie, współcześnie na świecie pozostałoby niewielu ludzi.

- Jak to? Przecież Jack mówił...

- Słuchaj, podaję te informacje wyłącznie do twojej wiadomości. My, łowcy, nie lubimy się dzielić sekretami naszej profesji. Nie jest nam potrzebna powszechna wiara w wilkołaki, a tym bardziej tłumy polujących na nie amatorów. Dlatego nie tylko nie obalamy mitów, ale wręcz utrwalamy je w świadomości osób postronnych. Dzięki takim działaniom nikt spoza środowiska, myślę tu zwłaszcza o organach władzy, policji czy mediach, nie traktuje tematu

poważnie. My zaś zachowujemy swobodę ruchów.

- Więc Jack kłamie?

- Powiedzmy, że często ubarwia rzeczywistość. Kieruje nim przede wszystkim troska o wasze bezpieczeństwo. Łowcom pokroju Stipe'a nie spodobałoby się to, że znacie zbyt wiele faktów.

- Skąd wiem, że ty nie wciskasz mi kitu?

- Nie wiesz. Okej?

- No dobra. Ale w takim razie nie mógłbym się stać wilkołakiem, więc...

- To nie takie oczywiste - wszedł mu w słowo Colin. - Wilczy gen może przechodzić z pokolenia na pokolenie, nie wywołując żadnych zewnętrznych oznak. Posiadające go osoby cechują się doskonałym zdrowiem aż do późnej starości, nic poza tym. A przy dzisiejszym zanieczyszczeniu środowiska nawet one coraz częściej chorują.

Pierwszą żonę Kenta wykończył rak, mimo że świadomych uznaje się za najodporniejszych członków społeczności. Pobolewał ją brzuch, ona jednak wciąż odwlekała wizytę u lekarza, jako że konsultacje medyczne nie są w społeczności praktykowane - w walce z każdą dolegliwością najczęściej wystarczy noc, czasem dwie, w blasku pełnego księżyca. Cóż, w przypadku Helen księżycowa terapia okazała się nieskuteczna, ale kiedy zdano sobie z tego sprawę, na pokonanie choroby ludzkimi metodami było za późno.

- Mają piwne oczy, choć nie stanowi to reguły - ciągnął Colin, odsuwając od siebie wspomnienie umierającej Helen.

- Jakkolwiek by ich definiować, zawsze znajdzie się miejsce dla „ale”. Odmienny od ludzkiego zapach zaczynają wydzielać dopiero w trakcie procesu przebudzenia, więc nie namierzysz ich dzięki pomocy wyszkolonego psa. Dopóki wilcza natura śpi, nie reagują też na wykrywacz. Każdy, z tobą i twoimi kumplami włącznie, mógł posiadać w rodzinie wilkołaka, dajmy na to, dziesięć pokoleń temu. Czegoś takiego nie sposób ustalić. Prawda wychodzi na jaw dopiero w chwili pierwszej... pierwszego przeobrażenia. Założę się, że ci tutaj wiedli spokojne życie, mieli normalny dom, rodzinę i pracę. Gdybyś ich zapytał o mroczne sekrety rodzinnej historii, co najwyżej spojrzeliby na ciebie ze zdumieniem. Ugryzienie... - Zastanowił się. - Myślę, że może podziałać na osobę z wilczym genem, gdy proces przebudzenia już trwa. Wyobraź sobie, że pokąsał cię pies, a ty chętnie byś mu oddał. Jako człowiek po prostu byś go uderzył albo kopnął, ale jako budzący się wilkołak zapragnąłbyś pewnie rzucić się na niego z zębami. Taki impuls przyspieszyłby przeobrażenie. Nie wiedziałbyś, co się z tobą dzieje, przypomniałbyś sobie o ugryzieniu i wydałoby ci się ono dobrym wytłumaczeniem. Jeśli dodasz do tego wściekliznę, uważaną swego czasu za chorobę diabelską. Część legend opiera się o takie, jak najbardziej racjonalne przypadki, które w miarę przekazywania z ust do ust obrosły w niesamowite szczegóły.

- Okej, pięknie - skomentował Mat. - Mógłbym się stać wilkołakiem, więc mam im współczuć. Ale skąd wiesz, że żaden z tych tutaj nie zabił rodziców? Z Hammerem i

Stipem sobie poradziły...

- To inna sytuacja. Obaj zginęli nocą, w lesie. Obiektów zjechało ponad dwadzieścia, a zabójca jest prawdopodobnie jeden. Przy czym nawet jego nie sposób jednoznacznie potępić, ponieważ w zwierzęcej postaci ci goście nie pamiętają, że są po części ludźmi, a zatem powinni przestrzegać norm obowiązujących w świecie ludzi. Widzisz, zachowują się i reagują jak wilki, bardziej inteligentne i przebiegłe, ale nadal wilki, zwierzęta. A w świecie zwierząt nie występują zabójstwa z premedytacją.

- No, ale mówiłeś przedtem... bo jeśli rodzice zginęli za dnia... ale zabił ich wilkołak?

- Te tutaj nie są, niestety, jedyną odmianą wilkołaków - westchnął Colin. - Takich jak oni określa się nieświadomymi, dlatego właśnie, że nie uświadamiają sobie własnej odmienności. Oprócz nich istnieją też wilkołaki świadome. Zakoduj sobie, że te informacje są wyłącznie do twojej wiadomości. Okej?

Mat niecierpliwie pokiwał głową.

- Okej, nie musisz mi tego ciągle powtarzać - mruknął, zorientowawszy się, że Colin oczekuje werbalnej odpowiedzi.

- U wilkołaków świadomych umysł pozostaje ten sam bez względu na formę fizyczną. Są po części wilkami jako ludzie i po części ludźmi jako wilki. Potrafią kontrolować swoją transformację, jedne siłą woli, inne wspomagając się ziołami i amuletami.

Miał nadzieję, że Mat nie znajdzie okazji, żeby

przedyskutować temat z Jackiem – chłopak musiałby w tym celu porozmawiać z łowcą w cztery oczy. Colin jednak nie zakazywał mu takich konsultacji, bo wtedy szczeniak na sto procent natychmiast by do Bensaona popędził.

Jacka wprawdzie nie zdziwiłaby wiadomość o istnieniu świadomych, mógłby natomiast uznać za podejrzane, że młody i niedoświadczony Colin posiada o nich tak szczegółową wiedzę. Bardziej drobiazgową niż ta, którą rozporządzał sam Benson, stary wyga.

- Większość świadomych – ciągnął Colin – nie może się przeobrazić pod nieobecność księżyca na niebie. Myślę, że obywają się bez niego jedynie najpotężniejsi. A wtedy księżyc znajdował się w ostatniej kwadrze i zaszedł około południa. Morderstwo nastąpiło między szesnastą a siedemnastą trzydzieści. Rozumiesz? Napaści nie dokonał jakiś zagubiony nieświadomy ani nawet przeciętny świadomy. Zabił ich osobnik wyjątkowo potężny. A tacy wymykają się łowcom.

Drań miał do dyspozycji zaledwie półtorej godziny. Zatem, żeby tak starannie rozszarpać Vivian i Godfreyę, musiał wejść do domu tuż po odjeździe Colina z dziećmi i uciec niemalże na sekundę przed jego powrotem. Gdyby Colin nie pojechał do sklepu... Tyle że wizyta w markecie nie była przypadkowa, jak dziurawa opona w historii Jacka. Colin robił zakupy co czwartek. Zabójca orientował się, jak długo go nie będzie. Precyzyjnie zaplanował akcję, celowo wybierając tę porę dnia i wąskie ramy czasowe. Tylko po co, cholera? Komu chciał coś udowodnić? Przecież nie

Colinowi.

- Dużo spotkałeś świadomych wilkołaków? - spytał Mat po dłuższym milczeniu.

Colin pokręcił głową.

- Zdają sobie sprawę z zagrożenia i unikają łowców. Poza tym trudno je odróżnić od nieświadomych, bo żaden nie podchodzi, żeby cię z uśmiechem poklepać po plecach. Jedźmy już. Powiedziałem ci dostatecznie dużo.

- Ale nie wszystko? - prychnął chłopak, niemniej ruszył posłusznie.

Materiału do rozważań Mat otrzymał aż nadto, jasne więc, że nie palił się do poznawania kolejnych rewelacji. Chociaż zgrywał chojraka, kaliber informacji najwyraźniej go przerastał. Colin zastanawiał się, czy nie przedobrzył. A jeśli szczeniak nie zdoła utrzymać języka za zębami?

\*\*\*

Emily wypadła z domu, zanim jeszcze Mat zdążył zgasić silnik. Rzuciła się Colinowi na szyję, wtulając twarz w jego włosy, po czym gwałtownie poderwała głowę, a jej uśmiech znikł. Badawczo zajrzała bratu w oczy.

Pięć razy nakładał szampon, do cholery, nie miała prawa wywęszyc krwi Stipe'a! Łudził się. Sam czuł tę woń, zamierzchłą, ale nadal nietrudną do zidentyfikowania. No, ale co z tego? Mógł się pobrudzić, usuwając ciało. Dlaczego mała z góry przyjmowała najgorsze?

Nadejście Noreen wybawiło Colina z niezręcznej sytuacji. Pani domu przywitała go niczym członka rodziny. W jej



oczach dało się wyczytać zadowolenie, kiedy przenosiła wzrok z Colina na Mata i z powrotem. Wyraźnie cieszyła się, że bracia wreszcie doszli do porozumienia.

- Przyjechałem po motor - wyjaśnił Colin, wykonując ruch, jakby zamierzał dosiąść maszyny.

- Och, ale kawy się przecież napijesz! - wykrzyknęła Noreen stosownie do jego oczekiwań.

Zaprosiła Colina do środka i po drodze zagadnęła Mata o noc u kolegi. Z wszechwiedzącym uśmiechem wysłuchiwała wymijającej odpowiedzi chłopaka.

Kiedy weszli do salonu, Nigel złożył gazetę, jakby dopiero co odnotował ich przybycie. Widok braci razem wywołał u niego krańcowo odmienną niż u Noreen reakcję: krew przyspieszyła bieg w jego żyłach, a usta zacisnęły się w wąską kreskę. Osaczył Mata policyjnymi pytaniami o szczegóły noclegu u Paula, by wreszcie zadać to najistotniejsze:

- Colin też z wami był?

- Wróciłem do hotelu. - Colin uśmiechnął się krzywo. - Jestem za stary dla tego towarzystwa.

Nadał głosowi gorzkie brzmienie, sugerując zranienie faktem, że Mat woli spędzać czas z kolegami, których spotyka na co dzień, niż z niewidzianym siedem lat bratem. Najsmutniejsze, że to była prawda. Nigel nawet nie starał się ukrywać satysfakcji.

Em trzymała się na uboczu, wbijając wzrok w dywan. Colin wiele by w tej chwili dał za możliwość rozmowy z nią w cztery oczy.

Co by jej powiedział? Skłamałby? Nie, rozszyfrowałaby go natychmiast; chyba więzy krwi sprawiały, że bez problemu potrafiła Colina przejrzeć. W jaki jednak sposób mógł usprawiedliwić prawdę? Czuł, że do Em nie przemówiłby żaden z nasuwających mu się argumentów. Ale niewykluczone, że się mylił i mała rozumiała go bez dodatkowych wyjaśnień. Jakkolwiek niełatwo jej przychodziło zaakceptowanie faktu, że ma brata zabójcę.

- Emily, Mat. Zostawcie nas samych - zarządził Nigel.

Dziewczynka zaczęła się z ociąganiem wycofywać z salonu. Natomiast Mat się wściekł.

- O czym zamierzasz z nim rozmawiać, że nie mogę posłuchać?! - wybuchł.

- Proszę, żebyś...

- Czyżby o pewnej kraksie?

- Mat, do jasnej... - Nigelowi krew uderzyła do twarzy - Emily, w tej chwili marsz na górę!

Za późno. Oczy małej rozszerzyły się, gdy spoglądała pytająco na Colina. Żeby Mata szlag trafił! Okręciwszy się na pięcie, dziewczynka uciekła z pokoju, zwinnie wymijając w drzwiach zwabioną wrzaskami ciotkę.

- Ty mu powiedziałaś? - wycedził Nigel.

Gdyby wzrok mógł zabijać, Colin padłby trupem. Przynajmniej nie musiałby się wówczas głowić, jak wybrnąć z sytuacji.

- Nie, wyobraź sobie, że ty! - przyszedł mu w sukurs Mat, choć Colina umiarkowanie ucieszyło to braterskie wsparcie. Byłoby lepiej, gdyby szczeniak się już dzisiaj nie odzywał. -

Ojciec jechał za szybko, tak? Stracił kontrolę nad pojazdem? Z Udonem wałkujesz tę historię na wszystkie strony, ale ja nie mogę się dowiedzieć, co naprawdę spotkało moich rodziców!

- Podśłuchiwałeś?

- I co z tego?! Nie masz prawa! Słyszysz? Nie masz prawa opowiadać obcemu facetowi takich rzeczy o moim ojcu! Kochałem go! Nie możesz się pogodzić z tym, że nie jesteś i nigdy nie będziesz moim ojcem! Chcesz go wymazać z pamięci mojej i Emily! A nie masz prawa! Nie masz, kurwa, prawa go osądzać...

Noreen miotała się między swoimi mężczyznami, usiłując ich uspokoić, lecz jej łagodne słowa tonęły w powodzi wrzasków. Colin przysłuchiwał się w milczeniu, wiedząc, że jeśli się odezwie, to tylko pogorszy sprawę. Wściekał się w duchu na Mata. Cholerny szczeniak miał tysiące okazji, żeby zapytać wuja o rodziców. Ale nie, musiał odgrzebać temat właśnie teraz. Za moment Nigel uzna, że wszystkiemu jest winien Colin, jak zawsze, psiakrew, jakby czas się cofnął. Wywali go za drzwi, zabraniając zbliżać się do Em, Colin zaś będzie zmuszony zastosować się do polecenia, to samo bowiem nakaże mu Gordon.

Gdyby Mat prowokował wuja celowo, rewanzując się bratu za doświadczenia z dzieciństwa, Colin nie zgłaszałyby pretensji. Przyznawał chłopakowi prawo do zemsty. Ale szczeniak po prostu nie myślał, nie panował nad emocjami. Nie zaplanował wybuchu, choć zapewne obecność starszego brata podziałała jak katalizator.

Colin ze zdumieniem słuchał, jak Mat wrzeszczy:

- Chciałem do niego napisać, ale twierdziłeś, że nie znasz adresu! A założę się, że znałeś! Okłamałeś mnie, jak w innych sprawach! Bo pierdolony Udo ci wmówił, że tak będzie dla mnie lepiej! Moje zdanie masz gdzieś, ale jego słowo jest święte! Ani się nie zająknąłeś o układzie z moim stryjem! Nie wiedziałem, że w ogóle mam stryja!!! Przekonywałeś mnie, że Colin pierwszy powinien się odezwać! Bo byłeś pewien, że tego nie zrobi! A jak byś się zachował, gdyby jednak do mnie napisał?! Spaliłbyś jego list! Na mur! Jak jakaś nawiedzona matka w pieprzonym melodramacie! Nie chciałeś wpuścić Colina do domu! Na każdym kroku usiłujesz nas skłócić!

Nawet w świetle udzielonych przez Carol wyjaśnień, Colina zdziwiła tyrada brata. Do diabła, przecież to właśnie Mat pierwszego dnia prawie wyrzucił go za drzwi. W dodatku okazało się, że szukał z Colinem kontaktu, podczas gdy Noreen utrzymywała, że chłopak w ogóle o nim nie wspominał - i nie kłamała, chyba że Colin całkiem stracił wyczucie. Cholera, może faktycznie je stracił? I dlatego nie potrafił rozgryźć Bensaona.

- Dzisiaj stąd wyjeżdżasz! - zaatakował Nigel.

Wziął go z zaskoczenia. Colin wprawdzie spodziewał się podobnej konkluzji, jednak nie w samym środku kłótni. Po słowach pana domu zapadła cisza - Mat z poślizgiem uświadomił sobie konsekwencje własnej nierozwagi.

- Panie Stewart... - zaczął ostrożnie Colin.

- Masz godzinę - przerwał mu lodowato Nigel. - Potem

dzwonię do Reeda. Stanleya Reeda, szefa policji.

- On nic nie zrobił! - Mat odzyskał głos. - Nie masz...

- Dostyc! Gdybym naprawdę słuchał rad Udon, Colin nie przestąpiłby progu tego domu.

- Jeśli wypędzisz go z miasta, wyjadę razem z nim - oświadczył chłopak, przy czym ton jego głosu wskazywał, że nie chodzi o zwykłą szczeniacką odzywkę.

- Skarbie... skarbie, możemy porozmawiać? W kuchni? - Noreen skorzystała z konsternacji męża, by ująć go pod ramię i wyprowadzić z salonu. W tym momencie w jej postawie trudno byłoby się dopatrzeć potulności.

- Sorry - mruknął Mat po wyjściu wujostwa. - Nie pomyślałem, że on...

- Więc chciałeś do mnie napisać? - zapytał miękko Colin, choć z chęcią doradziłby szczeniakowi częstsze korzystanie z szarych komórek.

Dzielił uwagę między tłumaczenia brata a toczącą się w kuchni rozmowę. Noreen przestrzegała męża przed popełnieniem głupstwa. Mat przechodzi okres buntu, a przecież i przedtem bywał niekiedy bardzo uparty. Nie podporządkuje się naciskom, i co? Nigel wyrzuci go z domu? Tyle warta jest jego miłość? Mniej niż urażona duma? Obarczał Colina winą za własne błędy - należało wcześniej porozmawiać z Matem o śmierci jego rodziców. Dorosły chłopak ma prawo znać prawdę. A z Colina zrobił się miły młody człowiek, nie ten sam łapserdak co dawniej. Nigel bronił się gniewnie, argumentując, że Colin niepostrzeżenie podburza dzieciaki, a uprzejmość stanowi

jedynie kamuflaż.

- Czy ty mnie słuchasz? - zdenerwował się Mat.

- Przepraszam, zamyśliłem się - odparł z roztargnieniem Colin.

Widząc, że irytacja na twarzy brata zaczyna ustępować miejsca zaciekawieniu, pospiesznie dorzucił.

- Traktuję nakaz opuszczenia miasta jako nieaktualny. Pójdę już, żeby Nigel sobie o mnie nie przypomniał.

- Okłamujesz mnie, prawda? W czymś mnie okłamujesz.

- Mat, naprawdę muszę iść.

Chyłkiem przemknęli obok kuchennych drzwi - Stewartowie przeżyją, jeśli Mat pożegna ich w imieniu brata. Colin spojrział na schody, w nadziei że ujrzy Em; dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że dziewczynka czeka przy motorze.

- Nie temat na rozmowę z dzieckiem? - Emily uśmiechnęła się smutno. - Ulubione powiedzenie wujka. Ale rozumiem. Tak myślę.

- Em...

- Pa. - Cmoknęła go w policzek. - Jedź, zanim wujek się pokapuje.

Czmychnęła z powrotem do domu.

Jedno zdanie Mata, które mogło mieć tysiąc różnych znaczeń, a mała jakimś cudem doszła prawdy, przed którą Colin pragnął ją jak najdłużej chronić. Rozwahał nawet, co odpowie, gdyby zahaczyła go o śmierć rodziców - oszukać by jej nie zdołał, nie chciał też powoływać się na jej zbyt młody wiek. Pytanie jednak nie padło. I proszę, niedawno

poznała zniecierpliwione fakty. Colin nie mógł wyjść z podziwu, że je przyjmuje z takim spokojem.

Sam nigdy nie czuł się dzieckiem - Godfrey mu nie pozwolił. Rówieśników siostry Colin nie widywał, ponieważ mieszkali poza osadą, a dzieciom w tym wieku nie zezwalano jeszcze na odwiedziny. Nie miał zatem pojęcia, jak myśli młode świadome, albo czy na przykład przebudzenie bądź przejście pierwszej przemiany przyspieszają psychiczne dojrzewanie. Po zastanowieniu uznał, że raczej nie przyspieszają, gdyż niektórym członkom straży wciąż daleko było do dojrzałości. Po prostu Colinowi trafiła się mądra rozsądna siostrzyczka. Całe szczęście.

- Zgrywa nad wiek poważną - mruknął Mat, kopiąc oponę thunderbirda.

Chłopakowi było wyraźnie głupio, że go poniosło przy małej, więc Colin darował sobie komentarz.

- Widzimy się w takim razie koło trzeciej u Paula - rzucił dosiadając motoru. - Spróbuj wybadać Nigela. Byle bez kolejnej awantury.

\*\*\*

Colin zatrzymał thunderbirda przed barem U Henry'ego, oferującym dania z grilla. Najchętniej przełknąłby coś na surowo, ale szkoda mu było czasu na zanoszenie wałówki do hotelu, a publiczne pożeranie krwistych befsztyków wydawało się nieco ryzykowne. Cóż, pobawi się w cywilizowanego członka społeczeństwa.

- Górskie powietrze pobudza apetyt - usłyszał męski głos za plecami.

No tak, nici z rozkoszowania się samotnym posiłkiem. Colin uśmiechnął się cierpko do niewysokiego szatyna o pogodnej rumianej twarzy. Najchętniej by faceta spławił, ale, niestety, poczucie obowiązku nakazywało wdać się z nim w uprzejmą rozmowę. Zaprosił gościa do swojego stolika.

- Jake Duncan - przedstawił się mężczyzna. - Cudownie. Horrendalnie cudownie. Nie sądziłem tylko, że tak chłodno. Wyjechałem w słoneczny dzień, więc się nie spodziewałem... No i trzeba było kupić parę cieplejszych szmatek. Chociaż, kurka, nie cierpię łązić po sklepach.

Wbrew ostatniej deklaracji wypiął dumnie pierś w swetrze z grubej wełny. A że chwilę wcześniej zdjął puchową kurtkę, Colin uśmiechnął się w duchu z politowaniem.

Na dworze termometr pokazywał jakieś czterdzieści pięć stopni, więc nawet człowiek zgrzałby się w takim stroju a członkowie społeczności wykazują przecież zwiększoną odporność na niskie temperatury. Najwyraźniej w przesądzie o futrze rosnącym do wewnątrz jest sporo prawdy. Colin osobiście nie widział różnicy w odczuwaniu temperatury w żadnej ze swych postaci. Chętnie w ogóle zrezygnowałby z ubrania.

Odczuwanie chłodu przez nieświadomych stanowi zatem wyłącznie figiel umysłu, którego ludzka część buntuje się przeciw inwazji zwierzęcia, na każdy wysłany przez wilka sygnał reagując własnym o przeciwstawnej treści. Ponieważ zaś poza nocami z pełnią księżyca wilk zdecydowanie w tej



potyczce przegrywa, niektórzy nieświadomi marzną po przebudzeniu bardziej niż przeciętny człowiek.

Colin także się przedstawił, postanowiwszy uciąć sobie z osobnikiem pogawędkę, zanim zada mu parę pytań z naciskiem w głosie. Jake palił się do udzielania informacji, warto więc było się przekonać, w jaki sposób uzasadni swoją wizytę w miasteczku.

- Podróż w interesach? - zagadnął Colin.

- Ach? Nie, interesy... Nie. Wiesz, brachu, z facetami po prostu tak bywa. Wszystko ładnie pięknie, aż pewnego ranka budzisz się i odkrywasz, że ci czegoś piekielnie brakuje. I normalnie czujesz, że musisz, nie ma zmiłuj, dopełnić szaleństwo. Takie choćby drobne. Coś spontanicznego, jak taniec w deszczu na środku ulicy. Żeby, kurka, dowieść, że jesteś wolny. Jak ptak, brachu. No, właśnie mój przypadek. Jednego dnia wsiadłem rano do wozu i nagle pomyślałem, że pojedę, dokąd mnie koła poniosą. I zobaczymy, co znajdę.

- I co znalazłeś?

- Brachu, życie jak w bajce! Cisza, spokój. Spójrz na tych ludzi. - Jake wskazał dziewczynę za kontuarem. - Zero stresu. Te lasy... Zawsze się krzywiłem, kiedy ględzili o zielonych płucach, ale coś w tym jest. I myślę sobie, co by powiedziała Ocean. Niegłupie, wychować dzieciaki w takiej okolicy, no nie? U nas brzydko nie jest, tego nie twierdzę, ale te lasy... i góry...

- To kiedy po nich wracasz?

- Ach? Jeszcze... - Jake ściągnął brwi. - Sam nie wiem.

Jeszcze się nie czuję, no wiesz, brachu, do końca wyzwolony.

Colin spoglądał na przykład typowej racjonalizacji. Facet wmawiał sobie, że tkwi w miasteczku z własnej nieprzymuszonej woli, z każdym dniem coraz bardziej się w tym przeświadczeniu umacniając, przez co zaciemniał rzeczywiste przyczyny przyjazdu. Wprawdzie tutejsza sytuacja odbiegała od normy, niemniej takie zjawisko występuje u wszystkich nieświadomych, którym coś przestaje pasować w nich samych lub w ich najbliższym otoczeniu - znajdują na dywanie plamę krwi, budzą się nadzy, choć kładli się spać w piżamie, względnie małżonek docieka, dlaczego o drugiej w nocy nie było ich w łóżku.

Mniej pewni siebie decydują się na wizytę u psychiatry, szukając wytłumaczenia w zaburzeniach snu wywołanych stresem. A żeby ów stres uzasadnić, wyolbrzymiają problemy, z jakimi ostatnio borykali się w pracy bądź w życiu osobistym, coraz dogłębniej przekonani, że przedstawiała rzeczywisty stan rzeczy.

Pomni na zarzuty żony lub męża wzruszają obojętnie ramionami, podając błahe wymówki w rodzaju: „Zszedłem do kuchni napić się wody”. Kiedy zaś metoda przestaje skutkować, przechodzą do ataku: mają dość wiecznego nadzoru, należy im się odrobina oddechu, oni współmałżonka nie rozliczają z każdej dłuższej kolacji służbowej, czy spędzanych na zakupach popołudniu. Doprowadzają do rozwodu, obarczając winą drugą stronę, byleby nie przyznać, że w pewnych momentach życia tracą

kontrolę nad swymi poczynaniami.

Kątem oka Colin obserwował dwoje innych posilających się u Henry'ego nieświadomych. Kobieta i mężczyzna, konwersowali z zapalem, siedząc razem przy stoliku. Jego widział już wcześniej na filmie smarkaczy. Podczas wywiadu gość wydawał się bardziej zagubiony, najwyraźniej więc, podobnie jak Jake, wyłuszczył sobie, dlaczego się znalazł w miasteczku. „Z facetami tak, brachu, bywa”.

Zbliżała się ostatnia noc pełni, a cel zjazdu nieświadomych nadal się nie ujawnił. Wypadałoby wreszcie zadziałać. Tylko, psia krew, jak? Colin liczył na nagłe olśnienie, choć w duchu przyznawał uczciwie, że to mało ambitny plan. Może przybycie Fisha z ekipą wstrząśnie nieświadomymi i ukierunkuje ich aktywność.

Pochłaniając trzeci stek, potakiwał entuzjastycznej relacji Jake'a z pierwszego spotkania z jego obecną małżonką, najpiękniejszą, brachu, laską na firmowym pikniku. Otworzyły się drzwi restauracji. Colin zeszywniał, rozpoznawszy kroki. Nie odwrócił się jednak. Zaczekał, aż Benson poklepie go po ramieniu.

- Colin. Zobaczyłem twój motor.

Jake z radością powitał nowego słuchacza. Złożywszy zamówienie, Benson musiał wysłuchać opowieści o miodowym miesiącu z Ocean, najpiękniejszą, brachu, laską na firmowym pikniku. Okazał się nawet na tyle uprzejmy, by pozorować zainteresowanie. Wreszcie kelnerka postawiła przed nim talerz.

- Mam niezłą przyprawę - oznajmił łowca, wyjmując z

kieszoni pojemniczek. Udał, że posypuje ziołami stek. - Powąchaj. - Podetknął je Jake'owi pod nos.

Biedak kichnął potężnie, potem drugi raz, i trzeci. Kłął pod nosem, nie mogąc przestać.

- Sorry, stary. - Benson zrobił skruszoną minę. - Nie wiedziałem, że jesteś alergikiem. Colinowi ona smakuje. Prawda, Colin?

- Średnio, szczerze mówiąc. W porządku? - Colin poklepał po plecach prychnącego i pocierającego nos Jake'a.

- Rany, brachu! Trzymaj draństwo na milę ode mnie.

Zdarzenie na krótko wybiło Jake'a z rytmu, zaraz jednak podjął wątek rodzinnej opowieści. Uporawszy się z pierwszymi latami małżeństwa, wyciągnął portfel, żeby z dumą zaprezentować zdjęcia dwóch synków.

- Śliczni, no nie? Wdali się w matkę. O, a to właśnie Ocean.

Colin słuchał tej paplaniny z roztargnieniem. Co, do cholery, Benson miał na myśli, pytając go, czy lubi wykrywacz?

\*\*\*

- Mogłeś sobie darować ten cyrk - warknął do łowcy, kiedy najedzeni i z bolącymi głowami opuścili lokal Henry'ego. - Wiedziałem, kim jest.

- Usiłuję sobie rzecz poukładać. Ze Stipe'a był ograniczony sukinsyn, ale gdybym miał wybrać dowolną osobę na partnera w skrajnie niebezpiecznej akcji,

zdecydowałbym się na niego. Tymczasem facet daje się rozszarpać przygodnemu obiektowi.

- No i?

- Nic. Luźne koncepcje.

- Jake Duncan. - Nie odwracając się, Colin wskazał kciukiem restaurację za ich plecami. - Zakochany w swojej dziewczynie. Największe przestępstwo: nadmierna gadatliwość. Zastrzelisz go? Stipe by zastrzelił. A przy okazji też i synków, bo a nuż kiedy dorosną...

- Zgoda...

- Jake jest nieszkodliwym kretynem. Po dziesięciu minutach rzygam jego towarzystwem, a spędzając z nim kwadrans, ryzykuję ból głowy przez resztę dnia. Ale czy z tego powodu zasługuje na śmierć? Uważam za swój obowiązek chronienie takich nieszkodliwych kretynów z rodzinami na utrzymaniu przed szaleńcami pokroju Stipe'a. Tak się składa, że z Basilem też trochę pogadałem i nie wierzę, że zabił Hammera. Cholera, ze wszystkich tutejszych obiektów jego ostatniego bym załatwił!

- W porządku. - Jack wzruszył ramionami na znak, że uważa kwestię za zamkniętą. - Chciałem usłyszeć od ciebie wyjaśnienie. Tyle mi wystarczy. Możemy powoli jechać do Paula - podjął lżejszym tonem. - Zaglądałem już dzisiaj do nich. Z wyjątkiem Randala trzymają się nieźle. Większość wysłałem na dalsze poszukiwania, żeby się czymś zajęli.

Colin wpatrywał się w łowcę z niedowierzaniem. Kiedy złość opadła, pojął, że pozwolił się Jackowi sprowokować. Niech to szlag, pośrednio wręcz się przyznał do zabicia

Stipe! Tymczasem Benson z całym spokojem nawijał o psychicznym stanie dzieciaków po przeżyciach minionej nocy. Jak mu się to udawało?

- Śmierć Kennetha traktują jak element gry - ciągnął Jack. - Dopóki straty nie dotyczą ich bezpośrednio, jest okej. A wręcz czuliby się oszukani, gdyby na Hammerze się skończyło.

Po co Benson sugerował Colinowi, że wie? Żeby wymusić atak i zabić go w samoobronie? Wyjaśnienie wydawało naciągane. Raczej go testował podobnie jak Colin jego.

Chciał się przekonać, czy ma do czynienia z krwiożerczą bestią, czy też z porządnym gościem, broniącym swoich, i dopiero na tej podstawie podjąć decyzję.

Colin postanowił odłożyć temat na później. Na razie dał się porwać nurtowi neutralnej konwersacji.

- Sam nie wiem, czy się cieszyć z tego ich nastawienia wyznał Benson. - Nie pędzą na policję, nie próbują rozdmuchiwać afery. Niemniej odrobina powagi by im nie zaszkodziła.

- Myślisz, że nie pogodzą się z zamknięciem sprawy?

- Tego się obawiam - westchnął Benson. - Rozgrywka ich fascynuje, więc zapragną ją przeciągnąć. Nie natychmiast, bo na pierwsze tygodnie wystarczy im obecnych wrażeń. Ale kiedy ochłoną, zamarzy się im kolejna przygoda.

\*\*\*

Do Paula dotarli za kwadrans trzecia. W salonie zastali roztrzęsionego, starającego się jednak trzymać fason Randala, doglądającą go od rana Carol i chmurnego Mata,

który, jak się okazało, wyprzedził ich zaledwie o dwie minuty.

- Na razie nie musisz opuszczać miasta - poinformował Colina na powitanie.

Pozostali zjawili się z pewnym poślizgiem. Jack ograniczył się do wymownego spojrzenia na zegarek, ale tylko Martin i Paul zrozumieli aluzję.

W obliczu kryzysu Regie bez oporów porzucił najlepszego kumpla. On i Martin biegali z kamerą i wykrywaczem, podczas gdy Paul z May wertowali księgi hotelowe, które to zajęcie wyraźnie przypadło im do gustu. Przekrzykując się, smarkacze zdawali relacje z akcji. Obserwując ich, można było odnieść wrażenie, że zapomnieli już o nocnych zdarzeniach. W istocie jednak tym przesadnym entuzjazmem po prostu kamuflowali niepewność.

- Mówcie po kolei - zarządził Jack. - Najpierw zespół od wykrywacza.

- Oceniam, że zdołaliśmy przejrzeć przyjezdnych w miarę dokładnie - raportował Martin. - Regularnie przeczesywaliśmy miasto, dzięki czemu wpadły nam w sieć nawet świeżynki. O, ta babeczka na przykład - popukał palcem w ekran wielkiego plazmowego telewizora - przyjechała dzisiaj.

- Bombastyczna laska, no nie? - ekscytował się Regie.

- Patricia Black - oznajmił Paul.

- Patricia... - rozmarzył się Regie. - Jack, czy gdybym popatrzył jej dłużej w oczy... i został jej niewolnikiem, oznaczałoby to...

- ...że w wilczej skórze regularnie by cię napastowała? - dokończył za niego Benson. - Nie wiem. Ale w bardziej sprzyjających okolicznościach z chęcią przeprowadziłbym eksperyment.

Colina przepełniał gniewny podziw dla dokonań szczeniaków. Namierzili dwudziestu sześciu nieświadomych, wliczając Basila, podczas gdy on wyczuł trzydziestu jeden. Nie spodziewał się, że działający po amatorsku smarkacze osiągną tak wysoki wynik. Standardowe rozwiązanie - uśpienie zerówek i odesłanie ich do domów - nie wchodziło w rachubę. Straż będzie musiała się sprężyć, organizując trzydzieści nowych tożsamości.

- Wróćmy do tematu, okej? - warknął Mat, patrząc na Regiego.

- Czy ktoś z miejscowych mógł zostać w tym czasie ugryziony? - zaniepokoiła się May.

- Przeobrażenie zachodzi najwcześniej przy pełni, minimum miesiąc po ugryzieniu - odparł Benson. - Dopiero wtedy w podświadomości pokąsanego pojawia się wilk, wpływając potajemnie na jego decyzje. Dopóki to nie nastąpi mamy działającego racjonalnie człowieka. Sądzę więc że ze względu na śmierć Hammera o kolejnym ataku zwierzęcia natychmiast zrobiłoby się głośno.

Po Martinie pałeczkę przejął Paul. Ze wspomnianych dwudziestu sześciu, w niedzielę lub wcześniej do miasteczka przybyło czworo. Wczoraj ustalili z May dwóch podejrzanych, Basila Woodsa i Johna Linera, dziś zaś



dopisali do listy Agnes Peacewall i Jake'a Duncana (Benson posłał Colinowi lekko kpiące spojrzenie). Zgodnie z zaleceniem, w hotelach pytali dla niepoznaki o wszystkich gości, udając, że prowadzą analizę jesiennego ruchu turystycznego.

- Niezła jazda, takie badania - zapalił się Martin. - Nie miałem pojęcia, jakich ciekawych rzeczy można się dowiedzieć! Powinniśmy je dokończyć. Opracowanie o ruchu turystycznym dla lokalnej społeczności. Zobaczycie, że w budzie się spodoba. I nikt się nie przyczepi, że nagabywaliśmy przyjezdnych. Pół miasta wie...

- Raju, weź na wstrzymanie - mruknęła May.

Dziewczyna na szczęście zrezygnowała z osaczania Colina powłóczytymi spojrzeniami. Swoją drogą, ciekawe, czemu jej przeszło?

Czuł natomiast na sobie wzrok Bersona. Mimo to, ilekroć zerkał na łowcę, ten patrzył w inną stronę. Czyżby mu się zdawało? Cholera, zaczynał popadać w paranoję.

Żeby uciec od durnych zwidów, skoncentrował się na Jake'u. Zgodnie z oczekiwaniami, czwarty podejrzany także okazał się typem raczej sympatycznym. Z tej grupki zatem na karę zasługiwał jedynie Liner. Pozostawało obmyślić, jak wykazać jego winę z wykorzystaniem wyłącznie ludzkich metod śledczych. A gdyby Colin ponownie drania rozbudził, sprowokował do ataku i zastrzelił na oczach Bersona. Mógłby też później podrzucić do hotelowego pokoju Linera skrawek koszuli Stipe'a, przezornie zachowany z wczorajszej akcji. Obgada temat z Fishem, o ile straż

faktycznie dotrze tej nocy do miasteczka.

- Mamy czworo podejrzanych w sprawie Hammera odezwał się Paul, wtórując rozważaniom Colina. - Jaki będzie nasz następny krok? W jaki sposób stwierdzimy kto z tej czwórki zabił? Czy przyjmujemy założenie, że ten sam osobnik odpowiada za zabójstwo Stipe'a?

Colin słuchał gorącej wymiany poglądów w kwestii dalszego przebiegu śledztwa. Właściwie smarkacze wałkowali w kółko te same koncepcje. Regie na przykład upierał się przy przesłuchaniu - porwą całą czwórkę i uwiężą u Paula w piwnicy. Benson musiał mu wreszcie chłodno przypomnieć, że ponieważ obiekty nie pamiętają nocnych zdarzeń, wypytywanie ich mija się z celem.

- Ten cały Liner mi się nie podoba. - May wydeła wargi. - Wściekł się, kiedy go filmowaliśmy, zwyzywał nas i w ogóle...

- A ja bym stawiał na Agnes - oznajmił Martin. - Dlatego właśnie, że się wydaje z nich najłagodniejsza. Winna okazuje się przeważnie najmniej podejrzana osoba.

- Ale żadne z nich nie wie o swojej winie, więc po co mieliby odgrywać milutkich? - zaprotestowała piskliwie May.

- Mało spotkałaś milutkich ludzi, z których przy bliższym poznaniu wychodziło skurwysyństwo? - Martin zajadle bronił własnej teorii.

- Przestańcie się kłócić! - zdenerwował się Mat.

- Zlikwidujemy całą czwórkę - rzucił z nadspodziewaną zajadłością Randal.

- Właściwie to jest jakieś rozwiązanie - przyklasnął mu.
- No bo powiedz, Jack, czy jesteś pewien, że ich zachowanie po przeobrażeniu wiąże się z ich ludzkim charakterem?
- Właśnie! - podchwycił Regie. - Choćby w *Amerykańskim wilkołaku w Paryżu*. Główna bohaterka była wporzo, miała dobre intencje i w ogóle, a przeobraziwszy się, zabiła rodzonych rodziców!
- Matkę i ojczyrna, matole - warknął Randal.
- A zwróciłeś uwagę, że im się tam przełamywały kolana?
- spytał Martin. - Że niby u wilków czy psów kolano zgina się w drugą stronę! Jeśli mylą u psa piętę z kolanem, nie oczekuj, że się znają na wilkołakach.
- O raju, ten się zawsze przyczepi do jakiegoś pieprzonego drobiazgu - prychnęła May.
- Przed chwilą sam obstawiałeś Agnes, więc o co ci znowu chodzi? - poparł dziewczynę Paul.
- No dobra, może *Wilkołak w Paryżu* to marny przykład - zgodził się Regie. - Nie używają tam nawet srebrnych kul. Ale nieopanowana agresja jest właściwie faktem. Sam Jack o tym mówił, prawda? Że w legendach często kochający mężowie po przeobrażeniu rozszarpują żony. I w filmach też się ciągle przewija taki motyw. Chociażby w tym o gościu, który mieszkał w przyczepie... nie pamiętam tytułu. Kochający brat i wujek, i choć doskonale wiedział, kim się stał, zamieszkał obok siostry i omal jej nie zabił. W prawdziwym życiu zabiłby na pewno.
- *Zły wpływ księżycy!* - wykrzyknął Martin, jakby brał

udział w quizie.

- No, może - zbył go Regie. - W każdym razie tam dobrze pokazali, że nie tylko po przeobrażeniu gość się robi krwiożerczy, ale że mu ten wirus, czy jak diabelstwo zwać, poprzestawiał w psychice.

- Michael Pare tam grał, niezłe ciacho - rozmarzyła się May.

- A co to ma do rzeczy? - zdenerwował się Paul.

Colinowi nie podobał się kierunek, w jakim zmierzają dyskusja. Smarkacze z góry wypracowali sobie pogląd; wilkołaki to krwiożercze bestie, natomiast faceci pokroju Stipe'a zasługują na miano bohaterów. Łagodzące argumenty Bensaona odnosiły jedynie przelotny skutek.

Wkrótce przyjdzie straż. Zrosnięte nad nosem brwi Fisha, Seana i Rose mówiły same za siebie, a przecież nie wiadomo, czy uda się uniknąć konfrontacji. Jak zachowają się szczeniaki, kiedy do niej dojdzie?

Cholera, i bez spotkania ze strażą za dużo już zobaczyli. Choćby większość dorosłych wzięła ich rewelacje za bajdurzenie nastolatków z nadmiernie wybujałą wyobraźnią, jednak paru skłonnych ich wysłuchać by się znalazło.

Czym innym jest usunięcie psychopatycznego łowcy, czym innym zaś - dzieciaka, Colin nie brał więc podobnej możliwości pod uwagę. Niejako decyzji, którą sam by podjął. Niemniej pozostawał jeszcze radykalny w kwestiach ochrony tajemnicy Gordon. Teoretycznie, nietypowa sytuacja czyniła wszelkie obserwacje szczeniaków mało

wiarygodnymi, ale Colin mógł nie znać pewnych faktów. A jeśli wiedza o tutejszych zdarzeniach zagrażała organizacji bardziej niż standardowe informacje na temat nieświadomego?

- Czyli? Będziemy czekać, aż morderca uderzy po raz kolejny? - oburzył się Martin, przerywając spokojny wywód Bensona.

- Weźmy psa od Freda - zaproponował Paul. - Zaprowadzimy go do ciała Stipe'a... - Głos lekko mu zadrżał. Pewnie chłopak ujrzał oczyma wyobraźni poszarpanego trupa w dziennym świetle. - A potem do tych czterech. Jeśli pies wskaże jednego z nich, można będzie chyba przyjąć, że...

- No a ten, co się wyprowadził? - wtrącił Regie. - Ten... Woods? Nie wiesz, gdzie gościa szukać. Właśnie! gdyby miał czyste sumienie, toby nie zwiewał! - zakończył odkrywczco.

- Basil nie żyje - poinformował ich Jack, po czym krótko streścił zdarzenie.

Relacja tak dalece nie przypominała hymnu pochwalnego na cześć Stipe'a, że szczeniakom zrobiło się głupio. Pytanie tylko, na jak długo.

Biedny kretyn, czemu się odłączył od reszty? Choć nieświadomi nie utworzyli zorganizowanej watahy, działał przecież szczątkowy system wzajemnego ostrzegania. Może więc Stipe nie zdołałby podejść stada.

Colin przypomniał sobie o drugim wilku, domniemanej waderze. Domniemanej, gdyż nocą i zapewne z większej

odległości Stipe nie rozpoznałby płci, a co najwyżej mógł snuć na ten temat przypuszczenia. Colin z kolei nie wyczuł woni ewentualnej towarzyski Basila, ale też przez tamto miejsce przewędrowało wcześniej całe stado, on zaś skupiał się na kontrolowaniu własnych emocji.

Niewykluczone jednak, że rzeczywiście chodziło o suczkę - ową cudowną kobietę, o której napomknął Basil. U członków społeczności nie występuje zjawisko rui, podejście do seksu w ludzkiej i zwierzęcej postaci jest więc podobne: szukają w nim przyjemności. U zerówek owe poszukiwania odbywają się bardziej instynktownie niż u świadomych, ale zasada pozostaje ta sama.

Jeśliby zatem dwoje nieświadomych poczuło do siebie pociąg w ludzkiej postaci, to w wilczej feromony tym bardziej pchałyby ich ku skonsumowaniu znajomości. Zarazem odezwałyby się w nich pewnie głęboko zakorzeniony wstyd przed stosunkiem na oczach innych - niektóre ludzkie zahamowania okazują się na tyle silne, że ujawniają się u zerówek także po transformacji, kiedy teoretycznie w pogoni kieruje nimi instynkt zwierzęcia. Logiczne, że taka parka zapragnęłaby odrobiny prywatności.

Colin zerknął na zegarek w komórce. Minęła piąta.

Zauważywszy jego gest, Jack ogłosił koniec i tak przecież jałowej dyskusji nad śmiercią Basila.

- Obejrzyjmy ponownie film - zaproponował łowca.

Martin wcześniej zgrał na osobną płytę wywiady z czworgiem podejrzanych. Smarkacze oglądali je teraz w

skupieniu, analizując niemalże każde padające z ekranu słowo W obliczu śmierci niewinnego Basila nikt nie próbował już rzucać oskarżeń na równie sympatycznych Agnes i Jake'a, tym samym więc uwaga szczeniaków skupiła się na Linerze. To ułatwiało sprawę.

- W jaki sposób normalnie ustalacie zabójcę? - zapytał Paul, zapomniawszy, że obecna sytuacja lekko od normalności odstaje.

Benson nie odpowiedział.

- Dziś w nocy wraz z Colinem postaramy się odciągnąć niebezpiecznego osobnika od reszty - oświadczył lakonicznie. - Zabił dwukrotnie, chyba więc mu się spodobało. Co oznacza, że z chęcią uderzy po raz trzeci.

Colin usiłował wyczuć, czy to rzeczywisty plan na nadchodzącą noc, czy tylko kłamstwo na użytek smarkaczy. Cholera, nie potrafił udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Prawdopodobnie jednak Jack kłamał. Rankiem oznajmią z żalem szczeniakom, że akcja się nie powiodła.

Tak czy owak nie miała szans się powieść, bo przecież Liner spędzał noce w hotelowym pokoju. Czy Colin powinien go na powrót rozbudzić? Dokonałby tego bez trudu, facet bowiem - jego woń obijała się dziś Colinowi o nos - pachniał jak przebudzona zerówka w okresie poza pełnią, a zatem wilcza natura w nim nie zasnęła, lecz jedynie drzemała. Podobnie zresztą przedstawiała się sprawa z Tonym Boyce'em.

Colin i Jack opuścili dom Paula umiarkowanie spokojni że smarkacze, dostawszy nauczkę, nigdzie się tej nocy nie

wybiorą. Zresztą następnego dnia czekały ich zajęcia w szkole, zatem wszyscy, z wyjątkiem Martina, musieli się stawić wieczorem w domach. W rozsypce zaś będą mniej skorzy do brawury.

Colin umówił się z Bensonem o ósmej w stałym miejscu, potem zaś wrócił do hotelu. Ubranie wyschło, choć efekt prania sprowadzał się głównie do bardziej równomiernego rozprowadzenia brudu po materiale. Cóż, przynajmniej nie sposób było się domyślić rodowodu owych zabrudzeń.

Wykonał kontrolny telefon do Fisha. Powinni dojechać do miasteczka maksymalnie za dwie godziny. Po przyjeździe udadzą się prosto do lasu. Tam nawiążą z Colinem kontakt. Przestrzegł ich, żeby się trzymali na dystans od Bensaona.

Postanowił nie budzić Linera.

\*\*\*

Noc była, jak na złość, bardzo jasna. Colin preferowałby niebo zasnutę chmurami, gdyż ciemność zwiększyłaby jego przewagę nad Bensonem. Przewidywał rychłe rozstrzygnięcie. Cholera, naprawdę nie chciał zabijać Jacka, niemniej łowca zapewne nie pozostawi mu wyboru.

Benson zatrzymał jeepa kilka mil od żerowiska obiektów. Żerówki znowu się przemieściły, jeszcze bardziej na północ, albo raczej na północny zachód.

Ruszyli w las, sporadycznie wymieniając rzeczowe komentarze. Colin czekał na posunięcie Bensaona, a domniemane aluzje łowcy mogły się przecież okazać przypadkowymi uwagami. Taa, akurat.

Nadstawił uszu, gdy w oddali rozbrzmiało przeciągłe



wycie. Nareszcie przybyła straż. Fish informował, że obejmie przywództwo nad stadem. Jeśli zdoła zorganizować nieświadomych, może odkryje też cel ich przybycia, od lidera bowiem będą prawdopodobnie oczekiwać, że ich ku niemu poprowadzi. Innymi słowy, kiedy zyskają przywódcę, odblokują się klapki w ich mózgach.

Colin miał nadzieję, że kumpel wie, co robi. Fish przecież nigdy wcześniej nie zetknął się z watahą zerówek. Każdego przebudzonego osobnika natychmiast się usypia, nawet w wypadku, gdy zostaje on zatrzymany w jednej z osad. U nieświadomego przemiana nie wynika z potrzeby ducha, jak u świadomych, lecz stanowi jedynie niedogodność. Po co zatem do niej dopuszczać?

Na logikę stado zerówek powinno się kontrolować łatwiej niż watahę wilków, jako że brak w nim osobników prawdziwie niezależnych. Niemniej, zgodnie z tą samą logiką, podobne stado nie miało w ogóle prawa się uformować.

Pomimo obaw, obecność kolegów uspokoiła Colina. Przy okazji uświadomił też sobie, jak go wkurzała beczynność. Sam nie poradziłby sobie z całą trzydziestką, co czyniło bezużytecznym każdy jego ewentualny plan działania.

- Wydają się coraz lepiej zorganizowane - orzekł Colin, kiedy zbliżyli się do stada.

Rzeczywiście, nieświadomi ulegli wyraźnej metamorfozie. A zatem działalność Fisha przynosiła efekty. Colin zmarszczył brwi. Efekty, owszem, ale chyba odmienne od zakładanych. Ogarnął go niepokój.

- Powinniśmy coś sobie wyjaśnić - dobiegł go z tyłu głos Jacka.

Colin obrócił się wolno. Łowca trzymał strzelbę lufą ku ziemi nie potrzebowałby jednak wiele czasu, żeby się złożyć do strzału. Niewątpliwie żywił przekonanie, że zdąży wymierzyć i wypalić, zanim Colin wyszarpnie colta z kieszeni kurtki. Tyle że Colin nie zamierzał sięgać po rewolwer. Dobędzie szybszej broni - pazurów. Jeśli Benson da mu najmniejszy pretekst do ataku, i to nim mrugnie okiem, legnie z rozoranym gardłem.

- Tak? - mruknął Colin, napinając każdy mięsień. - To znaczy co?

- W początkach... kariery uważałem, podobnie jak Stipe, że każdemu obiektowi srebrna kulka należy się za samo istnienie. Z czasem zrewidowałem poglądy. Uznaję twoje racje. Miałeś podstawy, żeby podjąć taką a nie inną decyzję. Kenneth zastrzeliłby każdy obiekt w zasięgu wzroku, nie zastanawiając się ani przez chwilę, czy mierzy do zabójcy Hammera, czy też do niewinnego, chorego człowieka. To oczywiste, że musiałeś go powstrzymać. Dręczy mnie jednak pytanie, jakie plany snujesz względem mojej osoby. Na mnie także wydałeś wyrok? Jeśli tak, chętnie wysłucham aktu oskarżenia. Wydaje mi się bowiem, że dostarczyłem ci wystarczająco wiele dowodów mojej dobrej woli. Właśnie tę kwestię powinniśmy sobie wyjaśnić, zanim ponownie odwrócę się do ciebie plecami.

Mówiąc, Benson wprost emanował spokojem. Najmniejsze drżenie w głosie nie sugerowało gotowości do

ataku. Colinowi nie chciało się wierzyć w pokojowe nastawienie łowcy. Owszem, Jack dowiódł swej dobrej woli, ale przecież nie mógł być pewien, że jego postawa zostanie przez Colina doceniona.

Benson patrzył na towarzysza wyczekująco.

- I wystarczy ci samo moje zapewnienie? - Tym pytaniem Colin potwierdzał zasadność zarzutów, mimo że nadal nie wiedział na sto procent, czy łowca nie blefuje.

- Nie chcę do ciebie strzelać - odparł Jack, wciąż niewiarygodnie spokojny. - Przekonaj mnie.

- Ja też nie chcę cię zabijać. I nie zamierzałem. Ale jeśli rzeczywiście mnie rozumiesz, wiesz także, że każda kolejna twoja decyzja lub wypowiedź może zmienić mój stosunek do ciebie.

Mierzyli się wzrokiem. Puls Bensona przyspieszył, jednak na tyle minimalnie, że trudno to było przyjąć za oznakę choćby lekkiego podenerwowania.

W wiszącą między nimi ciszę wdarło się nagle wycie, potem zaś przytłumiony chrapliwy warkot. Colin odruchowo zmarszczył brwi.

- Co mówią? - spytał Jack.

- Przyjechali moi przyjaciele. Rodzaj... oddziału do zadań specjalnych.

Te słowa zabrzmiały jak groźba: jeśli Benson go zastrzeli, zostanie rozerwany na strzępy. W gruncie rzeczy Colin wątpił, żeby koledzy zdobyli się na taki czyn. Zabicie człowieka przez członka straży dopuszcza się wyłącznie w samoobronie, oszustwo zaś nie wchodziło w grę, jako że

lider wyczułby fałsz w ich zeznaniach. Raczej więc nie rzuciliby się na łowcę wyłącznie z zemsty. Mimo to nie zaszkodzi, jeśli Jack w taką ewentualność uwierzy.

Naświetlił Bensonowi zamiary Fisha, sprowadzające się do zapanowania nad grupą; z odgłosów wynikało, że realizacja planu postępuje z oporami. Nie wyczuł u łowcy zdziwienia tymi rewelacjami. Cholera, czy tego faceta nic nie było w stanie wytrącić z równowagi? Możliwe, żeby już wcześniej wiedział o istnieniu straży?

- Kiedy się domyśliłeś?

- Dawniej, niż ci się wydaje. - Jack uśmiechnął się leciutko - podczas naszego przedostatniego spotkania. Co stanowiło kolejny dowód moich dobrych intencji.

- Wystawiłeś mi Stipe'a. - Teraz Colin zyskał co do tego pewność

- Kiedy jeden z twoich zaczyna szaleć, usuwasz zagrożenie. Czemu identyczna zasada nie miałaby odnosić się także do niebezpiecznych dla otoczenia łowców? Nie próbuj jednak zrzucać na mnie części odpowiedzialności. Ty podjąłeś decyzję.

- Cholera. Jak ci się... jak mogłeś wiedzieć tak długo i nic... Zorientowałbym się. Zgoda, w tej okolicy jest coś dziwnego i zmysły mnie zawodzą, ale przy naszym ostatnim spotkaniu...

- Zetknąłeś się z koncepcją mnogości światów? - wpadł mu w słowo Benson. - Istniejemy równocześnie w bilionach alternatywnych rzeczywistości, przy czym w każdej zdarzenia toczą się własnym trybem. Stwierdzenie

kłamliwe tu i teraz będzie prawdą w przynajmniej jednym z bilionów światów. Tak więc zawsze mówię prawdę, tyle że niekoniecznie odnosi się ona do tej rzeczywistości. No, chyba że zależy mi, by ktoś wyczuł, że kłamię. Wówczas stosuję innego rodzaju trik.

- Żartujesz.

- Nie. Nie brałbym tej teorii serio, gdyby nie jej ogromna użyteczność. Włożyłem sporo wysiłku, żeby w nią uwierzyć. Żeby uwierzyć, że cokolwiek mówię, jest prawdą. Efekty sam obserwujesz. Można by rzec, że oszukuję własny układ nerwowy, żeby nie wysyłał zdradliwych bodźców. Radzę ci spróbować.

Pod kurtką Jacka zawibrowała komórka. Łowca drgnął, mimo to wskazujący palec jego prawej ręki pozostał na spuście, podczas gdy lewa dłoń lekko podpierała lufę, żeby w razie konieczności błyskawicznie skierować ją na Colina.

- Nie odbierzesz? - spytał z nutką ironii Colin. Tyle szumnych deklaracji, a tymczasem łowca obawiał się sięgnąć przy nim po telefon. Nagle jednak nadeszło przeczucie. - Odbierz - powiedział zmienionym głosem. - Jack, nie zaatakuję cię. Odbierz tę cholerną komórkę. To Mat.

Benson wahał się dwie sekundy, zanim lewą ręką rozpiął kurtkę. Niezgrabnie grzebał za pazuchą w poszukiwaniu aparatu, nie odrywając od Colina czujnego spojrzenia. W końcu wyjął komórkę.

- Nareszcie! - w słuchawce rozbrzmiał rozgorączkowany głos Mata. - Colin jest z tobą? Nie mogę się do niego

dodzwonić. Emily zniknęła. Nasza siostra. Nie ma jej w pokoju. Boję się, czy nie pobiegła do lasu. Zwołałem chłopaków i jedziemy jej szukać. Rozglądajcie się za nią. No i nie weźcie jej za... wiecie za co. Gdzie jesteście?

- Twoja siostra... - zaczął Jack, kiedy Mat się rozłączył.

- Słyszałem - przerwał mu Colin. - Znajdę ją.

- Ona...?

- Ma dziesięć lat. Nigdy nikomu nie wyrządziła krzywdy, więc jeśli zobaczysz mały obiekt... Zajmij się smarkaczami. Mat jest czysty.

Mówiąc, Colin wycofywał się w gęstwinę, gotów uskoczyć, gdyby najmniejsze drgnienie mięśni łowcy zasugerowało, że Benson złoży się do strzału. Jack jednak stał nieruchomo. Po chwili Colin zniknął między drzewami.

\*\*\*

Zrezygnował z przemiany. Wprawdzie w wilczej postaci przemieszczałyby się nieco szybciej, ale niesiony w zębach tobołek z ubraniem utrudniałby mu nawoływania.

Przystanął, żeby przekazać przyjaciołom dłuższy komunikat. Przeobraził twarz w wilczy pysk i zawył, przesyłając zaszyfrowaną informację o zaginięciu dziewczynki i pojawieniu się w lesie Mata z kumplami. Colin poszuka siostry, będzie natomiast wdzięczny, jeśli Fish oddeleguje paru strażników do opieki nad smarkaczami. Otrzymawszy od lidera straży potwierdzenie, ruszył dalej. Pogratulował sobie uziemienia Boyce'a i Linera - z tymi dwoma byłoby dziś o wiele niebezpieczniej.

Biegł, nieustannie wzywając Emily, odpowiadały mu jednak tylko wilki i nieświadomi. Co się, do cholery, stało? Em obiecała siedzieć grzecznie w domu. Nie wierzył, że okazała się po prostu nieposłuszna.

Kierował się w stronę domu Stewartów, założywszy, że mała będzie się kręcić w jego pobliżu. Rozsądek nakazywał jej unikać nieświadomych, wilków, strażników leśnych i wszelkich innych nocnych wędrowców.

Zerówki Colin ominął łukiem, coraz bardziej zaniepokojony ich zachowaniem. Nawet wilki trzymały się od nich z dala, nerwowe, gotowe lada moment zerwać się do ucieczki, choć zarazem wabione zewem kuzynów. Przystanął, poruszony agresywnością otrzymanego od nieświadomych odzewu. Zorganizowali się, owszem, tyle że nie pod wodzą Fisha, ale przeciw niemu.

Nieświadomi przeciw świadomemu! Colin skonstatował jednak, że właściwie niespecjalnie go ten bunt dziwi. Martwiły go natomiast konsekwencje ewentualnego starcia, nie obyłyby się ono bowiem bez ofiar. Na korzyść członków straży przemawiała ich siła, sprawność i dobre obeznanie z wilczą naturą, niemniej tamci dysponowali znaczną przewagą liczebną.

Czterech na jednego wydawałoby się jeszcze proporcją znośną, ba, wręcz dla straży korzystną. Ale jeśli Fish do ochrony smarkaczy oddelegował więcej niż dwie osoby zanosilo się na nieciekawą konfrontację. No i te zerówki mogły się okazać wyjątkowo groźne, co stanowiłoby zaledwie kolejny z szeregu wyjątków od reguły.

Szkolenie straży obejmowało naturalnie metody walki zarówno w ludzkiej, jak i w wilczej postaci. W pierwszym wypadku opanowanie różnorodnych chwytów i ciosów służyło głównie ukryciu nadzwyczajnej siły. Jej niekontrolowane użycie w najbliższej choćby bójce z łowcą doprowadziłoby bowiem do demaskacji, a w konsekwencji przeciwnika należałoby zlikwidować. Ludzi, łowców zaś w szczególności, straż omijała z daleka, umiejętność maskowania siły była więc potrzebna przede wszystkim Colinowi. Jako Vernon pojedynkował się dotąd z „kolegami po fachu” trzykrotnie. Raz stracił kontrolę, ale na szczęście potyczka odbywała się bez świadków, a zamroczony oponent nie pamiętał później finalnego uderzenia.

Metody walki w wilczej postaci zakładały pełne wykorzystanie sił i umiejętności. Strażnicy ćwiczyli, jak sprawnie sięgnąć do gardła przeciwnika, jak unikać razów czy jak skutecznie uderzać pazurami, zarówno w starciu z przemienionym członkiem społeczności, jak i z uzbrojonym w strzelbę bądź nóż człowiekiem.

Problem w tym, że nabytej wiedzy członkowie straży nie mieli dotychczas okazji spożytkować w praktyce. Podczas szkolenia i podchodów w otaczającym osadę lesie radzili sobie świetnie, zasługując na pochwały Rogera, lecz czy tyle wystarczy? Zapowiadała się regularna bitwa z nieświadomymi, a w kłębowisku ciał trudno będzie odróżnić swoich od wrogów. Szlag, nawet myśląc o owych czterech na jednego, Colin wyobrażał sobie strażnika w otoczeniu przeciwników, czyli klarowną sytuację. Jeśli podczas zajścia



kumplom zabraknie zimnej krwi, również takie proporcje będą groźne.

Dlaczego, u czorta, zerówkom odpaliło akurat tej nocy? Czym się różniła od poprzednich? Dostrzegli cel? Jaki? Czy słusznie się obawiał, że zaatakują miasto? A jeśli agresję rozbudziła w nich obecność większej liczby świadomych? Straż jednak nie mogła się wycofać, gdyby bowiem teoria okazała się mylna, doszłoby do nieszczęścia. Cholera.

Colin tak się skoncentrował na coraz bardziej napastliwych reakcjach zerówek na wezwania Fisha, konsekwentnie domagającego się od nich posłuszeństwa, że w pierwszej chwili nie zarejestrował odpowiedzi Emily. Dopiero po fakcie zdał sobie sprawę, że coś mu umknęło. Zawył ponownie. Tym razem bezbłędnie wychwycił nadpływający z oddali odzew siostry.

Popędzili ku sobie. Na szczęście w najbliższej okolicy było czysto. Colin omijał miejsca, w których intensywny ludzki zapach wskazywał na czyjś dłuższy pobyt. Obawiał się, że ci z FWS pozastawiali fotograficzne pułapki.

Z ulgą utulił w ramionach drżący kłębek srebrzystego futra, mimowolnie zachwycając się niezwykłym (w społeczności dominuje barwa bura) umaszczeniem siostry. Wysłuchał jej relacji, zawartej w kilku zaledwie warknięciach, jako że wilczy język jest znacznie bardziej skondensowany od ludzkiego.

Mała położyła się około dziewiątej, z amuletem na szyi, jak obiecała Colinowi. Godzinę później zajrzała do niej ciocia. Rzemyk widocznie wysunął się spod piżamy, ciocia

zaś zwróciła jej już kiedyś uwagę, że nie należy sypiać z wisiorcami, ponieważ można się udusić. No i oczywiście zdjęła siostrzenicy amulet. Obudziła tym Em, dziewczynka udawała jednak, że nadal śpi. Czuła, że się przemieni, jeśli ciocia odsunie się choćby o dwa kroki dalej, więc bała się wszczynać dyskusję. Liczyła, że ciocia położy amulet na komódce i sobie pójdzie, ale Noreen zaczęła go oglądać, aż w końcu wzięła ze sobą. Niedługo potem Em usłyszała, że nadchodzą wuj z Udonem, i salwowała się ucieczką przez okno. Ledwie zdążyła upchnąć pod łóżko piżamę.

- Nie twoja wina, kochanie.

Colin uspokajał podenerwowaną dziewczynkę, w myślach klnąc Noreen i jej teorię uduszenia rzemykiem. Ach i jeszcze ten cholerny Udo! Że też musiał akurat dzisiaj się przyplątać.

Czyżby Udo sprawował funkcję obserwatora, tyle że, idiota, złamał zasady i wyjechał właśnie wtedy, kiedy był najbardziej potrzebny? Po czym wrócił w najmniej pożądanym momencie... Colin potrząsnął głową. Obserwator by się tak świetnie maskował? Wbrew przyjętym zwyczajom nawiązywałby bliskie relacje z niewtajemniczonym opiekunem i na dokładkę w noc pełni pchał się przy świadkach do sypialni przebudzonej podopiecznej? Wykluczone. Udo na pewno nie pracował dla organizacji. Czego w takim razie drań chciał od Emily?

Potem przyjdzie czas na zastanawianie się. W tej chwili należało się zatroszczyć o bezpieczeństwo siostry i brata. Mała nie mogła zostać w lesie, ale odprowadzenie jej do

domu także nie wchodziło w rachubę, gdyż zapasowe amulety i zioła spoczywały w sakwach w Martha's Inn. Hotel zaś był niechybnie pierwszym miejscem, które sprawdził Nigel. Jeśli w tej chwili Stewart nie czekał tam na Colina osobiście, postawił na warcie gliniarza.

Nieobecność w pokoju hotelowym w środku nocy przemawiała przeciw Colinowi. Nigel niezawodnie ciskał gromy, przekonany, że „ten przybłąda” znów uprowadził siostrę. Trzeba będzie jakoś wybrnąć z kłopotliwej sytuacji.

Wystarczy, jeśli Mat powie wujowi, że powiadomił brata o ucieczce Em i podjechał po niego w drodze do lasu. Szczegóły Colin dopracuje później.

Na razie musiał umieścić Emily w bezpiecznym miejscu i wrócić, zanim rozpocznie się jatka. Przychodziła mu do głowy tylko jedna lokalizacja.

- Zaprowadzę cię do przyczepy znajomego - powiedział do siostry. - Tam nikt nie będzie zaglądał. Wczoraj zachowywali się spokojnie. Boję się o Mata. Przyjechał cię szukać... - Zająknął się, uświadamiając sobie poniewczasie, że takim gadaniem niepotrzebnie wzbudzi w Em poczucie winy. - Zgoda? Poczekasz grzecznie w przyczepie?

Zamierzał zostawić siostrę u łowcy. Chyba zwariował! Ale w całym zakichanym miasteczku Colin mógł zaufać jedynie Jackowi. Łowca nie próbował go zabić. Potępiał działalność typów pokroju Stipe'a. No i do przyczepy wróci nad ranem, kiedy Emily przybierze znowu ludzką postać, a do dziesięciolatki nie będzie przecież strzelał.

Nie chcąc gorszyć małej, Colin odszedł na chwilę w cień i

dopiero wtedy dokonał przemiany. Ruszył przodem, niosąc w zębach tobołek z ubraniami. Mieli do pokonania około dziewięciu mil. Choć sytuacja nie sprzyjała sentymentom, Colina ogarnęło rozrzewnienie, że mknie przez las z siostrą u boku. Gniewne wycia i powarkiwania w tle straciły znaczenie. Liczył się wyłącznie wspólny bieg.

Zwykle Colin, jak każdy samotnik, preferował włośćkę w pojedynkę. Odtrącał nawet Varge'mar, mimo że nie byłaby kłopotliwą kompanią. Nie sądził dotąd, że uczyni wyjątek dla kogokolwiek, z przyszłą żoną włącznie – bo przecież w las wypuszczał się po to, żeby się w samotności wyciszyć. Widocznie zadziałały więzy krwi. Colin zawsze odczuwał potrzebę opieki nad swoją małą siostrzyczką, uwielbiał na nią patrzeć i słuchać jej szczebiotów. Czemu więc nie miałby polubić także biegania w jej towarzystwie? Z nikim dotąd nie zaznał równie wielkiej bliskości. Gorąco pragnął zachować ten stan rzeczy.

Otrząsnął się. Psiakrew, znowu oddawał się mrzonkom bez szans na spełnienie.

\*\*\*

Nim wkroczyli między zabudowania, Colin powrócił do ludzkiej postaci. Dręczyły go wątpliwości, czy postępuje słusznie. Nigel z pewnością postawił na nogi wszystkich gliniarzy, Colin więc łatwiej by się przemknął w wilczej skórze. Tyle że dwa bezpańskie psy dostrzeżone tydzień po tajemniczym ataku na Hammera mogły wywołać czyjąś nadmiernie nerwową reakcję. A tak przynajmniej będą

wyglądali jak mężczyzna z podrośniętym szczeniakiem husky na spacerze. Pora na wyprowadzanie pupila wydawała się wprawdzie trochę dziwna, ale nikt nie powinien do nich – w każdym razie do Em – strzelać.

Miasteczko okazało się nadspodziewanie ciche i wyludnione. Typowa zimna jesienna noc kończąca weekend, kiedy każdy myśli już o czekającym go tygodniu pracy. Czyżby Stewart nikogo nie zawiadomił?

– Uciekałaś wcześniej? To znaczy tak, że o tym wiedzieli?

Em potrząsnęła głową. Uciekała, ale się nie zorientowali, inaczej bowiem urządziliby jej awanturę. A choćby i nie, wyczułaby w nich napięcie.

Z nocnego nieba znikły ostatnie drobne chmurki, jasno świecący księżyc wspomagały dodatkowo uliczne latarnie, tak że nie sposób było się poruszać chyłkiem. Mimo to do stojącej w zacienionym narożniku parkingu przyczepy dotarli bez przeszkód.

Drzwi zastali, oczywiście, zamknięte. Powęszywszy w pokiwaniu klucza, Colin wsunął dłoń pod tylny zderzak. Ulżyło mu, gdyż zamek, pozornie najzwyczajniejszy pod słońcem, nie dałby się prędko sforsować. Zważył klucz w dłoni. Jack go rozszyfrował. A jeśli, spodziewając się wizyty Colina, przygotował pułapki?

Przecucie przed niczym Colina nie przestrzegało, jednak na wszelki wypadek polecił Em odsunąć się od przyczepy.

– Poczekaj, aż cię zawołam – szepnął, ostrożnie naciskając klamkę.

Wnętrze wydało mu się puste i bezpieczne. Wszedł,

stąpając delikatnie, a następnie rzucił się na łóżko. Ewentualna pułapka zadziałałaby chyba od razu. Wrócił po dziewczynkę.

Obwąchał półki, z miłym zaskoczeniem odkrywając zioła powstrzymujące przemianę. Wolałby dać małej amulet, zamiast szpikować ją zielskiem o narkotycznych właściwościach, ale i tak lepsze były zioła niż nic.

W duchu sklął się od kretynów. Wielu członków społeczności regularnie korzystało z tego rodzaju powstrzymywaczy i wywoływaczy, a jakoś nie szkodziły ich zdrowiu. Gdyby od razu wręczył Emily kilka porcji mieszanki do zażywania co wieczór, ta sytuacja w ogóle by nie zaistniała.

Colin nigdy nie potrzebował wspomagaczy – od urodzenia wystarczyła mu siła woli. Ba, nawet mówienie o „sile” zakrawało w jego wypadku na przesadę, gdyż przemianę kontrolował odruchowo. Problem sprawiało mu czasem panowanie nad emocjami, ale to już inna bajka.

Samemu sterując przemianą w sposób naturalny, podświadomie pogardzał wszelkimi sztucznymi metodami. Nic więc dziwnego, że pragnąłby widzieć siostrę niezależną od tych świństw. Właśnie, i znowu świństw. Powinien wreszcie zarzucić podobne myślenie. A Emily jeszcze się nauczy kierować transformacją. Z palcem w nosie!

Znalazł w lodówce plaster szynki i posypał go ziołami. Em łapczywie pochłonęła rulonik. Trzymając w gotowość koszulę Bena, przyglądał się siostrze w oczekiwaniu na efekt, lecz bezskutecznie. Diabli, dostała za mało.

Przygotował kolejną porcję.

Emily będzie solidnie otumaniona. Jeżeli Nigel zobaczy ją w takim stanie... Czy nie lepiej, żeby ujrzał husky? Ale był jeszcze Jack. Colin podał siostrze drugi rulonik. Jeśli łowca wróci do przyczepy pierwszy, zostanie w niej śpiącą słodko dziewczynką. Poza tym Colin wolał, żeby Em zasnęła, niżby pod jego nieobecność miała ponownie się czegoś przestraszyć i pognać do lasu. Ze wszystkich czyhających na nią tej nocy zagrożeń Nigel wydawał się najmniejszym.

Powstrzymywacz wreszcie zadziałał, futro zaczęło zanikać. Na błyskawicznie przekształcające się ciało Colin narzucił koszulę łowcy. Ucieszyło go szybkie tempo jej powrotnej transformacji, świadczyło bowiem, że Emily jednak jest silna. Bardzo silna. Paru członków straży przemieniało się wolniej. Mała trochę poćwiczy i, mimo stosunkowo późnego przebudzenia, dorówna Colinowi.

W tej chwili jednak Em leciała mu przez ręce - działanie ziół powstrzymujących polega w sporej mierze na wpędzaniu w głęboki sen. Colin ułożył siostrzyczkę na łóżku.

- Jeśli się obudzisz, nie wychodź z przyczepy - szepnął jej do ucha. - Niedługo wrócę.

Słabym pomrukiem zasygnalizowała, że słowa brata do niej dotarły. Parę sekund później spała już twardo. Colin pocałował ją w czoło, przygładził jej włosy, poprawił przydużą koszulę Bensona i okrył Emily kołdrą.

Zamknąwszy drzwi, zastanawiał się przez chwilę, czy nie wziąć klucza ze sobą, lecz w końcu wsunął go z powrotem

pod zderzak. Jack na pewno miał zapasowy, Colin okazałby mu więc tylko niepotrzebnie brak zaufania.

\*\*\*

W lesie rozebrał się prędko i zwinął ubrania w tobołek. Ile sił w łapach popędził w stronę żerowiska zerówek.

Niepokoili go panująca wokół cisza. Czyżby bitwa już się rozegrała? Przystanął, aby wyciem wezwać Fisha. Pomiedzy drzewami nadplynela uspokajajaca odpowiedz: sytuacja zostala opanowana. Przez chwile wataha jakby sie szykowala do ataku, ostatecznie jednak okazalo sie, ze wiecej w ich manewrach bylo teatralnych gestow niz autentycznych grozob. Banda zdeorientowanych wilczkow, ktore poszly w rozsypke, kiedy paru czlonkow straazy dosadniej warknelo. Nikomu nie spadl wlos z glowy, z Matem i jego kumplami wlacznie. Zreszta Benson szybko do nich dolaczyl.

Rozluzniony Colin potruchtal dalej. Wylapawszy fragmenty rozmowy smarkaczy, wroutil do ludzkiej postaci. Pobiegl ku nim, nawolujac.

- Nic wam nie jest? - zapytal zdyszany; udawal te zadyszke.

- Nam nie, ale Emily... - zaczal nerwowo Mat.

- Znalazlem ja. Zawiozlem do przyczepy Jacka - oznajmil glowno, zeby dodatkowo mala zabezpieczyc.

Wobec tylu swiadkow Benson nie odwazy sie wykrepic zadnego numeru. Lowca tylko pokiwal glowa.

- Tak szybko sie z tym uwinales? - zdumial sie Regie. Mat



także przyglądał się bratu badawczo, jakby go podejrzewał o uprowadzenie Em. A przecież Colin specjalnie użył słowa „zawiozłem”. Cóż, chyba faktycznie przesadził z tempem. Po prostu bał się o życie szczeniaka.

- Mówiła, co jej odwaliło? - zapytał agresywnie Mat. W środku nocy zachciało jej się spaceru?

- Ważne, że jest cała i zdrowa - warknął Colin. - przesłuchiwać ją będziesz później. Aha, mam prośbę, do was wszystkich - dodał łagodniejszym tonem. - Nigel pewnie od razu pogalopował do mnie do hotelu...

Zgodzili się go kryć, Mat wprawdzie z wahaniem, za to pozostali wręcz entuzjastycznie, jako że podobne akcje dodawały zabawie pikanterii. Colin mimochodem zauważył, że tej nocy nie wzięli ze sobą Randala. Chłopak dał plamę i w konsekwencji został wykluczony z towarzystwa. Byleby nie przegli z ostracyzmem, bo w ramach zemsty szczeniak zacznie działać na własną rękę.

Sprawa Randala mogła poczekać. W tej chwili Colin musiał znaleźć wiarygodne oficjalne wytłumaczenie nocnej eskapady zwykle grzecznej i spokojnej dziewczynki. Gorączkowo poszukiwał rozwiązania, a żeby zyskać na czasie, zagadnął smarkaczy o ich doświadczenia z ostatnich godzin.

Przekrzykując się, zdawali chaotyczną relację.

- Wyły jak opętane!

- I ten warkot! Jazgot się zrobił, jakby sfora psów szła za lisem...

- No, jak na tym polowaniu w *Omenie III*.

- Toż mówię, że jak sfera psów. Tylko w tym filmie widziałeś nagonkę?

- Ale niesamowicie to się zrobiło wtedy, jak się zaczęły zbliżać!

- No, najpierw jazgot dobiegał z oddali, ale potem jak na nas ruszyły!

- Coś ty, jakby ruszyły, ani byśmy się obejrzeni...

- Czad! A później nagle cisza.

Colin mógłby zwalić winę na Mata. Emily podsłuchiwała, że brat bawi się w śledztwo, i jej także zamarzyła się przyda... Nie, chybiony pomysł. Chłopak i tak był cholernie podminowany, a poza tym wersja nie pasowała do charakteru małej. A gdyby Colin wyjawiał część prawdy? Że Em przestraszyła się Udoną? Psiakrew, przestraszyła się dobrego wujka do tego stopnia, że w środku nocy zwiłała przez okno? No, ale czy po dziesięciolatce można było oczekiwać racjonalnych zachowań? Po Emily tak, w tym cały problem.

Gdyby jednak dziewczynce przyśniło się coś wyjątkowo strasznego z Udonem w roli głównej, wówczas, usłyszawszy jego głos i kroki na schodach w porze raczej nietypowej na składanie wizyt, miałyby prawo pomyśleć, że upiorny koszmar nie był snem, i uciec bez zastanowienia. Z pierwszego piętra, cholera. Colin miał nadzieję, że pod oknem jej sypialni rośnie drzewo. Ale szczegóły mógł sobie chwilowo darować. Tak, koszmar wydawał się bezpiecznym wyjaśnieniem. Zwłaszcza że Mat nie przepada za Udonem.

- Mówię wam, wszystkie są agresywne! - ekscytował się

tymczasem Regie. - Charakter ludzkiej postaci nie ma znaczenia.

- Normalnie całe życie przesunęło mi się... - zaczął Paul.

- Robicie za dużo hałasu - oznajmił Jack półgłosem. Smarkacze natychmiast zamilkli. - Wracamy. Niepokoi mnie ten bezruch. Przypomina ciszę przed burzą.

- Niedawno coś wyło - zaprotestował bez przekonania Martin.

Pierwszy szedł Benson, smarkacze zaś podążali pokornie za nim, nadrabiając minami. Wczorajszy trup oraz dzisiejsze otarcie się o wilkołacze zęby najbardziej butnemu nastolatkowi zabiłyby ćwieka. Zgodnie z zasadą, że do trzech razy sztuka, przy kolejnej okazji mogli nie wyjść z przygody bez szwanku. Odkąd więc argument, że szukają Emily, stracił aktualność, każdy z nich marzył tylko o wydostaniu się z lasu.

Colin przytrzymał brata za rękaw.

- Kim jest Udo? - spytał cicho, kiedy zostali w tyle. - Ile o nim wiesz? Czemu tak go obchodzą sprawy Stewartów?

- Bo co?

- Cholera, nie pora na odbijanie piłeczki! Powiem ci, kiedy sam coś z tego zrozumie. - Colin wspomniał o koszmarze sennym ich siostry. - Nie podoba mi się, że obcy facet pcha się nocą do sypialni Em. Wystarczy?

- Nie ma własnych dzieci - oznajmił Mat niechętnie. - Może dlatego, kiedy się spiknął ze Stewartami, zaangażował się w ich problemy wychowawcze. Rozumiesz, Nigel mu nawija, jak to nie może mi przemówić do

rozsądku w sprawie studiów, a potem palant bierze mnie na stronę i robi wykład, że powinienem słuchać rad wuja, człowieka doświadczonego, i takie tam... Rzygać się chce. Podobno facet miał żonę, ale umarła, zanim przeniósł się tutaj.

- Kiedy?

- Co kiedy?

Colin z chęcią palnąłby Mata w durny łeb za to lekceważące podejście. Udzielając informacji, szczeniak robił mu łaskę, cholera jasna! Jakby się dziwił, na co Colinowi akurat teraz potrzebne są takie pierdoły, skoro wokół roilo się od ważniejszych tematów.

- Przeniósł się - dopowiedział Colin przez zaciśnięte zęby.

- Jezu, nie pamiętam. Chyba niedługo po tym, jak tu z Em zamieszkaliśmy. Nie wcześniej, bo... - Mat urwał, doznawszy nagłego olśnienia. - Sądzisz, że Udo miał coś wspólnego?

- Nie wiem - uciął ostro Colin. - A gdybać nie zamierzam. I dlatego będę wdzięczny za szczegóły.

Rzeczywiście nie wiedział, przed sekundą jednak ogarnęło go przecucie. Tak silne, że Colin zyskał pewność, iż Udo maczał palce w zabójstwie Godfrey'a i Vivian. W takim wypadku logika dyktowała wniosek, że Gordon orientował się w okolicznościach tej tragedii znacznie lepiej, niż zawsze przyznawał.

- Czym on się zajmuje? - spytał Colin, odsuwając przemyślenia o roli stryja w sprawie.

- Udo? Prowadzi jakiś biznes... handel czymś tam. Nie

trawie typu, więc gównem mnie jego osoba interesowała. Gościu zachowuje się, jakby zżarł wszystkie rozumy. I ten jego styl mówienia! „Broń Boże, niczego ci nie narzucam, ale moim zdaniem roztropnie byś postąpił...”. No i wuj w te pędy postępuje roztropnie. Wyrocznia, kurwa! Niech się wuj tylko dowie, że to przez gostka Em nawiała! Skończy się wielka miłość. Oby.

Wkrótce po tym, jak bracia dogonili pozostałych, za ich plecami rozległo się wycie. Na tyle blisko, że Regie i Martin niemal podskoczyli, po chwili zaś zaczęli przesadnie głośno żartować. A to jedynie Ada donosiła, że skoro zagrożenie ze strony nieświadomych minęło, oddelegowani do pilnowania młodzieży, ona, Dustin i Grieve, wracają wspomóc Fisha, który usiłuje spędzić tę zgrają do kupy.

- Chyba nic groźnego - mruknął Colin na użytek Jacka.

\*\*\*

Kiedy dotarli do terenówek chłopaków, Mat zaczął się domagać, żeby od razu pojechali po Em. Świetnie, tyle że mała będzie do rana nieprzytomna, nie wspominając o tym, że miała na sobie jedynie koszulę Bensona.

- A jak się wytłumaczysz wujowi? - Colin napadł na brata. - Jak chcesz jednocześnie dawać mi alibi i odprowadzać Em? Zobaczy mnie z nią i przyjmie, że wniosłem swój wkład w jej ucieczkę.

- Udo namieszał - oburzył się Mat. - Niech no tylko wuj spróbuje coś ci zarzucić!

- Czemu Udo? - zainteresował się Paul.

Colin nie przewidział, że Mat zapragnie natychmiast

zawlec siostrę przed oblicze Nigela, żeby złożyła obciążające Udonę zeznania. A powinien był się domyślić, cholera stworzył historyjkę opartą na niechęci Mata do sąsiada, po czym się dziwił, że chłopakowi pilno ukazać typka w złym świetle. Co się z nim działo? Nie mógł się bez przerwy zasłaniać rozkojarzeniem.

Przez chwilę słuchał, jak brat, zaciętrzewiony, opowiada kolegom o sennym koszmarze Emily.

- Jakbyś nie znał Nigela - wpadł mu w słowo Colin. - Zapomniałeś, co było rano? Ja zawiniłem? Tylko bardziej się wścieknie, jeśli zaczniesz mu udowadniać, że źle zrobił, oprowadzając nocą po domu swego najlepszego kumpla. Założę się, że Emily też się oberwie. Byleby Nigel nie musiał się przyznawać do błędu. Nie, Udonę zostaw w spokoju. - Pokręcił głową, jakby właśnie zastanawiał się nad rozwiązaniem. - Zwali się winę na somnambulizm. Dla niej tak będzie najlepiej. Lunatyzm - wyjaśnił na widok głupawych min szczeniaków. - U dzieci w wieku Emily, zwłaszcza przy pełni księżyca, nie jest to wcale rzadko występujące zjawisko, chociaż zwykle sprowadza się ono do siadania na łóżku albo niegroźnych spacerków po pokoju. Na taki powód trudno się wściekać i kogoś obwiniać.

- Taa, a wuj zacznie ciągać Em po lekarzach...

- Mat - warknął Colin przez zaciśnięte zęby, po czym chwycił brata za łokieć i odciągnął na stronę. - Jeśli Udo przyczepił się do Stewartów w konkretnym celu - wyszeptał ze złością - lepiej nie rzucać na niego otwarcie oskarżeń, bo się zaniepokoi i zacznie działać, a nie wiemy, co planuje.

Dotarło?

- Hej, co za tajemnice! - zbuntował się Regie.

- Braterskie - uciął Colin.

Mat milczał, marszcząc gniewnie brwi. Wyglądało na to, że ten argument do niego przemówił.

- Mat zadzwoni zaraz do wuja i zapyta, jak idą poszukiwania, a przy okazji napomknie, że mu towarzyszę - podjął Colin rzeczowo. - Was, chłopaki, jednak nie ma sensu w sprawę wplątywać. Wracajcie do domów. Ktoś wie, że wychodziliście? Czyli okej. Nigel na sto procent każe nam dwóm natychmiast przyjechać. Jack poczeka na dogodny moment i odwiezie Emily do domu. Najlepiej by było, gdyby zakradła się do łóżka i twierdziła potem, że przez cały czas spała. - Może Bensonowi uda się dyskretnie zanieść dziewczynkę do jej sypialni. Nad ranem, żeby Noreen zdołała ją dobudzić. - Niech sami dojdą do wniosku, że zawędrowała we śnie na przykład na dach. Gdyby ktoś was spytał wprost o tę noc, powiedzcie, że byłem z wami. Jeśli zostawią was w spokoju, sami się z niczym nie wyrywajcie. Spaliście i tyle.

- Inaczej - wtrącił się Benson. - Na pytanie, co robiliście w nocy, odpowiadacie, że spaliście. Gracie niewiniątka do oporu, dopóki nie podadzą wam z imienia i nazwiska osoby, która was widziała, o konkretnej godzinie w konkretnym miejscu. Dopiero wówczas przyznacie się do wyprawy, którą zatailiście z obawy przed reakcją rodziców. Colin był z wami, bo Mat jego pierwszego powiadomił o zaginięciu siostry. O mnie ani słowa. Chodziliście po lesie, wołaliście,

ale bez skutku. Przestraszyły was wilki, więc szybko wróciliście do domów. Nie znaleźliście Emily, nie wiecie też, czemu uciekła. I powtarzam: historyjkę wyciągacie wyłącznie wtedy, gdy się okaże, że was widziano. Jakies pytania? Nie ma? W takim razie najlepiej już jedźcie.

Paul i Regie pokiwali w milczeniu głowami, Martin natomiast burknął coś niezadowolony, chociaż z całej trójki on najbardziej palił się do powrotu. Niemniej w lesie i tak nie mieli już nic do roboty. Sprawa Em okazała się banalna, wycie ucichło, do spotkania z Nigelem żadnemu się nie spieszyło, a w dodatku za kilka godzin musieli znaleźć się w budzie, wypoczęci i pełni sił. Życzyli więc pozostałym powodzenia, zapakowali się do discovery Paula i odjechali.

- Cholera, na pewno ktoś widział wóz - mruknął Colin. - Albo teraz zobaczy. Wytrwają przy uzgodnionej wersji?

- Najbardziej zależy ci na ratowaniu własnej skóry - sarknął Mat.

Psiakrew, szczył miał sporo racji. Colin czuł, że może Bensonowi zaufać, ale przecież łowca dowiódł już wcześniej swoich niezwykłych umiejętności. Skoro Jack potrafił go okłamać, czemu nie miałyby na podobnej zasadzie wyrzucić na nim wrażenia osoby godnej zaufania? Colin ryzykował bezpieczeństwo siostry, żeby nie podpaść Nigelowi. Idiotyczne. Zwłaszcza że drań tak czy owak postawił na nim krzyżyk.

- Zadzwoń do wuja - zwrócił się do Mata.

Odruchowo nadał wypowiedzi formę rozkazu, wygłoszonego ze stosownym naciskiem. Mierziły go fochy



szczeniaka. Smarkacz miał się go słuchać i już.

Chłopak posłał bratu złe spojrzenie, wyjął jednak z kieszeni komórkę. Colin odwołał Bensona na stronę.

- Mogę ci zaufać?

- Czy w poprzednie noce ona także biegała po lesie? - zapytał Jack spokojnie.

- Nie dałem jej amulet. Ciotka zdjęła jej go dzisiejszego wieczoru. Jakie to ma...? - Colin urwał.

Niech to szlag! Rzeczywiście, wydawało się, że kiedy Em przeszła przemianę, nieświadomi nieoczekiwanie nabrali pewności siebie i zapału do walki z silniejszymi, a po jej powrocie do ludzkiej postaci stali się znów ofiarami losu. I jakby tego było mało, na dziwną zależność uwagę zwracał Colinowi łowca.

- Może zaszła przypadkowa zbieżność - mruknął bez przekonania.

Ale w jaki niby sposób przemiana Em miałyby wpłynąć na nastroje wśród nieświadomych? Bardziej prawdopodobne, że oddziaływanie tajemniczego czynnika okresowo się nasiliło, podnosząc u zerówek poziom agresji, u Em zaś wywołując transformację. Colin przygryzł wargę. Za dużo, cholera, zbiegów okoliczności. A co z amuletem? To przecież naturalne, że mała przemieniła się po zdjęciu go.

- Nie przysłało cię tu, prawda? - dociekał spokojnie Benson. - Chodziło o twoje rodzeństwo, więc dopuściłeś się samowoli? Jakaś trzydziestka nieświadomych ciągnie do miejsca zamieszkania twojej ledwie co przebudzonej siostry. Wątpię, że to przypadek. Zadanie przekracza kompetencje

straży, a zwłaszcza ty nie miałeś się tu znaleźć. Sam widzisz, Colin, że...

- Wuj czeka pod Martha's Inn - poinformował Mat, przerzucając spojrzenie z brata na łowcę i z powrotem.

- Colin? Dobrze przewidziałeś. Mamy natychmiast do niego dołączyć.

Colin kiwnął głową. Szkoda, że Mat im przerwał.

- Podrzućcie mnie najpierw do samochodu - poprosił Benson.

Ponieważ Colin oficjalnie odwoził Em jeepem, na Bensonie spoczęło instruowanie chłopaka, jak jechać.

- Czemu nie zaparkowałeś bliżej? - zdziwił się Mat. Chłopak odrobinę zbyt głośno mówił o podenerwowaniu Nigela. Smarkacza wyraźnie irytował fakt, że między jego bratem a Jackiem zaistniało jakieś tajne porozumienie.

Z tylnego siedzenia Colin przyglądał się zajmującemu fotel pasażera łowcy. Jakim cudem Jack tyle wiedział o organizacji? Może jedynie strzelał w ciemno i wysnuwał wnioski na podstawie reakcji rozmówcy?

- Po spotkaniu z wujem dajcie mi znać, jak wygląda sytuacja wokół domu - powiedział Benson, wysiadając. - Nie chciałbym zostać oskarżony o uprowadzenie dziesięciolatki.

\*\*\*

Łowca właśnie ruszał, kiedy odezwała się komórka Mata. Dzwonił Nigel, z wściekłym pytaniem, czemu braci nie ma jeszcze pod Martha's Inn. Chłopak wysiadł z land-rovera i

rozmawiał z wujem, chodząc w tę i z powrotem po leśnym parkingu, dzięki czemu zapewne udawało mu się nie podnosić nadmiernie głosu.

Colin przesiadł się na zwolnione przez Jacka przednie siedzenie. Przypomniawszy sobie informacje prasowe. Dobroduszny urzędnik bankowy, który przygodą nazywał wyjazd w góry. Czy człowiek może się tak diametralnie zmienić? A jeśli Benson podszył się pod tamtego urzędniczynę, przywłaszczając sobie jego tragedię i prawo do zemsty?

Colinowi nie dawała spokoju również sprawa Basila. Czy naprawdę nie spalili trupa jedynie z braku czasu? Kto uregulował hotelowy rachunek i zajął się bagażami Woodsa, czy też jego zniknięcie uznano za nagły wyjazd? To wszystko zostało zbyt sprawnie załatwione – zbyt sprawnie jak na możliwości łowcy.

Był agentem. Benson pracował dla rządu – tylko takie wytłumaczenie przychodziło Colinowi do głowy. Według wskazówek Jacka wydobyto z jeziora ciało Basila, stanowiące dla agencji cenny materiał badawczy. Materiał, kurwa. A Colin oddał Bensonowi własną siostrę!

- Zmieniłem zdanie, jedziemy po Em – zarządził gwałtownie, kiedy Mat na powrót zasiadł za kierownicą.

- A wuj? Przed momentem na mnie nawrzeszczał. Czy on myślał, że się do niego teleportujemy? Powiedziałem, że będziemy za dziesięć minut.

- To wyjaśnisz mi, że najpierw musiałeś znaleźć samochód. Byłeś pewien, że dzielą cię od niego dwa kroki,

a okazało się, że zablądziłeś. Jedziemy, szybko.

- O co biega? Nagle przestałeś wierzyć Jackowi?

- Coś w tym stylu. Ruszaj, do cholery!

Ponieważ chodziło także o jego siostrę, Mat wystartował z piskiem opon. Udzieliło mu się zdenerwowanie Colina. Ostro brał zakręty, zaciskając dłonie na kierownicy, aż pobielały mu kłykcie. Niemniej łowca musiał także nieźle wdeptywać pedał gazu. Gdyby jechał normalnym tempem, doścignęliby go przed pierwszym zabudowaniami. Colin obawiał się, że ów pośpiech fatalnie rokuje.

Powinien wyjawić bratu prawdę - widział już, że i tak tego nie uniknie. Nie da się tego jednak ująć w dwóch zdaniach, nie obędzie się też bez pytań i histerycznego domagania się wyjaśnień. W tej chwili zaś najważniejsze było dotarcie do przyczepy, zanim Benson zdąży przekazać Emili w łapy swoich kołesiów.

Czarne myśli rozsadzały Colinowi głowę. Jak mógł się okazać tak głupi i ślepy? Nagle każdy gest czy komentarz Bensaona wydały mu się topornymi aluzjami, które jedynie maleńki kroczek dzielił od otwartej deklaracji: "Jestem agentem. Co zrobisz z tą informacją?".

Jednakże czy agent nie powinien się raczej starannie kamuflować? Zasadniczo owszem, lecz gdyby otrzymał polecenie nawiązania kontaktu ze świadomym, przetestowania jego obliczalności, a zatem także przydatności dla agencji, i ewentualnie pozyskania go na współpracownika, zachowywałby się zapewne podobnie jak Benson. W takim wypadku przynajmniej nic nie groziłoby

Em. Jack użyłby jej co najwyżej jako argumentu na dowód, że działa w dobrej wierze – miał w rękach siostrę Colina, a przecież oddał ją całą i zdrową.

Naiwne mrzonki. Agencja nie zrezygnowałaby ze świadomego dziecka – czy można wyobrazić sobie lepszy obiekt do testów? Debil skończony, kurwa mać! Związane z tutejszą okolicą rozkojarzenie – czy wręcz zamroczenie – w niczym Colina nie usprawiedliwiało. A nawet przeciwnie, tym więcej uwagi powinien był poświęcać każdej podejmowanej decyzji. Już niedaleko, jeden zakręt i ujrzą parking.

Mat gwałtownie nadepnął na hamulec.

– Cholera, Udo! Nie zwieję, zobaczył nas. Udamy, że jedziemy do Marthy. Wysadzę cię za rogiem. Colin?

Wysoki, kościsty mężczyzna patrzył Colinowi prosto w oczy. Jego wyblakłe niebieskie tęczówki połyskiwały skradzionym księżycowi blaskiem. Colin chciał polecić Matowi, żeby natychmiast go stąd zabrał, lecz nie potrafił dobyć głosu. Przestał oddychać, życie wokół zamarło, cały świat zamykał się w tych wypłukanych tęczówkach, z każdą chwilą głębszych. Wchłaniały Colina, wysysały z niego wolę.

Z opóźnieniem zarejestrował, że Mat zaparkował przy krawężniku, o coś go przy tym pytając. Potem chłopak otworzył drzwi, wysiadł i podszedł do Udon. Zamienili kilka słów. Mężczyzna nie patrzył już na Colina, a przecież miał nad nim władzę. Wokół panowała cisza, absolutna jakiej Colin nigdy jeszcze nie doświadczył, jako że jego wyostrzony słuch zawsze wynajdywał choćby

najdelikatniejszy dźwięk. A teraz jedynie obserwował ruchy warg.

Nagle zdał sobie sprawę, że opuścił wóz. Stracił władzę nad własnym ciałem. Kiedy zbliżał się do rozmawiających, czas zwariował, jeden krok trwał godzinę, a pięć następnych ułamek sekundy.

Wymienił z mężczyzną uścisk dłoni, coś powiedział – usta Colina wyartykułowały słowa, których jego umysł nawet nie odnotował. Twarz Mata nie wyrażała jednak zdziwienia. Chłopak poklepał go po ramieniu, pożegnał się z Udonem i odszedł do samochodu. Colin chciał go zawołać, ale już samo to pragnienie wydawało się nierealne. Na zapraszający gest Udoną posłusznie ruszył w stronę parkingu. Minął ich land-rover; czerwone światła znikły we mgle, jakby Colin nigdy nie miał brata.

Musiał zwalczyć w sobie tę niemoc, musiał się zbuntować. Niemniej myśli nadlatywały ociężale, aby rozpląnąć się w nicości. Czuł się bardzo zmęczony. Nie pojmował już, co mu się właściwie nie podoba w fakcie, że ciało funkcjonuje bez wysiłku z jego strony. Przecież dzięki temu mógł zasnąć na jawie, o nic się nie kłopotując. Odpocząć, tak, marzył o długim odpoczynku.

Nagle Udo wycofał się z jego umysłu. Colin ledwie zdołał utrzymać równowagę, kiedy dźwięki, zapachy i obrazy uderzyły w niego z furią, szarpiąc nim niczym podmuchy huraganowego wiatru. Zapachy... Jeden zapach. Cały świat pławił się w nim. On. Colin odniósł wrażenie, że zna tę twarz od zawsze. Uświadomił też sobie, że stoi mocno i

pewnie na asfalcie.

- Wreszcie się spotkaliśmy, Colin - przemówił Udo. Melodyjne słowa pętały Colina, choć tym razem nie całą jego świadomość, lecz jedynie ośrodki odpowiedzialne za agresywne zachowania. - Pora, żebyśmy sobie naświetlili parę spraw.

Colin chciał się odezwać, odkrył jednak, że został pozbawiony także władzy nad głosem.

- Nie lubię, kiedy się mi przerywa. - Udo wygiął usta w jaszczurczym uśmiechu. - Nie mam też, niestety, czasu na udzielanie wyczerpujących odpowiedzi na ewentualne pytania. Pozostawiam to twojemu stryjowi. Właściwie on powinien teraz z tobą rozmawiać, nie ja.

Dwa zdania i świat Colina legł w gruzach. Stryj powinien... Stryj wiedział, latami Colina zwodząc, okłamując i wykorzystując. Bo Udo z pewnością nie kłamał. Coś w jego głosie odcinało drogę wątpliwościom.

- Twoja siostra posiada szczególne właściwości. Wiedzieliśmy, że ujawnią się wraz z jej przebudzeniem, niemniej mogło ono nastąpić równie dobrze wówczas, kiedy miała trzy latka, jak i po upływie dziesięciu czy dwudziestu lat. Wasz niezrównoważony ojciec nie nadawał się na opiekuna, a każda próba odebrania mu dziecka wywołałaby niebezpieczną dla społeczności reakcję. Rozumiesz więc, że likwidacja stała się koniecznością. Dom Stewartów wydał nam się idealnym miejscem dla dziewczynki. Czuwałem nad nią, lecz pechowo przebudziła się akurat podczas mojej przymusowej kilkutygodniowej nieobecności. Dlatego

powstał drobny kłopot... Liczę jednak, że wraz z Fishem i jego zespołem doskonale z nim sobie poradzicie. Kiedy zabiorę Emily, nic nie będzie dłużej trzymać tu nieświadomych. Do ich ponownego uśpienia wystarczy łagodna sugestia.

Udo miarowo obchodził go wkoło, a melodyjny głos nakładał kolejne pęta. Colinowi krew pulsowała w skroniach, oddychał szybciej, lecz do niczego więcej nie był zdolny, pragnął rozszarpać Udoną, ale pazury nie chciały się wysunąć. Kto się krył pod słowem „my”? Udo mówił o sobie i Gordonie czy o całej organizacji? Przeciw komu jeszcze Colin miał zwrócić swoją nienawiść?

- Nie stanie jej się krzywda - kontynuował Udo. - Jest cenna. I wymaga fachowej opieki, gdyż inaczej sam widzisz, co się dzieje. Ledwie się przebudziła, a przyciąga wszystkich nieświadomych w promieniu jakichś dziewięciuset mil, przy czym u większości z nich druga natura w normalnych warunkach nigdy by się nie ujawniła. Emily wzmacnia oddziaływanie księżyca. Każdą jego fazę zamienia w pełnię, a wpływ pełni zwielokrotnia, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Pomogę jej przełożyć owe właściwości na umiejętności. Przykro mi, ale nie wolno wam będzie utrzymywać ze sobą kontaktu. Dla ciebie wyznaczono inną rolę w organizacji. Wierzę, że Gordon wpoił ci poszanowanie dla hierarchii i tajemnicy. Stanowisz wspaniały okaz naszego gatunku, likwidację uznałbym więc za niepowetowaną stratę. Pogódź się z faktami i sprawuj przypisane ci obowiązki. Wiele znaczysz dla stryja. Nie



zmuszaj go do podjęcia decyzji, której podejmować nie chce. A teraz śpij.

Wskazującym palcem lewej ręki Udo dotknął nasady nosa Colina.

\*\*\*

- Colin! Colin, do cholery! - Głos Mata z trudem torował sobie drogę do jego świadomości. - Colin, ocknij się!

Colin się skrzywił. Usiadł ociężale. Potrząsnął głową, usiłując przegnać kolorowe plamy wirujące mu przed oczami, ale tylko podwoił ich liczbę. Mat ciągnął go w górę, pomagając stanąć na nogi.

- Gdzie ona jest? - doskoczył do Colina Nigel. - Coś z nią zrobił?! Gadaj, bo ci flaki wypruję!

- Wuju, ktoś go zaata...

- Ty się nie wtrącaj! - Odepchnąwszy siostrzeńca, Nigel ponownie szarpnął Colinem. - Gadaj w tej chwili!

- Udo - wydukał Colin. - Udo ją zabrał.

Mat posłał przerażone spojrzenie tonącej w gęstym cieniu przyczepie Jacka. Zaparkowany obok jeep sugerował że łowca przebywa w jej wnętrzu. Na szczęście chłopakowi wystarczyło rozsądku, żeby siedzieć cicho.

- Ty gnojku! - wybuchł Nigel, otrząsnąwszy się z szoku.

- Powiedział mi - szepnął Colin. Czuł się zamroczony jak po parodniowej popijawie. - Że ją zabiera. Zanim mnie walnął. To psychopata.

Oskarżenie Udoną przyniosło mu satysfakcję, mimo że mogło się okazać błędem, wskutek którego łajdak dozna wkrótce „niepowetowanej straty”. Colin nie zamierzał

jednak brać na siebie ani cząstki winy. Takiego wała!

Nienawiść aż go piekła, oczy zmieniły barwę na bursztynową, pod paznokciami zaczęły pęcznieć pazury. Nigel nie zdawał sobie sprawy, jak bliski jest śmierci, kiedy bez opamiętania wydzierał się na Colina. Zaraz się okaże, kto komu wypruje flaki.

Na szczęście wtrącił się Mat.

- Najpierw znajdź Udonę, dopiero potem oskarżaj Colina!  
- zapalczywie bronił brata. - Em uciekła właśnie z powodu Udony! Miała proroczy sen! Bała się go, ale nawet nie mogła ci o tym powiedzieć! Tylko byś na nią nawrzeszczał, że ośmiela się oskarżać o cokolwiek twojego najwspanialszego kumpla! Rozmawiali, kiedy ich zostawiłem, więc gdzie się Udo podział?

- Prędzej uwierzę, że ten drań zabił Udonę, niż że Udo porwał Emily!

- Tak? A czemu mu zależało, żebyś nie zawiadamił policji o jej ucieczce? Masz klapki na oczach! Zawsze się ślepo słuchałeś skurwysyna! Zapraszałeś go do domu na rodzinne obiady!

Kłótnia toczyła się jakby za ścianą. Oczy Colina wolno wróciły do swej zwyczajnej barwy. Skoncentrował uwagę na przyczepie. Nie ulegało wątpliwości, że Emily w niej nie ma, co się jednak przydarzyło Bensonowi? Zginął?

Zmysły Colina zawodziły, jego nozdrza wypełniała woń Udony. Kolejna sztuczka drania - nawet jeśli wyjechał na wiele tygodni, nutka jego zapachu powinna zostać w domu Stewartów. Łajdak chciał, żeby Colin go wtedy zapamiętał,

a dziś celowo mu się przypomniał.

Podobno indywidualnego zapachu nie sposób kontrolować. Co innego ukryć, że się jest świadomym – powstrzymuje się w tym celu pracą konkretnych gruczołów – co innego zaś zmienić lub zatrzeć charakterystyczną wyłącznie dla siebie woń. Jednakże czy Gordon, okłamawszy bratanka w tylu zasadniczych sprawach, nie nakładł mu do głowy bzdur także i w tej drobnej kwestii?

Mózg się mu lasował. Mimochodem zarejestrował, że Nigel wybiera numer policji. Pragnął zajrzeć do przyczepy. Musiał sobie powtarzać, że przy Stewarcie nie wolno mu tego uczynić. Usiłował się skupić i ułożyć historyjkę: dlaczego Udo akurat jego poinformował o uprowadzeniu dziewczynki.

Dać się tak zdominować! Colin nie spotkał dotąd równie potężnego świadomego. Sądził, że wykazuje odporność na wszelkie oddziaływania. Że jeśli słucha czyichś rozkazów, zawsze postępuje tak z wyboru. Godfrey go terroryzował, ale jego metody nawet się nie otarły o dominację. Gordon z kolei uciekał się do wykalkulowanych zagrywek, sterując nim wyłącznie za pośrednictwem sprytu.

A przecież przed chwilą Colin nie był w stanie nawet samodzielnie skinąć palcem. Robił i mówił, co mu kazano, jak jakaś cholerna marionetka. Ogarnęła go wściekłość, że uległ tak łatwo. Przy jego sile, gdyby tylko stryj raczył go nauczyć, jak się opierać zewnętrznym ingerencjom w umysł, pieprzony Udo by mu nie podskoczył. Ale Gordon pozostawał w zмовie z pierdolonym wyblakłookim

mordercą.

Nienawiść powróciła, zalewając Colina szeroką falą. Nienawidził całego świata i każdego z tych drani z osobna. Siebie także, za naiwną wiarę w Gordona. Idol, niech go piekło pochłonie!

Musiał się opanować. Niczego nie osiągnie, dając się ponieść negatywnym emocjom. Oddychał głęboko. Tłumaczył sobie, że dziś nie zdoła zmierzyć się z faktami. Jedynym skutkiem analizowania ich będzie narastający mętlik w głowie.

Odebrano mu Emily, już jej nie zobaczy. Pościg mijał się z celem, Udo bowiem nie był wyrzutkiem, jak Colin zwykł myśleć o mordercy Godfrey'a i Vivian, lecz przeciwnie, działał przy pełnym poparciu organizacji. Wsiąknął w tajną strukturę, chroniony setkami zabezpieczeń. Nikt nie udzieli Colinowi informacji o miejscu pobytu siostry, a on sam stanie się ściganym. Ależ z tego Gordona sukinsyn! „Trzymam cię z dala od sprawy dla twojego dobra"! A tymczasem nigdy nie prowadzono śledztwa, nie istniała też żadna grupa dochodzeniowa.

Czemu stryj niczego mu nie wyjawiał? Nawet Udo wydawał się tym zdziwiony. Odpowiedź nasuwała się jedna: Gordon uważał bratanka za nie dość opanowanego i dojrzałego. Skurwiel! Colin rozszarpałby go na kawałeczki, na strzępki, jak Udo Godfrey'a! Kto jeszcze w osadzie wiedział? Wszyscy, to oczywiste. Wiedzieli i śmiali się z Colina za jego plecami: Fish, Dustin, Rose... Zacisnął zęby mitygując się. Oskarżał bez dowodów. Pewnie chodziło o

jedną z sekretnych spraw organizacji, których szczegóły znają jedynie nieliczni.

Otoczenie Colin odbierał jak przez grubą warstwę waty, chwilę zatem trwało, nim sobie uświadomił, że podjechał radiowóz. Czyjeś ręce zatrzasnęły kajdanki na jego przegubach. W tle nadal wrzeszczał Nigel, Mat zaś z niesłabnącą zaciekłością bronił brata. Colin śnił, niewątpliwie, przy czym brakowało mu sił, żeby się przebudzić. Wręcz marzył, by zapaść się głębiej w ciemną, cichą otchłań.

- A Jack? Colin! Co z Jackiem?

Mrugając z wysiłkiem, Colin spojrzał na brata. Obraz rozmazywał mu się przed oczami. Chłopak opierał się o drzwi radiowozu, co znaczyło, psiakrew, że nie wiadomo kiedy Colin wylądował na siedzeniu.

- Nieźle ci przyłożył - szepnął Mat, lustrując twarz brata w poszukiwaniu obrażeń. W umyśle Colina przez chwilę wyraziście zaświeciła myśl, że wersję z uderzeniem niełatwo przyjdzie mu obronić. - Co z Jackiem? Colin? Rozumiesz mnie?

- Podejrzewam... że Udo... go zabił. Omijaj... przyczepę.

- Zwariowałeś? A jeśli jest ranny? Colin? Co z tobą, cholera? Czego Udo chce od Em?

- Potem... - wyszeptał Colin, pragnąc jedynie zasnąć. Czuł jednak, że jeszcze przez chwilę musi zmobilizować siły, żeby przekazać bratu coś bardzo ważnego. Najpierw musiał tylko przypomnieć sobie, co. Ach, właśnie. - Trzymajcie się... ustalonej wersji. Nie wspominaj więcej, że Em się... że

się przestraszyła...

Gliniarz odsunął Mata i zatrzasnął drzwi. Według Nigela Colin był głównym podejrzanym w sprawie, a pogląd pana Stewarta przekładał się w miasteczku na opinię glin. Będzie źle, jeśli drań się połapie, że Mat dał powód do ucieczki Em, którego bez spotkania z małą nie miał prawa znać. Ale Nigel był wzburzony. Poza tym, raczej się nie zaliczał do uważnych słuchaczy.

\*\*\*

Colin z ulgą wyciągnął się na pryczy w celi aresztu. Ponieważ niemal wszyscy funkcjonariusze zostali zaprzęgnięci do poszukiwań, przepytano go skrótowo, odkładając szczegółowe przesłuchanie na dzień następny. Nie pamiętał swoich odpowiedzi, żywił jednak nadzieję, że brzmiały rozsądnie.

Drugi raz w życiu znalazł się w areszcie, a jakże odmiennie reagował na uwięzienie. Wtedy chętnie rozszarpałby gliniarzy, dziś zaś był im wdzięczny za przymusową beczynność, odsuwającą w czasie moment zerwania z poprzednim życiem. Dobrze, że woleli nagiąć prawo, niż sprzeciwić się woli Stewarta.

A może wcale prawa nie naginali? Ostatecznie, Colin już raz uprowadził siostrę, wydawał się więc bardziej prawdopodobnym kandydatem na porywacza niż Udo, wieloletni szanowany członek lokalnej społeczności. Nieszczęśnik chciał przemówić Colinowi do rozsądku, ten zaś go zamordował i ukrył ciało, po czym sam odegrał

nieprzytomnego, a wszystko w ciągu pół godziny.

Jedynie los Jacka nie dawał mu spokoju. Głównie ze względu na Mata, który gotów był wpakować się w kłopoty, starając się dociec, co spotkało łowcę. Ale cóż Colin mógł na tę sytuację poradzić, siedząc w celi zamkniętej na klucz?

Psiakrew, dlaczego czuł się taki otępiały? Czyżby Udo próbował złamać jego wolę, kiedy nakazywał mu wypełniać pokornie obowiązki pod zwierzchnictwem Gordona? O, ten zamiar się draniowi nie powiedzie. Skurwiel wziął Colina z zaskoczenia, przelotnie zdominował, ale na więcej niech nie liczy.

Może także Gordon dał się kiedyś okresowo zdominować? Cholera, Colin usiłował znaleźć dla stryja usprawiedliwienie, żeby nie oskarżać go pochopnie o współpracę z Udonem, lecz przecież tu chodziło o lidera, najważniejszą postać w społeczności Ameryki Północnej! A w zasadzie obu Ameryk, gdyż do Południowej przez wieki zawędrowały jedynie pojedyncze osobniki i tamtejsza organizacja również podlegała zwierzchnictwu Gordona. Czy liderowi ktokolwiek mógłby rozkazywać? Akurat! On stanowił najwyższą instancję, a każde działanie podjęte bez jego zgody uznawano za ciężkie wykroczenie. Gordon zatem wiedział o zabójstwie Godfreya, przyzwolił na nie, wręcz w nim uczestniczył. Colin poczuł w ustach smak krwi z przygryzionej wargi. Psiakrew, znowu się nakręcał, zamiast poczekać na spotkanie ze stryjem.

W końcu zdołał się wyciszyć. Zapadł w drzemkę, w przerwach rejestrując fragmenty prowadzonych przez

policyjną radiostację rozmów. Szukali. Niech sobie szukają, i tak nie znajdą. Przewrócił się na drugi bok, przyjemnie odizolowany, niczym znudzony widz, przedkładający sen nad uważne śledzenie spektaklu.



# PONIEDZIAŁEK

Rano Colin złożył bardziej rozbudowane zeznania. Godzinę później odzyskał wolność, usłyszawszy jedynie, że podejrzanym jest w tej chwili Udo. Colinowi nie nakazano nawet, by pozostał w miasteczku. Zdziwił się trochę, że Nigel tak szybko ustąpił.

Mrużąc oczy w słońcu, zastanawiał się nad swoim kolejnym ruchem. Wypadało skontaktować się z Fishem i resztą, przy czym nie wiedział jeszcze, ile im zdradzi ani jak wyjaśni, dlaczego nie rusza w pościg za porwaną siostrą. Nadmiar informacji nikomu w społeczności nie wychodził na zdrowie, zwłaszcza kiedy mowa o zagadnieniach ściśle tajnych – a nietypowe właściwości Emily pewnie pod tę kategorię podpadały. Wprawdzie Fish był jakby Colina przełożonym... ale nic przywódcy do spraw rodzinnych członków zespołu.

Oznajmi przyjaciółom, że ze względu na Mata chce dokończyć bieżące zadanie i dopilnować, żeby chłopakowi nie przyszło do głowy jakieś głupstwo. Albo niczego im nie będzie tłumaczył, tylko odeśle ich z pytaniami do Gordona. A sam Mat? Ile Colin mógł bratu wyjawić?

Tak czy inaczej, musiał wrócić do Martha's Inn po komórkę. Nikt nie wspominał o przeszukaniu w jego pokoju – odpuścili sobie bądź nie dostali nakazu – co oznaczało, że telefon powinien spokojnie tkwić w kieszeni czarnych

dżinsów.

Kiedy odezwie się do niego Gordon? Podróż z dowolnego punktu Europy nie trwałaby dłużej niż samochodowa przeprawa Fisha z serca Kanady, jeśli zatem stryj dotąd nie pojawił się w miasteczku, jego nieobecność była celowa. Chciał, żeby najważniejsze rozegrało się bez jego udziału, przyczaił się więc w oczekiwaniu na sygnał od Udon. Możliwe, że przylecieli do Stanów razem, prosto z międzynarodowego spotkania przywódców organizacji, na które ponoć wybrał się Gordon. Udo przecież sugerował, że zajmuje w hierarchii wysoką pozycję.

Colin uśmiechnął się ponuro, kiedy z oddali dobiegł go szum silnika. Po chwili wyhamował przy nim granatowy land-rover.

Opadł ciężko na fotel pasażera.

- Wujowi i gliniarzom powiedziałaś to, co uzgodniliśmy? - spytał. - Odkąd Emily opuściła pokój, żaden z nas nie miał z nią kontaktu?

- Porwano twoją siostrę, ale jak zwykle troszczysz się w pierwszym rzędzie o siebie! - sarknął Mat, przy czym żywy ton wypowiedzi kontrastował z malującym się na jego twarzy zmęczeniem, spowodowanym brakiem snu. - Nie wyszedłbyś, gdybym zeznał prawdę - dodał zjadliwie. - Zaczynam wątpić, czy słusznie postąpiłem. O wyniki pościgu nie zapytasz? - rzucił po krótkiej przerwie. - Albo o Jacka? Oberwał w głowę jak ty, nic mu nie dolega. Trwają poszukiwania. Reed zadzwonił do wuja z informacją, że cię wypuszczają, więc przyjechałem. Kompletnie się załamał.

Wuj, znaczy. Kiedy zaczęli sprawdzać, odkryli, że facet miał lewe papiery i w ogóle wszystko. Prawdziwy Udo Weiner wykitował ze dwadzieścia lat temu. Nie wiadomo, skąd brał forszę, bo opowieści o handlu okazały się lipą. Zdjęli w jego domu odciski palców, ale komputer nie wyrzucił żadnych danych. Gość nie istnieje. Wuj rozpacza, że był głupi, że to jego wina, rozumiesz. Gdyby nie chodziło o Em, miałbym nawet... Zakładają wręcz coś takiego, że Udo jest ukrywającym się przestępcą, albo terrorystą, któremu grunt zaczął się palić pod nogami, więc porwał Em dla okupu albo jako zabezpieczenie. Facet przepadł jak kamień w wodę, jakby się wcześniej do tego przygotował. Nasze jeżdżenie za Em wcale ich nie interesowało. Chcieli tylko poznać każde słowo mojej rozmowy z Udonem: czy był podenerwowany, czy zauważyłem podejrzaną szczegóły. Czekają, aż wysunie żądania.

- Nie będzie żądań, Mat. Nie porwał jej dla okupu - powiedział Colin, potem jednak się zastanowił. - Albo będą, dla zmyłki. Szalone i nie do spełnienia. Tak czy inaczej, Em zniknie bez śladu.

- O czym ty gadasz?!

- Jedźmy w jakieś ustronne miejsce. Do lasu. Tutaj...

- Nie, kurwa, mów zaraz...!

- Mat! Nie zachowuj się jak smarkacz, bo w ogóle niczego się nie dowiesz.

- Za to ty się zachowujesz, jakby porwanie Em gównem cię obeszło! Aż sobie myślę, czy wuj nie miał racji...

- Jedziesz czy nie?

Groźba w głosie Colina okazała się dostatecznie czytelna, by Mat, aczkolwiek niechętnie, zrezygnował z dalszej pyskówki. Ruszył, mocno naciskając pedał gazu.

Może nie należało szczeniaka wtajemniczać? Niechby sobie wierzył w wersję z terrorystą. Niestety, Colin za wiele już powiedział, żeby się teraz wycofać. Do tego smarkacz był uparty, nie przestałby drążyć.

Gdyby usunęli tylko Godfreya, Colin uznałby ich racje. Jak bowiem inaczej mogli postąpić z niebezpiecznym szaleńcem? Jednakże co do śmierci Vivian wyjaśnienia Udoną go nie satysfakcjonowały. Usłyszał ledwie cząstkę prawdy. Godfrey nie nadawał się na ojca, za to Vivian odzwierciedlała ideał matki. Nie mordowałiby jej, gdyby chodziło im wyłącznie o zdrowie psychiczne Emily. Ba, gdyby faktycznie kierowali się dobrem Em, uczyniliby wszystko, żeby mała nie straciła matki.

Dla własnego bezpieczeństwa Mat musiał zdawać sobie sprawę, do czego są zdolni. Zabili kobietę, dla której wilkołak był stworem równie fantastycznym jak elfy czy krasnoludki. Tymczasem chłopak, z jego obecną wiedzą, realnie zagrażał organizacji. Jedynym sposobem przekonania Mata, by trzymał język za zębami, wydawało się wyjawienie mu sekretu. Całego.

Cholera, przywódcy straży Colin nie zamierzał nawet sugerować, w czym rzecz, a za chwilę powierzy tajemnicę popędliwemu smarkaczowi. Tyle że Fish, jak każdy członek społeczności, wiedział doskonale, że ciekawość nie popłaca. Mat raczej do społeczności nie dołączy, zatem chyba będzie

lepiej, jeśli pozna prawdę i zachowa ją dla siebie, niżby miał szperać na własną rękę.

Chłopak postąpiłby najrozsądniej, gdyby natychmiast opuścił miasteczko, zrywając wszelkie kontakty z wujostwem i znajomymi. Z Colinem zresztą także. Tylko jak go nakłonić do wyjazdu?

Mat skręcił z piskiem opon na leśny parking i gwałtownie zahamował. Colin walnął czołem w przednią szybę. Zaklął pod nosem.

- Dostatecznie ustronne miejsce? - warknął chłopak.

Colin wymownie potarł czoło.

- Mat... Wszystko, co ci za moment powiem, musi pozostać między nami. Wysłuchaj mnie, przyjmij moje słowa do wiadomości i daj sobie czas na ich rozważenie. Nie działaj na oślep, nie podejmuj pochopnych de...

- Pierdolnięty psychol porwał moją siostrę, kurwa mać! Daruj sobie zafajdaną profesorską gadkę! Wiesz coś, jedźmy z tym do Reeda albo sami szukajmy drania. Nie zamierzam beczynnie...

- Nie znajdziemy go - przerwał mu Colin twardo. - Nie tak łatwo, nie od razu, a może nawet nigdy. Tym bardziej nie licz na sukces glin. On nie skrzywdzi Em - dodał łagodniejszym tonem. - Poświęcił jej siedem lat życia nie po to, żeby ją teraz zabijać.

A jeśli Colin się mylił? Podczas ich rozmowy czuł, całym sobą, że Udo nie kłamie, ale czy Colin zachował w odniesieniu do drania trzeźwość osądu? Musiał jednak wierzyć, że przynajmniej w tej najistotniejszej kwestii Udo

nie mijał się z prawdą.

Odsunąwszy na bok emocje, Colin przyznawał, że w obliczu nietypowych właściwości siostrzyczki byłby bezsilny. Jeżeli więc Udo potrafił dopomóc Em je ujarzmić, małej będzie lepiej pod jego opieką. Stanie się dla niej mistrzem, kierując rozwojem dziewczynki, ale do niczego jej nie zmuszając. Nie wykorzysta małej do niecnym celów ani nie ograniczy jej wolności bardziej, niż tego doświadcza przeciętny świadomy.

Optymistyczne mrzonki, cholera. Oczami duszy Colin ponownie ujrzał ociekający krwią salon. Ktoś taki miał zostać mistrzem dla jego siostry?

Niemniej dla niego Gordon stał się mistrzem, mimo że znał fakty, a może wręcz osobiście brał udział... Colin zacisnął zęby. Do przeprowadzenia rozmowy z bratem potrzebował spokoju, powinien był kontrolować swoje myśli.

- Nie kapuję - mruknął Mat, rozsądnie zarzuciwszy wrzaski na rzecz wymiany informacji. - On tak powiedział? I uwierzyłeś?

- Świadomi... wilkołaki świadome... tworzą organizację której głównym celem jest ochrona gatunku, czyli, innymi słowy, ochrona tajemnicy. Opanowano tę sztukę do perfekcji. Każdy wie tyle, ile bezwzględnie wiedzieć powinien żeby prawidłowo wypełniać swoje obowiązki. Jeśli członek społeczności musi zniknąć bez śladu, znika. Tylko nieliczni orientują się, gdzie go szukać, czy raczej do kogo zwrócić się z zapytaniem, przy czym taka płotka jak ja na

pewno nie miałyby do nich dostępu.

- Ale co to...? - Mat chciał o coś zapytać, ale zrezygnował.

- Udo zabił Godfrey'a i Vivian. Pamiętasz, co ci mówiłem o potędzie tego, który odpowiada za ich śmierć? No więc on się okazał silniejszy, niż zakładałem w najczarniejszych wizjach.

- Przyznał ci się?!

- Poniekąd. Pozwolił mi się rozpoznać po zapachu.

- Jak to po...? - prychnął Mat.

Nagle dotarł do niego sens tej informacji.

- Nasz ojciec był wilkołakiem świadomym - ciągnął Colin, nie zostawiając bratu czasu na gwałtowną reakcję. - Z rodu wojowników, wywodzącego się od skandynawskich berserków. Wraz z moją matką należeli do straży, która odnajduje przebudzonych nieświadomych i ich neutralizuje, to znaczy ponownie usypia, tak że mogą wrócić do normalnego życia, bądź umieszcza pod nadzorem w jednej z założonych przez społeczność osad. Podczas takiej akcji Ianthe, moją matkę, zastrzelił łowca.

Suche zdanie, a zaważyło na całym życiu Colina. Zresztą, niewiele więcej wiedział na temat tamtego zajścia. Na ewentualne pytania Mata mógłby odpowiedzieć jedynie domniemaniami. Jak nazywał się ów łowca? Ianthe została pomszczona czy drań w spokoju dożył emerytury?

Może nadal polował i Colinowi przydarzyło się zamienić z nim parę słów? Umarła od razu czy w mękach, kiedy srebro wypalało jej wnętrzności? Spędziła ostatnie chwile w

ramionach Godfrey'a czy też usłyszał o jej śmierci, dopiero kiedy oddział straży powrócił z akcji w uszczuplonym składzie? Niewykluczone, że nawet nie widział jej ciała, bo organizacja przysłała spalarkę, żeby jak najszybciej usunięto ślady.

- Z rozpaczy Godfrey doszedł do wniosku, że wilkołactwo nie jest cechą wrodzoną, ale przekleństwem, chorobą - kontynuował Colin. - Dlatego spędzał ze mną tyle czasu, Mat. Nie dlatego, że kochał mnie bardziej niż ciebie. Przeciwnie, nienawidził mnie, gdyż uosabiałem dla niego wszystko, co na tym świecie najgorsze. Na siłę próbował mnie wyleczyć. Równie dobrze mógłbyś leczyć kogoś z blond włosów, żądając, żeby w naturalny sposób stały się czarne. Wy... ty i Emily także uczestniczyliście w jego eksperymencie. Wyszukał sobie „nieskazoną” partnerkę i usiłował dowieść, że w ludzkim środowisku choroba się nie rozwinię.

- Więc ty od zawsze... Jezu... Ale...

- Czekaj, nie przerywaj. Pogłębiające się szaleństwo Godfrey'a zagrażało tajemnicy, więc prędzej czy później zostałby zlikwidowany. Do tego Emily okazała się dzieckiem szczególnym, u którego ujawnią się kiedyś wyjątkowe właściwości. No i właśnie się ujawniły, a skutki sam obserwujesz. Em działa na członków społeczności jak magnes.

Starał się mówić jasno i spójnie, nie był jednak pewien efektu. Dla brata każde słowo oznaczało szokującą nowość, burząc mu dotychczasowy obraz świata, rodziny i samego



siebie.

Podzielił się z Matem uzyskanymi od Udoną informacjami dotyczącymi planów organizacji względem Emily, kładąc nacisk na wiarygodność owych deklaracji. Colin sam popadał ze skrajności w skrajność, nie mógł dopuścić, żeby w Macie zakiełkowały choćby najmniejsze wątpliwości co do bezpieczeństwa Em. Opowiedział o obowiązujących w społeczności zasadach postępowania z dziećmi o obserwatorach i powstrzymywaczach, tym sposobem wyjaśniając, czemu Gordon nie przygarnął pod swój dach także młodszego bratanka i bratanicy.

- Zastosowano najbezpieczniejsze dla organizacji i zarazem najkorzystniejsze dla was dwojga rozwiązanie - oświadczył bratu, chociaż bynajmniej nie był przekonany, że akurat zasadami społeczności kierował się w swych decyzjach Udo.

Wypowiadał się z niezachwianą pewnością siebie, mimo że sam nie znał wielu odpowiedzi. Matowi nie chciał jednak zostawiać czasu na zastanawianie się. Jeśli więc Colin czuł się w danej kwestii bezradny, jak choćby wobec pytania, czemu zginęła Vivian albo skąd Udo wiedział o nietypowych cechach Em na długo przed ich uaktywnieniem, pomijał ją milczeniem, licząc, że w morzu informacji niedopowiedzenie przemknie niezauważone.

O stryju wspomniał jedynie w kontekście pobieranych u niego nauk. Chciał, żeby Mat miał do lidera pozytywne nastawienie, dlatego odmalował obraz cudownego faceta, wymarzonego mentora każdego chłopaka, każdego

świadomego.

Udona z kolei Colin przedstawił jako szychę ze ścisłego kierownictwa organizacji, niewiarygodnie potężnego świadomego, stojącego w hierarchii wyżej od Gordona. Decyzję o likwidacji Godfrey'a Udo podjął samodzielnie, ich stryja zaś poinformowano o zajściu grubo po fakcie, przykazując, aby Colina, dla jego własnego dobra, trzymał z dala od sprawy i z dala od Emily. Popuszczając wodze fantazji, Colin nie wykluczał, że opisuje bratu przebieg zdarzeń bardzo zbliżony do rzeczywistego.

- Miałem się z wami nigdy więcej nie spotkać. Udo zabrałby Em zaraz po jej przebudzeniu, mnie zaś zdradzono by jedynie część prawdy. Usłyszałbym coś w stylu, że u Em niespodziewanie ujawniły się niezwykle właściwości, wyznaczono jej zatem w społeczności wyjątkową rolę. A mnie nie wolno się z nią kontaktować. Nasze rodziny często rozdzielają się na lata, zadowalając się przekazywanymi przez lidera zwięzłymi wiadomościami o małżeństwach, narodzinach dzieci bądź zgonach. Pewnie więc nie przyszłoby mi do głowy, by się zbuntować. Nie wiem, może takie podejście wynika z naszej drugiej natury? U wilków związki z młodymi są bardzo silne, natomiast rozstanie z dorosłym potomstwem czy rodzeństwem przebiega bezboleśnie.

W ten sposób rozwiązano by problem? Prawdopodobnie tak. I zapewne Colinowi wystarczyłyby przekazywane przez Gordona pozdrowienia. Od czasu do czasu rodziny się kontaktowały, zdarzały się telefoniczne rozmowy czy wizyty

raz na parę lat. Kiedy jednak dana osoba pełniła szczególnie istotną, a przy tym tajną funkcję w organizacji, dodatkowe obostrzenia nikogo nie dziwiły. Wiadomo przecież, że tajemnica stoi ponad wszystkim.

- Nie dowiodłbym związku między zniknięciem Em a śmiercią Godfrey'a i Vivian - ciągnął Colin. - Możliwe, że w ogóle nie wziąłbym jego istnienia pod uwagę. - Chyba że coś by mu podszeptało przeczucie, lecz przy Macie nie zamierzał wdawać się w podobne zawilości. - Ale Udo miał też inne obowiązki, a w sprawę Em widocznie nie wtajemniczył nawet Gordona. Stryj miał mnie trzymać z dala od siostry i na tym kończyła się jego rola. Udo wyjechał na kilka tygodni, Emily zaś akurat w tym czasie się przebudziła. Zaczęła przyciągać nieświadomych, po czym jeden z nich zabił Hammera. Do moich zadań, jako członka straży, należy przeglądanie prasy w poszukiwaniu podejrzanych przypadków ataków zwierząt. Przeczytałem o niedźwiedziu, no i przyjechałem.

- Więc Em...

- Jest świadomą. Co oznacza, że w obu postaciach pozostaje tą samą osobą. Nikogo nie skrzywdziła, biegała sobie tylko po lesie. Nie miała pojęcia, że nieświadomi zjeżdżają się tu z jej przyczyny. Natychmiast po powrocie Udo zorientował się w sytuacji. Musiał działać szybko. Nie widział powodu, by się bawić w dyskrecję, ponieważ i tak zamierzał zniknąć, ja zaś prędzej czy później dodałbym dwa do dwóch. Może wręcz chciał odwrócić ode mnie podejrzenia, żeby nie trafiono moim tropem do osady.

Skierował kroki do domu Stewartów, spodziewając się, że zadbałem o powstrzymanie przemiany i Emily śpi kamiennym snem. Rzeczywiście, dałem jej amulet, ale właśnie wczoraj Noreen go jej zabrała. Em przyczaiła się w pokoju w wilczej skórze, żeby przeczekać noc, uciekła jednak, usłyszawszy Nigela i Udon. Niewykluczone, że ocalała wam życie. Udo nie patyczkowałby się, gdybyście sprawiali trudności.

Czy Udo faktycznie posunąłby się do równie drastycznego rozwiązania? Dowiódł już swej bezwzględności, niemniej tamten mord choć częściowo miał sens, podczas gdy śmierć Stewartów przyniosłaby jedynie zbędny rozgłos. Prędzej więc uraczyłby Nigela jakąś bajeczką, po czym wpakował oboje z Em do samochodu. Po drodze wyjąłby pistolet i kazał Stewartowi wysiąść, względnie zdzielił go w głowę, tak czy owak niezbitnie dowodząc swych złych intencji. Odjechałby z małą, a nikomu nie przyszłoby do głowy oskarżać o cokolwiek Colina.

Jeden szczegół nie dawał Colinowi spokoju. Skoro Udonowi były doskonale znane właściwości Em, to, słysząc agresywne wycie nieświadomych, powinien pojąć, że dziewczynka przeszła przemianę, i nie prowadzić Nigela do jej sypialni. Jeśli zaś podczas rozmowy blefował i wcale się tak dobrze w niuansach oddziaływania Emily na nieświadomych nie orientował, czy rzeczywiście zdoła jej pomóc przełożyć właściwości na umiejętności? Czy inny podobny przypadek kiedykolwiek zaistniał? I jakie zadania

czekają Em w przyszłości?

- Mnie Udo ostrzegł, żebym nie narobił szkód, węsząc. Moje cechy... jak silna osobowość czy pełne panowanie nad przemianą, są w społeczności rzadkie, dlatego posiadam sporą wartość jako potencjalny reproduktor. - Colin uśmiechnął się gorzko. - Zabicie mnie Udo uważa za marnotrawstwo. Ty natomiast... Im później uaktywnia się druga natura, tym słabszy jest dany osobnik. Prawdopodobnie więc, jeśli u ciebie kiedykolwiek się ona ujawni, będziesz bardzo przeciętnym świadomym, a może nawet nieświadomym. Wydaje mi się, że gdybyś posiadał wilczy gen, to przebywając tak blisko Emily, już byś się przebudził. Czyli wilkołactwo raczej nie jest ci pisane.

Świadomi niezmiernie rzadko budzą się po piętnastym roku życia, zatem Mat raczej stracił na tę formę szansę. Przebudzenie nieświadomego może z kolei nastąpić w dowolnym okresie, ale w bardzo młodym wieku zdarza się sporadycznie. Colin wolał, żeby brat w ogóle nie odziedziczył wilczego genu, niżby się miał okazać zerówką. Jako człowiek Mat zachowa przynajmniej kontrolę nad swoimi poczynaniami.

- Nie próbuję cię obrazić, jedynie stwierdzam fakt - dodał Colin, wyczuwając narastający w chłopaku gniew. - Chcę, żebyś dobrze zrozumiał swoje położenie. Wiesz znacznie więcej, niż powinieneś. Za dużo, nawet gdybyś był członkiem społeczności, a nie zanosił się na to, że nim zostaniesz. Musisz uważać na każde wypowiedane słowo. Dlatego zdecydowałem się wyjawić ci prawdę, jak Udo

mnie. Dla mnie ty jesteś cenny.

- I tak sprawę zostawisz? Udo jest zbyt potężny...

- Niczego podobnego nie powiedziałem - przerwał łagodnie bratu. - Będę jej szukał, nie odpuszczę. Tyle że jestem zaledwie trybikiem w maszynie. Posiadam pewną wartość, ale nie aż tak znowu wielką, żeby mnie nie usunęli, kiedy moja aktywność stanie się kłopotliwa. Jeśli zacznę działać pochopnie, pozbędą się mnie od razu. Em zaś moja śmierć nie pomoże.

Zamierzał pójść w ślady ojca i zlekceważyć wszelkie zasady. Czy i za Colinem nie wyślą pościgu? Jak by to wyglądało w oczach pozostałych członków społeczności! Cóż, odpowiedzi wkrótce udzieli mu Gordon.

Colin sam już nie wiedział, czy postępuje racjonalnie, czekając na spotkanie ze stryjem. Raczej powinien stąd zwiewać, zacierając za sobą ślady. Ale nie zdoła jednocześnie ukrywać się przed organizacją i szukać Emily. Potrzebował chociażby minimalnego przyzwolenia Gordona. Czy nie liczył na zbyt wiele? Lider piętnował przecież niesubordynację znacznie lżejszego kalibru.

Cóż, nie zostawi brata przed zakończeniem sprawy, wcześniejszy wyjazd nie wchodził więc w rachubę. Zastanowił się, jak dalece jest wobec siebie uczciwy. Czy obawa o los Mata nie stanowiła przypadkiem tylko pretekstu, by Gordon podjął decyzję zamiast niego? Gdyby stryj zakazał mu poszukiwań, czy nawet go uwięził, Colin mógłby z czystym sumieniem zaniechać pościgu za Emily.

- Potrzebuję czasu, żeby zaplanować pierwsze kroki -

wyjaśnił bratu. - Udo, jak słusznie zauważyły gliny, wszystko z wyprzedzeniem przygotował. Odnalezienie go jest zadaniem na miesiące, jeśli nie lata, bez znaczenia więc pozostaje, czy zacznę pościg dzisiaj, czy za kilka dni. Dlatego, zanim oddam się prywatnej wendecie, pomogę zamknąć tutejsze sprawy. Nieświadomi muszą bezpiecznie wrócić do swoich rodzin. Trzeba też wykryć zabójcę Hammera i ustalić, dlaczego zabił, bo być może zaistniały okoliczności łagodzące.

- A zabójca Kennetha? - Mat spoglądał przez boczną szybę. - On cię nie interesuje?

- Nie, nie interesuje - odparł Colin twardo. - Stipe był odrażającym psychopata. Zastrzelił niewinnego człowieka.

- Wilkołaka.

- Cholera, Mat, jesteśmy też ludźmi. Przede wszystkim ludźmi! Emily należy do społeczności, ty masz na to spore szanse. Okaż minimum zrozumienia! Łowcy są naszymi wrogami. Wiedzą, z czym się wiąże wybór tej drogi życiowej. Toczą z nami regularną wojnę, a my nawet nie mścimy się za każdego zastrzelonego towarzysza, żeby nie zasłużyć na zarzut krwiożerczości. Nasza straż broni przede wszystkim ludzi. Pozwalamy, żeby ginęli kolejni niewinni, bo taki Stipe nie jest w stanie pojąć, że ktoś porastający nocą futrem ma sumienie i uczucia. Wiesz, co by się działo, gdyby u niego uaktywnił się wilczy gen? Jednej nocy facet wymordowałby pół twojego cholernego miasteczka!

Piękna mowa, Colin mógłby wystąpić jako adwokat we własnym procesie. Dlaczego się po prostu nie przyzna? Nie,

za dużo naraz byłoby tych rewelacji. Najpierw niech się szczeniak pogodzi z drugą naturą brata. Stipe i Hammer stanowili kwestie marginalne, jednak żeby to pojąć, Mat musiałby przyswoić sobie obowiązujący w społeczności sposób myślenia, do czego jeszcze daleka droga. Dotąd smarkacz nie wyszedł nawet poza etap stereotypów.

- Mat... Od tej pory, cokolwiek zapragniesz powiedzieć lub zrobić, zastanów się przedtem trzy razy. Pamiętasz, od czego zacząłem? Prześpij się z tym, zanim wydasz osąd, jeśli koniecznie będziesz musiał z kimś pogadać, ogranicz się do Carol. I dla jej dobra zdradź jej tylko minimum niezbędne, żebyś znalazł zrozumienie. Ani słowa o cechach Em. Mat, posłuchaj. Nasz ojciec był wilkołakiem. Możesz się z tego powodu cieszyć lub rozpaczać, ale samego faktu nie zmienisz.

- Jack... wie?

- Wie. Porozmawialiśmy i zaakceptował moje racje. Taki Stipe zastrzeliłby mnie, zanim bym zdążył wypowiedzieć jedno słowo wyjaśnienia. A potem wykończyłby ciebie i Em, jedynie ze względu na łączące nas pokrewieństwo. Dostrzegasz różnicę? - Po krótkiej przerwie Colin odezwał się: - Wracajmy, muszę zadzwonić. Podrzucić mnie do hotelu. Zostawiłem w pokoju komórkę.

- Cholera.

- Niedługo sam byś się domyślił.

- Daj mi chwilę, okej? Muszę ochłonać.

\*\*\*



Z wnętrza wozu Colin obserwował brata, jak opiera się o pień drzewa. Trochę potrwa, zanim szczeniak wszystko sobie poukłada. Cóż, przynajmniej się nie porzygał. Psiakrew, Colin i tak podał mu nieprzyjemne szczegóły w lekkostrawnej formie. Miał nadzieję, że nie przecenił zasobów zdrowego rozsądku chłopaka.

Dziwił się własnemu chładowi. Jakby coś w nim pękło. Czyżby to był skutek uboczny ataku Udon na jego jestestwo? Na razie Colin nie starał się z tym walczyć. Potrzebował wiele wewnętrznego spokoju na rozmowę ze stryjem, która z pewnością niebawem nastąpi. Zarazem pragnął rzucić się w wir zajęć, żeby uciec od myśli o Emily i własnej słabości w konfrontacji z mordercą ojca. Latami czekał na tę chwilę, by stanąć z łajdakiem twarzą w twarz, po czym nawet nie wy dobył z siebie jednego obraźliwego słowa.

Nie posądzałby się o to, że będzie pokornie oczekiwał na ruch stryja. Ale też, odkąd został pełnoprawnym członkiem społeczności, nie posądzałby się o chęć pójścia w ślady ojca. Ach, do diabła, wcale nie naśladował Godfrey! Draniem kierowały chore motywy, gdy tymczasem Colin pospieszy siostrze na ratunek.

Tylko czy było warto? Gdy rozpocznie poszukiwania, stanie się wyrzutkiem, bez domu, przyjaciół czy choćby jednej zaufanej osoby. Pojął, jak bardzo sobie cenił życie w osadzie - chatkę w lesie, pracę w straży, codzienne kontakty z istotami takimi jak on, rozumiejącymi i dzielącymi jego potrzeby i pragnienia. U boku Gordona

odnalazł szczęście. Gdyby zatem stryj użył odpowiednich argumentów i przekonał Colina, że bardziej pomoże siostrze, zostając...

Jednakże w głębi ducha Colin wiedział, że żadne słowa go nie powstrzymają. Odwlekał chwilę, w której przekreślił swoje dotychczasowe życie, niemniej ani przez moment nie rozważał szczerze rezygnacji. Nie podda się bez walki, jak zalecał mu Udo. Musi to sobie często powtarzać.

Mat wsiadł do wozu. Sięgnął do tkwiących w stacyjce kluczyków, ale nie odpalił silnika.

- Czemu nie reagujesz na wykrywacz? - spytał, starając się zachować spokój, choć w rzeczywistości emocje wściekle w nim buzowały. Colin doceniał czynione przez brata wysiłki.

Kwestie techniczne wydawały się najbardziej pożądanym kierunkiem rozmowy; Colin nie czułby się na siłach bronić decyzji organizacji w sprawie Godfrey'a i Vivian. Udzielał Matowi kilkudzaniowych, powierzchownych wyjaśnień. Przy każdym pytaniu chłopaka uświadamiając sobie, jak niewielkim zasobem informacji dysponuje. Stryj i Roger przekazali mu tylko niezbędne wiadomości, opierał się więc głównie na własnych obserwacjach i intuicji.

Choćby głupi wykrywacz. Colin na niego nie reaguje ponieważ jest silnym świadomym. Zawsze się takim wytłumaczeniem zadowalał, tymczasem Mata ono nie usatysfakcjonowało.

- Okej, ale co ma siła do kichania? - drążył chłopak. - W jaki sposób wykrywacz działa? To znaczy, na jaki, czy ja

wiem, ośrodek w organizmie?

- Nie mam pojęcia. A dlaczego w identycznych warunkach środowiskowych jedni cierpią na alergię, a inni nie?

- Nie jestem alergikiem, więc się tym nie interesowałem. Ale naukowcy na pewno ustalili przyczynę, tak że gdyby temat zaczął mnie dotyczyć, mógłbym się odpowiednio doksztąpić. I zrobiłbym to.

Wysuwał podobne argumenty przy każdej kolejnej kwestii, aż Colina zaczęła ogarniać irytacja. W istocie złościła go jednak nie tyle sama dociekliwość Mata, ile łatwość, z jaką chłopak udowadniał mu ignorancję w sprawach, w których Colin teoretycznie uchodził za eksperta.

- Dlaczego srebro? - indagował Mat.

- Inne metale rozpuszczają się w naszej krwi. To wymaga czasu, więc jeśli wpakujesz przeciwnikowi ołowianą kulkę w newralgiczne miejsce, raczej się nie podniesie. Pocisk nie musi być odlany ze srebra, wystarczy go powlec cieniutką warstwą. Kiedy utkwi w ciele, pali postrzelonego od środka i jeśli nie zostanie natychmiast usunięty, może zabić, nawet gdy rana wydaje się niegroźna. Srebro działa jak trucizna, dlatego lepiej odciąć komuś pół ręki, niż zostawiać je w organizmie minutę dłużej. Rana potem i tak długo się jątrzy, podobnie jak w przypadku, gdy srebrna kula przeleci na wylot, wiele zatem zależy od tego, gdzie się dostało i od siły osobnika. Nie oberwałem jeszcze, ale sądzę, że pozbywszy się kuli, szybko bym się uleczył.

- No a dlaczego akurat srebro się nie rozpuszcza?

- Nie wiem, nie wnikałem - warknął Colin, ale zaraz się opanował. - Nie mam pojęcia, dlaczego srebro zabija a stal nie, dlaczego jedne zioła powstrzymują przemianę inne zaś ją wywołują. Strażnikowi wystarczy wiedzieć „co”. „Jak” jest zbędne.

- I naprawdę nigdy cię te sprawy nie zainteresowały?

- Dobra, powiedzmy, że owszem, zainteresowały mnie. Ale co z tego? Nie istnieje żadna Księga Wilkołaków, do której mógłbym sięgnąć, bo gdyby wpadła w niepowołane ręce, dostarczyłaby wrogom wiedzy o wszystkich naszych słabościach. A jeśli jednak istnieje, została starannie ukryta i taki szaraczek jak ja nie ma szans ujrzeć choćby narożnika okładki. Wiedzę przekazuje się ustnie, racjonując ją tak, że każdy dowiaduje się tylko tyle, ile mu trzeba, by prawidłowo wypełniał obowiązki. Większość moich informacji uzyskałem od stryja i kolegów ze straży. Jeśli zadaję pytanie z czystej ciekawości, odprawia się mnie z kwitkiem, a często jeszcze się przy tym nasłucham. Daleko posunięta dyskrecja stanowi warunek przetrwania społeczności, dlatego te metody stosuje się od wieków. Oczywiście, każdy świadomy trzyma w zanadrzu po kilka odpowiedzi na pytania osób postronnych o działanie srebra albo wykrywacza, bo nic tak nie pomaga w ukryciu prawdy, jak dobrze zorganizowany szum informacyjny. Nie wykluczam, że wśród nich znajduje się także właściwe wyjaśnienie, ale nie potrafiąc go rozpoznać, włożyłem je między bajki wraz z całą resztą.

Jak znaczną część wiedzy na temat samej organizacji posiadał Colin? Sądził dotąd, że jak na obowiązujące w społeczności standardy mimo wszystko sporą. Że czego nie wyjawiono mu wprost, trafnie wydedukował na podstawie obserwacji i powtarzających się motywów w opowiadanych przez starszyznę historiach. Po rozmowie z Udonem skłaniał się jednak ku opinii, że ogarnął ledwie ułamek prawdy. Organizacja mogła nie być tak mała i defensywna, jak powszechnie mniemano. Podobno w całej Ameryce Północnej oprócz osady Colina funkcjonowały jeszcze tylko dwie kolonie. Odsyłano do nich nieświadomych, których nie można było pozostawić wśród ludzi, a ich mieszkańcy także realizowali określone zadania na rzecz społeczności. Stamtąd przywędrowała Ianthe i jeszcze kilka znanych Colinowi osób. Niemniej bliższych wyjaśnień nie sposób było od nikogo uzyskać - nie należało w ogóle pytać. Osadę Przedsiębiorstwa Drzewnego Trzech Potoków, siedzibę lidera, uważano za centralę. W niej zamieszkiwali najsilniejsi świadomi i kręciły się najważniejsze tryby organizacji.

Tyle Colin na ten temat usłyszał, głównie od Gordona, przy czym był to zapewne standardowy zasób informacji, na jaki mógł liczyć szeregowy członek organizacji. Nie próbował konfrontować owych wiadomości z rzeczywistością. A jeśli osad było w Ameryce dwadzieścia? Jeśli liczbę świadomych na świecie mierzyło się nie w dziesiątkach czy setkach, ale w tysiącach?

Już na podstawie uwag, jakie stryj czynił na temat zasad

działania organizacji, Colinowi niejednokrotnie nasuwało się podejrzenie, że nie może chodzić o strukturę z marną setką członków. Ile wiedział sam Gordon? Jaką pozycję w hierarchii zajmował Udo? A jeśli nawet oficjalni liderzy otrzymywali selektywną informację?

Znienacka uderzyła go myśl, że Gordon nie posiada następcy. Pod jego nieobecność organizacji przewodził Kent, co nie czyniło z niego od razu kandydata na kolejnego lidera - facetowi stanowczo brakowało do tej roli predyspozycji.

A gdyby, dajmy na to, Gordon zginął? Czy w osadzie ktoś jeszcze znał wszystkie tajemnice organizacji? Wątpliwe. Colin prędkiej powiedziałby, że stryj jego właśnie przygotowuje do przejęcia funkcji, że temu służą wtrącane mimochodem uwagi, często stojące w sprzeczności z zasadą zacytowaną przed momentem przez Gordona. Ale przyszłe liderowanie Colina mieściło się wciąż w sferze domniemań, a od zostania formalnym następcą dzieliła go nadal bardzo daleka droga.

Niewątpliwie więc kandydat mieszkał poza ich osadą. Inaczej w razie śmierci Gordona powstałby totalny chaos, organizacja zaś nigdy nie podjęłaby równie bezsensownego ryzyka.

Nowy lider przybyłby z zewnątrz i nikt z podwładnych nie orientowałby się, czy wyszkolił go Gordon, jak wcześniej jego Joachim, czy też tonące w mrokach tajemnicy struktury. Niewykluczone zatem, że oficjalny przywódca był zaledwie pionkiem, wymiennym elementem tkanej

misternie przez wieki intrygi, mającej na celu nie tylko ochronę społeczności przed ludźmi, ale także otumanienie samych jej członków.

Cholera, popadał w paranoję. Fakt, że jego, narwanego i nieodpowiedzialnego młokosa, odizolowano od informacji, nie oznaczał, że podobnie postępowano względem bardziej statecznych świadomych. Połowa mieszkańców jego osady mogła być w stanie w każdej chwili zastąpić poległego lidera.

Ponaglił Mata, gdyż zależało mu na odzyskaniu komórki; Gordon mógł szukać z nim kontaktu. Colin miał do stryja tyle pytań, że chwilowo zapomniał o wściekłości. Niestety, lider nie wyjawi bratankowi nic ponad absolutne minimum.

\*\*\*

Chłopak zatrzymał land-rovera pod hotelem.

- Muszę wracać do domu - mruknął niewyraźnie. - Ciotka odchodzi od zmysłów. A wuj albo wybył, albo dodatkowo ją dobija, sam więc rozumiesz... - Wbrew tej deklaracji wysiadł z wozu.

Zbliżała się ku nim dziewczyna, wysoka, długonoga o prostych czarnych włosach i ślicznej owalnej twarzy. Chłopak ze świstem wypuścił ustami powietrze. Natłok przykrych rewelacji najwyraźniej nie uczynił go obojętnym na kobiece wdzięki.

Reakcja brata uzmysłowiła Colinowi, że Rose jest skończoną pięknnością. Cholera, dotąd postrzegał ją wyłącznie w kontekście wyobrażeń o Ianthie. I dobrze, bo

gdyby zaczęli ze sobą kręcić, swoim odejściem postawiłyby ją w niezręcznej sytuacji, zawieszoną między uczuciem do niego a lojalnością wobec organizacji. Co by wybrała?

Zakładał, że lojalność, w myśl zasady, iż cele społeczności stoją ponad prywatnymi. Niemniej, z drugiej strony, co on wiedział o uczuciach? Czyż właśnie nie miłość do Ianthe legła u podstaw buntu Godfreya? Zarazem jednak był to jedyny znany Colinowi przykład, wyjątek od reguły. Czy aby na pewno wyjątek? Sytuacja dotykała Colina bezpośrednio, Gordon nie zdołał więc pewnych faktów przed nim zataić. Natomiast na dziesiątki innych podobnych zająć spuszczone zapewne zasłonę milczenia.

Colin przedstawił ich sobie. Na twarzy Mata odmalowało się zdumienie, że brat zna to cudowne zjawisko.

- Powiedziałem mu - wyjaśnił Colin. - O straży również.

- To znaczy, że ona... że ty też...? - jąkał się Mat.

- Ja też - ucięła Rose, marszcząc wydepilowane u nasady nosa brwi; pojedyncze włoski już odrastały. - Czynniki przyciągający, czymkolwiek był, chwilowo przestał oddziaływać - zwróciła się do Colina. Mam podstawy przypuszczać, że trwale. Możemy przystąpić do usypiania.

Lakonicznie zrelacjonował Rose wydarzenia ubiegłej nocy porwanie siostry i swój pobyt w areszcie, z której to zresztą przyczyny się do nich nie odezwał. Orientowała się w temacie.

- Słyszeliśmy rozmowy policji - powiedziała z łagodną nutą w głosie. - Colin, szczerze ci współczuję. Jedziesz za nią?



- Później. Czasowo tropieniem Emily mogą się zająć gliny. Machina poszła w ruch, więc niewykluczone, że sami ją odnajdą. Zajmę się sprawą osobiście, kiedy zakończymy zadanie. Wolę mieć oko na kumpli Mata. Jeszcze ich nie poznałaś, ale zapewniam cię, że potrafią być nieobliczalni.

Oczywiście, nie uwierzyła. Co z tego, że Colin doskonale zamaskował kłamstwo? Gdyby chodziło o zwyczajne uprowadzenie, już wieczorem wróciłby do miasteczka z wyratowaną z łap przestępcy siostrą w ramionach. I jeszcze by zdążył wesprzeć straż przy nieświadomych.

Nie pomogło mu też zdumienie Mata. Chłopak wprowadzenie nie zabierał głosu, niemniej pulsujące w nim emocje mówiły za niego. Rose powstrzymała się jednak od komentarza.

- Miałam cię znaleźć i wracać. Nie chciałam się kręcić glinom pod nosem, więc ostatnie czterdzieści minut spędziłam, tkwiąc kołkiem przy twoim motorze. Muszę lecieć. Bądź za godzinę na parkingu. - Zwięźle wyjaśniła Colinowi lokalizację.

Dziwił się jej stanowczości i dystansowi. Nie znał takiej Rose. Wydawała mu się dotąd nieśmiałym dziewczęciem, płoniącym się przy każdej jego uwadze. W ciągu tygodnia uległa metamorfozie? Nie, to chyba niemy zachwyt brata sprawił, że Colin spojrzał na Rose inaczej. Pożałował, że nie będzie miał okazji wyznać jej, że ogromnie mu się podoba i był cholernie głupi, tak długo jej nie dostrzegając. Kretyńskie myśli. Gdyby nie opuszczał kolegów, nawet by mu nie zaświtały.

- Więc ustalone - podsumowała Rose. - A jego -

podbródkiem wskazała Mata - trzymaj od sprawy z daleka.

Obróciwszy się na pięcie, wsiadła do poobijanej i obdrapanej toyoty land cruiser.

- Niezła laska - mruknął Mat. - Żeby jeszcze wykrzesła z siebie chociaż śladową serdeczność...

- Masz Carol.

- Na mózg ci padło? Nie mówię o sobie. Nie przyszłoby mi... - Ugryzł się w język; zapewne końcówka miała brzmieć: „...do głowy zadawać się z wilkołaczą”. - Myślałem o tobie.

- Taa, potomstwo odziedziczyłoby wspaniały zestaw cech.  
- Colin wykrzywił usta.

- Potomstwo? Czy ty mówiłeś poważnie o tym reproduktorze?

- Oficjalnie czasy aranżowanych małżeństw minęły i nikt cię już do niczego nie przymusza. Ale kojarząc dwoje świadomych, masz prawie stuprocentowe prawdopodobieństwo uzyskania świadomego, podczas gdy świadomy z nieświadomym lub człowiekiem daje tylko siedemdziesiąt procent. Trudno walczyć ze statystyką. Dawniej lider poinformowałby cię, kogo masz poślubić. Współcześnie aranżowanie związku przebiega subtelniej: na każdym kroku słyszysz, że tworzylibyście idealną parę, że urodziłyby się wam cudowne dzieci i jaki wstyd, żeby dwa dorodne okazy nie przysłużyły się społeczności. I tak do urzygania.

Jak dobrali się Ianthe i Godfrey? Niewątpliwie darzyli się uczuciem, lecz ono mogło zarówno ich połączyć, jak i

zakiętkować dopiero po ślubie.

Colin nie był sprawiedliwy, w ten sposób przedstawiając Matowi rządzące kojarzeniem par prawa. Jeśli dwoje świadomych się w sobie zakocha, nikt nie staje im na przeszkodzie, i nie czyniono tego również w przeszłości. Nikt, dajmy na to, nie spróbowałby wyswatać Ady Grieve'owi, jeśli jej wybór padł na Fisha. A że świadomych ciągnie raczej do innych świadomych niż do ludzi czy nieświadomych, pożądane w społeczności związki tworzą się najczęściej samoistnie.

Jedynie osobom, które w stanie wolnym, bez widoków na jego zmianę, wkroczyły w wiek uznawany za najlepszy dla celów prokreacyjnych, partnera wskazuje starszyzna. No, w każdym razie dawniej wskazywała. Analizowano charaktery i predyspozycje obu stron, tak że między kojarzonymi niemal zawsze rodziło się uczucie. Jeżeli jednak zdarzyło się inaczej, nikogo nie zmuszano do trwania w niesatysfakcjonującym związku.

Niewykluczone, że Ianthe sprowadzono na żonę dla Godfrey'a w efekcie takiej właśnie starannej analizy. I choć nie spotkali się nigdy wcześniej (bo jak mieliby się spotkać?), okazali się doskonale dopasowani i pokochali się od pierwszego wejrzenia.

- Jesteście nieźle pokręceni - orzekł Mat. - Jak... niewolnicy. Żeby nie decydować za siebie w najbardziej intymnych sprawach?

Słowa chłopaka uzmysłowiły Colinowi, że w poprzednich rozważaniach umknął mu drobny szczegół. Związek to

jedno, a prokreacja drugie. Rzeczywiście, w pewnych intymnych sprawach członkowie społeczności nie zawsze mogą decydować za siebie. Niemniej te akurat zasady Colin uważał za słuszne i zrozumiałe.

- Z punktu widzenia przetrwania gatunku powinno się płodzić jak najsilniejsze osobniki - wyjaśnił bratu. - Zdrowych świadomych, którzy będą efektywnie pracować na rzecz społeczności. Obciążony wrodzoną wadą człowiek pragnie własnego dziecka, nawet kiedy doskonale zdaje sobie sprawę, jak duża jest szansa, że odziedziczy ono jego ułomność. Nie sądzisz, że to samolubna postawa? Pomijając już dobro samego dziecka, gdybyśmy postępowali w podobny sposób, osłabilibyśmy społeczność. Jest nas po prostu za mało na takie eksperymenty. Dlatego osobnik obciążony wadą genetyczną otrzymuje zakaz prokreacji. Wolno mu natomiast dziecko adoptować. Oczywiście, jeśli biologiczny rodzic lub rodzice przystaną na taki układ.

Nieświadomość także bywa uznawana za wadę genetyczną. Osobniki czwartej... nie, piątej kategorii, czyli czysty kłopot. Drugą kategorię tworzą obciążeni genetycznie świadomi. Choć wydają się pełnoprawnymi członkami społeczności, są obwarowani większą niż inni liczbą zakazów, siłą rzeczy więc spotykają się czasem z pogardą niewybrakowanych jedynek. Do trzeciej kategorii zalicza się ludzi, czwarta obejmuje półświadomych. Ale tego podziału Colin nie zamierzał Matowi przedstawiać. Zresztą, nawet w osadzie krzywo patrzyło się na głoszących podobne poglądy - mimo że w duchu większość

świadomych pierwszej kategorii się z nimi zgadzała.

- Można powiedzieć, że to taki planowy dobór naturalny - dodał Colin. - Jak widzisz, prokreacja nie musi się od razu wiązać z małżeństwem ani nawet rodzicielstwem. Zapładniasz odpowiednią osobę i nic więcej cię nie interesuje.

- Świetnie - prychnął Mat. - Skoro tak zażarcie bronisz tych chorych zasad, czemu nie jesteś z tą Rose? Laska pierwsza klasa. W dodatku na ciebie leci. Zapładnianie jej nie byłoby chyba szczególnie przykrym zajęciem?

- Mam przeczucie, że powinienem poczekać, bo jeszcze nie spotkałem tej właściwej. Nie śmieję się - warknął, kiedy Mat wywrócił oczami. - Mnie przeczucia rzadko zawodzą.

Kolejna tępiona przez Godfreya cecha, mimo że raczej nie sposób uznać jej za charakterystyczną dla członków społeczności. Owszem, świadomi wykazują się lepszą niż przeciętny człowiek intuicją, ale przeczucia Colina były czymś więcej. Ocierały się wręcz o jasnowidztwo.

Colin szybko nauczył się unikać przy ojcu wypowiedzania się na temat zdarzeń z bliższej czy dalszej przyszłości, niemniej samej skłonności nie usiłował w sobie tłumić. Podszepty przeczucia niejednokrotnie pomogły mu umknąć przed gniewem Godfreya, więc choćby z tego względu okazywały się przydatne. Ojciec z czasem jakby o sprawie zapomniał. Może uznał trafne przepowiednie syna za zbieg okoliczności albo przyjął, że Colin po prostu z nich wyrósł.

- U nas... podobnie jak u wilków, związki tworzy się na długo - ciągnął Colin łagodniej. - Trwają zwykle aż do

śmierci jednego z partnerów. Nie mogę pozwolić sobie na przelotną przygodę z Rose. Ona... jej marzy się coś więcej niż zapłodnienie. Między nami niczego nie było, nie ma i nie będzie. Wkrótce zniknę z jej życia, a Rose zakocha się w kimś innym i odkryje, że mną była jedynie chwilowo zauroczona. Aha, o właściwościach Emily i tożsamości Udoni wiemy wyłącznie my dwaj. Dla reszty zostaje wersja z terrorystą.

- Więc nie są twoimi przyjaciółmi?

- Nic im po tej informacji. Co najwyżej przysporzyłyby im kłopotów.

- Jezu, Colin. Myślałem, że bycie wilkołakiem równa się wolności. Że żyjecie... no nie wiem, odizolowani od tego całego chłamu, jak wilki. A wy nawet wysrać się nie możecie...

- Nie przesadzaj - uciął Colin ostro. - Żyjemy jak wilki żebyś wiedział. Obcowanie z naturą daje poczucie wolności. Jesteśmy bardziej wolni niż przeciętny człowiek. Każdego obowiązują jakieś ograniczenia. Jeśli więc przestrzega się reguł...

- Wierzysz w to tak sam z siebie czy zrobili ci pranie mózgu?

- Za niecałą godzinę mam się z nimi spotkać, a chcę jeszcze pogadać z Jackiem. Ty się wybierasz do domu?

Ledwie szczeniak usłyszał o organizacji, a już mu się wydaje, że zjadł wszystkie rozumy. Ekspert, cholera!

Większość członków ich kanadyjskiej komuny autentycznie czuła się wolna. Ludzie są uwięzieni przez

pracę, rodzinę, dom, na który często zaciągnęli wieloletnią pożyczkę. Krępują ich przepisy prawne i mnóstwo norm społecznych. Cóż więc złego w tym, że w osadzie także każdy musiał przestrzegać pewnych zasad? Jej mieszkańcy zajmowali się tym, co lubili - ludzi nieczęsto spotyka podobny komfort. Dumni ze swej drugiej natury, z zapałem angażowali się w ochronę tajemnicy. Osada pozwalała im na bycie sobą. Nie tęsknili za innym życiem.

Tym bardziej że stosowanie się do reguł niemal każdy członek społeczności ma wpisane w geny. Pragnie funkcjonować w stadzie, w obrębie ściśle ustalonej społecznej hierarchii, podporządkowany przywódcy. Tę potrzebę przejawiają nawet silne alfy, czyli osobniki z natury skłonne do dominacji. Wystarczy im wycinek władzy w ramach zajmowanego stanowiska, nie chciałyby natomiast brać na swoje barki odpowiedzialności za całą organizację.

Jeśli Mat upierał się nazywać osadę rodzajem więzienia, niech mu będzie. Powinien jednak przyjąć do wiadomości, że bez owego więzienia członkowie społeczności czuliby się osamotnieni i zagubieni. Krótko mówiąc: nieszczęśliwi.

Colinowi też przeważnie odpowiadało takie bytowanie. W porównaniu z latami spędzonymi u boku Godfrey'a ostatnie siedem odbierał jako idyllę. Problem w tym, że wszelkie ograniczenia wywoływały w nim bunt. Owszem, mógł funkcjonować w stadzie, ale ze świadomością, że sam dokonał tego wyboru i będzie mu wolno odejść, jeśli tego zechce. A przecież w każdej chwili owych siedmiu lat

zdawał sobie sprawę, że odejść mu nie wolno. Cholera, a jeśli podobne rozterki legły u podstaw szaleństwa Godfrey'a, śmierć Ianthe zaś podziałała jedynie jak zapalnik? Nie wróżyłoby to dobrze Colinowi.

Przyjaciołom ze straży Colin kilkakrotnie napomynał o swoich kłopotach z przystosowaniem, ostrożnie badając grunt, zanim rozwinie temat. Lecz już na wstępie natrafił na mur niezrozumienia.

Stanowił zgrzyt w idealnie zharmonizowanej społeczności. Gdyby Godfrey nie wyrwał go z niej tak wcześnie... Bzdura, Colin posiadał naturę samotnika i tyle. Wszyscy świadomi dorastali poza osadą. Przybywali do niej w tym samym co on wieku, po czym bez oporów wtapiali się w zastany układ zależności. W Kanadzie Colin odnalazł szczęście, ale samotność będzie mniej bolesna, niż usiłował sobie wmówić.

\*\*\*

Komórka tkwiła w kieszeni nowych spodni, a zatem tam, gdzie Colin ją zostawił, mimo że zapachy w pokoju poinformowały go o nocnej wizycie Nigela z gliniarzem. Ściślej: najpierw myszkował tu Stewart, a parę godzin później glina. W obu wypadkach recepcjonista zapewne „udał się akurat na dłużej do toalety”.

Zajrzał do sakw. Ciekawe, co sobie pomyśleli na widok ziół i amuletów. Bez wątpienia wzięli próbki, jednak na ludzi niewiele z nich wywiera narkotyzujący wpływ. Będą zmuszeni przyjąć, że Colin interesuje się naturalnymi metodami leczniczymi.



Telefonu dotykali obaj, ale raczej żaden nie wchodził w menu, ponieważ na ekranie widniał komunikat o szesnastu nieodebranych połączeniach. Chociaż mogły nastąpić później... Ach, co za różnica. Nigel spodziewał się zastać opuszczony pokój lub przynajmniej spakowane bagaże, wskazujące niezbicie, że Colin planował wynieść się chyłkiem z miasteczka. Te przewidywania się nie potwierdziły, za to wszelkie poszlaki wskazywały na Udoną. Nikt już nie będzie zawracał sobie głowy Colinem, jego ziołami ani odbytymi przez niego rozmowami.

Przejrzał nieodebrane połączenia. Naturalnie, dzwonił Mat, a także Nigel, Fish, Rose i Gordon. Colin wpatrywał się chwilę w ten ostatni numer, wreszcie jednak potrząsnął głową. Nie będzie niczego przyspieszał. Musiał pogadać z Jackiem i zdążyć na spotkanie ze strażą. A jeszcze wcześniej, koniecznie, wziąć prysznic, żeby pozbyć się zapachu Udony.

\*\*\*

Zapukał do drzwi przyczepy. Otaksował łowcę uważnym spojrzeniem, ale odkrył wyłącznie oznaki niewyspania.

- Nieźle wyglądam, jak na osobę po ataku świadomego - stwierdził Benson, gestem zapraszając Colina do środka.

- Z ust mi to wyjąłeś.

- Tylko na mnie spojrzał. Następne, co pamiętam, to twarze potrząsających mną na przemian Paula i Martina. - Zabrał ją.

- Potem będę jej szukać. Rozmawiałem z Matem, a ciebie

chciałbym prosić, żebyś przekonał pozostałych. Ciebie posłuchają. Nie taki wilk straszny i temu podobne.

- Jadłeś coś od wczoraj? - zapytał z uśmiechem Benson.

Pochłaniając gigantyczną porcję jajecznicy, Colin rozważał, czemu Udo oszczędził Jacka. Parę godzin w tę czy w tamtą nie sprawiało różnicy, a zabiwszy Bensona, Udo nie zdążyłby usunąć ciała. Gliny dogrzebałyby się intrygujących faktów z przeszłości ofiary, ktoś skojarzyłby je z niedawnym atakiem niedźwiedzia... Wygodniej i bezpieczniej było zostawić Gordonowi załatwienie tej sprawy. Dość prawdopodobny tok rozumowania, niemniej w wypadku Udonie niebezpiecznie było czynić jakiegokolwiek założenia.

- Myślisz, że zdołasz ją odnaleźć? - zagadnął cicho Benson.

- Straciłbym do siebie szacunek, gdybym nie spróbował - mruknął Colin, nie patrząc na łowcę.

- Jesteś pewien swoich motywów?

- To moja siostra! O co ci chodzi? - obruszył się, gniewnie rzucając widelec; i tak nie zdołałby już dokładniej wyskrobać talerza.

Łowca trafił w sedno, cholera: Colin nie potrafił z całym zdecydowaniem wyjaśnić, co nim kierowało.

- Masz rację, głupie pytanie - westchnął Benson. - Jeśli chodzi o młodzież, to od początku uderzam przy nich w nutę „nie taki wilk straszny”. Zauważyłeś wymierne efekty?

- Banda nieobliczalnych, rozwydrzonych małolatów - orzekł z niechęcią Colin. - Ale przynajmniej zaczęli dostrzegać ludzką twarz obiektów.

Liczył na autorytet Bensaona u smarkaczy, zapewne słusznie. W takim razie, jakie konsekwencje przyniesie zniknięcie łowcy? Uwierzą, że po prostu wyjechał, zrywając z nim kontakt? Colina znowu dopadł ów dziwny chłód. Lubił i szanował Jacka, prosił go właśnie o pomoc, rozmawiał z nim na temat Emily, jadł jego jajecznicę – a jednocześnie bez emocji rozmyślał o następstwach jego śmierci. Nieuniknionej. Powinien był go ostrzec.

Chociaż... najpierw mógłby Bensaona zagadnąć o przyczyny pośpiechu minionej nocy. Cholera wie, czy Em nie miała szczęścia, że porwał ją Udo. A nuż w przeciwnym razie wpadłaby w łapy rządowych agentów? Colin zastanowił się ponownie, czy może zaufać Jackowi w kwestii smarkaczy. Cóż, chyba tak. Agencji szczeniaki przydadzą się wyłącznie jako przykład ocalonych niewinnych, argument za dalszym finansowaniem jednostki z pieniędzy podatników. Poza tym, w dziennym świetle konspiracyjna teoria wydawała się Colinowi coraz bardziej fantastyczna.

- Czyli ustalone – oznajmił Colin, wstając. – Muszę się spotkać ze strażą. Smarkacze są umówieni o czwartej u Paula, tam się zobaczymy. Dzięki za śniadanie.

A gdyby zapytał Jacka wprost o współpracę z rządem? Zaprzeczenie i tak nic by Colinowi nie dało, łowca bowiem udowodnił, jak perfekcyjnie potrafi kłamać. A co Colin by zrobił, usłyszawszy potwierdzenie? Nie miał pojęcia, czy przekazanie tego rodzaju informacji Gordonowi ocaliłoby Bensaona, czy przeciwnie, przyspieszyło jego likwidację.

Niemniej Colin będzie musiał podzielić się ze stryjem swymi podejrzeniami. Zaklął w duchu, uświadomiwszy sobie, że nadal uznaje Gordona za przywódcę.

\*\*\*

Mimo że był już spóźniony, przez miasteczko przejechał bez pośpiechu. Nie chciał, by ktoś usłużny doniósł Nigelowi o „panicznej ucieczce” Colina.

- Dwadzieścia minut - powitał go gniewnie Fish. - Mógłbyś niekiedy... - Urwał w pół zdania pod wpływem spojrzenia Colina.

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem, po czym Colin odpuścił. Wygrałby, cholera. Znowu stracił nad sobą panowanie. Zachowywał się jak osobnik dominujący, taką postawą podważając przywództwo Fisha. A przecież ostatnim, czego Colin w tej chwili potrzebował, była odpowiedzialność za ekipę straży.

- Słuchaj, porwano Emily - mruknął. - Jestem nieco rozkojarzony. Przepraszam.

W plecy połaskotał go badawczy wzrok Caramela, ale obróciwszy się, Colin stwierdził, że kolega drzemie z łbem złożonym na masywnych łapach. Niezmiernie łatwo było Caramela zlekceważyć, jedynie dlatego, że na stałe wybrał wilczą postać. Tymczasem gdyby szczeniak zechciał, zdominowałby Fisha nie mniej sprawnie niż Colin. Caramel także miał naturę samotnika, nie było w nim jednak gniewu, skłonności do buntu. Trzymał się po prostu na uboczu, zadowolając się niezależnością duchową.

Wzięli się do omawiania problemu Mata i jego paczki, jako że smarkacze stanowili dla straży wyzwanie znacznie większe niż zerówki. Nieświadomych się uspi i odeśle do domów. Zapamiętają spontaniczną wycieczkę w góry - normalka, każdy musi czasem uciec od codzienności. Następnie załatwi się im nowe nazwiska i wmówi, że byli świadkami przestępstwa, wskutek czego życie ich i ich rodzin znalazło się w niebezpieczeństwie. „Muszą państwo zniknąć, wszystko już zorganizowaliśmy. Oto papiery, nowe miejsce zamieszkania. Proszę zerwać kontakty ze znajomymi. Zgłosimy się po zeznanie”. Potem zaś wynikną niespodziewane komplikacje, które uniemożliwią powrót rodziny na stare śmieci. Zasadniczo bułka z masłem. Jak natomiast mieli przekonać smarkaczy, żeby trzymali język za zębami i zaniechali dalszych poszukiwań, a najlepiej w ogóle zapomnieli o wydarzeniach ostatnich dni?

- Mata biorę na siebie - zadeklarował Colin. - Jeśli idzie o pozostałych... Benson ma na nich spory wpływ.

- Benson? Pojebało cię? - warknął Sean. - Powiedziałeś mu o nas?

- Dał mi do zrozumienia, że wie o waszym istnieniu.

- Do zrozumienia! Podpuszczał cię jak nic - orzekł ponuro Grieve.

- Mógł mnie zabić, a jednak tego nie zrobił. Wystawił mi Stipe'a...

- Co znaczy, że wystawił ci Stipe'a? - zareagował ostro Fish.

Przez telefon Colin nie wspomniał o zajściu - jakoś

wyleciało mu to z głowy. Wytłumaczył się zatem teraz z likwidacji łowcy, nie rozwodząc się zbytnio, bo też nie było o czym opowiadać. Fish patrzył na niego dziwnie, lecz nie skomentował decyzji Colina. Caramel mlasnął znudzony. Pozostali jednak powitali nowinę z zadowoleniem. Nawet Grieve wydawał się ucieszony. Colin wprawdzie nigdy nie widział na jego twarzy uśmiechu, ale nauczył się, że niewielkie ożywienie stanowi u kumpla przejaw szalonej radości.

Najważniejsze, że tym argumentem Colin przekonał ich do Bensa. Żeby tak jeszcze, cholera, podobna sztuczka powiodła mu się z Gordonem.

- Ujawnijmy się - zaproponowała Ada. - Dzieciaki zobaczą, że niczym się od nich nie różnimy.

- Założmy stronę internetową - warknął Sean. - Ze zdjęciami w obu postaciach, numerami telefonów i adresem.

- I tak wszyscy otrzymają nową tożsamość - stwierdził Fish.

- Zgoda, ale dla trzydziestu osób z rodzinami nie załatwisz sprawy w dwa dni - broniła swej koncepcji Ada. - Zyskamy przynajmniej parę tygodni spokoju. Czy mówię, żeby podawać im nasze dane? Czego się boisz? Że polecą na policję poskarżyć się, że wywiodła ich w pole grupa wilkołaków?

- Ada! - ostrzegł Fish.

- Och. No tak. Gdybyś przystał na moje rozwiązanie, jeszcze by ci zarzucili, że kierujesz się osobistymi

względnymi.

- Wypraszam sobie! - zaprotestował Dustin. - Czuję się dotknięty. Na pewno nie powiedziałbym, że kieruje się osobistymi względami. Że myśli futem, ewentualnie...

- Och, zamknij się. - Obrażona Ada odwróciła się do brata plecami.

- Jak zamierzacie niezauważenie odbyć trzydzieści rozmów? - włączyła się do dyskusji Rose. - Zaangażujmy młodzież w nasze działania. Dzięki temu zrozumieją ich cel i poczują się współodpowiedzialni za bezpieczny powrót tych biedaków do rodzin. Pokażmy im, że nie mają do czynienia z bestiami, ale z grupą potrzebujących pomocy osób. Może wówczas całkiem odpuszczą i obejdzie się bez nowych tożsamości. Sam powiedz, Fish, ile razy uczestniczyłeś w akcji zmiany nazwiska? Dwa? Trzy? Mówimy o gigantycznym przedsięwzięciu! Gdybyśmy przeciągnęli te dzieciaki na naszą stronę, wystarczyłoby tylko zmiana adresu. Jeśli zaproponujesz nieświadomym pracę znacznie atrakcyjniejszą niż obecna, sami będą chcieli się przeprowadzać. Organizacyjnie o wiele prostsze, a i tak zastanawiam się, czy podołamy. A ty się nie wąż wspominać o solidarności jajników - zwróciła się lodowato do Dustina.

- Ludzi się nie wtajemnicza - uciął Fish.

- Już są wtajemniczeni! - upierała się Ada. - I tym bardziej powinniśmy się nimi zająć. Trzeba ich trochę skołować. Przecież ścisła tajemnica od dawna jest fikcją. Zetknęły się z nami setki osób: łowcy, rząd, świadkowie. A

jednak przetrwaliśmy.

- Od szumu informacyjnego są inni - zawyrokował Fish - Brak nam na tym polu doświadczenia. Oddziaływanie ustało, więc nieświadomi prawdopodobnie rozjadą się do domów bez naszego udziału. Nie będziemy nic robić tutaj, dotrzemy do nich później.

- Od kiedy zadowala cię „prawdopodobnie”? - prychnęła Ada.

- Przecież jedzie od nich nieaktywnością na milę - warknął Sean.

Raz przebudzeni nieświadomi wydzielają charakterystyczny zapach również wówczas, kiedy wilcza natura zostanie w nich ponownie uspijona, zmienia się jednak jego nuta. Nietrudno zatem rozpoznać, czy dany osobnik wykazuje podczas pełni aktywność.

Rzeczywiście, Colin także odnotował, że unoszące się w hotelowym hallu wonie uległy od ubiegłego wieczoru modyfikacji. Niemniej istota problemu nie sprowadzała się do działań względem nieświadomych, ale do znalezienia sposobu na spacyfikowanie smarkaczy.

- Benson już im nieźle namieszał w głowie - wtrącił neutralnym tonem.

Dziewczyny uformowały silny front, a zakochany w Rose po uszy Dustin nie tylko zrezygnował z pokpiwania, ale nawet nieśmiało brał ich stronę, deklarując, że chętnie podejmie się wciskać szczeniakom kit. Straż przeszkolono w tym zakresie, pobieźnie bo pobieźnie, ale przecież opowiadanie bajek to nie jest żadna filozofia. No, a skoro



ich zakładano widocznie, że ta umiejętność kiedyś się przyda. Fish mógł więc porzucić skrupuły, że łamie zasady, w końcu od przywódcy straży oczekuje się samodzielnego myślenia w sytuacjach, do których nie da się zastosować standardowej procedury.

- Wystarczy potakiwać wszelkim przesądom, jakie znają na nasz temat - zakonkludował z przekąsem Dustin. - Z wyjątkiem tych o nieokiełznanej krwiożerczości, oczywiście.

Grieve zwykle rzadko się odzywał, Caramel zaś wszelkim sporom przysłuchiwał się z niezmiennie zblazowaną miną, jakby dawał do zrozumienia, że żaden temat nie zasługuje na jego uwagę. U boku Fisha stał zatem jedynie Sean, przy czym jego zjadliwe komentarze nie wносиły do dyskusji wielu rzeczowych argumentów.

W Colinie pomysł Ady wzbudzał mieszane uczucia. Smarkacze nie mieli za grosz odpowiedzialności, raczej więc nie poczują się „współodpowiedzialni” za los nieświadomych. Z drugiej strony, bratu Colin zdradził nieporównanie więcej, a dojrzałość chłopaka także pozostawiała wiele do życzenia.

- Podamy się za grupkę zapaleńców - przekonywała Rose. - Ochotników z wielkim życiowym celem. Żyjemy w komunie i poza „leczonymi” nie znamy innych nam podobnych.

- Tylko uwzględnijcie, że w ich mniemaniu nieświadomy jest jedyną odmianą wilkołaka - wtrącił Colin. - Benson ich w tej opinii utwierdził.

- No właśnie, to przesądza sprawę - orzekł Fish. - Nawet

łowcy w większości wątpią w nasze istnienie. Nie podamy im się na tacy.

- Przy odrobinie wyobraźni wszystko można odpowiednio wyjaśnić - obruszyła się Ada, przy czym jej gniewne spojrzenie sugerowało, że w najbliższych dniach Fish nie ma co liczyć na względy. - Jest już po pełni, więc w nocy zachowujemy ludzką postać i tyle.

- A Caramel?

- No to zawiesimy sobie na szyjach amulety i będziemy twierdzić, że jedynie dzięki nim zachowujemy kontrolę

- A jak wytłumaczysz dominację? - nie ustępował Fish

- Pochodzimy ze starodawnego rodu - zabrał głos Dustin.

- Przed wiekami naszego przodka ugryzł Wielki Wilk. Od tamtej pory... bo ja wiem... kolejne pokolenia przyjmują na siebie zaszczytną misję niesienia pomocy ludziom i zagubionym wilkołakom.

- I twoim zdaniem ta historyjka wielce się różni od definicji świadomego? - warknął Sean.

- Od najmłodszych lat jesteśmy przygotowywani na dzień, w którym obudzi się w nas wilk. - Dustin wzruszył ramionami. - Są odprawiane pradawne obrzędy w blasku księżyca. Przeprowadzenie serii takich obrzędów, zawsze w precyzyjnie dobranych momentach, gwarantuje podporządkowanie w tobie wilka człowiekowi. Amulety stanowią dodatkowe zabezpieczenie. To nie oznacza, że po przemianie pozostajemy w pełni sobą. O nie, moi drodzy. Ulegamy zwierzęcym instynktom, gdyż ludzka część naszej

natury utrzymuje aktywność jedynie w tle, włączając się do akcji wówczas, gdy sytuacja tego wymaga. Co doskonale widać na przykładzie Caramela. Nasz kolega zachowuje się jak wierny, ułożony, aczkolwiek średnio rozgarnięty kaukaz, w którym trudno dopatrzeć się iskierki człowieczeństwa.

Caramel wydał pełen dezaprobaty pomruk; Dustin już dawno obrał go sobie za ulubiony obiekt żartów.

- Ten Wielki Wilk nosi jakieś imię? - poddał się Fish.

- Po cholere? „Wielki Wilk” brzmi dostojnie i tajemniczo, a przy tym życzę im zdrowia, jeśli zechcą znaleźć w necie informacje na jego temat.

- Wielki Wilk. - Fish z rezygnacją pokręcił głową.

Przywódca musiał się liczyć ze zdaniem większości, ujawnienie się straży zostało zatem przesądzone. Żeby kolegom nie przydarzyła się rażąca wpadka, Colin pokrótce zrelacjonował, co dotąd naopowiadał smarkaczom Benson. Fish kręcił nosem, że za dużo w tych informacjach prawdy, Ada ripostowała, że tym bardziej powinni skorzystać z okazji do namieszania szczeniakom w głowie. Dustin żywo poparł siostrę - wyraźnie zapalił się do zadania.

Skoro pragnęli zaprezentować się młodzieży jako uosobienie praworządności, nie zaszkodziłoby w drodze pokazowego śledztwa ująć zabójcę Hammera. Colin wspomniał o czterech podejrzanych (z martwym Basilem włącznie), proponując wystawienie Linera. Zgodnie z jego przewidywaniami, Fish skrzywił się na pomysł wydawania wyroku jedynie na podstawie poszlak.

- Poznasz całą trójkę, a zmienisz zdanie - zdenerwował

się Colin. - Jeżeli nawet winę ponosi któreś z tamtych, zasługuje na drugą szansę. Liner natomiast, jeśli nie zabił tym razem, uczyni to przy pierwszej nadarzającej się okazji. Nazwij to działaniem profilaktycznym. Likwidując Linera, zyskacie wiarygodność.

- Zdajesz sobie sprawę, co właśnie powiedziałaś? - zapytał cicho Fish. - Przyznajemy, że jesteśmy wilkołakami. Wmawiamy im, że służymy szczytnemu celowi. Po czym bez skrępowań zabijamy jednego ze swoich. Jednego z tych, których ponoć deklarowaliśmy bronić. I tym sposobem dowiedziemy dzieciakom, że nic im, ludziom, z naszej strony nie grozi?

- Dobra, więc go aresztujcie - odwarknął Colin.

Niesłusznie się wściekał. Wielki Wilk i wyznaczona przez niego misja były bajeczką dla smarkaczy, niemniej członkowie straży, rzeczywiście przysięgali bronić, a nie zabijać.

Colin nie powinien był wysuwać równie drastycznej propozycji.

- Mamy już trupa, jego obwińmy - zasugerowała pojednawczo Ada.

- Nie widziałaś Basila. - Colin pokręcił głową. - Nie uwierzą. A gdybyś zdołała ich przekonać, automatycznie zaprzeczyłabyś twierdzeniu o nieszkodliwości wszystkich, którzy w ludzkiej skórze wykazują się łagodnym usposobieniem. Linera są już prawie skłonni zlinczować. Aresztujcie go i wywieźcie. Przecież nie sprawdzą, co się z nim stało. Możecie go potraktować identycznie jak

pozostałych.

- Kiedy zaśnie, przestanie zagrażać ludziom - wtrąciła z wahaniem Rose. - Nawet jeśli ustalimy, że faktycznie on zabił, nie zdołamy dojść przyczyn. Więc zgodnie z zasadą, że wątpliwości przemawiają na korzyść oskarżonego, musimy założyć, że uczynił to w akcie samoobrony. Co kwalifikowałoby go do standardowej procedury.

- No i świetnie. To właśnie mówię. Czy standardówka przeszkadza zrobić z niego winnego na użytek szczeniaków? - zirytował się Colin.

Pozostawała kwestia dowiedzenia winy Linera. Skoro straż się ujawniała, sprawa wydawała się prosta: troje podejrzanych oficjalnie się przesłucha, poddając ich hipnozie, Liner obciąży się w zeznaniu, i po kłopotcie.

- Możecie go też ewentualnie zidentyfikować po zapachu z miejsca zbrodni albo odkryć woń w jego pokoju... - Wypowiedź Colina przerwał dzwonek komórki.

Z ociąganiem wyjął telefon. Przeczucie go nie myliło, psiakrew. Gordon lakonicznie wyznaczył mu spotkanie, natychmiast.

Na użytek kumpli Colin wzruszył ramionami z miną winowajcy. Niech myślą, że stryj przybył zmyć mu głowę za wyjazd bez pozwolenia i złamanie złożonej Stewartowi przed laty obietnicy. Odnalezione przed chwilą poczucie więzi z członkami straży znikło bez śladu. Wkrótce staną po przeciwnych stronach barykady; jeden fałszywy krok i Colin zostanie okrzyknięty niebezpiecznym zdrajcą. Polować na niego jednak nie będą, tego rodzaju zadania nie wchodziły

w zakres ich obowiązków. A choćby i wchodziły Gordon raczej nie wysłałby ich przeciw dawnemu towarzyszowi.

Colin odpalił motor. Gdyby na własnej skórze nie doświadczył skurwysyństwa Godfrey'a, zapewne dopuściłby w tej chwili myśl o pokrewieństwie dusz. Ojciec przecież także przeszedł na drugą stronę barykady. Sam przeciw wszystkim, choć, oczywiście, z całkiem innego powodu... Colin się zawahał. Po raz pierwszy zaświtało mu podejrzenie, że oficjalna wersja zdarzeń może mijać się z prawdą.

A jeśli w drodze prywatnego śledztwa Godfrey odkrył, że w sprawie Ianthe organizacja okłamała go w sposób, którego nie mógł zaakceptować? Czyż nie tak właśnie potraktowali Colina? Wzdrygnął się. Nie chciał snuć tego typu przypuszczeń. Między nim i ojcem nie występowało najmniejsze podobieństwo. Godfrey był wściekłym, chorym sukinsynem, a jego decyzjom brakowało racjonalnego uzasadnienia.

\*\*\*

Stryj czekał na Colina oparty o maskę lincolna, przedkładając, jak każdy członek społeczności, otwartą przestrzeń nad ciasne wnętrze wozu. Wysoki, trzymający się prosto mężczyzna o krótko przyciętych, ciemnokasztanowych, gdzieś przetykanych siwizną włosach i surowej, znamionującej silny charakter twarzy. Spoglądając na niego, Colin czuł, że nadal mimowolnie go podziwiał. Pieprzony idol.

Wiele Gordonowi zawdzięczał – to, kim się stał, zginąłby,

gdyby nie pomoc stryja. O tego rodzaju przysługach trudno z dnia na dzień zapomnieć. Colin pragnął nienawidzić drania bez okoliczności łagodzących, a tymczasem czuł się niezręcznie, już myśląc o nim per „drań”.

Zaparkował motor w niewielkiej odległości od samochodu. Przestrzeń między pojazdami wyznaczała arenę spotkania - Colin podświadomie oczekiwał walki wręcz, chociaż oczywiście wiedział, że do takiej nie dojdzie. Zaklinał się w duchu, żeby nie wyskoczyć z czymś na modłę agresywnego szczeniaka sprzed siedmiu lat.

Stał przed stryjem i w milczeniu mierzyli się wzrokiem. Colina nie zaskoczyło, że znalazł w sobie dość siły, by stawić czoło przywódcy. Stopniowo jednak butne przeświadczenie o własnych możliwościach zaczęło go opuszczać.

- O twoim ojcu dowiedziałem się po fakcie - odezwał się Gordon, przerywając ten swoisty pojedynek. Colin poczuł niemal wdzięczność do stryja za tę delikatność. - Broniłbym go. Dlatego mnie nie uprzedzili.

- Mam w to uwierzyć? Po tylu kłamstwach?

- Jesteśmy obaj pionkami w trwającej od wieków rozgrywce o przetrwanie społeczności. Dobro ogółu wymaga ofiar. A Godfrey temu dobru zagrażał. Co powinienem być twoim zdaniem zrobić? Obrazić się na organizację? Na kolosa, z którym tacy jak ja czy ty nie mają szans w bezpośrednim starciu?

- Był twoim bratem, do cholery - powiedział cicho.

Colin nie potrafił znieść beznamiętnego tonu Gordona.

- Był chory. Doprowadziłby cię do takiego stanu, że w końcu sam byś go zabił. Doskonale o tym wiesz. Czy nie lepiej, że wyręczył cię Udo?

- Wyręczył - powtórzył Colin. Odetchnął głęboko.

- Tym samym podpisałbyś na siebie wyrok, nie pozwoliliby nieobliczalnemu świadomemu błąkać się bez dozoru.

- Ty hipokryto. Broniłbyś go? Może i dowiedziałeś się po fakcie, ale takie rozwiązanie ci pasowało. Pozwoliło chować czyste sumienie. Udo cię wyręczył! Nieraz chciałem cię zapytać, czemu mnie od niego nie zabrałeś. Wmawiałem sobie, że nie miałeś pojęcia, jak ze mną postępuje ani gdzie masz go szukać. Ale ty się doskonale orientowałeś się w temacie, prawda? Tylko musiałbyś go zabić, wolałeś więc poczekać, aż wyręczy cię Udo...

- Posłuchaj samego siebie. Zarzucasz mi, że pozwoliłem zabić brata, a chwilę później masz pretensje, że nie uczyniłem tego osobiście.

- Przynajmniej nie zginęłaby Vivian. A ja nie musiałbym oglądać efektów tej jatki - warknął Colin.

Prezentował godny Mata brak konsekwencji, zgoda, ale jak miał się przyznać do uczucia wdzięczności wobec zabójcy ojca? Ostatecznie, dzięki owej tragedii dostał się pod opiekę Gordona. Rozstanie z rodzeństwem szybko przebolewał, bo przecież Em i Matowi nie działa się krzywda. Żałował, że zginęła Vivian, niemniej gdyby miał do wyboru: żyją nadal oboje i on zostaje z ojcem lub oboje zamieniają się w stos krwawych ochłapów - wybrałby drugą



możliwość. Tak, do diabła!

- Chodziło o dopełnienie rytuału - przemówił Gordon po krótkim wahaniu. - Przepowiedziano, że Godfrey spłodzi istotę o szczególnych właściwościach. Do dnia jej narodzin znajdował się pod ochroną. Nie mogłem cię zabrać. Przykro mi, lecz ciebie również złożono w ofierze wyższemu celowi. Urodził się Mat, potem Emily. Udo potrzebował czasu, żeby stwierdzić, że właśnie na nią czekał. Rytuał, krew obojga rodziców, służył zwiększeniu jej przyszłej mocy.

- I wmawiasz mi, że nie miałeś o niczym pojęcia?! - wybuchł Colin.

Zdenerwowała go głównie myśl, że Udo go okłamał. Jeśli bowiem minął się z prawdą w kwestii śmierci Godfrey'a i Vivian, deklarowane przez niego zamiary względem Em, także stawały pod znakiem zapytania.

- O dziecku oczywiście wiedziałem - odparł spokojnie Gordon. - Podejrzewałem też, że z Godfreyem nie będą się cackać. Gdyby cokolwiek w tej sprawie zależało ode mnie, zamknąłbym go... a przynajmniej inaczej bym to rozegrał. O rytuale usłyszałem dopiero po fakcie. Nie upieram się, że to prawdziwy powód. Powtarzam ci tylko, co mi przekazał Udo. Jest jednym z kapłanów. Oni zajmują najwyższy szczebel władzy, nie muszą się więc z niczego tłumaczyć ani konsultować swoich decyzji z takimi jak ja.

- Kapłan? - Colin zmarszczył brwi. Przynajmniej odzyskał panowanie nad emocjami. - Kapłan czego?

Uczono go, że społeczność nie posiada własnej, alternatywnej dla ludzkich wierzeń religii. Członkowie

dorastają między ludźmi, przez długi czas w niewiedzy na temat swej drugiej natury. Przybywając do osady, mają już ugruntowane poglądy na wiarę, nie ingeruje się w nie, dopóki nie zagrażają tajemnicy. Naturalnie, w społeczności funkcjonują legendy, historie o bohaterach czy podobnych bogom pierwszych likantropach, ich rola jednak sprowadza się do dostarczania młodzieży wzorców postępowania. Nikt nie sugeruje słuchaczom, że powinni oddawać cześć którejkolwiek z opisywanych nadprzyrodzonych istot. A tu nagle kapłan.

- Mamy religię. - Gordon uśmiechnął się krzywo. - Sięga początków naszego gatunku, a zatem jest starsza niż chrześcijaństwo. Właściwie... nie chodzi o religię w dzisiejszym rozumieniu, opartą na wierze w niewidzialnego boga. Nasze bóstwo jest materialne, żywe... chociaż nie wiem, czy można akurat tak określić jego stan. Kapłani mu służą, dosłownie. Wyłącznie oni mają zaszczyt stawać przed jego obliczem. Czuwają nad organizacją, przy czym interesuje ich ona jako całość. Na jednostkę zwracają uwagę tylko wówczas, gdy została, jak Emily, wybitnie obdarzona przez naturę, a tym samym przeznaczona wyższemu celom. Jeżeli dobro społeczności wymaga czyjejś śmierci, zabijają bez wahania. Od takich jak ja... cywilnych przywódców nie żąda się wiary w istnienie bóstwa. Kapłani są dostatecznie potężni, by uzyskać posłuch bez uciekania się do argumentu, że działają z ramienia sił nadprzyrodzonych. Nikt nie kwestionuje, że kieruje nimi troska o przetrwanie i rozwój gatunku. Mniej ważne jest to,

czyje polecenia wypełniają. Ja zakładam, że nasz bóg istnieje. Dzięki temu prościej mi... zaakceptować przykre fakty.

- Mam przejść do porządku nad porwaniem siostry przez zabójcę jej rodziców, bo być może Udo reprezentuje interesy jakiegoś krwawego bożka?!

- Colin... Nie oczekuję, że z dnia na dzień się z tym pogodzisz. Wyjedź, na jak długo zechcesz. Zostawiam ci wolną rękę. Nie musisz się meldować, a ja nie będę cię szukał. Wykorzystaj czas na przemyślenia. Ale, proszę, nie obracaj się przeciw swoim. Nie popełnij błędu.

- Bo będziesz zmuszony mnie usunąć? Dlatego nie masz własnych dzieci? Obawiałeś się, że pewnego dnia Udo rozkaże ci któreś zlikwidować, a ty pokornie posłuchasz?

- Posiadasz dobre geny, Udo zaś spogląda w przyszłość - odparł z niezmaconym spokojem Gordon. - Zależy mu na tobie na tyle, że jest skłonny podjąć ryzyko. Nie zapominaj, że między śmiercią a wolnością występuje sporo etapów pośrednich. Chcesz wiedzieć, gdzie Udo uderzy, jeśli zaczniesz sprawiać kłopoty?

- Do cholery, Mat jest także twoim bratankiem. Wybuchł znowu Colin.

Jego oczy miały bursztynową barwę, pod paznokciami pęczniały pazury. Kto wygrałby w starciu? Przy podobnych wrodzonych zdolnościach Colin miałby szansę. Stryj przeważał nad nim doświadczeniem, ale za to był starszy. Kilka lat temu w dwie minuty rozkładał bratanka na łopatki dawno się jednak nie mierzyli. Czyżby Gordon obawiał się

przegranej? Niewykluczone, lider bowiem powinien cieszyć się opinią niezwycięzonego.

- Twierdzisz, że zabiłbym własne dziecko, a jednocześnie żądasz, abym przejmował się losem chłopaka, którego widziałem może raz w życiu - powiedział Gordon, spuściwszy wzrok; nie podjął rzuconego mu przez Colina wyzwania. - Udo jej nie skrzywdzi. Emily wymaga specjalnej opieki. Wiesz, że ty nie podołałbyś temu zadaniu. Jej przebudzenie miało nastąpić później, liczyłem więc na kilka lat spokoju, w trakcie których bym nad tobą pracował. Ciągłe bowiem oceniasz zdarzenia ze zbyt wąskiej perspektywy, nosisz w sobie za wiele gwałtowności, trudno cię kontrolować czy choćby przewidzieć twoje reakcje. Zamierzałem powiedzieć ci dopiero, gdy zyskam pewność, że przyjmiesz tę informację w miarę rozsądnie. No cóż, wszystko potoczyło się nie tak, jak powinno.

Pod wpływem opanowanego głosu stryja z Colina opadła wściekłość, a jego oczy znów pociemniały. Miał pełną świadomość, że pozwala manipulować swoimi emocjami.

- Próbowałem ukształtować cię na przywódcę - ciągnął Gordon. - Wydajesz się jednak nieuleczalnym samotnikiem. Owszem, posiadasz cechy przywódcze, ale nie potrafisz myśleć w imieniu grupy. Zdominowałbyś Fisha, lecz nie umiałbyś go zastąpić. Słuchasz rozkazów, bo tak ci się podoba, a nie dlatego, że akceptujesz swoją rolę jako fragmentu większej całości. Sądziłeś, że nie zauważyłem? Że nikt tego nie widzi? W społeczności tego rodzaju postawę uznaje się za niebezpieczną. Tym bardziej więc

doceń, że ofiaruję ci wolność. W każdej chwili możesz do nas wrócić. Chcesz zakończyć tutejsze sprawy, kończ. Chcesz jechać zaraz proszę bardzo. Niczego ci nie nakazuję, bo i tak byś nie posłuchał. I... Colin... cokolwiek myślisz, traktuję cię jak własnego syna. Nikt mnie nie będzie wyręczał.

\*\*\*

W drodze powrotnej do miasteczka Colin prowadził motor jak ślepiec. Nieomal zderzył się z nadjeżdżającym z naprzeciwka wozem; w ostatniej chwili otrzeźwił go przeciągły klakson.

Czego się spodziewał? Liczył, że po tym spotkaniu nieodwołalnie znienawidzi Gordona, otrzymawszy dowód, że ich dotychczasowe relacje były jednym wielkim kłamstwem. Gdyby mógł stryjowi nie wierzyć...

Psiakrew, usłyszał wystarczająco wiele. Czy gdyby Gordon oznajmił, że osobiście wydał wyrok na Godfrey'a i Vivian, cokolwiek by się zmieniło w nastawieniu Colina? Stryj wyznałby swój czyn tym samym pełnym żle skrywanego smutku głosem, Colin zaś oceniłby jego decyzję jako zrozumiałą, nieuniknioną - i jakże trudną zarazem! Litowałby się nad draniem, cholera. Mimo to jego nienawiść do stryja słabła z każdą minutą.

Uważał dotąd, że Gordon zajmuje najwyższy szczebel władzy, a tym samym jako jedyny w pełni samodzielnie podejmuje decyzje. Tymczasem stryj znajdował się w sytuacji znacznie mniej korzystnej niż na przykład Fish. Wydając niepopularne polecenie, Fish mógł się powołać na

rozkaz bądź wytyczne lidera. Natomiast Gordon, w oczach przeciętnego członka społeczności ponosił wyłączną odpowiedzialność za wszelkie swoje postanowienia, gdy w istocie za częścią z nich stał jakiś cholerny kapłan. Za jak znaczną częścią?

Czy uznanie Gordona za ofiarę organizacji nie zakrawało aby na przesadę? Po spotkaniu ze stryjem wniosek sam się nasuwał, ale cholera wie, czy Colinem po prostu znowu nie manipulowano. Gordon sterował rozmową. Pozwolił bratankowi poruszyć wyłącznie te kwestie, dla których z góry przygotował wyjaśnienia. Może to Udo słuchał rozkazów lidera, a nie odwrotnie? A jeśli Gordon miał prawo zakwestionować każde polecenie kapłana, tyle że w przypadku Godfrey'a wygodniej mu było z tej możliwości nie skorzystać?

Cóż, mnożenie znaków zapytania nie doprowadzi Colina bliżej siostry. Otrzymał pozwolenie na poszukiwania, im zatem się poświęci. A po drodze może natknąć się też na istotne odpowiedzi.

Czuł się osaczony. Gordon oznajmił, że dają mu wolność, a w kolejnym zdaniu zagroził śmiercią Mata, jeśli Colin niewłaściwie ją spożytkuje. Psiakrew. Miał zabrać brata ze sobą? Jedyne naraziłby szczeniaka na dodatkowe niebezpieczeństwa, sobie zaś ograniczył swobodę ruchów. Gdyby przynajmniej wiedział, dlaczego Udo pozwala mu odjechać! Jak ujął rzecz Gordon, między śmiercią a wolnością występuje sporo etapów pośrednich. Czemu Colin zawdzięczał tyle łaski? Stryj się za nim wstawił? Albo

zawarł wcześniej z Udonem układ? Podobno kapłani nie negocjują. Ta niewiedza strasznie Colina irytowała.

W miasteczku musiał pozostać do zamknięcia sprawy. Będzie słuchać niewybrednych żartów Dustina, lawirować wśród sugestii Rose i unikać badawczych spojrzeń Fisha, zachowując pozory, że ciągle jest jednym z nich.

Gordon wytłumaczy straży jego odejście? Colin powinien z przyjaciółmi otwarcie się pożegnać czy raczej udać, się w pościg za domniemanym terrorystą jako nadal pełnoprawny członek społeczności? Bał się, że powie za dużo, a Udo uzna któreś z nich - choćby Dustina - za nie dość cenne, żeby ryzykować ujawnienie tajemnicy. Byk rozplodowy, kurwa mać! A jeśli nie dopuści, by którakolwiek z jego partnerek zaszła w ciążę? Zmuszą go dadzą Colinowi parę lat swobody, a potem zamkną w klatce i będą mu przyprowadzać samice do pokrycia znajome, nieświadome, wilczyce, jak leci?

\*\*\*

Przed dom Paula zajechał z półgodzinnym opóźnieniem, zaabsorbowani omawianiem szczegółów porwania Emily smarkacze nawet nie odnotowali jego przybycia. Kiedy Jack skinął mu głową, Colin zaklął w duchu - zapomniał omówić z Gordonem temat łowcy. Ale nic by nie wskórał, Gordon z pewnością powziął już decyzję, a decyzje nie podlegały dyskusji. Jeśli natomiast jakimś cudem kwestia Bersona mu umknęła, dobrze się stało, że Colin pominął ją milczeniem. Uwaga smarkaczy skupiała się na Macie. Zarzucali go naiwnymi pytaniami w stylu: czy Udo obrabował bank czy

się przypadkiem do Emily nie przystawiał, bo że wcale może nie chodzić o okup. Nic dziwnego, że chłopak zaczynał się gotować z wściekłości. Spostrzegłszy Colina, Mat wykrzywił gniewnie twarz.

- Jak w domu? - zapytał Colin, odciągając brata na stronę.

- Jak ma być? Chujowo.

- A w szczegółach?

- Ciotka płacze, potem przestaje, że niby już okej, opanowała się i w ogóle. Powie dwa zdania, coś jej się skojarzy z Em i znowu w ryk. Wuj miota się po salonie jak furia w izolacji i wydziera na nią, żeby przestała, albo na mnie bo istnieję. Jego zdaniem za mało się przejąłem.

- Ty, widziałem kiedyś film o mordercy dziewczynek i... - wyrwał się Regie.

- Jeszcze, kurwa, słowo, a będziesz zbierał zęby z podłogi! - naskoczył na niego Mat.

- Zmieńmy temat - zarządził Jack. - Emily gadaniem nie pomożemy.

Rozmowa zeszła zatem, jakżeby inaczej, na wilkołaki. Po drodze z budy Regie przyuważył jednego, jak wrzucał torbę do samochodu. Czyli wyjeżdżał. Martin podsłuchał, jak inny mówił, że właściwie powinien wracać, ale okolica jest taka ładna, że chyba zostanie jeszcze ze dwa albo trzy dni.

- Zwieją nam! - zdenerwował się Paul.

- Potem minąłem trzy kolejne i zaobserwowałem, że teraz inaczej się zachowują - ciągnął Martin. - Jakby przedtem nie były całkiem sobą... jako ludzie, znaczy. Stały się



weselsze, bardziej swobodne. Jakby... odzyskały kontrolę? Czy zawsze tak im się odmienia, kiedy wilk w nich uśnie, Jack? Do czasu, jak rozumiem, kolejnej pełni?

- Róbmy coś! - wykrzyknęła May. - Albo chociaż postanówmy.

Colin dyskretnie puścił głuchacza Fishowi, myśląc po raz setny, że ma do czynienia z bandą nieodpowiedzialnych małolatów. Może należałoby jednak uznać propozycję Ady za chybioną? Im mniej szczeniaki wiedziały, tym lepiej dla wszystkich, z nimi samymi na czele. A nuż w ich rękach nawet kłamstwa okażą się niebezpieczne? Zarazem, cholera, smarkacze palili się do działania. Jeśli każe im się nie obserwować, jak kolejni nieświadomi bez przeszkód opuszczają miasteczko, trzeba się będzie liczyć z akcją odwetową w niedalekiej przyszłości.

- Przecież wam chodziło właśnie o to, żeby się stąd wyniosły - stwierdził beznamiętnie Benson. - Kwestię ich dalszych losów pozostawcie mnie. Konsultowałem się ze znajomym astrologiem. Twierdzi, że w ostatnim tygodniu nad tym miejscem powstał wyjątkowy układ planet. Przejściowa i niezwykle rzadka anomalia. Przygotowuje dla mnie szczegółową ekspertyzę.

- Ale jeśli się rozjadą w dwudziestu różnych kierunkach, nie zdołasz ich przypilnować przy kolejnej pełni - obruszył się Paul. - Zaczną zagrażać własnym rodzinom!

- Czy ty w ogóle słuchasz Jacka? - spytał Randal, przyjmując wszystkowiedzący ton. Kiedy kumple wyłączyli go z nocnych poszukiwań, poczuł się śmiertelnie urażony.

Udowadniał im więc na każdym kroku, jak wielki popełnili błąd. Gdyby wzięli Randala ze sobą, jego zdrowy rozsądek z pewnością pozwoliłby zapobiec porwaniu. – Właśnie ci klarował, że nie zagrażą, bo za ich niedawne zachowanie odpowiada przejściowa anomalia. Układ gwiazd wskazywał na nasze miasto, więc tu przyjechali. Taki zlot, jak czarownic. Dobrze mówię, Jack? Kiedy minęła pełnia, ustąpiła też anomalia i są znowu prawie jak normalni ludzie. Nic ich u nas dłużej nie trzyma, ale głupio im od razu wsiadać do samochodu, bo wtedy wyglądałoby to, jakby się przyznawali, że w ostatnich dniach sterowała nimi jakaś zewnętrzna siła.

Kurczę, ostatnim zdaniem chłopak trafił w sedno. Colin pokiwał z uznaniem głową.

Astrologiczne wyjaśnienie Bensona pasowało do sytuacji jak ulał; przecież nawet Colin pierwotnie skłaniał się ku podobnej teorii. Miał nadzieję, że łowca posunie się dalej i wkrótce, najlepiej jeszcze tego wieczoru, przedłoży szczeniakom do wglądu zagmatwane wykresy, wykazujące niezbitcie, że w pierwszej połowie października nad miasteczkiem skupiło się niespotykane oddziaływanie kosmiczne. Wskutek niego zaś w okolicy wytworzyła się sprzyjająca przemianom aura, którą wyczuła głęboka uśpiona wilcza natura kilkudziesięciu osób.

Pełnia minęła, planety zmieniły układ, w przyjezdnych więc na powrót wziął górę człowiek. Anomalia tego rodzaju wystąpi po raz kolejny za lat, powiedzmy, dwieście, zatem ze strony tutejszych osobników zagrożenie więcej się nie

pojawi. Colin zmarszczył brwi. Benson nie wciskał chyba smarkaczom kitu o nieśmiertelności?

- Okej, ale one żyją trzy razy dłużej niż ludzie - odezwał się Martin. - Co będzie, jeśli taka anomalia zdarzy się ponownie...?

- Kiedy wilk w nich zaśnie, proces starzenia się znowu zacznie przebiegać normalnie - odparł bez zająknięcia Jack.

- Tak zakładam, na podstawie znanych mi faktów z przeszłości. Ale będę je obserwował.

Usłyszawszy nadjeżdżającą toyotę, Colin wymknął się na dwór. Zdziwił go ograniczony skład straży: Ada, Dustin, Grieve i Caramel.

- Nie ujawniamy się od razu - wyjaśniła Ada. - Niech z nami pogadają i wyrobią sobie zdanie, jakby mieli do czynienia ze zwykłymi ludźmi. W stosownej chwili powiemy im prawdę, a wtedy dołączą brwiaści.

Biedna Rose. Tyle czasu poświęciła depilacji, a i tak musiała zostać w lesie.

- „Zwykłymi” ludźmi - prychnął Dustin.

- Przymknij się - warknęła Ada.

Spółeczność, w tym i straż, pod względem zapatrywań na klasyfikację dzieliła się na dwa obozy. Ada reprezentowała pierwszy czyli opinię, że członkowie społeczności to ludzie obdarzeni unikalnymi właściwościami, w odróżnieniu od „ludzi zwykłych”. Drugi obóz, do którego przynależał Dustin zażarcie bronił stanowiska, że chodzi o inny - wyższy ma się rozumieć - gatunek, w jednej ze swych postaci charakteryzujący się cechami zewnętrznymi zbliżonymi do

ludzkich.

W straży obowiązywała pierwsza teoria, ponieważ przekonanie o niższości gatunku ludzkiego nie sprzyjałoby ponoszeniu ofiar w jego obronie. Ale że nie wszystko dało się wtłoczyć w sztywne ramy, przymykano oko na bardziej radykalne poglądy. Lepiej je znać i brać pod uwagę przy wyznaczaniu zadań, niż w niesprzyjającym momencie przeżyć zaskoczenie.

Colinowi generalnie zwisało, która opinia bardziej odpowiada prawdzie. Czasem dodawał „zwykli”, innym razem nie. Uważał jednak, że wobec szczeniaków bezpieczniej będzie się z ludźmi utożsamiać. „Jesteśmy tacy sami jak wy, dlaczego chcecie nas zabijać?”. Dustin mógłby sobie tym razem darować szowinistyczne gadki. Mimo to Colin nie zwrócił mu uwagi, kumpel bowiem lubił postępować na przekór takim prośbom.

Wprowadził przyjaciół do salonu i dokonał prezentacji, przedstawiając ich jako grupę zaprzyjaźnionych łowców. Na przybyszach spoczęły niechętnie spojrzenia.

Smarkaczom marzyła się akcja. Wiek Colina jakoś przełknęli, ale żeby następni niewiele od nich starsi nazywali siebie profesjonalistami, podczas gdy im kazano tkwić beczynn timer w czterech ścianach?! Dustin i Grieve byli o dwa lata od Colina starsi, Ada w jego wieku, lecz wszyscy wyglądali na młodszych.

Uwaga szczeniaków skupiła się teraz na udającym psa obronnego Caramelu. Obiekt zainteresowania, opadłszy z sapnięciem na dywan, złożył łeb na skrzyżowanych

przednich łapach, obojętnie łypnął na obecnych i zamknął powieki.

- Imponujące zwierzę - rzucił Martin, cofając się dwa kroki.

- Przechodził tresurę? - dociekał fachowo Paul.

- A K-kenneth m-mówił, że psom nie można ufać - zdziwił się Randal. Pobladł lekko, zapewne na wspomnienie martwego Stipe'a. - Że wilkołak w parę sekund potrafi je przekabacić, tak że zaatakują właściciela.

- Caramelowi można - zapewniła Ada. - Od każdej reguły zdarzają się wyjątki.

- Czy Caramel to nie za długie imię? - spytała May. - Psy powinno się przecież wołać krótko. Jedna, najwyżej dwie sylaby. Inaczej nie reagują tak, jak powinny.

- Naprawdę nazywa się Erasmus, ale właśnie na to imię nie chciał reagować - wyjaśnił Dustin. Caramel, uniósłszy minimalnie prawą powiekę, spojrział na kolegę. - A że z niego pies na słodycze, nazwaliśmy go Caramel.

- Ale chyba nie normalne słodycze? - zbulwersował się Paul. - Szkodzą na sierść!

- Zapomnij, że choćby powącha psie ciasteczka. - Dustin machnął lekceważąco ręką. - Jeśli się przyjrzyysz, zobaczysz, że miejscami wyliniał. Zwłaszcza na brzuchu. Przewróć go, nie bój się. Muchy by nie skrzywdził. Głównie dlatego, że nigdy nie zdąży żadnej złapać. Zastanawiam się nieraz, po kiego czorta go ze sobą ciągnemy.

Propozycja nie wzbudziła zachwytu Paula. Caramel tymczasem mruknął, jakby przez sen. Członkowie straży

zrozumieli, co chciał tym wyrazić: „Uważaj, zaraz pożałujesz”. Dustin odpowiedział na groźbę szerokim uśmiechem. To jasne, że kumpel nie okaże się na tyle nierozsądny, by zaatakować go na oczach smarkaczy.

Sekundę później Regie dmuchnął w twarz nowo przybyłym wykrywaczem. A że w pośpiechu nasypał na dłoń za dużo proszku, w salonie rozkwitł obłoczek zielonego pyłu.

Efekt był piorunujący. Dustin, zwaliwszy się na podłogę zwijał się, nie mogąc złapać tchu. Ada i Grieve kichali raz za razem. Natomiast odporny na wykrywacz Caramel pozorował kichanie bez większego zaangażowania, w przerwie mruknąwszy ze zde gustowanym wyrazem pyska: „Ostrzegałem”. Colin posłał mu wściekłe spojrzenie. Niech się skurczybyk odrobinę przyłoży.

Colin odciągnął sinego na twarzy Dustina pod ścianę, jak najdalej od unoszącego się w powietrzu wykrywacza. Ada uklękła obok nich i, nadal kichając, szperała nerwowo po kieszeniach brata, aż wreszcie triumfalnie wydobyła flakonik z antidotum. Ponieważ trzęsły się jej ręce, Colin wziął buteleczkę i rozsmarował kilka kropel płynu pod nosem kolegi. Ada podtrzymywała bratu głowę, kiedy łapczywie chwycił powietrze. Dustin zakrztusił się, zaczął kichać i kaszleć, a z oczu ciurkiem pociekły mu łzy.

- Na łeb... psik... upadłeś?! - zdenerwował się Grieve, zwykle do bólu opanowany. - On... psik... ma na draństwo... psik... kurwa... psik... uczulenie!

- Uczulenie? - Paul jako pierwszy odzyskał głos. - To nazywasz uczuleniem?!

- A widziałeś kiedyś... psik... niech to... wilkołaka reagującego na wykrywacz dusznościami? - zirytowała się Ada.

Nawet Jacka i Mata, mimo że domyślali się tożsamości przybyłych, zaskoczyła gwałtowność przebiegu wypadków. Pozostali smarkacze gapili się na członków straży szeroko rozwartymi oczami, w których groza mieszała się z fascynacją. Stopniowo spojrzenia skoncentrowały się na Caramelu, kudłatej bestii, obecnie prezentującej dogłębne znudzenie otoczeniem.

- A więc t-t-to... - wydukała z wysiłkiem May, wyciągając drżący palec.

Uniósłszy łeb, Caramel zaczął walić ogonem w dywan wystukując leniwie rytm wysuniętymi pazurami prawej łapy. Fafle ułożył w przyjazny uśmiech.

- Woli tę postać - wyjaśnił Colin, ponownie wbijając w kolegę wściekły wzrok. Ustalili przecież, że Caramel do minimum ograniczy ludzkie zachowania.

Następnie Colin uraczył szczeniaki historyjką o spotkaniu ze strażą w trakcie jednej z akcji. Początkowo, co zrozumiałe, był nastawiony wrogo, jednak obserwując działalność zespołu, szybko nabrał do nich przekonania. Znajomość ta zweryfikowała jego poglądy na wilkołaki w ogóle. Od tamtej pory są przyjaciółmi, Colin zaś powiadamia ich o kryzysowych sytuacjach. Wówczas przybywają by chronić zarówno ludzi, jak i przedstawicieli własnego gatunku.

Naturalnie, słowo „straż” w opowiadaniu nie padło. Ot,

grupka zapaleńców z misją. Szczegóły Colin pozostawił kolegom.

- Kurwa, nie można było zapytać? - sapnął Dustin, gramoląc się z podłogi. Z oczu ciągle płynęły mu łzy, a długa jasna grzywka lepiła się do prawego policzka.

- Sorry - bąknął Regie niepewnie, jakby się spodziewał, że w odwecie za swój śmiały czyn lada moment zostanie rozdarty na strzępy.

- Zamierzaliśmy wam powiedzieć, tyle że nie od razu. Nie chcieliśmy, żebyście się do nas z góry uprzedzili - wytłumaczyła Ada. - Skoro wszystko jest jasne, dzwonię po resztę.

- Jest was więcej?! - Martin szerzej otworzył oczy.

- Na czym dokładnie polega różnica... między wami a tymi tutaj? - dociekał Paul.

Otrząsnąwszy się już całkiem z wywołanego wykrywaczem wstrząsu, Dustin zaczął opowiadać o przekazywanej z pokolenia na pokolenie misji. Ze względu na długowieczność wilkołaków (Colin szepnął mu o tej bajeczce Bena przed domem) zmiana pokoleniowa w ich rodzie następuje co sto dwadzieścia lat. Tak się jednak składa, że oni wszyscy są bardzo młodzi - liczą sobie ledwie dziesięć wiosen więcej, niż można by wnosić z ich wyglądu.

Smarkacze coraz odważniej sypali pytaniami. Grieve wcale nie zabierał głosu, Ada odzywała się rzadko, krótko i konkretnie, kiedy jej zdaniem należało powiedzieć prawdę - pilnowała, żeby Dustin nie przegiął z fantazjowaniem, niemniej generalnie zostawiała bratu pole do popisu. Bo też



nikt nie dorównałby mu inwencją w wymyślaniu bredni.

Cechy strażników Dustin przedstawił szczeniakom z wieloma korektami, nie dopuszczając jednak ani cienia wątpliwości, że górują oni nad osobnikami, z którymi smarkacze mieli dotąd do czynienia.

- My jesteśmy alfami - wyjaśnił. - Ci wasi natomiast...

- To bety! - wyrwał się Martin. - Czytałem na ten temat! Że alfą określa się gościa, który stał się wilkołakiem od klątwy, zaklęcia czy czegoś w tym stylu. A betami tych przez niego pogryzionych.

- Zgadza się - potwierdził z powagą Dustin. - Z zastrzeżeniem, że klątwa pada na ród. To znaczy, jeśli dany osobnik może się rozmnażać, bo z tym różnie bywa. Jeśli może, wtedy klątwa staje się dziedziczna. W naszym rodzie rolę klątwy odegrało ugryzienie Wielkiego Wilka. Chociaż...

- Zastanawiał się chwilę. - Widzicie, mogło chodzić o najbardziej typowy urok, który z czasem w rodzinnych legendach przerobiono na Dziedzictwo Wielkiego Wilka. Brzmi dumnie, Prawda? Nasz ród wywodzi się z Normandii, a na tamtych terenach w dawnych wiekach wierzono, że w wilkołaki zostają zaklęte osoby wyjęte spod prawa. Złodzieje i inne zbiry. Kto chwaliłby się takim przodkiem?

- Więc w końcu ten Wielki Wilk istniał czy nie? - Regie zmarszczył czoło.

Colin niepokoił się, że kolega pogubi się w wymysłach względnie pozostali sypną się z czymś wobec takiego nawału fantastycznych informacji. Absolutnie nie mogli sobie pozwolić na wzbudzenie w szczeniakach nieufności. I

tak był zdziwiony, że smarkacze tak ochoczo łykają te wszystkie bzdury.

- Czaderskie życie! - wykrzyknęła May. - Jak w filmie. Co chwila śledzicie mordercę...

- Niekoniecznie zaraz mordercę. - W oczach Ady błysnęła irytacja.

- I nie takie czaderskie. - Dustin uśmiechnął się. - Chwytasz trop na miejscu zdarzenia, a potem wędrujesz do winowajcy jak po sznurku. Albo przeczesujesz spacerkiem miasteczko - bo akcja nigdy nie rozgrywa się w metropolii - aż trafisz na woń bety. Zero filozofii, myślisz nosem. Trzeba by się nieźle wysilić, żeby wynaleźć nudniejsze zajęcie. Namierzony obiekt bierzesz w obroty, decydujesz, jak go potraktować, i na tym sprawa się kończy. Tutaj wystąpiła kosmiczna sytuacja...

Szczerze mówiąc, nawet w „wędrowaniu do winowajcy jak po sznurku” straż dysponowała co najmniej skromnym doświadczeniem. Za czasów Colina - a więc i reszty szeregowych strażników - ludzie zostali zaatakowani ledwie dwukrotnie, Fish zaś w początkach służby zetknął się z jeszcze jednym takim przypadkiem.

\*\*\*

Przybycie Fisha, Seana i Rose dodatkowo ożywiło atmosferę, rodząc nowe pytania. Lider straży jednak szybko uciął konwersację. Wkrótce się ściemni, oni zaś dotąd nie ruszyli z robotą. Na pogawędki przyjdzie czas po wykonaniu zadania.

Następnie Fish podzielił swoją drużynę na trzy grupki, do każdej przypisując dwoje lub troje smarkaczy. Będą niczym kule u nogi, ale musieli wziąć udział w akcji. Najważniejsze, by skaptować potencjalnego wroga, zanim zdąży rozważyć wszystkie za i przeciw.

- Czyli jak z tym w końcu jest? Skoro anomalia zniknęła i wilk w każdym z nich zasypia, po co się mieszać? - dopytywał się Paul.

- Mamy jakieś dziewięćdziesiąt pięć procent pewności, że zasypia - odparł Fish. W temacie anomalii już się zorientował, przy czym to wytłumaczenie wyraźnie przypadło mu do gustu. - Wolimy dmuchać na zimne.

Zmiana nut zapachowych wskazywała na uśpienie wilczej natury, niemniej ten przypadek był pod każdym względem wyjątkowy. Równie dobrze przy kolejnej pełni nieświadomi mogli się znowu gwałtownie uaktywnić lub wejść w typowy, ciągnący się latami proces przebudzenia. Zwłaszcza że samoczynne uśpienie zwykle się nie zdarza. To oczywiste, że straż wołała dmuchać na zimne - choć na miejscu, w miasteczku, zajmowała się tym wyłącznie z uwagi na smarkaczy.

- Pójdiesz ze mną i Adą? - zapytał Jacka Fish, jemu jednemu nie wydając polecenia. Niewątpliwie chciał poznać łowcę bliżej i wyrobić sobie opinię.

Uformowano trzy grupy, jako że trzech członków straży potrafiło trwale uśpić drugą naturę nieświadomych. Colin uśmiechnął się na wspomnienie tego etapu swojego szkolenia. Gordon zajął się wtedy bratankiem osobiście.

- Zapytaj go, ile razy zdradził żonę - polecił stryj, wskazując Colinowi nieświadomego. - Odpowie ci wyłącznie jeśli go zdominujesz.

Colin wziął sobie zadanie do serca; każdy test umiejętności traktował bardzo ambicjonalnie. Pragnął błysnąć przed Gordonem, uzyskując wymagane informacje za pierwszym podejściem. Skoncentrował się, spojrzął nieświadomemu w oczy i zadał pytanie.

Biedakowi poszła krew z nosa, zemdłał. Potem przez trzy godziny go cucili, a przez dalsze pięć nie nadawał się do kontaktów ze światem zewnętrznym.

- Wstrzymamy się z kolejną próbą, aż ci znajdę inny obiekt do ćwiczeń. Ten mógłby nie przeżyć twojego następnego pytania - mruknął stryj.

Rzadko wprost krytykował dokonania bratanka, ograniczał się raczej do ironicznnych uwag. Colin i tak wiedział, kiedy dał ciała.

Uśmiech Colina zgasł. Kłamliwy skurwiel! Gordon niby ofiarnie uczył bratanka dominacji, a w gruncie rzeczy przekazał mu ledwie ułamek swej wiedzy, najważniejsze szczegóły zachowując dla siebie.

Colin, wraz z Matem i Carol, został przydzielony do tandemu Dustin-Grieve. Oficjalnie jako obserwator, podczas gdy faktycznie to on miał pełnić jedyną liczącą się rolę. Poczł wdzięczność dla lidera straży, że nie zwał mu na barki Rose. Na szczęście, bardzo obowiązkowy Fish starał się zawsze do minimum ograniczać rozstrajające podwładnych czynniki.

Miasteczko podzielili na strefy, na podstawie sporządzonej przez smarkaczy listy hoteli. Ekipa Colina zaczynała od Silver Falls, do niedawna miejsca pobytu Basila. Każdy zespół miał sprawdzić wybrane adresy, przy okazji załatwiając każdego, na kogo się natknie po drodze; o tej porze większość obiektów prawdopodobnie przesiadywała w barach i restauracjach w centrum. Napotkane bety należało uspić i odesłać do domów, czyniąc wyjątek jedynie dla trzech podejrzanych w sprawie Hammera - oni musieli pozostać w mieście, żeby nazajutrz można ich było poddać przesłuchaniu.

Teoretycznie Carol nie wiedziała o drugiej naturze Colina, jako że Mat nie miał kiedy się jej zwierzyć. Colin jednak nie zdziwiłby się, gdyby coś podejrzewała. Osobom małomównym zostaje sporo czasu na analizowanie cudzych wypowiedzi i zachowań, on zaś nie zawsze wystarczająco tu nad sobą panował. Zastanawiał się, jak poruszyć temat, zanim „przemówi” do pierwszego nieświadomego. Nie widział sensu w ukrywaniu przed Carol prawdy, bardziej bowiem ufał jej rozsądkowi niż trzeźwej ocenie sytuacji w wykonaniu Mata.

- Nie kłopotz się. - Carol się uśmiechnęła. - Inteligentna ze mnie dziewczynka.

Zaskoczyła Colina. Cóż, przynajmniej ostatecznie wyzbył się wątpliwości, czy może jej zaufać.

- Kiedy się domyśliłaś? - spytał Mat, zdziwiony i zarazem z niej dumny.

- Będiesz zły. - Spojrzała na chłopaka łagodnie. - W

sobotę, kiedy się kłóciłeś z Kennethem - wyjaśniła Colinowi, leciuteńko mrużąc oczy.

Zorientowała się, że to on zabił Stipe'a! Ponoć Indianie rozumieją mowę wilków, czyżby więc Carol czytała z tonu głosu i gestów Colina? Nie pamiętał nawet, że była obecna przy tamtym sporze. Co zamierzała zrobić z tą wiedzą? Chyba właśnie dała mu do zrozumienia, że sprawa pozostanie ich wspólną tajemnicą.

Oba obiekty z Silver Falls wyhaczyli w hotelowym barze - dwóch pogrążonych w rozmowie mężczyzn. Zerówki instynktownie ciągną ku sobie, przekonane, że znalazły bratnią duszę. Co zasadniczo nie mijają się z prawdą.

Ponieważ Colin nie mógł „przemawiać” do obu osobników naraz, reszta ekipy na coś się przydała. Odwołali jednego nieświadomego na stronę, zagadując go, żeby nie czmychnął, zanim Colin upora się z jego kolegą.

- Na czym to właściwie polega? - zapytał Mat, kiedy opuścili hotel. - Dominacja, tak?

- Rodzisz się księciem albo poddanym - wyjaśnił Dustin z półuśmiechem, który nie pozostawiał wątpliwości, że uważa Mata za potencjalnego poddanego.

- Posiadasz cechy osobnika dominującego, alfy, albo podporządkowanego, bety - doprecyzował Colin.

- Myślałem, że zaaplikowaliście nam bajeczkę...

- Dustin używał tych określeń w innym znaczeniu. Dominację definiuje się dwojako. W odniesieniu do społecznej hierarchii oznacza ona potencjał zostania liderem. Nieświadomi zawsze są betami. Kiedy, jak tutaj,

zbiorą się same bety, jeden czy drugi bardziej niż inni stanowczy osobnik może objąć przewodnictwo stada, ale ponieważ nigdy nie pozyska jego pełnej akceptacji, nie utrzyma się na pozycji. Podobnie rzecz wygląda u wilków. Jeśli lider nie zdobędzie bezwarunkowego poparcia, łatwo o przetasowania, a w watasze panuje chaos...

- Taa, z wilkami macie wiele wspólnego - mruknął Mat.

- Owszem, i stąd się wziął „wilkołak”. - Dustin uśmiechnął się promiennie.

- Wydawało mi się, że jesteś wielkim fanem i obrońcą wilków - powiedział zimno Colin.

- Racja, niezasłużenie je obraziłem. Więc co z tą dominacją?

- Świadomi - podjął Colin, siląc się na spokój - bywają betami lub alfami.

Zignorował uniesioną brew Grieve'a. Zagalopował się, fakt lecz już tego nie cofnie. Nie powinien był stosować terminów - „świadomi” i „nieświadomi”, rozmawiając z Matem w obecności kumpli ze straży. Należało raczej udawać, że zdradził bratu niewiele ponad to, co wiedziała reszta smarkaczy. A w dodatku tuż obok szła Carol. No, ale Colin nie podejrzewał, żeby Dustin lub Grieve popędzili zaraz z donosem do Gordona.

- Bety świadome są silniejsze od nieświadomych, więc bez trudu objęłyby przywództwo nad tutejszym stadem. Ale ponieważ w naturze bet leży słuchanie rozkazów, natychmiast podporządkowują się nawet najsłabszej alfie. Choćby becie wydawało się co innego, funkcja lidera ją na

dłuższą metę przerasta. Alfę różnią się między sobą potencjałem dominacji. Słabsze ulegają silniejszym, ale mniej chętnie niż bety, gdyż w naturze alf leży z kolei sprawowanie władzy.

Naturalnie, siła świadomego w znacznym stopniu przesądza, czy jest on alfą, czy betą, nie da się jednak nakreślić prostej zależności. Niektóre minimalnie kontrolujące przemianę osobniki przejawiają wielkie zdecydowanie, podczas gdy inne, teoretycznie od nich silniejsze, dążą do podporządkowania się. Niemniej najsilniejsi świadomi niezmiennie okazują się zarazem silnymi alfami.

- W straży wszyscy są alfami - ciągnął Colin. - Fish dowodzi jako alfa o najwyższym potencjale dominacji, co, jak może zauważyłeś, nie wiąże się bynajmniej z czołobitnością czy brakiem wolnej woli u pozostałych.

Straż tworzyła strukturę w dużej mierze demokratyczną. Lider rozkazywał w sytuacjach podbramkowych, wymagających błyskawicznej reakcji, jeśli jednak czas i okoliczności pozwalały, konsultował decyzje z podwładnymi. Każdy członek straży musiał być silną alfą, jako że zespół nie zawsze wyruszał na akcję pod wodzą lidera. Do poszczególnych zadań - sprawdzenia prasowej informacji o ataku zwierzęcia czy uśpienia namierzonego przez wężyciela nieświadomego - Fish oddelegowywał dwie, trzy osoby, jedną z nich, niekoniecznie każdorazowo tę samą, wyznaczając na przywódcę pododdziału.

- Najsilniejsze alfy potrafią głęboko wpłynąć na psychikę



najsłabszych bet, czyli nieświadomych. Tak pojmowaną dominację wykorzystujemy w tej chwili. Nieświadomi są na nią bardzo podatni. Raz uspieni tą metodą, rzadko budzą się ponownie. - W tej kwestii Colin nieco rozminął się z prawdą, ale akurat w odniesieniu do tutejszych zerówek twierdzenie miało szansę okazać się trafne. Matowi niech tyle wystarczy. - Z betą świadomą już by się sztuczka nie udała. Co najwyżej można by jej trochę zamazać pamięć, ale wilk w niej nie zaśnie nigdy, a do powstrzymania przemiany są potrzebne co miesiąc zioła i amulety. Mieszanie w umysłach alf stanowi wyższą szkołę jazdy, dostępną dla nielicznych.

Gordon twierdził, że nawet on nie potrafi zdominować dorosłej silnej alfy - że w dziejach społeczności natura obdarzyła tą umiejętnością jedynie paru jej członków. Kłamał, jak Colin miał okazję się przekonać. Jeśli nie w kwestii własnych możliwości, to na pewno wtedy, gdy twierdził, że nikogo dostatecznie uzdolnionego nie spotkał. Znał już wówczas Udoną, który przecież niemalże zdominował samego Colina. A o kapłanach Gordon wypowiadał się w liczbie mnogiej, więc cholera wie, ilu się takich szwendało po świecie. I ilu alfom namieszali w głowie.

- Często dominacja w pierwszym rozumieniu łączy się z tą w drugim - podjął Colin. - Kiedy silna alfa wydaje polecenie, odruchowo wkłada w wypowiedź nacisk, wymuszając posłuszeństwo. Formalnie rzecz biorąc, nie ingeruje wtedy w umysł słabszego osobnika, a mimo to on

nie potrafi się przeciwstawić. Nie, kiedy stoi z silniejszym od siebie oko w oko.

W godzinę odfajkowali kolejną trójkę nieświadomych – dwie kobiety i mężczyznę. Colin złapał się na tym, że cały czas bezskutecznie węszy za Celią. Czyżby wyjechała? Tęsknił, cholera, za jej widokiem. Przez chwilę się zastanawiał, czy właśnie nie z jej powodu zrezygnował z uczucia Rose. Ale nie, jednak nie, chodziło o zwykłe zauroczenie. Dziwne zauroczenie, psiakrew. Nic podobnego nigdy się mu nie przydarzyło.

– Mamy niezłe tempo – orzekł Dustin. – Nie wiem, jak wy, ale ja bym wrzucił coś na ruszt. Mniej mnie będzie ciągnęło do rozszarpywania dziewic.

– Mógłbyś łaskawie przestać? – zaatakował go Mat. – Zginęło dwóch ludzi, co najmniej. Nie widzę w tym niczego zabawnego!

– Sztywny jak agrafka na wiosnę. – Dustin oszacował chłopaka zde gustowanym spojrzeniem. – Uczestniczymy w regularnej wojnie. Giną ludzie i giną nasi, przy czym nasi częściej, mimo że przeważnie największe ich przestępstwo polega na tym, że w księżycowe noce porastają futrem. Traktujesz temat śmiertelnie poważnie czy z humorem, rzeczywistości i tak nie zmienisz.

– No więc ja cię grzecznie proszę...!

– Mat – wtrącił się Colin, przytrzymując brata za ramię. – Dajcie spokój. Nie pora na kłótnie. Idźcie z Grieve'em coś zjeść – zwrócił się do Dustina, spoglądając tęsknie na szyldy pobliskich jadłodajni. – Później nas dogonicie.

- Sukinsyn działa mi na nerwy - oznajmił gniewnie Mat.

Dustin, nie odwracając się, pokazał mu środkowy palec lewej ręki; prawą szarpał właśnie drzwi odległego o kilkadziesiąt jardów baru.

- Usłyszał mnie?

- To wilk. - Carol się uśmiechnęła.

- Masz mądrą dziewczynę. Bierz z niej przykład. No do roboty.

- Czekaj, czyli co? - Teraz Mat przytrzymał ramię Colina. - Jeśli on mnie usłyszał, będąc w ludzkiej postaci, to każdy z tamtych w końcu też może czy nie?

- Musiałby wiedzieć, że może, i jeszcze włożyć w słuchanie sporo wysiłku. W budowie uszu wilka i człowieka występują znaczące różnice. Świadomy, nawet jeśli całkowitą przemianę przechodzi wyłącznie podczas pełni, w każdym innym terminie potrafi zmodyfikować pewne niewielkie partie swego ciała. Zwłaszcza uszy i nos. To znaczy, ich elementy wewnętrzne. Dokonuje tego właściwie odruchowo.

- Czytałam, że człowiek posiada tylko od pięciu do dziesięciu milionów komórek węchowych, podczas gdy pies ma ich dwieście dwadzieścia milionów... chociaż to chyba zależy od rasy - wtrąciła Carol. - Wilk pewnie ma ich jeszcze więcej. Więc u was... pojawiają się i znikają?

- Są ukryte - odpowiedział dziewczynie Colin, uśmiechając się z wysiłkiem. - Znajdują się w nabłonku węchowym, który u człowieka ma około pół cala kwadratowego powierzchni. Kiedy modyfikujemy wnętrze

nosa, nabłonek się fałduje, a jego powierzchnia wzrasta ponad pięćdziesięciokrotnie.

Miał nadzieję, że niczego nie pomieszał, bo wykłady z anatomii nigdy go szczególnie nie ciekawiły. Przekłety dociekliwy smarkacz.

- Niektórym nieświadomym modyfikacja uszu czy nosa też się udaje, ale dopiero po dłuższym treningu - ciągnął Colin. - A żeby zaczęli trenować, muszą się najpierw dowiedzieć się o swojej drugiej naturze. Z obecnych tutaj żaden się nie orientuje, że nie jest zwyczajnym człowiekiem, ale bez obawy, słuch mają wybitnie przeciętny.

Kolejne czterdzieści minut zaowocowało dwoma trafieniami, co Colin uznał za wynik umiarkowany. Jeśli jednak pozostałe zespoły osiągnęły zbliżone efekty oraz uwzględni się tych nieświadomych, którzy wyruszyli w drogę powrotną sami z siebie, następnego dnia straż czekało niewiele pracy.

\*\*\*

Kiedy dołączyli do nich pokrzepieni na ciele Dustin i Grieve, na twarzy Mata znów zagościła kwaśna mina. Starcie wisiało w powietrzu.

Chłopakowi porwano siostrę, a zaraz potem zaszokowała go informacja, że jego ojciec był świadomym. Nic dziwnego, że nie panował nad nerwami. Cholerny Dustin mógłby się pohamować. Zwycięstwo w słownych przepychankach nie zaliczało się w tej chwili do priorytetów. Colin usadziłby kumpla, ale się obawiał, że jedynie by pogorszył sprawę.

- Cholera, nie ma żadnych świeżych tropów - spróbował skierować rozmowę ku zagadnieniom praktycznym, a zarazem dyskretnie zwrócić niektórym uwagę, że realizują właśnie ważne, wymagające koncentracji zadanie.

- Ponętna waderka, tak na mój nos - zamruczał z lubością Dustin. - Szkoda, że przechodziła tędy godzinę i dwadzieścia trzy minuty temu.

- Jesteś pewien, że nie dwadzieścia cztery? - syknął Mat.

Szczęśliwie w tej chwili odezwała się komórka chłopaka. Dzwonił Nigel, oczywiście z awanturą. Gdzie Mat się włóczy, podczas gdy powinien był nieść ciotce duchowe wsparcie?

- I żebyś się nie zbliżał do Colina! - dobiegło ze słuchawki. - Za pięć minut chcę cię widzieć w domu!

- Będę chyba musiał zajrzeć do chaty - rzucił Mat niechętnie. - Spotkamy się u Paula.

Z Colina nagle uszła cała energia. Na krótko oszukał sam siebie, lecz telefon Stewarta sprowadził go na ziemię. Wypełniał ostatnie zadanie w gronie przyjaciół. Wkrótce zostanie sam. Zdecydował się przystąpić do walki, mimo przeświadczenia o przegranej. Dlaczego nie odpuści? Z głupiej dumy żeby nie wyglądało na to, że jest posłuszny Udonowi? Sumując wszystkie spotkania, nie spędził z Emily nawet pół dnia. Z każdą chwilą siostrzyczka wydawała się Colinowi bardziej odległa, wręcz nierealna. Zamierzał ścigać iluzję.

Musiał jej szukać, sumienie (czy cholera wie co) nie pozostawiało mu wyboru. Jego siostra, jego krew. Kilka

spędzonych razem godzin wystarczyło, by z całą mocą poczuł rodzinną więź. Nie zdołałby zapomnieć o Em ani wmówić sobie, że małej będzie dobrze u kapłanów.

Ogarnęło go zmęczenie i zniechęcenie. Z nieświadomymi straż poradzi sobie bez pomocy Colina. Tak naprawdę nigdy nie był im do niczego potrzebny.

- Dostyc na dzisiaj - zarządził gwałtownie.

Dustin jakby się przymierzał do wygłoszenia jakiejś złośliwości, ale ostatecznie zrezygnował. Przez chwilę przyglądał się Colinowi z niewesołym wyrazem twarzy, potem zaś przez komórkę zameldował Fishowi, że wracają do bazy. Przywódca zażądał wyjaśnień, Colinowi nie chciało się jednak słuchać dalszego ciągu rozmowy.

Do Paula dotarli oczywiście pierwsi. Dustin rzucił kilka żartobliwych komentarzy na temat kiczowatego wystroju domu ale wyraźnie pobrzmiwała w nich zazdrość o to normalne życie. Dziwne, że Colin dopiero dziś odkrył, iż kolega wcale nie wierzy w twierdzenia o wyższości członków społeczności nad ludźmi. Bronił ich tak zażarcie wyłącznie po to, żeby nie zwariować.

- Kłapiesz jadaczką jak najęty - mruknął Grieve.

Jemu jednemu Dustin puszczał tego rodzaju uwagi płazem. Oczywiście się odgryzał, ale nie wściekał.

- Ktoś musi podtrzymywać rozmowę. Z chęcią przekażę ci pałeczkę, mistrzu salonowej konwersacji. Towarzyszy nam dama. - Dustin skłonił się kurtuazyjnie przed Carol. - Nie chcemy przecież, żeby uznała ponuractwo za wrodzoną cechę naszego gatunku.

- Jasne - prychnął ponuro Grieve. - Niech sądzi, że jest nią kretynizm.

Pojawił się Mat. Okazało się, że w domu sprowokował kłótnię z wujem. To znaczy, wybuchłaby tak czy siak, ale przy odrobinie wysiłku chłopak darowałby sobie mówienie niektórych rzeczy. Po prostu było mu na rękę, że się pozarli - trzasnął drzwiami, gwarantując sobie spokój na najbliższe godziny.

Było widać, że w Macie aż kipi gniew, szukając ujścia. Powróciła groźba starcia z Dustinem, więc Colin spiesznie wywabił brata na zewnątrz.

- Wszyscy jesteśmy dziś podenerwowani - łagodził. - Nie przypadłście sobie do gustu, zdarza się. Proszę, okaż na tyle...

- Wiesz, dlaczego wkurzają mnie jego żarty? - przerwał mu ze złością Mat. - Bo nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że on naprawdę bez większych skrępowań rozszarpałby dziewczynę. Nie podoba mi się pogarda, z jaką mówi o ludziach. Jakby stawiał ich... nas na równi z... chociażby z królikami. Ucywilizowaliście się, jednak w głębi duszy pozostajecie bestiami. Ciebie widok ciała Stipe'a nie szokował, ale dla mnie... Czy tak twoim zdaniem wygląda samoobrona? A inni łowcy? Czy jacyś jeszcze nie mieli tu przyjechać? Nie zainteresowałaś się, co ich zatrzymało?

Colin pogratulował sobie, że nie przyznał się bratu do likwidacji Stipe'a. Obiektywnie rzecz biorąc, szczeniak miał sporo racji. Za dużo, psiakrew. Łowca prezentował się nieporównanie lepiej niż pozostałości Godfrey'a i Vivian,

niemniej, jakkolwiek by na to patrzeć, Colinowi chyba było bliżej do Udony niż do na wskroś ludzkiego brata.

- Nie podoba mi się też twoje zachowanie - kontynuował Mat spokojnie. - Jakbyś rozważał, czy nie odpuścić.

- Nie odpuszczę! Ale... - Zawahał się. - Przypominasz sobie, jak was wtedy porwałem? Dlaczego przy pierwszej nadarzającej się okazji zawiadomiłeś gliny?

- Byłem na ciebie wściekły. Nie pamiętam o co... chyba za całokształt. Dowiedziałem się, że rodzice mieli wypadek i więcej ich nie zobaczę. Zamiast do domu, zawieźli mnie do hotelu, gdzie drzwi pilnowali gliniarze. Nikt mi niczego nie chciał wyjaśnić. A potem któreś nocy zapakowałeś nas do samochodu i zacząłeś ciągnąć po motelach. Komenderowałeś mną, jakbym był nakręcaną lalką, na pytania reagowałeś wrzaskiem...

- Nie oskarżam cię - przerwał mu łagodnie Colin. - Podjąłeś słuszną decyzję. Robiłem wszystko na opak. Nie dałbym sobie rady, nigdy nie stworzyłbym wam takiego domu, jak Nigel, ale w swoim zaciętrzewieniu nie umiałem przyjąć tego prostego faktu do wiadomości. Od tamtej pory zmądrzałem i zastanawiam się... co mogę ofiarować Em. Czy jeśli ją odnajdę i uprowadzę, nie postąpię równie głupio jak wtedy?

Matowi na moment zaparło dech w piersiach.

- Kurwa, Colin, facet zamordował jej rodziców! - wybuchnął wreszcie. - Pogięło cię?! Masz go za dobrego wujka który będzie jej kupował cukierki i opowiadał bajki na dobranoc?!



Właśnie, cholera, w pewnych kwestiach nigdy nie znajdą bratem wspólnego języka. Tymczasem z Udonem Colin porozumiałby się bez większych problemów.

- Obiecałem, że nie odpuszczę - rzekł cicho. - Będę jej szukał. Usiłuję ci tylko powiedzieć, że kiedy... jeśli do niej dotrę, może się okazać, że ona nie zechce ze mną iść. Że wybierze Udoną, jak niegdyś ty wybrałaś Nigela.

- Nie znośm cię, Colin. Byłem na ciebie wściekły. Empatry w ciebie jak w obraz.

Colin ponuro pokiwał głową. Jak w obraz. Ile czasu zajęłoby Udonowi nakręcenie małej przeciw bratu, gdyby kapłan tak sobie postanowił? Tydzień? Miesiąc? Spór z Matem nie miał jednak sensu. Colin niepotrzebnie wspomniał o swoich wątpliwościach.

Chłopak nie potrafił pogodzić się z faktem, że w organizacji jednostka się nie liczy - i że rzeczona jednostka, zamiast się zbuntować, pokornie akceptuje swoją poślednią rolę. Każdą decyzję, nawet najbardziej z jej punktu widzenia krzywdzącą, uważa za słuszną, jeśli służy ona nadrzędnemu celowi. I nieważne, że ów cel najczęściej pozostaje tajny.

Wprawdzie „pokornie” nie najtrafniej opisywało postawę Colina, niemniej, o ile Mat dla ratowania siostry naraziłby całą społeczność, o tyle Colin widział granicę, której nie wolno mu było nigdy przekroczyć.

Zrezygnował ze zdania bratu relacji ze spotkania z Gordonem. Mat ujrzałby w stryju jedynie kolejną amoralną bestię ukrytą pod pozorami człowieczeństwa.

\*\*\*

W niewielkim odstępie czasu wrócili pozostali, najpierw zespół Fisha, chwilę potem Caramela. Łącznie dopadli dwudziestu jeden – doskonały rezultat. Colin z satysfakcją stwierdził, że mimo wcześniejszego opuszczenia posterunku jego ekipa nie ustępuje reszcie. Że też w ogóle zwracał uwagę na jakieś głupkowate współzawodnictwo!

- A co z tymi, którzy wyjechali? – indagował Martin.

- Przed następną pełnią zdążymy ich odwiedzić – zapewnił Fish. – Jediną konsekwencją będą nadłożone mile.

- Ręczyś, że żaden nie zacznie szaleć na własnych śmieciach? – spytał Paul.

- Ręczyć to on nie może nawet za siebie – wtrącił Dustin i zachichotał.

- Do ich uśpienia wystarczyły bardzo delikatne sugestie – wyjaśnił Fish, ignorując komentarz podwładnego. – Prawdopodobnie więc, jak zresztą przypuszczał Jack, nastąpiłoby ono także i bez naszej interwencji. Przebudzenie zostało wymuszone i zakłóciło równowagę ich organizmów. My przywróciliśmy optymalny stan. Bez silnego bodźca z zewnątrz, w rodzaju kolejnej anomalii, nie będą skłonni go porzucać.

- Mnie też mógłbyś zahipnotyzować? – May uśmiechnęła się do Fisha kokieteryjnie.

Mówiła o hipnozie, gdyż członkowie straży uzgodnili wcześniej, że tak będą określać dominację, a usypianie każdej zerówki rozpoczyna od słów: „W imieniu Wielkiego Wilka nakazuję ci...”.

- Moglibyście? - zaciekał się Martin.
- Nie, ludzie znajdują się poza sferą naszych wpływów - odparła Rose.

Udzieliła smarkaczom oficjalnie obowiązującej w społeczności odpowiedzi, w pełni o jej prawdziwości przekonana. Żaden, nawet najsilniejszy świadomy, nie zdołałby zamącić w umyśle człowieka (ani wilka czy innego zwierzęcia), gdyż dominacja w tym rozumieniu ogranicza się do osobników jednego gatunku.

Do niedawna Colin także w to wierzył. Lecz w ostatnich godzinach przekonał się, że istniały alfy dość potężne, żeby zdominować nie tylko tak silne alfy, jak on sam, ale także ludzi. Udo tylko spojrział na Bensa. Ile jeszcze takich podstawowych, nienaruszalnych praw okaże się fikcją?

Dustin ochoczo podjął porzucony przez Rose wątek, rozwodząc się nad zależnościami między wilkołakami naturalnymi, czyli alfami, a betami, ich wasalami. Jeżeli alfa powstała wskutek klątwy, przy oddziaływaniu na poddanych innego osobnika bardzo istotne znaczenie ma fakt, kto tę klątwę rzucił. Wielki Wilk na przykład obdarzył ich przodka ogromną mocą.

Generalnie mało która alfa zdaje sobie sprawę ze swego uprzywilejowanego stanu. Jej bety garną się do niej pchane odruchem, a ona, również spontanicznie, obejmuje nad nimi przywództwo. Rządzą nią zwierzęce instynkty, nie zastanawia się więc nad przyczynami takiego układu sił. I, oczywiście, nie mając pojęcia, że potrafi przemieniać ludzi, nowe bety produkuje przypadkowo. Dlatego właśnie watahy

występują niezwykle rzadko - taki osobnik ugryzie i wędruje dalej, a becie, gdy objawi się w niej druga natura (co niekiedy trwa nawet parę lat), trudno odnaleźć do niego drogę. Jej ugryzienie także zresztą tworzy wasali związanych z tym samym panem, oni kąsają równie skutecznie, i tak dalej. Co oznacza, że wiele bet nie zbliżyło się nigdy do swojej alfy nawet na odległość stu mil.

- Nasze bety nie tworzyły typowej watahy - oświecił smarkaczy Dustin. - Pochodzą od różnych alf, więc nawet gdyby anomalia utrzymała się dłużej, nie zdołałyby się dotrzeć i zhierarchizować.

Kodeks rodu Wielkiego Wilka zakazuje tworzenia watah niewolników, dlatego żaden z tu obecnych nigdy nikogo nie zaraził. Większość alf, jak już zostało powiedziane nie wie o swej drugiej naturze i konsekwencjach, jakie pociąga za sobą ich ugryzienie. Ale świat przemierza też paru znajdujących się po stronie ciemności osobników dorównujących mocą potomkom Wielkiego Wilka. Ci są najgroźniejsi.

W każdym razie zabicie alfy wyzwala wszystkie zależne od niej wilkołaki, nieważne, czy zostały pokąsane przez nią osobiście, czy przez jej wasali.

Colin, udając, że coś mu utkwilo w gardle, dyskretnym warknięciem udzielił koledze podpowiedzi.

- Oczywiście pod warunkiem, że nie zakosztowały ludzkiej krwi - uzupełnił zaraz Dustin.

Widać było, że nieźle się bawi. Smarkacze słuchali z otwartymi ustami, Fish natomiast pochrząkiwaniem i

ostrymi spojrzeniami starał się ostudzić zapał podwładnego.

- U niektórych chęć popisania się elokwencją przesłania sprawy zasadnicze - skomentował Sean.

Gwałtownie oderwał się od ściany i wściekły opuścił salon.

- A jemu co? - zdziwił się Paul.

Członkowie straży popatrzyli po sobie z wahaniem.

- Depresja popełniowa - odparł z uśmiechem Dustin. - Klasyczne objawy.

- Jack zabił mu brata - powiedział Colin.

Mówił po części do siebie - właśnie pokojarzył, pacan patentowany. A zastanawiał się, skąd Benson tak dobrze zna naturę świadomych! Wyczuł wyrzut kolegów: należało obrócić sprawę w żart.

- Nie miałem... - zaczął Benson, choć raz tracąc niezachwiany spokój.

- Miałeś prawo sądzić, że działasz w samoobronie - oznajmił Fish.

Mimo oskarżycielskiego tonu tej wypowiedzi, Jack spojrzał na niego z wdzięcznością.

- Co nie zmienia faktu, że Patrick nie zamierzał cię skrzywdzić - dopowiedziała Ada zimno.

Patrick był jej kuzynem.

- Uskuteczniacie tu jakiś proces? - zaatakował Mat.

- Uświadamiamy panu Bensonowi, że nasz chłodny stosunek do jego osoby nie wynika z czystego uprzedzenia do łowców. Pójdę do Seana. - Ada podniosła się z fotela.

Rzecz rozegrała się parę miesięcy przed śmiercią

Godfrey, kiedy Colin żył jeszcze w przeświadczeniu, że ojciec i on są jedynymi przedstawicielami gatunku na świecie. Sprawę znał zatem wyłącznie z opisu, oczywiście pobieżnego, jako że przeszłości się nie rozpamiętuje. Trudno mu było ocenić prawdziwość twierdzenia, że Patrick, silna alfa, osobnik ponoć sceptycznie nastawiony do zasad, nie zamierzał Bensa skrzywdzić. Niektórzy członkowie społeczności optowali za likwidacją łowców przy każdej gwarantującej dyskrecję okazji. Niewykluczone więc, że Patrick planował samowolę. Potem utrzymywałyby, że zabił w samoobronie.

Postawa przyjaciół wydawała się Colinowi nazbyt jednostronna. Udo dopuścił się gorszej zbrodni, a mimo to Colin przyjął jego racje. Tak, ale Udo należał do społeczności.

- Odbieglimy od tematu! - oznajmił głośno Fish, po czym odczekał, aż ucichnie dyskusja nad przewinieniem Jacka i ogólnie odpowiedzialnością łowcy za czyny tego rodzaju.

Smarkacze stanęli po stronie Bensa, aczkolwiek w ciągu minionej doby zdecydowanie złagodzili poglądy - nie padło ani jedno hasło z gatunku: „Załatwić je wszystkie”. Cóż, najwyraźniej natura wyposażyła gówniarzy w minimum instynktu samozachowawczego.

- Podsumujmy efekty dzisiejszej pracy - kontynuował lider straży, kiedy wreszcie skupiła się na nim uwaga szczeniaków. - Odnależliście dwadzieścia sześć bet. My posługując się węchem, stwierdziliśmy, że przybyło ich do miasteczka trzydzieści jeden. Po wyłączeniu czworga

podejrzanych o zabójstwo Hammera, do uśpienia było dwadzieścia siedem neutralnych osobników. Obsłużyliśmy dwadzieścia jeden, z tego trzech nazwisk zabrakło na waszej liście. Nie pogubiliście się?

Martin pokiwał z entuzjazmem głową na znak, że jak najbardziej nadąża za wywodem. Pozostali mieli nieszczególnie mądre miny, ale nikt nie przyznał, że czegoś nie pojmuje.

- Pozostało nam sześć neutralnych osób - podjął Fish. - Cztery znajdują się na liście, natomiast tożsamości dwóch na razie nie znamy. Część, może nawet wszyscy, prawdopodobnie opuściła już miasto. Jutro wyznaczę zespół, który obejdzie hotele, ustali adresy dwóch niezidentyfikowanych i wybada, czy cała szóstka rzeczywiście wyjechała. Oraz uśpi ewentualne niedobitki. Do nieobecnych dotrzemy później.

Rozwodził się nad tematem ze względu na szczeniaki, podwładnym nie musiałby bowiem tłumaczyć rzeczy tak oczywistych. Smarkacze kiwali z powagą głowami, wyraźnie pragnąc zasłużyć na uznanie Fisha. Lider straży potrafił zdobyć sobie autorytet, psiakrew.

Fish mówił z naciskiem w głosie, jednak reakcja smarkaczy nie dowodziła bynajmniej, że ludzie resztką naturalnego instynktu ulegają dominacji silnej alfy. Gdyby był zwykłym człowiekiem, także gapiliby się na niego z nabożnym szacunkiem, bo również wedle tradycyjnych norm Fish posiadał wszelkie cechy przywódcze.

W świecie ludzi układy hierarchiczne rysują się

niewyraźnie jak w społeczności, niemniej zasada jako taka obowiązuje - osoby o cechach przywódczych zyskują posłuch u przeciętnej większości. Fakt, że wilki uznają wyższość kuzynów, nie oznacza, że ulegają dominacji w drugim znaczeniu. Ich podporządkowanie się wynika ze stanowczego zachowania i niewątpliwej fizycznej przewagi świadomych w połączeniu z przekonaniem samych wilków, że stykają się z osobnikami swojego gatunku. W każdym razie, tego Colina uczono.

- Następnie mamy czworo podejrzanych w sprawie Hammera - mówił Fish. - Basil Woods nie żyje, co daje nam trzy osoby, które należy przesłuchać w hipnozie. Znaleźliśmy dziś Linera i Duncana. Poleciliśmy im pozostać w mieście. Nie usypialiśmy ich, niemniej wilk w każdym z nich i tak jest chwilowo nieaktywny. Agnes Peacewall wymeldowała się już z hotelu.

Colin przypomniał sobie tę biedaczkę. Na sto procent wybyła stąd jako pierwsza, gnając do dzieciaka, którego przed ponad tygodniem zostawiła w krzeselku przy kuchennym stole. Niewykluczone, że właśnie w tym momencie ze łzami w oczach usprawiedliwiała się przed mężem.

- Drugi zespół przesłucha jutro Linera i Duncana - ciągnął Fish.

- Ale jeśli nie pamiętają... - Regie zmarszczył czoło w intelektualnym wysiłku.

- Mózg niczego nie zapomina - oznajmił Fish kategorycznie. - Po prostu do niektórych informacji można



dotrzeć jedynie specjalnymi metodami. Rysuje się spora szansa, że kiedy wydobędziemy z tych dwóch wspomnienia z minionych nocy, dostaniemy naszego zabójcę. Jeśli nie, zadamy parę pytań Agnes. I tak będziemy zmuszeni nawiązać z nią kontakt.

Smarkacze łyknęli plan, bo też brzmiał on wiarygodnie. Zresztą, w wielu punktach nie mijął się z prawdą. Co jednak będzie, jeśli szczeniaki zechcą wziąć udział w przesłuchaniu? Raczej nie poważą się urwać się w tym celu ze szkoły, wystarczyło więc przebadać Linera i Duncana przed południem Colin mógł spokojnie zaufać w tej kwestii Fishowi. Z ust lidera straży małolaty przyjmą gotowe rozwiązanie, jakby na własne uszy usłyszały, że Liner przyznaje się do winy.

- Stawiam dwie dychy na Linera! - ekscytował się Regie.
- Ktoś przyjmuje zakład?
- A ci trzej spoza listy, których dzisiaj usypialiście... Kiedy przyjechali? - olśniło Martina.
- Rany, jasne! Ktoś jeszcze może pasować na podejrzanego! - podchwycił Paul.

Członkowie straży popatrzyli po sobie z konsternacją. Powinni byli pamiętać o tym pytaniu. Nie dlatego, że osoba spoza listy faktycznie mogła zawitać w te okolice w sobotnią noc lub wcześniej, ale dla zachowania pozorów. Smarkaczom nie wolno było wyjawić prawdy o drugiej naturze Emily i Colina, straż nie powołała się więc na dziewczynkę jako na pewne źródło informacji o liczbie wałęsających się wówczas po lesie nieświadomych.

- Co z was za detektywi? - Regie się skrzywił.
- Nie jesteśmy detektywami - sprostował bez urazy Fish.
- Dotąd zajmowaliśmy się wyłącznie pojedynczymi przypadkami. Odnajdujesz betę i tym samym masz sprawcę zabójstwa, jeśli takie nastąpiło. Co do tej trójki, nic straconego. Zapytamy o datę przyjazdu jutro w hotelach.
- Co się ciskasz?! Też dopiero teraz zajarzyłeś! - zaatakował Randal, który był szczególnie cięty na Regiego za nocną zdradę.

Colin wściekał się na siebie, że nie uwzględnił tego szczegółu, dopiero co się zjawili, mieli więc prawo nie ogarnąć całokształtu sytuacji i smarkacze łatwo ich niedopatrzenie usprawiedliwią. Colin oficjalnie od czwartku nie zajmował się niczym innym, jak tylko szukaniem zabójcy - a nie wpadł na rzecz równie oczywistą? Śmierć Hammera miał gdzieś, więc potraktował temat lekceważąco szlag, co za brak profesjonalizmu.

Tym bardziej dziwiło Colina, że Benson, profesjonalista w każdym calu, także ów detal zignorował. Zwłaszcza że łowca nie dysponował informacją, iż tamtej nocy po lesie hasało jedynie czworo nieświadomych. Co by potwierdzało podejrzenie, że przybył do miasteczka w celach innych niż wykrycie mordercy. Czy jednak mimo wszystko Jackowi nie powinno było na jego ujęciu zależeć? Może zależało, dopóki żywił przekonanie, że chodzi o typowy przypadek ataku nieświadomego. Zorientowawszy się w sytuacji, skupił się na szukaniu przyczyn niespotykanego w dziejach nagromadzenia obiektów. Ostatecznie, po Hammerze nikt

nadmiernie nie rozpaczał.

Colin zmarszczył brwi. Miał wrażenie, że coś przeoczył. Drobiazg, pozornie bez znaczenia... Ale, cholera, nieważne, kto naprawdę zabił – byleby zamknąć szczeniakom gęby. A do tego celu Liner nadawał się idealnie. Jeśli Fish będzie straszliwie zainteresowany odnalezieniem autentycznego sprawcy, niech sobie potem kontynuuje śledztwo.

Mimo to Colina nie opuszczało poczucie dyskomfortu. Myśl kołyszająca się u progu świadomości...

- Mogę cię na moment poprosić na zewnątrz? - przerwał jego rozważania szept Fisha.

Cholera, a Colin już prawie chwycił tę myśl.

Kiedy lider straży prosił, w jego słowach kryło się zamaskowane polecenie. Nie robił tego specjalnie; Colin niedawno tłumaczył bratu, jak naturalne mechanizmy rządzą zachowaniami silnych alf. Mimo to chętnie trzepnąłby teraz Fisha po pysku... Instynkt, psiakrew. Zwierzęca część natury nakazywała mu walkę o przywództwo. Na szczęście Colin posiadał też ludzki rozum. Zmitygował się i kiwnął głową.

\*\*\*

Stanęli przed domem. Z ich ust ulatywały obłoczki pary. Choć wilki nadal jeszcze krążyły po okolicy, nic nie zakłócało nocnej ciszy.

- Diabelnie dużo wiedzą - odezwał się Fish. - Powinniśmy się byli trzymać od nich z daleka. W trakcie akcji wypłynęło wiele dalszych faktów, których nie zdołamy zatrzeć. Dustin wciśnie kolegom Mata kilka głodnych kawałków więcej i

stracimy wiarygodność.

- I co, zlikwidujesz ich z tego powodu?

Colin gniewnie wpatrywał się w zachmurzone niebo. Czuł na sobie spojrzenie lidera straży.

- Do głowy mi nie przyszło, by sugerować podobne rozwiązanie - odparł Fish po dłuższej przerwie. - Jak mogłeś pomyśleć...? Łowców wykańczamy w ostateczności, a takie dzieciaki...

- Właśnie, dobrze, że o nich wspomniałeś. Spotkaliście po drodze Daniela i Nicka? Ponoć wybierali się w te okolice, a jakoś nie dotarli.

- Spotkaliśmy - potwierdził Fish chłodno. Mierzyli się wzrokiem. - Trochę ziół i przez tydzień nie ruszą się dalej niż pięć kroków od toalety. Niedobrze z tobą, wiesz o tym?

Racja, cholera. Colin powinien był lepiej znać przyjaciół, ich idee i poglądy. Nie kochali Bensona, ale to nie znaczyło, że obmyślali, jak go zlikwidować. A cóż dopiero bandę małolatów! Wraz z nimi przechodził szkolenie, wpajano mu te same zasady, wystarczyło zaś parę słów Mata... Nie, psiakrew, jedna wypowiedź brata nie wstrząsnęłaby światopoglądem Colina. Od początku traktował ideały straży z przymrużeniem oka: przysięga zwykle brzmi szlachetnie, ale nijak się ma do praktyki. Tymczasem dla prawdziwego strażnika owe dwa elementy pozostają nierozzerwalnie związane.

- Myślisz jak Gordon - orzekł Fish.

Oczywiście znów miał słuszość, czym doprowadził Colina do furii.

- Ta sama krew - warknął Colin, a jego oczy zmieniły barwę.

Fish odruchowo cofnął się o krok.

Spośród członków straży jeden Colin przejawiał tendencje do stosowania drastycznych rozwiązań. Fish decyzję o likwidacji Stipe'a podejmowałby znacznie dłużej, w nieskończoność analizując za i przeciw, po czym ostatecznie zdałby się na rozkazy Gordona. Jeśli w ogóle choć przez moment rozważałby taką opcję. Zabicia szczeniaków rzeczywiście nie brał pod uwagę. Żarty Dustina były wyłącznie żartami, kumpel naśmiewał się z samego siebie i z krwawych mitów. Zatem spostrzeżenia Mata najlepiej pasowały do Colina. Odzywały się w nim wrodzone skłonności czy też ukształtowały go nauki stryja na przygotowanym przez Godfreya podłożu?

Gordon wpajał Colinowi, że dobro społeczności, jako wartość nadrzędna, wymaga czasem dokonywania trudnych wyborów, przy czym ów przykry obowiązek spoczywa na przywódcy. Podwładni otrzymują rozkazy i głowa lidera w tym, żeby zadanie nie kolidowało z ich sumieniem. Przywódca natomiast nie powinien posiadać ani sumienia, ani uczuć, bądź też musi bez wahania odsuwać je na bok, kiedy żądają tego okoliczności. Gordon powtarzał mu tę naukę wielokrotnie, Colin zaś słuchał i nie słyszał. Brał słowa stryja za czystą teorię, jakby się odnosiły do hipotetycznej, mało prawdopodobnej sytuacji z nieokreślonej przyszłości.

Zarazem przyswoił sobie część owych prawd, nauczył się

zagłuszać skrupuły, ilekroć dobro społeczności domagało się od niego drastycznych kroków. I jego decyzje spotykały się ze zdumionymi, w najlepszym razie, spojrzeniami kolegów ze straży.

Nigdy do zespołu nie pasował. Pozostali mieli tę świadomość od pierwszego dnia, podczas gdy Colin uparcie sobie wmawiał, iż jest zupełnie normalne, że jako jedyny z nimi nie mieszkał lub że wykręcał się od udziału we wspólnych wypadach do miasta. Kretyn, cholera. Nie pasował do nich, nie taką bowiem wyznaczono mu rolę. Jego zadanie, podobnie jak wcześniej zadanie Gordona, polegało - aż do niedawna w każdym razie - na wykonywaniu na rzecz straży brudnej roboty, do jakiej żaden z jej członków nie posiadał predyspozycji.

Kiedy teraz o tym myślał, doszedł do wniosku, że Patrick chyba także odstawał od zespołu. Czyżby to jego miejsce, a nie Gordona zajął Colin? Jako bardzo silny świadomy, Patrick mógł wykazywać odporność na wykrywacz. Otrzymał rozkaz likwidacji Bersona i poniósł porażkę... Colin zmrużył oczy. Znowu, psiakrew, oddawał się gdybaniom. Podczas gdy w cholernej organizacji nie sposób nawet mówić o pewności, że ktoś oficjalnie uznany za martwego rzeczywiście nie żyje.

- Chciałem cię zapytać o opinię - podjął ostrożnie Fish. - Twój brat i jego koledzy. Ty znasz ich najdłużej. Będą z nimi kłopoty?

- Będą. Mat i Carol postarają się utrzymać ich w ryzach, ale prędzej czy później szczeniaki wykręcą jakiś głupi

numer. Co zrobisz z tą informacją?

Colin zachowywał się napastliwie, wściekły i na siebie, i na tego kretyna. Po cholere Fish dopytywał się o sprawy oczywiste? Smarkacze to smarkacze, byli nieobliczalni. Należało się pospieszyć z przygotowaniem nowych tożsamości i Fish doskonale o tym wiedział. A gdyby sprawa wypłynęła w mediach, organizacja dysponowała specjalistami od ośmieszania podobnych rewelacji.

- W jaki sposób jest w te zdarzenia zamieszana twoja siostra?

Do tego pytania sprowadzał się sens całej rozmowy! Colin omijał temat porwania Em, jakby chodziło o drobiazg, rozumiało zatem, że lider straży nabrał podejrzeń.

- Zwróć się do Gordona - rzucił Colin oschle. - Niech on zadecyduje, ile możesz usłyszeć. Odchodzę z osady... na jakiś czas - dodał łagodniej.

Fish pokiwał głową. O pewnych sprawach lepiej nie wiedzieć, o nic więc nie będzie Gordona nagabywał.

- Jeszcze jedno... - odezwał się znowu Fish. - Benson.

- Bensona zostaw Gordonowi.

- Sądziłem, że się z nim... - Fish urwał. Zamknął, otworzył i ponownie zamknął usta. Wypuścił nosem powietrze. - Zatem nie ma sensu cię prosić, żebyś nakłonił go do przyspieszenia wyjazdu.

Należało trzymać język za zębami. Gordon załatwiłby tę sprawę, a Fish nie dociekałby szczegółów. Problem rozwiązany, koniec tematu. Cóż, przynajmniej raz kumpel posmakuje konfliktu między sumieniem a lojalnością wobec

społeczności.

- Uważaj na siebie - rzekł cicho Fish, po czym wrócił do budynku.

\*\*\*

Colin zapatrzył się w niebo. W jednym miejscu chmury się rozwarły, ukazując kilka bladych gwiazd, księżycy jednak nadal nie było widać. Cóż, nie potrzebował oczu, żeby bezbłędnie wskazać pozycję prawie pełnej tarczy.

Więcej miał w sobie z człowieka czy z wilka? Świadomy wieczne pragnienie bycia jednym i drugim jednocześnie. Podziwiał Caramela za umiejętność dokonania wyboru Colin nie zdobyłby się na podobną stanowczość. Wystarczyłoby mu determinacji co najwyżej na miesiąc lub dwa Dustin żartował, że decyzja Caramela wypływała z kompleksów: odkąd w wieku lat czternastu stał się na stałe wilkiem, co kilka miesięcy w ukryciu zmieniał postać, oglądał się w lustrze - i czym prędzej na powrót przyoblekał w futro. W istocie jednak od pięciu lat nikt go nie widział w ludzkiej postaci. Przez ten czas Caramel wyrósł i zmężniał, tak że, szacując na podstawie budowy wilczego ciała, byłby obecnie postawnym mężczyzną. Już jako dziecko miał ładne rysy twarzy, dziś więc niezawodnie przyciągałby kobiece spojrzenia. Tkwiał w wilczej skórze, bo tak mu się podobało. Jeśli w straży ktokolwiek cierpiał na kompleksy, to najprędzej sam Dustin.

Caramel zrezygnował z ludzkich przywilejów, lecz w zamian pozbył się również rozterek. Jako wilk wydawał się bardziej stonowany, wręcz bardziej ludzki niż pozostali. Niż



Colin w szczególności.

Zwierzęca postać gwarantowała więcej swobody - zwierzęciu wszystko wypadalo. W osadzie traktowano Caramela niemalze jak maskotkę, której uchodzi płazem wiele zagrywek nie do zaakceptowania w wykonaniu kogoś innego. Spał pół dnia, nocą ganiał po lesie. Właściwie nie ciążyły na nim żadne obowiązki, bo do straży przynależał jakby mimochodem. Trudno nawet określić moment, kiedy został jej członkiem. Jako smarkacz pętał się pod nogami obserwował szkolenie, rzadko i niemalze z łaski w nim uczestnicząc. Aż pewnego dnia zabrał się z kolegami na akcję i odtąd już przeważnie im towarzyszył.

Wiecznie zblazowany, rozleniwiony, manifestujący obojętność na otoczenie, zapewne niejednego zaskoczyłby zasobem posiadanych informacji. Ile wiedział o Colinie? Niekiedy Colin odnosił wrażenie, że oczy Caramela go prześwietlały, wyszarpując z niego najgłębiej skrywane tajemnice. To oczywiście bzdura. Rzecz sprowadzała się do cierpliwości Caramela. Szczeniak potrafił wpatrywać się nieruchomo w wybraną osobę przez pięć, dziesięć, dwadzieścia minut, zmuszając ją do reakcji. Nie mówił (czy raczej nie warknął) ani słowa, a wzięty na muszkę nieszczęśnik wszystko mu na swój temat zdradzał. Jeśli nie werbalnie, to nerwowym zachowaniem.

Odległe wycie wyrwało Colina z rozmyślań. Nadstawił uszu. Em zniknęła, a mimo to któreś wyszło do lasu? Zaraz po pełni?! Jakim cudem?

Okres tuż po pełni jest najgorszym z możliwych na

przemianę. Malejący księżyc nadal silnie oddziałuje, tyle że niwelująco, spychając wilczą naturę w zapomnienie. Żeby się w tym czasie przemienić, nawet za pomocą wywoływaczy, potrzeba sporych umiejętności; większych wymaga tylko transformacja pod nieobecność księżyca na niebie. Nie ma mowy, żeby ta sztuka udała się jakiejś cholernej zerówce. Przy rosnącym księżycu Colin mógłby ewentualnie rozważyć przemianę nieświadomego bez udziału Emily, jednak przy malejącym - w żadnym wypadku.

Nie rozpoznawał wołającego. Wydawało mu się... chyba wadera. Wadera. W nagłym rozbłysku pojął, co mu się nie zgadzało.

Liner, z czworga podejrzanych jedyny pasujący charakterologicznie na zabójcę, zameldował się w hotelu w niedzielę, w związku z czym nie było pewności, że sobotnią noc spędził w lesie. Co potencjalnie zostawiało na liście podejrzanych wolne miejsce, na które mogła się załapać jedna z pięciu nienamierzonych przez smarkaczy osób.

Wśród tej piątki znajdowała się Celia. Celia, z którą Colin rozmawiał tyle razy, nie zainteresowawszy się datą jej przyjazdu. Ale Emily wspomniała chyba o poniedziałku... Szlag! Nie powiedziała, że tego dnia Celia pojawiła się w miasteczku, jedynie, że dopiero wówczas odnotowała jej obecność. W tej waderze było coś dziwnego, nieokreślonego. Niebezpiecznego. Colin nie zdziwiłby się, gdyby właśnie Celia zabiła. Wrednego, chamskiego typu - zdaje się, że tak smarkacze opisali Hammera. I nie zdziwiłby się też, gdyby to ona zawyła przed chwilą. Jakby

się dopominała o uwzględnienie jej osoby w śledztwie.

Niektórzy nieświadomi, dowiedziawszy się o swej drugiej naturze, uczą się kontrolować do pewnego stopnia swe poczynania w wilczej skórze. Na przykład programują trasę nocnej wyprawy, myśląc o niej intensywnie za dnia. Z czasem u najsilniejszych, pełnych samozaparčia osobników obie natury zaczynają się przenikać. Mówi się wówczas o półświadomych. Wykazują oni cechy zbliżone do tych, które Dustin zaprezentował smarkaczom jako charakterystyczne dla członków rodu Wielkiego Wilka.

Czy tak wyglądał przypadek Celi? Pachniała jak nieświadoma, a na węch trudno odróżnić połówkę od zerówki.

Ale przemiana półświadomej po pełni? Poza ograniczoną kontrolą człowieka nad wilkiem połówka nie zyskuje żadnych dodatkowych umiejętności, nie jest więc w stanie ani powstrzymać, ani tym bardziej wywoływać transformacji.

W Colinie obudziła się nadzieja, że Udo nigdzie nie wyjechał, tylko ukrył Emily gdzieś w pobliżu. Po chwili jednak odrzucił tę koncepcję. Chodziło o pojedynczą waderę; co innego, gdyby wszyscy nieświadomi nadal reagowali.

Zaczął szukać innych wyjaśnień. W okolicę przybyła świadoma, być może członkini grupy do zadań specjalnych. Ale, psia krewo, świadomi nie wyją o urodzie księżyca. Takie tematy zostawiają zerówkom. Nawet wilki używają wycia raczej do przekazu informacji lub odśpiewania hymnu przed

polowaniem, niż żeby dzielić się z towarzyszami uwagami na temat piękna natury. Chyba że, jak tutaj, okazują kuzynom pogardliwą uprzejmość.

Colin wrócił do salonu, by choć częściowo zweryfikować podejrzenia.

Zerknął na kartkę, sprawdzając dane trzech uśpionych dziś nieświadomych, do których smarkacze nie dotarli. Celi w tej grupie nie znalazł. Zatem była jedną z dwojga pozostałych niezidentyfikowanych.

Z kolei wśród pięciu nieodhaczonych nazwisk na sporządzonej przez szczeniaki liście figurowała tylko jedna kobieta, Agnes, o której wiedział, że wyjechała. Cholera, tej nocy po lesie niemal na sto procent wałęsała się Celia. Co z tego wynikało? Czy Colin nie wyciągał nazbyt pochopnych wniosków?

- Słyszeliście? - spytał szeptem Fisha.

Dla smarkaczy Colin był człowiekiem, nie mógł więc się wychylać ze swoimi wyostrzonymi zmysłami.

Nie słyszeli, wytlumione wycie nie zdołało się bowiem przebić przez ściany i panujący w salonie rozgardiasz. Fish odczekał kilka minut, po czym przybrał skupiony wyraz twarzy. Kazał pozostałym się uciszyć.

- Jakaś beta grasuje po lesie - oznajmił.

Smarkacze oniemieli z podziwu dla takiego słuchu.

\*\*\*

Wyszli przed dom.

- Wyje ich więcej - stwierdził Martin.

- To wilki - powiedziała Ada. - Odmienna barwa.

- Pół godziny temu milczały. Odpowiadają na zew - uzupełnił Fish. - Dobrze, że przywędrowały. Ktokolwiek zainteresował się ostatnimi nocnymi odgłosami, dzięki nim otrzymuje proste wytłumaczenie.

- Obejmuje je program ochrony gatunku, więc przynajmniej część nosi obroże z nadajnikami - mruknęła Rose. - Łatwo sprawdzą, że pojawiły się kilka dni po tym, jak odnotowano pierwsze wycia.

- I po ataku na Hammera - dorzucił Paul.

- Tę śmierć przypisali niedźwiedziowi. - Rose wzruszyła ramionami. - Słyszałam rozmowę strażników leśnych. Grizzly też się kręcił w okolicy. Dopadli go kilkanaście mil stąd.

- Biedny miś - szepnęła Carol.

- Ludzie chwycą się każdego racjonalnego wyjaśnienia i nagną do niego okoliczności, byleby nie padło słowo „wilkołak” - stwierdził kwaśno Dustin.

- Powinniście się chyba z tego cieszyć - warknął Mat.

Wyruszenie całą bandą na pojedynczego nocnego marką wydawało się bezsensowne, więc Fish oddelegował do zadania Dustina i Grieve'a. Colin także zadeklarował udział; lider straży skrzywił się, ale przy szczeniakach nie mógł zaprotestować. W końcu akces zgłosił również Jack, który wyraźnie pragnął uciec spod ostrzału oskarżycielskich spojrzeń.

- Pójdę z nimi - poprosiła Rose.

Fish otworzył usta do odmowy, lecz ostatecznie pokiwał

głową. - Przeważyły uczucia rodzinne - jego siostra miała prawo pożegnać się z Colinem. Choć, naturalnie, nie wiedziała jeszcze o jego rychłym odejściu.

- Pokażcie, jak się przeobrażacie - błagał Regie.

Odpowiedziały mu gniewne fuknięcia: przeobrażenie to sprawa intymna, nawet oni siebie nawzajem nie oglądają.

Deklaracja nie do końca zgadzała się z prawdą. Intymności szukały głównie osoby o najwolniejszym tempie transformacji. Im szybciej ktoś się przemieniał, tym bardziej było mu obojętne, czy dokonuje tego przy świadkach. Smarkaczom jednak opisali przemianę jako proces bolesny i długotrwały, ocierający się wręcz o poświęcenie! Potomkowie Wielkiego Wilka wzdrygają się na samą myśl o przeobrażeniu i zazdroszczą betom, które niczego nie pamiętają, a zatem nie martwią się nadejściem pełni.

\*\*\*

Wzięli wóz Jacka. Prowadził łowca, pozorując pełne skupienie na wykonywanej czynności, dzięki czemu odizolował się od niezręcznego, wywołanego właśnie jego obecnością milczenia.

- Wadera. Jak sądzicie? - spytał Colin, kiedy opuścili jeepa.

Dustin wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Jasne, że waderka.

- Wydaje mi się, że to Celia - ciągnął Colin. - Celia Alton. Mieszkała w moim hotelu. Popełniłem niedopatrzenie. Nie spytałem, kiedy...

- Niezła suczka - domyślił się Dustin.
- Uważam, że jej uroda nie jest chyba w tej chwili najważniejsza! - zdenerwowała się Rose: dwóch jej adoratorów (w wypadku Colina było to jedynie jej pobożne życzenie) okazywało zainteresowanie inną kobietą.
- Chcesz powiedzieć, że ona mogła zabić Hammera upewnił się Benson.
- Właśnie. Idziemy, szeroko. Nie będę się przemieniał pójdę z Jackiem. Wy sami zdecydujcie.

Stało na tym, że Colin, łowca i Rose, także w ludzkiej postaci, ruszą środkiem, natomiast przemienieni Dustin i Grieve zajmą skrzydła obławy.

Jako basior Grieve był chudy i wyciągnięty, o patykowatych kończynach, podobnych do wilczych, Dustin zaś przysadzisty i krępy, z opadającymi na oczy jasnymi kosmykami. Ktokolwiek znał ich ludzkie postaci, natychmiast ich rozróżniał.

- Do dzieła - zarządził Colin.

Usprawiedliwiał się przed sobą, że obecność kolegów ze straży uniemożliwia mu ostrzeżenie Bena. Wiedział, że to czcza wymówka. Ale przestroga na nic by się przecież nie zdała. Jeśli Gordon wydał wyrok, zostanie on wykonany. Jack zawsze zachowywał ostrożność, nie mógłby być jeszcze bardziej przezorny, po co więc Colin miałby mu fundować dodatkowy zgryz? Niewiedza bywa błogosławieństwem.

Nie zamienił z Gordonem ani słowa na temat łowcy, skąd zatem zrodziło się w nim przeświadczenie, że coś

Bensonowi grozi? Rozumiał sposób myślenia stryja, ot co. Lubił Jacka, i jako Colin, samotnik na marginesie społeczności, chętnie by go ocalił. Niemniej znalazłszy się na miejscu Gordona, bez wahania podjąłby jedyną możliwą decyzję. Jeśli łowca pracował dla rządu, jego zniknięcie wywoła chryję, ale ochrona tajemnicy była warta ryzyka. Benson nie miał kiedy złożyć przełożonym szczegółowego raportu, a zatem spora część rządowych informacji o społeczności tkwiła nadal wyłącznie w jego głowie. Zresztą, agent czy nie, Jack za dużo wiedział. Na miejscu Gordona Colin usunąłby go tej nocy.

Z prawej rozbrzmiało wycie Dustina. „Księżycu, uczyn dziś płodnym!”. Kolega sygnalizował, że znalazł waderkę – Rose zde gustowana potrzęsnęła głową.

Biedak. Przy silnym uczuleniu na wykrywacz szanse Dustina na biologiczne ojcostwo rysowały się marnie, społeczność nie życzy sobie bowiem powielania cech negatywnych. Za bardziej wskazane uważa się skrzyżowanie świadomej ze zdrowym nieświadomym, człowiekiem czy nawet wilkiem, dzięki czemu przynajmniej odświeża się krew, niż ze świadomym obciążonym wadą, choćby jej dziedziczność stała pod znakiem zapytania.

Taa, wszyscy byliby zadowoleni, gdyby Colin zapłodnił Rose i odstąpił Dustinowi prawa do dzieciaka. Zapewne za jakiś czas takie rozwiązanie zasugerowano by mu otwarcie. Na razie jednak Rose i Dustin byli zbyt młodzi, aby szykować się do odejścia ze straży – nie wychowali sobie jeszcze następców, przy czym kolejne pokolenie strażników



zjedzie z miast dopiero za pięć do siedmiu lat.

Podkradali się ku Celi. Czemu nie uciekała? Dotąd nie zarejestrowała ich obecności? Nawet będąc zerówką, po tylu nocach w wilczej skórze musiała nauczyć się robić użytek z wyostrzonych zmysłów. Podchodziło ją troje ludzi – wywłachanie nieprzemienionego świadomego stanowi dla takich jak ona zbyt zaawansowane wyzwanie – powinna więc była zwiewać. Cóż, kiedy by wystartowała, Dustin ją dogoni. Czyżby zrezygnowała z ucieczki, przeczuwając porażkę? Cholera, Colin prędzej uwierzyłby, że postanowiła bronić się do ostatka, zabijając ilu zdoła, nim sama polegnie.

Wreszcie ujrzeli ją stojącą pośrodku niewielkiej polany, w tej właśnie chwili zza chmur wyjrzał księżyc, zalewając ciemnoszare futro Celi srebrnym blaskiem. Rose wydała pomruk pomieszanej z zawiścią aprobaty.

Colin ściągnął brwi. Celia jakby rzeczywiście ich oczekiwała. Jakby wręcz rozgrywała spektakl, by zwrócić na siebie ich uwagę. A sądził, że tworzy zbyt fantastyczne teorie.

- Halo, przystojniaku – warknęła wadera kusząco utkwivszy spojrzenie świetlistych bursztynowych oczu w Colinie.

Do diaska, w wilczej skórze Celia teoretycznie mogła używać podobnych jak w ludzkiej postaci wyrażeń, jednak zarówno jako nieświadoma, jak i półświadoma, powinna je była kierować raczej do Dustina. Żaden wilk nie kokietowałby przecież człowieka!

Celia opuściła łeb i podwinęła ogon, przyjmując pozę zalotnego podporządkowania. Wyprężywszy się dumnie, Dustin ruszył ku niej truchtem, z puszystą wiechą sterczącą sztywno w górę. Wadera autentycznie go zauroczyła, tak że zapomniał nawet o obserwującej scenę Rose. W Celi drzemał jakiś porażający magnetyzm, któremu Colin chyba cudem nie uległ - może dzięki temu, że jego uwagę zaprzętało wiele palących spraw. I owa porażka dotknęła Celię do żywego.

Nagle Colin wiedział, co zaraz nastąpi. Idiota! Zignorował przeczucie, chociaż dobijało się wściekle do jego świadomości. Krzyknął ostrzegawczo.

Za późno. Okręciwszy się zwinnie, Celia machnęła przednią łapą, przejeżdżając pazurami po odsłoniętym gardle Dustina. Ten, wzięty z zaskoczenia, nie od razu się zorientował, co się stało. Ze zdumieniem węszył krew, zanim ugięły się pod nim nogi.

Celia rzuciła się do ucieczki, obojętna na wynik ataku. Jack strzelił w ślad za nią, chybił jednak - zdążyła skryć się między drzewami.

Colin i Rose dopadli do kolegi.

Rana prezentowała się mniej tragicznie, niż można było oczekiwać. Krew sączyła się jedynie cienką strużką, którą Rose, klnąc pod nosem, zaraz zaczęła tamować. Gdyby Celia wstrzymała się sekundę lub dwie, rozorałaby Dustinowi gardło, tak że by się nie wylizał. W obecnym stanie wystarczy mu jednak pół godziny w blasku księżyca. A że ów pokazał się na dłużej, zalewając polanę odbitym

światłem, nie było się czym martwić. Upewniwszy się co do tego, Colin wstał.

- Uciekła. - Jack wskazał kierunek.

Ściganie Celi uznął, całkiem słusznie, za bezcelowe.

Colin chciał ruszyć w ślad za waderą, podchwycił jednak zaniepokojone spojrzenie Rose. Nie mógł zostawić bezbronnych w tej chwili przyjaciół na łasce Bensa, który po oskarżeniu o zabicie Patricka poczuł się zapewne zagrożony. Colin nie wierzył wprawdzie, by Jack zastrzelił Rose i Dustina bez żadnego wrogiego gestu z ich strony, niemniej zrezygnował z pościgu. Poczekaj na Grieve'a. Gdzie się ten kretyn podziewał? Usłyszał przecież wezwanie kolegi, dawno więc powinien był do nich dołączyć.

Zastanowił się ponownie nad zaufaniem, jakim darzył Bensa. Psiakrew, spokojnie akceptował fakt jego rychłej śmierci. Nie próbując zdarzeniu przeciwdziałać czy choćby Jacka ostrzec, Colin właściwie dopuszczał się zdrady. Od łowcy tymczasem śmiało oczekiwać lojalności.

Z każdą upływającą sekundą malała szansa na dogonienie Celi, Colin uświadomił sobie jednak, że wcale nie chce jej schwytania. Ochrona przyjaciół przed ewentualnym atakiem Bensa stanowiła tylko wymówkę.

Czy Celia zabiła Hammera? A jeśli tak, co nią powodowało? Ponieważ z całą pewnością nie była zerówką, przypadkowa samoobrona stawała się mało prawdopodobna.

Zwłaszcza że Hammer ponoć nie pchałby się ze strzelbą na wilki.

Dalej, dlaczego Celia nie wyniosła się chyłkiem z miasteczka, kiedy tylko ustało oddziaływanie Emily? Czyżby zakładała, że jest główną podejrzaną (nie spodziewając się że śledztwo zostanie poprowadzone tak nieudolnie) i pragnęła strażą coś udowodnić? Albo nawet, trawiona żądzą sławy, dołożyła starań, żeby ją zauważono? Taka postawa świadczyłaby o nieobliczalności.

Z drugiej strony, Dustina niewątpliwie oszczędziła celowo, gdyż Colin nie przypisywał ocalenia kolegi własnemu krzykowi ostrzegawczemu. Celia zdążyłaby zabić. Zamanifestowała siłę w bezpieczny dla siebie sposób. Gdyby Dustin zginął, za Celią natychmiast ruszyłby zaciekle pościg i podążał jej tropem aż do skutku, ale w tej sytuacji zainteresowana mogła liczyć, że straż najpierw poświęci się organizowaniu nowego życia dla dwudziestu dziewięciu pozostałych nieświadomych i ich rodzin. Oczywiście, że nie narażą równie dużej grupy w imię pogoni za jedną waderką, która lekko zadrapała członka ich zespołu.

Kiedy wreszcie zaczną jej szukać, ślady dawno się zatrą. Celia zwinie firmę... Jasny gwint! Ona wcale nie musiała pochodzić z Seattle, ani nawet nazywać się Celia Alton. Żadna zerówka nie awansuje na połówkę w parę dni. Przyciągnięta do miasteczka przez niezbadaną siłę, Celia, wiedząc o swej drugiej naturze, mogła zapobiegawczo podać w hotelu fałszywe dane. Colin w rozmowie z nią nie stosował rozkazującego tonu, nic zatem nie stało na przeszkodzie, by nawciskała mu kitu. Myślał wyłącznie o tym, jak by ją przelecieć, więc, napalony i rozkojarzony, nie

wychwyciłby kłamstwa.

A może oceniał Celię niesprawiedliwie, ponieważ za jej ostatnie poczynania odpowiadał Udo? Kapłan prawie omotał Colina; zerówkę zdołałby zaprogramować dowolnie. Jakimś sposobem odkrył, że Colin czuje do Celi pociąg i postanowił wykorzystać waderkę, żeby odwrócić jego uwagę od siostry. Cholera, jakby Colin choć w najmniejszym stopniu liczył się w tej rozgrywce! Udo zapomniał o nim w pięć sekund.

Wreszcie pojawił się Grieve, więc Colin w paru krótkich warknięciach zdał mu szczegółową relację z zajścia. Długonogi basior natychmiast rzucił się w pościg za bezczelną suką, która ośmieliła się zaatakować jego najlepszego przyjaciela. Colin w duchu dopingował Celię.

Psiakrew, jak mógł ją dopingować? Widział kobietę ze trzy razy, zamienili parę zdań, ani szczególnie miłych, ani błyskotliwych, mało też brakowało, a uśmierciłaby jego kolegę, i niewykluczone, że z zimną krwią wykończyła Hammera. Colin zaś życzył jej powodzenia w ucieczce!

Poszkodowany zacharczał i z trudem spróbował się podnieść, ale Rose natychmiast skarciła go za niecierpliwość. Parę minut go nie zbawi, rana zaś jeszcze nie całkiem się zasklepiła.

Stojąc obok łowcy, Colin przyglądał się tym dwojgu. Niby niewiele ich łączyło, ona piękna, dumna, niezależna, poważna, doskonały okaz swego gatunku, on wiecznie na luzie, nawet kiedy sytuacja wymagała powagi, sympatyczny, ale nieszczęśliwie przystojny, a przede wszystkim - marny

kandydat na reproduktora. Mimo to Colin nabrał nagle przekonania, że tworzyliby dobraną parę.

Odniósł wrażenie, że w Rose, kiedy podtrzymywała wilczy łeb Dustina, odgarniając mu z oczu blond grzywkę, także zaświtała podobna myśl. Trochę potrwa, zanim dziewczyna zapomni o Colinie, niemniej jego odejście z osady powinno ów proces przyspieszyć.

- Świadoma czy półświadoma? - spytał Jack.

- Półświadoma, ale ze sporym stażem - odparł Colin ściągając brwi. W duchu dodał: albo świadoma zdolna kontrolować wydzielany zapach.

Teoretycznie świadomi potrafią wyłącznie maskować woń ujawniającą ich drugą naturę, nie są natomiast w stanie udawać nieświadomych. Ale teoria wyklucza także zmianę osobniczego zapachu, co stanowi zadanie niewątpliwie trudniejsze. Udo dokonał drugiego, zatem i pierwsze musiało być możliwe. Co oznaczałoby, że Celia była świadomą dorównującą potęgą kapłanowi... Niemniej wyjaśnienie to wydało się Colinowi całkiem wiarygodne.

- Ona zabiła Hammera? - indagował dalej Benson.

- Trzeba sprawdzić, kiedy się pojawiła w miasteczku. Jeśli data będzie pasować, uznam jej winę za pewnik. Wtedy w lesie znajdowały się cztery sztuki, Emily ręczyła za tę liczbę. A jeśli Celia wejdzie do grona podejrzanych, automatycznie wypadnie z niego Liner. Wówczas tylko ona będzie psychologicznie pasować na zabójczynię. Coś w sobie ma. Działa na facetów jak diabli, na wszystkich bez wyjątku. Na podstawie jej zachowania wobec mnie

wnioskuje, że własny seksapil budził w niej sprzeczne uczucia.

- Więc też na nią poleciałeś. - Jack się uśmiechnął.

Rose zauważalnie drgnęła. Cholera, biedny Dustin. Trochę jednak na swoją kolej poczeka.

- Tak jakby - przyznał Colin niechętnie. - Chociaż w jej mniemaniu chyba ją totalnie olałem. Podejrzewam, że zaliczyła wiele nieprzyjemnych doświadczeń z facetami. Hammer, ponoć obleśny typ, mógł się jej wybitnie dać we znaki, więc umówiła się z nim na randkę w lesie, po czym stawiała się na nią w wilczej skórze.

- Gdyby chodziło o zemstę na nachalnych facetach - nie sądzisz, że mielibyśmy więcej ofiar? - powątpiewał Benson.

- Hammer, sądząc z tego, co opowiadali smarkacze, był wyjątkowym chamem. W pozostałych przypadkach satysfakcjonowało ją, kiedy zgasiła gościa spojrzeniem albo komentarzem. Poza tym... Zastanawiam się, czy nie kręciła z Basilem. Kiedy z nim rozmawiałem, krótko po moim przyjeździe, wymknęło mu się, że poznał cudowną kobietę. Zarazem martwił się reakcją żony na jego zniknięcie. Może, podrywając Celię, o żonie nie wspomniał. Spodobał jej się, zaangażowała się, a wtedy on wyciągnął z kieszeni obrączkę. Ponieważ zamieniał się w wilka w tym samym co ona czasie, pokieroszowałby ją, gdyby go zaatakowała osobiście. Dlatego wystawiła go Stipe'owi. Wyprowadziła mu Basila prosto pod lufę. Pamiętasz, Kenneth napomknął wtedy o parce?

Nieszczęsny Basil. Sympatia dla Celi momentalnie

Colinowi przeszła. Zauroczyła go, przeklęta waderka, ale już się z tego otrząsnął. Zaklinał Grieve'a, żeby długie łapy przyniosły mu sukces w pościgu. Suka zasłużyła na karę. Nie miała prawa się wymknąć.

Głupie to, bo przecież Colin wymyślił wywód na poczekaniu, na użytek łowcy. Chyba po prostu pragnął choć jednej osoby nienawidzić bez okoliczności łagodzących. Żałował, że w noc zdarzenia nawet nie spróbował ustalić, kto towarzyszył Basilowi. Czy jednak woń Celi, na którą Colin był niewątpliwie wyczulony, sama nie rzuciłaby mu się w nozdrza?

- Będziecie ją ścigać nie za zabicie człowieka, ale w odwecie za jednego z waszych - stwierdził Benson. - Gdyby nie Basil, w pełni usprawiedliwiłbyś jej postępowanie.

- W kwestii Basila snuję tylko podejrzenia - opamiętał się Colin. - Pasują mi do ogólnego obrazu sytuacji. Niemniej masz rację, będziemy ją ścigać za atak na jednego z naszych. Dustin nie przejawiał wobec niej wrogich zamiarów, więc nie da się jej napaści podciągnąć pod samoobronę. Albo działanie w afekcie, bo na oszalałą także nie wyglądała. Biorąc zaś pod uwagę jej dzisiejsze zachowanie, można przyjąć, że jeśli zabiła Hammera, zrobiła to z premedytacją. Takich rzeczy również nie puszczamy płazem. Jasne? Hammer jako taki guzik nas interesuje, ale żadnemu członkowi społeczności nie wolno bawić się w kata.

W całej sprawie chodziło jednak o coś więcej, poczynaniom Celi niezawodnie przyświecał konkretny cel.



Jaki? Cóż, Colin niedługo zerwie kontakty ze strażą i śledcze dylematy przestaną go dotyczyć, a zatem znalezienie odpowiedzi na powyższe pytanie wypadało powierzyć Fishowi. Zmusił się, by nie myśleć dłużej o Celi.

Dustin usiadł. Potrząsnąwszy łbem, wymruczał kilka cichych przekleństw.

- Godna podziwu zdolność regeneracji - orzekł Jack w zadumie.

Łowcy rzadko miewali do czynienia ze świadomymi, a członkowie straży nawet w społeczności uchodzili za wyjątkowo odpornych.

- Patrick się nie zregenerował - mruknęła Rose.

Zasadniczą rolę w leczeniu ran odgrywa księżyc, przy czym największe znaczenie posiada stopień odsłonięcia tarczy, mniej natomiast istotne jest, czy znajduje się on w fazie malejącej, czy rosnącej. Najszybciej regeneracja postępuje oczywiście przy pełni - odwrotnie niż u ludzi, u których pełnia wywołuje krwotoki. U silnych świadomych przyspieszony proces samozdrowienia przebiega również pod nieobecność księżyca na niebie, jednak gdy rana jest poważna, może się okazać nazbyt powolny.

Nawet w ciężkich przypadkach kilka godzin w blasku w miarę zaokrąglonej srebrnej tarczy likwiduje bezpośrednio zagrożenie (także za dnia, kiedy o blasku jako takim właściwe trudno mówić). Chmury nieco komplikują sprawę, ale na szczęście wycie świadomych przyczynia się do ich rozproszenia - element magii w generalnie racjonalnym świecie społeczności. Niestety, nawet najjaśniejsza pełnia

nie zregeneruje martwego, trudno zaś przeżyć choćby kilka sekund ze srebrną kulką w głowie lub sercu.

- Aha, na użytek smarkaczy winnym okaże się Liner - dodał Colin. - Niech uważają sprawę Hammera za zamkniętą.

Rose zadzwoniła do Fisha z oficjalnym meldunkiem o wykonaniu zadania. Prawdziwą i szczegółową relację zaraz przekażą liderowi wyciem.

Zostawiwszy Fishowi chwilę na wyjście przed dom, Colin oddalił się na skraj lasu. Ułożył twarz w wilczy pysk i zawył, zwrócony plecami do polany. Złożył sprawozdanie liderowi straży, Grieve'a natomiast powiadomił, że Dustinowi nic już nie dolega. Wezmą rzeczy kumpla i wrócą do Paula. Tam się spotkają.

Znowu z ludzką twarzą, Colin podszedł do pozostałych. Odniósł wrażenie, że w spojrzeniu Jacka dostrzegł obawę.

Kiedy dotarli do jeepa, Dustin znikł na chwilę w krzakach. Pojawił się ubrany, bez śladu choćby zadrapania na gardle, za to z chmurną miną. Wyglupił się, dał się podejść jak ostatni żółtodziób, a wszystko na oczach Rose, która przynajmniej przez tydzień będzie na niego wściekła o zaloty do obcej wadery.

\*\*\*

Straż i szczeniaki czekali na nich przed domem.

- Bułka z masłem - poinformowała Rose. - Znaleźliśmy ją, uspiliśmy i odstawiliśmy do hotelu. Do rana jej tu nie będzie. Grieve sprawdza, czy ktoś jeszcze nie włóczy się po lesie. Dołączy do nas później.

Smarkacze nie zamierzali jednak się zadowolić równie zwięzłym sprawozdaniem.

- Mówiliście, że wszyscy zasnęli - zauważył Martin - wrócili do optymalnego stanu, z którego tylko na krótko wytrąciła ich anomalia.

Odpuściłby sobie, psiakrew.

- Ta akurat przebudziła się wcześniej - wyjaśnił Dustin - Ma z sześćdziesiąt lat. U reszty była to kwestia ostatniego tygodnia czy dwóch. Wilk wylazł z nich nagle, więc szybko się też ukrył. Ale spoko, ona także będzie odtąd wiodła przykładowe życie, starzejąc się w normalnym tempie.

- Jak mogą jednocześnie nie wiedzieć o swojej drugiej naturze i spokojnie akceptować, że żyją kilka razy dłużej niż inni ludzie? - dociekał dalej Martin.

- Amnezja - odezwała się Ada. - Co jakiś czas wstają rano i nie pamiętają, co się z nimi do tej pory działo.

- I przechodzą nad tym do porządku? - zdziwił się Paul.

- Amnezja następuje zwykle po nocnych harcach w wilczej skórze, kiedy osobnik przebywa z dala od domu i rodziny - odparł Dustin. - Nagi, podrapany, szybko dorabia sobie historię, jak to został napadnięty, obrywając przy okazji w głowę. Poza tym zwykle budzą się pojedyncze sztuki, które zostawiają charakterystyczne ślady. Nie mówię, że zaraz każdy zaczyna zabijać ludzi, ale rozmawiamy przecież o drapieżniku. My go dzięki tym śladom namierzamy, usypiamy, jak dzisiaj, pomagamy mu odzyskać pamięć, jeśli ją stracił, no i gość wraca spokojnie na stare śmieci. Starzeją się wolniej dopiero od chwili,

kiedy wilk w nich się uaktywni, a rzadko się zdarza, żeby długo aktywny pozostawał.

W smarkaczach narastało ożywienie. Mimo że po tylu nieprzespanych nocach padali ze zmęczenia, każda wypowiedź Dustina czy Ady prowokowała nowe pytania.

W gromadce zabrakło już May i Randała, którym rodzice odmówili zgody na nocleg u Paula w środku szkolnego tygodnia. Nie pomogły argumenty o konieczności udzielania Matowi duchowego wsparcia.

- Będę jechał - oznajmił Jack cicho, niemniej wiadomość dotarła do wszystkich uszu. Rozgorączkowane głosy gwałtownie umilkły.

- Już? Czemu tak szybko? Nie skończyliśmy. - Martin się skrzywił.

- Zespół Fisha zamknie sprawę, do czego ja nie jestem im potrzebny. Poza tym w okolicy zaszło zbyt wiele podejrzanych zdarzeń. Chcę stąd zniknąć, zanim ktoś zacznie zadawać pytania.

- Wyjeżdżasz z powodu...? - wyrwał się Regie, ale Paul szarpnął go brutalnie za ramię. Od czasu do czasu kretyn mógłby trzymać jadaczkę zamkniętą. Jasne, że Jack czuł się niezręcznie w obecności przyjaciół Patricka.

- No, do widzenia. Dobrze mi się z wami pracowało.

Benson zamierzał właśnie wsiąść do jeepa, gdy Rose go powstrzymała.

- Jesteś w porządku... jak na łowcę.

- To najwspanialszy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszałem z kobiecych ust. - Jack skłonił się jej z kurtuazją.

- Do zobaczenia, Colin - rzucił jeszcze, nim zatrzęsnął drzwiami wozu.

Ani chęć zniknięcia, zanim padną pytania, ani nawet kwestia Patricka nie wydały się Colinowi prawdziwymi przyczynami wyjazdu Bensa. Chodziło o ów moment w lesie - o trwającą ułamek sekundy fragmentaryczną przemianę Colina. Już jej tempo dało Jackowi do myślenia, ale łowca najwyraźniej orientował się także (jak się dowiedział cholera?), że przekształcenie jedynie wybranej części ciała - głowy czy ręki - wymaga większego kunsztu niż całkowita transformacja. Wydawało się, że dopiero teraz Jack w pełni uzmysłowił sobie możliwości przeciwnika. Jakby cały czas liczył się z atakiem Colina, przekonany, że zdąży wystrzelić, jeżeli tylko zachowa czujność.

- Zimno. Wracamy do środka - zarządził Fish.

W salonie znowu wypłynął temat jutrzejszych przesłuchań, bardzo dla szczeniaków ekscytujący. Colin starał się skoncentrować na toczącej się dyskusji, ale nawet najbardziej entuzjastyczne okrzyki smarkaczy nie potrafiły zagłuszyć w nim głosu przeczucia. Powinien pojechać za Jackiem, zanim będzie za późno. Ale, psiakrew, czy Colin cokolwiek zmieni, odstawiając Bensa bezpiecznie do granicy stanu? Choćby poświęcił życie pilnowaniu łowcy, organizacja i tak by w końcu Jacka dopadła.

- Jak postępujecie po wykryciu sprawcy? - chciał wiedzieć Regie. - Macie wilkołacze więzienie? Jakies lochy z grubymi srebrnymi łańcuchami?

- Nazwałbym tę instytucję raczej farmą pracy

przymusowej – odparł Dustin.

– Stawiamy na resocjalizację – uzupełniła Ada. – Praca i wykłady. Oczywiście nic o wilkołakach. Są przekonani, że popełnili jakieś tradycyjne, że tak powiem, przestępstwo.

– Czyli po zresocjalizowaniu Liner wyjdzie? – skrzywił się Regie.

– Czy jego się w ogóle da zresocjalizować? – powątpiewał Paul.

– Jeśli faktycznie się okaże, że to Liner zabił – wtrącił rzeczowo Martin.

– Muszę jeszcze zamienić parę słów z Jackiem – oznajmił Colin, wstając.

Na tyle zdała się jego walka z przeczuciem. Czy raczej sumieniem, przeczucie bowiem jedynie ostrzegało, a dopiero sumienie nakazywało się przejąć ostrzeżeniem.

– Bo dla ciebie wszystko musi być napisane czarno na białym, inaczej zapomnij! – odgryzł się Martinowi Regie.

Choć Colin rwał się do biegu, salon opuścił niespiesznie. Jeśli się spóźni, ewentualne pytania smarkaczy mogą się okazać niebezpieczne. Niebezpieczne dla nich samych. A tak to w ogóle mało kto odnotował wyjście Colina, tylko jeden Fish domyślał się przyczyn. No i Caramel, znając życie.

Odpalił thunderbirda. Ruszył spokojnie; dopiero zyskawszy pewność, że koledzy ze straży nie usłyszą ryku silnika, gwałtownie dodał gazu.

\*\*\*

Wyostrzony słuch wychwycił delikatne „pyk”, kiedy od przyczepy dzieliło go zaledwie dziesięć kroków. Pokonywał te dziesięć kroków całą wieczność.

- Wejdz - dobiegł go z wnętrza głos Gordona.

Łowca upadł na plecy obok sofy. Na ciemnej koszuli ledwie dało się wypatrzeć dziurkę po kuli w okolicach serca. W przyczepie unosił się delikatny na razie zapach krwi. Benson już nie oddychał.

Gordon zatknął za pasek pistolet z tłumikiem.

- Nie miał pojęcia... - powiedział cicho Colin.

- Właśnie. - Gordon uśmiechnął się ponuro. - Do ostatniej sekundy przekonany, że rozmawia z kolegą po fachu. Nie żył, zanim zdał sobie sprawę ze znaczenia pistoletu w mojej dłoni. Szybka i bezbolesna śmierć. Twoim zdaniem odczytanie mu wyroku z uzasadnieniem byłoby bardziej humanitarne?

Beznamiętny, rzeczowy ton tej wypowiedzi sparaliżował Colina. Atakując stryja, ciskając mu w twarz oskarżenia niczego już nie zmieni. Przyzwolił na to zabójstwo. Przeczuwał je, ale nie uprzedził Jacka, ponosił więc winę nie mniejszą niż stryj. Nawet pojawienie się Colina w przyczepie o parę sekund za późno wpisywało się w schemat pozwalając ukoić sumienie bez zakłócania biegu zdarzeń: starał się, los jednak zrządził inaczej.

Pokręcił głową.

- Całe to gadanie o naszej nieszkodliwości... „Jedynym naszym pragnieniem jest żyć w pokoju między ludźmi”. - Colin roześmiał się gorzko. - Pięknie udowadniasz tę tezę.

A Jack w nią uwierzył!

Miał obowiązek podzielić się z Gordonem podejrzeniami na temat powiązań Bensona z agencją. Ale takiego wała, nic nie powie! Czuł się manipulowany, jakby stryj znał z góry każdy jego ruch czy słowo. A zatem proszę bardzo, niech lider sam się domyśla.

- Jedyne nasze pragnienie, Colin - westchnął Gordon. - Niestety, ludzi nasze pragnienia nie interesują. Zmuszają nas do obrony.

- To nazywasz obroną?

- Doskonale mnie rozumiesz. Wolałbyś, żeby było inaczej, ale rozumiesz. Znajdujesz się w tej komfortowej sytuacji, że nie ty podejmujesz decyzje. Łatwo się krytykuje, kiedy na kim innym ciąży przykry obowiązek.

- A Mat i jego kumple? Gwarantujesz ich bezpieczeństwo?

- Co do Mata, obiecuję ci, że dołożę starań...

- Gównu mnie obchodzą twoje starania! - wybuchnął Colin.

Wiedział, że musi Mata stąd zabrać. Gordonowi zresztą na tym właśnie zależało, gdyż troska o bezpieczeństwo brata odwróciłaby uwagę Colina od poszukiwań Em. Colin spróbował sobie wyobrazić, jak przekonuje chłopaka do wyjazdu: „Tutaj grozi ci śmierć. Twoim kumplom niestety nie zdołam pomóc”.

- Colin... Nikt nie zamierza krzywdzić Mata ani jego kolegów, ale gwarancji dać ci nie mogę - łagodził Gordon. - Wiele zależy od ich zachowania w bliższej i dalszej



przyszłości. Nie przyrzekam, kiedy nie jestem pewien, czy dotrzymam słowa. Między innymi za twoją przyczyną wiedzą znacznie więcej, niż uznaje się za dopuszczalne. Jeśli któremuś zachce się rozpocząć krucjatę przeciw społeczności, nie oczekuj, że będę się temu spokojnie przyglądał.

Colin milczał. Rzeczywiście, rozumiał stryja, choć wolałby się do tego nie przyznawać nawet przed sobą. Jak daleko by się posunął, zajmąwszy pozycję lidera? Czy zlikwidowałby Mata, gdyby dobro społeczności bezwzględnie tego wymagało? Cóż, jak powiedział Gordon, Colin znajdował się w tej komfortowej sytuacji, że nie musiał udzielać sobie na podobne pytania odpowiedzi.

- Benson zapłacił za postój i poinformował w hotelu o swoim wyjeździe - kontynuował rzeczowo Gordon. - Spalarka już czeka. Wyjadę jako on i wszystkim się zajmę. Weź mój wóz. - Wręczył Colinowi kluczyki. - Należy do ciebie. I uważaj na siebie, Colin.

- Zamierzam jej szukać.

- Wiem. Nie działaj pochopnie. Ostrożnie formułuj pytania i bacz, komu je zadajesz. Pamiętaj, że w każdej chwili możesz wrócić. No. Idź już.

Colin wolno szedł do motoru. Uważaj na siebie. Uważaj, żebym nie musiał podejmować bolesnej dla mnie decyzji. Jeśli Colin popełni błąd, stryj zajmie się jego sprawą osobiście, ponieważ jedynie tym sposobem zyska pewność, że nie istniała inna możliwość niż likwidacja bratanka.

Ostrożność zalecał Colinowi także Benson. Ile faktycznie

wiedział o organizacji? Cholera, Colin lubił drania. Kiedy go ta śmierć walnie? Przyjął ją do wiadomości, ale nie zaakceptował... jakby Jack nadal żył.

Przystanął. Idiotyzm. Czuł krew, widział nasiąkający krwią materiał koszuli Bena, nie słyszał jego oddechu ani uderzeń serca. Skąd więc wzięło się wrażenie, że łowca przeżył? Zwłaszcza że Colin przeczuł zajście, a przeczucie nigdy dotąd go nie zwiódło. Widocznie podświadomość łagodziła wyrzuty sumienia, podsuwając obrazek niewiarygodnej intrygi.

Szukał dla siebie usprawiedliwień w chorych teoriach. Benson zginął, stało się. Colin pożegna się z Matem i z przyjaciółmi, po czym jeszcze tej nocy opuści miasteczko, załadowawszy thunderbirda na wydłużoną - właśnie z myślą o transporcie motorów - pakę pseudoterenowego lincolna blackwooda.

Colin ścisnął kluczyki w dłoni. Nowy drogi wóz. Gordon wspomógł bratanka finansowo, jeśli zaś ktokolwiek uczyni z tego liderowi zarzut, Gordon powie zapewne, że polecił Colinowi odprowadzić samochód do osady. Tak czy inaczej, lincolna trzeba będzie zaraz sprzedać. A przy okazji też dodge'a Kennetha - praktycznie zero ryzyka.

\*\*\*

- Pojechał - poinformował straż i smarkaczy. Nie dorzucił nic w stylu: „Kazał was ponownie pozdrowić”, gdyż podobna wylewność nie pasowałaby do Bena.

Panowanie nad emocjami nie zawsze Colinowi

wychodziło, niemniej maskowanie kłamstwa opanował do perfekcji. Jeśli zatem Fish przyglądał mu się podejrzliwie, wynikało to z ich wieczornej wymiany zdań. Colin pochwycił też spojrzenie Caramela. Szczeniak go rozszyfrował, ale niezawodnie zachowa wnioski dla siebie.

- Na mnie również pora - oznajmił Colin kwadrans później. - Usunę się z pola rażenia Nigela.

Oświadczenie nie wzbudziło zdziwienia, ponieważ dla wszystkich było jasne - choć naturalnie nie znali pełnego obrazu sytuacji - że Colin pragnie ruszyć tropem porywacza siostry. Zdziwiliby się raczej, gdyby dłużej mitrężył.

Martin i Carol zasnęli w fotelach, pozostali zaczęli się jednak podnosić z zamiarem odprowadzenia Colina. Powstrzymał ich.

- Pożegnaj was tutaj. Wybaczcie, ale chciałbym jeszcze pogadać w cztery oczy z bratem.

Fish gniewnie zagryzł wargi, uważając niewątpliwie, że i jemu należy się parę słów wyjaśnienia. Colin ledwie dostrzegalnie pokręcił głową. O szczegóły niech kolega dręczy Gordona.

- Przejdźmy się kawałek - zaproponował Colin, kiedy wyszli z Matem przed dom.

Popchnął thunderbirda w stronę szosy. Nie chciał, żeby jakieś nieostrożne zdanie brata trafiło do uszu przyjaciół.

- Ze względu na nich? - domyślił się chłopak.

- Mają zadanie chronić ludzi i świetnie się z niego wywiązują - oznajmił twardo Colin. - Ukrywam przed nimi prawdę dla ich dobra, nie zaś ze względu na

bezpieczeństwo twoje czy twoich kumpli. Są jednak inni, specjaliści od brudnej roboty - dodał po krótkiej przerwie. - Wyjedź ze mną.

- Wiesz doskonale, że nie pojedę - odparł Mat bez wahania. - Nie zostawię Carol, muszę też kontrolować chłopaków. No i wuj, i ciotka... byłbym ostatnią świnia. Ona dosyć już cierpi z powodu Em. Nie zasłużyła na to. A wuj... Żremy się, wkurza mnie, ale nie mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że jest draniem, a jego uczucia gównu mnie interesują. Gdyby Em z nimi została, moje odejście jakoś by przeżyli. Zawsze zajmowałem drugie miejsce. Ale wtedy nie proponowałbyś mi wyjazdu. Znajdź ją. Typ, który zabił... - Mat urwał, ściągając brwi. Lada moment głos odmówiłby mu posłuszeństwa.

- Obiecałem, że nie odpuszczę. Proszę cię, zachowaj ostrożność. Udawaj, że stopniowo zapominasz, jakbyś nabierał przekonania, że te zdarzenia ci się przyśniły. Pilnuj kumpli. A przede wszystkim dbaj o Carol. Trafił ci się prawdziwy skarb. - Colin uśmiechnął się, usiłując nadać pożegnaniu lżejszy ton.

- Zadzwoń czasem, okej? Przynajmniej raz na rok? Nie musisz mi niczego relacjonować, rozumiesz, zdradzać tajemnic i tak dalej. Zamelduj się po prostu, że żyjesz... i posuwasz się naprzód.

- Postaram się.

- To takie cholernie trudne? - parsknął chłopak.

- Jeśli podpadnę, to telefonując, narażę też ciebie. Możliwe, że kogoś tu przyślą. Świadomi mają świetny słuch,

więc nawet w szczerym polu nie wypowiadaj słowa „wilkołak”. W ogóle nie mów nic, co by się kojarzyło...

- Jasne, pozostanę przy „społeczność”, „osobnik” i „świadomi”.

- Psiakrew, Mat, nic do ciebie nie dociera? - zirytował się Colin. - Mówiąc „wilkołak”, jesteś amatorem mitów. Naoglądałeś się filmów, może coś wiesz, ale prawdopodobnie po prostu fantazjujesz. „Społeczność” świadczy, że poznałeś nas bliżej. Nie szarżuj. Odpowiadasz nie tylko za siebie. Uważaj zwłaszcza na Martina. Szczegółarz z niego, więc się nie zdziwię, jeśli doszuka się nieścistości w tym, co usłyszał od Dustina i Bena. Gotów nawet powiązać Emilię ze sprawą. Pilnuj się więc, żeby niczego przy nim nie palnąć. Ale nie wmawiaj mu też pomyłki, jeśli trafi na właściwy trop, bo tym usilniej zacznie szukać dowodów na poparcie swoich racji.

Boże, żeby smarkacz okazał choć minimum rozsądku! Chwilami Mat wydawał się poważnym dorosłym facetem, świadomym ciężącej na nim odpowiedzialności, by za moment wkurzyć się jakimś drobiazgiem i wyskoczyć ze szczeniacką zagrywką. Przez te kilka dni dojrzał, czy jednak wystarczająco? Colin liczył na zbawienny wpływ Carol. Bo przecież nie walnie chłopaka w łeb, żeby siłą wpakować go do wozu i wywieźć w nieznane. Musiał mu zaufać.

Pożegnali się. Colin powiedziałby bratu parę serdeczniejszych słów, ale w podobnych sytuacjach zawsze coś się w nim zacinało.

- Uważaj na siebie - rzucił Mat, odsuwając się od motoru.

\*\*\*

Colin załadował thunderbirda na pakę lincolna, podniósłszy blisko pięćset funtów z jedynie lekkim sapnięciem. W schowku były papiery wozu. Zajechał pod Martha's Inn, parkując poza zasięgiem wzroku recepcjonisty.

W hotelowym hallu nadal unosiła się wyraźna, drażniąca woń Celi. Sugerująca aktywność, cholera - że też ów szczegół nie uderzył Colina rano. Ściągnął brwi. Nie miał wówczas do tych spraw głowy, ale czy przypadkiem nie odnotował zmiany w nutach zapachowych wszystkich nieświadomych z Martha's Inn? Cóż, teraz już tego nie stwierdzi.

Choć właściwie był to już wyłącznie problem Fisha, Colin poczuł, że musi odszukać pokój Celi. Nic się nie stanie, jeśli o parę minut opóźni swój wyjazd.

Chwilę nasłuchiwał pod drzwiami. Cisza. Sprawnie sforsował zamek.

Pokój świecił pustką. Ani śladu ubrań czy kosmetyków nic też nie wskazywało, że jego niedawna lokatorka pakowała się w pośpiechu. Przewidziała zawczasu, że będzie zmuszona uciekać.

Colin odnosił wrażenie, że wiele jej działań było ukierunkowanych na niego. Czyżby jednak...? Potrząsnął głową. Miał ważniejsze dylematy niż napalona waderka. Grieve ją złapie, Fish weźmie w obroty, Colin zaś kiedyś, jeśli trafi się okazja, zapyta kolegów o jej motywę.

Wrócił do siebie i spakował się błyskawicznie, bo też

niewiele miał do zabrania. Zarzuciwszy sakwy na ramię, omiół pomieszczenie ostatnim kontrolnym spojrzeniem.

Uregulował hotelowy rachunek. Nie zdziwiłby się, gdyby recepcjonista zaraz po jego wyjściu wybrał numer Nigela bądź policji. Colin musiał się sprężyć. Papiery lincolna były w porządku, niemniej wolał uniknąć pytań o pochodzenie wozu.

Działał sprawnie, jak typowy energiczny mężczyzna, konsekwentnie dążący do realizacji celu. Cel. Odnaleźć Emily. Nie wierzył w powodzenie operacji, czy zatem zdoła ją efektywnie poprowadzić? Od czego miał zacząć, dokąd się skierować? Skąd będzie wiedział, czy nie ściąga niebezpieczeństwa na Mata albo nawet na Gordona? Wątpił, aby stryj dla wszystkich swoich decyzji otrzymał przyzwolenie Udon, czy komu tam podlegał. Podarowanie bratankowi lincolna niechybnie stanowiło akt samowoli. Gordon będzie Colina chronił z narażeniem siebie. Szlag.

Dochodziła czwarta, kiedy Colin sunął przez uśpione miasteczko. Musiał sprzedać dodge'a i lincolna, a następnie bezpiecznie ulokować pieniądze, w najbliższych dniach nie będzie więc narzekał na brak zajęć. Ale później? Później rozpościerała się przed nim pustka.

Nęcił go powrót pod rozkazy stryja. Mógłby parę miesięcy powłóczyć się po kraju, pozorując poszukiwania, potem zaś pojawić się w osadzie ze skruszoną miną, znaczącą, iż zrozumiał, że nie ma szans. Pozwoliłby Gordonowi decydować za siebie, wyzbyłby się niewygodnych myśli, żyłby z dnia na dzień, od zadania do

zadania. Związałyby się z Rose i razem wychowywaliby potomstwo o idealnej kombinacji genów. Psiakrew, nigdy się na taką decyzję nie zdobędzie.

Od czego zatem zacznie? Przepatrzywszy znanych sobie świadomych, stwierdził, że poruszają się w obrębie maleńkich wycinków organizacji, nie mając pojęcia o kapłanach ani tajemniczym bóstwie. Stryj wydawał się jedynym obiecującym źródłem informacji, od niego zaś Colin nic więcej nie wydobędzie. Startował zatem od zera.

Czy w Ameryce Północnej rzeczywiście znajdowało się największe skupisko członków społeczności? Tego Colina uczono, co uznał teraz za dobry powód, aby skierować wzrok ku Europie.


Europa, opuszczony przez społeczność kontynent, którym nie warto zawracać sobie głowy. Gdzie, jeśli nie tam, może znajdować się centrum dowodzenia organizacji istniejącej od tysiącleci oraz siedziba tajemniczych kapłanów wraz z ich jeszcze bardziej sekretnym bóstwem? Colin uśmiechnął się kwaśno, wyobraziwszy sobie rzeczony bóstwo: poobtłukiwany kamienny posązek. Bo czyż takiemu Udonowi ktokolwiek zdołałby udowodnić kłamstwo?

Nabierał coraz głębszego przeświadczenia, że Udo zabrał Emily właśnie do Europy. Colin przekona się zatem, czy faktycznie pozostały tam same niedobitki.

Wzdrygnął się na myśl o podróży samolotem; jeszcze nigdy nie odrywał się od ziemi. Poza tym nie będzie mógł zabrać ze sobą broni ani nawet ziół, bo przy obecnych obostrzeniach wzięto by je jeszcze na lotnisku za narkotyki



i bomby. Wyląduje więc na obcej ziemi zdany wyłącznie na własne ciało i zmysły. No, ale to mu już nie przeszkadzało, odwiedzi kontynent, wędzając za świadomymi. Nie był to przesadnie ambitny plan, lecz zawsze jakiś punkt zaczepienia, z braku lepszych możliwości.

 U.S. Fish and Wildlife Service - rządowa organizacja zajmująca się ochroną przyrody.